STANISŁAW WYRZYKOWSKI

MOSKIEWSKIE GODY

CZĘŚĆ I.

WILKI POD MURAMI KREMLA

WARSZAWA 1930
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

MOSKIEWSKIE GODY

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

MOSKIEWSKIE GODY

LEGENDA O TAJEMNICZYM CARZE

CZĘŚĆ I, II i III

WILKI POD MURAMI KREMLA — ZWYCIĘSKIE SŁOŃCE — KRWAWY ZMIERZCH

WARSZAWA 1930
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA



MARYNA MNISZCHÓWNA

wedle portretu w zbiorach wawelskich

Za pozwoleniem Dyrekcji Zbiorów Państwowych



DYMITR SAMOZWANIEC

wedle portretu w zbiorach wawelskich

Za pozwoleniem Dyrekcji Zbiorów Państwowych

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

MOSKIEWSKIE GODY

LEGENDA O TAJEMNICZYM CARZE

TOM I.

CZĘŚĆ I.

WILKI POD MURAMI KREMLA

The Soul stronger than Fate.

WARSZAWA 1930
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

ODBITO 3200 EGZEMPL. NUMEROWANYCH

№ 1445

Drukarnia Narodowa w Krakowie

CZĘŚĆ I.

WILKI POD MURAMI KREMLA

I.

Już od trzech lat w mieście Moskwie i we wszystkich ziemiach Hospodarstwa Moskiewskiego srożył się głód, jakiego przedtem nie zaznały dzieje; ani dzieje pogańskie, ani dzieje chrześcijańskie, ani żadne inne dzieje. Tłumami całymi wymierała nędzna biedota wiejska i *mir*, czyli pospólstwo miejskie. Z ich bezwładnie otwartych, straszliwie zczerniałych i obrzękłych ust wyzierało nieraz siano lub słoma, których nie zdołały już przełknąć w chwili zgonu. Bowiem ludzie jedli psy, koty, szczury, padlinę, korzonki, trawę, korę drzewną, nawet nieczystości ludzkie i zwierzęce. Chciwie chłeptali krew zarzynanego bydła i wysysali ziemię, na którą spłynęła dymiąca się posoka. Byli tacy, co pożerali się wzajemnie. Zabijano najtłustszych i najzażywniejszych na ohydną strawę dla wygłodzonego mrowia, zaludniającego kurne chaty. Dzieci żywiły się ciałami swych rodziców, rodzice zjadali własne dzieci. Kupowano i sprzedawano na rzeź dziatwę i kobiety. Przejezdni podróżni musieli być bardzo ostrożni w wyborze gospód, ponieważ z mrocznych sionek murowanych kramnic i *gornic*, budowanych z jodłowego, nieciosanego drzewa, czyhała na nich żarłoczna zdrada. Niby Syreny wabiły ich kobiety słodyczą swych głosów i zalotnemi spojrzeniami swych zapadłych, rozgorączkowanych oczu, — kiedy zaś wchodzili, spajały ich wódką oraz miłosnemi pieszczotami, poczem zabijały ich we śnie, ćwiartowały członki, w których tliło się jeszcze niewygasłe zarzewie rozkoszy, zaś z po-

siekanego mięsa robiły pierogi na pożywienie dla siebie i na sprzedaż dla drugich. Na ulicach Moskwy widziano wychudłą, nawpół nagą kobietę, która w przystępie głodu jęła szarpać zębami własne dziecię i byłaby je zagryzła na śmierć, gdyby nie wydarły go jej przemocą ramiona jakiegoś cudzoziemskiego przechodnia. Nikt nie odważał się dawać jałmużny ani sprzedawać żywności na targu, gdyż natychmiast zbiegały się tłumy nędzarzy, co dusiły i rozszarpywały w ścisku zarówno chciwych przekupni jak miłosiernych dobroczyńców, dopominając się o swą cząstkę.

W kraju było dość zasobów, aby wyżywić ludność przez długie lata. Kniaziowie i bojarowie, mnogie monastery i bogaci kupcy mieli w swych spichrzach tyle zboża, iż od długiego leżenia butwiało ono w sąsiekach. Ale nie chcieli go sprzedawać. Pragnęli, żeby głód przybrał jeszcze okropniejsze rozmiary, bo spodziewali się jeszcze większych zysków. Wielu zamożnych chłopów zakopywało zboże w ziemię z obawy, żeby nie podejrzewano ich o posiadanie pieniędzy, pochodzących ze sprzedaży. Lękali się, że ubożsi sąsiedzi mogą ich okraść lub zabić. Zdarzało się, iż ci, którzy je za tanio sprzedali, ulegali takim zgryzotom, że wieszali się po swych domostwach.

Nawet Patrjarcha Job, głowa wszystkiego moskiewskiego duchowieństwa nie chciał wyprzedawać swych nieprzebranych zapasów, czekając, żeby ceny zboża jeszcze poszły w górę. Był sam na świecie, nie miał ani żony ani dzieci, ale tą złamaną wiekiem i chylącą się do grobu postacią władała niepohamowana chciwość.

Wszelako Sprawiedliwość Przedwieczna dosięgła te serca nieczułe, a była tak przepotężna i cudowna, że żadne usta ludzkie nie zdołają jej wysłowić.

Pojawiła się straszliwa siostrzyca głodu, zaraza. Niewiadomo, skąd przyszła; czy z Lukomorji, gdzie ludzie jak jaskółki zamierają na zimę i odżywają znów na wiosnę; czy też

od Tatarów Astrachańskich, z Kraju Solnych Gór, co są przejrzyste jak kryształ i mają tę dziwną właściwość, iż ich nie ubywa, chociaż już od wieków ludzie z nich sól biorą. Wyludniał się kraj, pustoszały sioła i miasta.

Serce hospodarskie przeraziło się skwierku i niedoli ludu. Z rozkazania Wielkiego Kniazia obwołano po całej jego stolicy, iż każdego ranka wszyscy ubodzy będą otrzymywali po trzy kopiejki na głowę. Był to na owe czasy grosz niemały. Wieść o tej szczodrobliwości obiegła wnet cały kraj, jakoż z najdalszych jego stron jęli napływać gromadami chłopi, którzy opuszczali swe zagrody i pozostawiali pola bez uprawy, pielgrzymując z babami i dziećmi po tę jałmużnę. W przeludnionej już nadmiernie stolicy ginęli oni zimą jak muchy. A bezpańskie poletka osuwał z wiosną perz i porastały chwasty. Z roku na rok zmniejszały się plony.

Nadomiar urzędnicy, którym powierzono rozdawnictwo tych żebraczych zapomóg, byli złodziejami. Sprowadzali swe rodziny, krewnych i przyjaciół, którzy, odziani w łachmany, przychodzili wyciągać ręce po jałmużnę. Najęte przez nich łotry przyjeżdżały powózkami i pomagały im rozpychać istotnych nędzarzy. Duszono ich w ścisku, rozpędzano kosturami i nahajkami. Kulawi, ślepi, głuchoniemi, nie mogąc uwolnić się z tłoku, padali martwi pod nogi opętanej łapczywością tłuszczy. Niecne były ręce carskie i przekleństwem dla ludu stała się rozdzielana przez nie jałmużna.

O trupy za murami stolicy nikt nie dbał. Wrzucano je do jam z nawozem, pozostawiano na pożarcie psom, wilkom i lisom. Zasię zwłoki, których po kilkaset znajdowano co rana na placach i ulicach miejskich, zbierali pachołkowie i wywozili je za miasto. Tam w trupiarniach je myto, ubierano w białe, śmiertelne koszule i czerwone trzewiki, poczem grzebano w długich rowach, wykopanych śród pól. Wrzucano trupy do tych rowów, jak wrzuca się śmieci lub nieczystości. Niejednokrotnie znajdowali się śród nich biedacy, którzy

jeszcze nie wyzionęli ducha. Pachołkowie porywali ich za ramiona i nogi, wlekli pośpiesznie ku otwartym grobom i strącali do pospólnego dołu. Następnie rowy zasypywano i kopano nowe.

Pół miljona ludzi w samem tylko mieście Moskwie pochłonęła w przeciągu trzech lat matka-ziemia, a wszyscy otrzymali od swego władcy w ostatnim podarku białe koszule i czerwone trzewiki. Ilu zaś ich skonało w straszliwych mękach głodu i zarazy na nieprzemierzonych rozłogach całego Hospodarstwa Moskiewskiego, o tem nigdy świat się nie dowiedział.

Hospodar nie szczędził skarbów, żeby ulżyć niedoli ludu, ale nieszczera była ta szczodrobliwość. Ludu tego nie lubił i nie dowierzał mu, gdyż był on tłuszczą bez czci i bez wiary, dziką, ciemną, zabobonną i okrutną, gotową zawsze do wszelkich rozruchów i przewrotów, byle połączonych z rozpasaniem i grabieżą. Nie zapominał jednak, że po barkach tej tłuszczy wspiął się na wysokość *prestołu* carskiego i że była mu ona potrzebna w walce z możnymi rodami bojarskimi, które prześladował i tępił niemiłosiernie. Sam niemniej od niej ciemny, bo podobno czytać i pisać nie umiał, miał mimo to potężną i drapieżną duszę człowieka, zrodzonego do panowania. Z nadzwyczajną pamięcią i wielką pracowitością łączył przenikliwą znajomość natury ludzkiej, szybkość i nieugiętość postanowień, bystrość męża stanu, dzielność wojownika, zapobiegliwość dobrego gospodarza oraz umiejętność rządzenia. Nieraz spoglądając samotnie z wyżyny Kremla na pozłociste, pałające barbarzyńskim, różnobarwnym przepychem banie cerkwi, na białe, okolone rozległymi ogrodami i sadami dwory bojarów, na drewniane, wieżami spiętrzone, obronne parkany miasta, z trzech miast złożonego, na starożytne mury i piętrowe, z jodłowych bierwion budowane domostwa mieszczan i kupców, na odwieczne monastery, murowane kramy, rozległe place i uprawne pola,

rozpamiętywał zapewne swe życie. Był potomkiem tatarskiego rodu. Płynęła w nim namiętna, złowroga, chytra i lubieżna krew stepowych wojowników Złotej Ordy, która koczowała na wybrzeżach Morza Kaspijskiego, gdzie podówczas istniały jeszcze wspaniałe rozwaliny ze złoconymi niekiedy napisami greckimi ku chwale Aleksandra Wielkiego. Ród jego, ród Godunowów, od niedawna, bo dopiero od czasów Iwana Groźnego, należał do najmożniejszych w Hospodarstwie. Syn tego okrutnika, bogobojny i ograniczony, Fedor Iwanowicz, wstąpiwszy na tron po ojcu, poślubił jego siostrę, urodziwą i rozumną Irenę. On sam miał za żonę córkę dostojnego bojarzyna, Maluty Skuratowa, którą kronikarze cudzoziemscy dla jej pychy, wielkich zdolności, żądzy panowania i krwiożerczego okrucieństwa porównywali z Semiramidą. Lubił cudzoziemców. Otaczał się nimi, ugaszczał ich często w swej podmiejskiej posiadłości, gdy jako Wielki Koniuszy i naczelny wódz wojsk hosudarskich jął sprawować rządy w zastępstwie niedołężnego Samodzierżcy, który wolał przesiadywać po monasterach i odprawiać modły z czerńcami, nie wiedząc, że są oni przekupnemi powolnemi narzędziami Borysa. Bardzo rychło umotał w swe sieci ufnego i dziecinnie łatwowiernego Fedora, który dawał posłuch jego podszeptom i zatwierdzał wszystkie jego zarządzenia.

A były one rozumne, miały na celu dobro i potęgę Hospodarstwa. Borys dbał przedewszystkiem o lud. Zamierzał nim posłużyć się w walce z potężnymi rodami bojarskimi, które niechętnie widziały jego wyniesienie. Z niezmierną skrytością, przebiegłością i wytrwałością dążył do korony. Wielki Kniaź, Fedor, był wątły i nie miał dzieci. Ale żył jego brat, ośmioletnie podówczas pacholę, Dymitr, zrodzony z siódmej żony Iwana Groźnego, Marfy. Z woli hospodarskiej zamieszkiwał on w Ugliczu, gdzie miał swój udzielny dwór i był otaczany czołobitnością, jaka w pojęciu moskiewskiem należała się jego dostojeństwu. Dzieciak ten wielce niepokoił Bo-

rysa. Nie odrodził się od swego straszliwego ojca. Był nad wiek rozwinięty, zmyślny, samowolny, zajmował się sprawami państwowemi, wyrażał się lekceważąco o nieudolności swego przyrodniego brata, i nie cierpiał jego powiernika, Godunowa. Był groźbą na przyszłość jako naturalny spadkobierca Fedora. Ale nie tylko on. Po nim największe prawa do korony miały dzieci Nikity Romanowicza, brata żony Iwana Groźnego. Trzeba było ich wszystkich usunąć, było to jednak bardzo trudne. Borys lękał się bojarów, dworaków i Wielkiego Kniazia, który był bardzo przywiązany do swego młodocianego brata i lubił swych siostrzanów. Nikt nie miał im nic do zarzucenia. Nie mieszali się do rządów, żyli nienagannie, umieli pozyskiwać sobie życzliwość ludzką. Każdy z nich uchodził za przyszłego Hosudara. Najstarszy, Fedor Nikitowicz, był ulubieńcem pospólstwa, był zaś przytem tak urodziwy i dobrze zbudowany, że krawcy moskiewscy, chcąc kogoś pochwalić, powiadali mu: jesteś drugim Fedorem Nikiticzem. Jeździł znakomicie konno, wywołując swą postawą zachwyty. Młodsi jego bracia niemniej się wyróżniali. A było ich niemało.

Prócz nich była zawadą matka Dymitra, carowa Marfa, oraz rodzina Nagich, z których się wywodziła. Tę wdowę po Iwanie Groźnym odesłał najpierw do jej syna, do Uglicza. Następnie pozbył się Nagich, mianując jednego po drugim wojewodami dalekich okrain tatarskich, gdzie za jego sprawą albo poginęli marnie, albo też musieli uchodzić, tułając się długo w opuszczeniu i nędzy. Po nich miała przyjść kolej na księcia uglickiego, Dymitra. Ale Borys się nie śpieszył. Działał nadzwyczaj przezornie i ostrożnie. Przyczaił się jak drapieżny zwierz i usypiał obłudnie czujność młodocianego księcia oraz jego niedbałych dworaków, obsypując ich szczodrymi podarunkami.

Czekał sposobności, któraby niebezpieczeństwem i grozą odurzyła gawiedź, nie pozwalając jej rozmyślać zbyt długo

o zamierzonem skrytobójstwie. Rychło się nadarzyła. Wiosną 1591 r. otrzymano w Moskwie wiadomości, iż hordy tatarskie spadły jak szarańcza na kraje ościenne i mają ruszyć na stolicę, nie żeby ją zdobyć, lecz aby rzucić postrach, zagarnąć jeńców i łupy.

Lęk padł na Moskwę, wszelako Borys zachował męstwo i zimną krew. Dodał otuchy ludności i Wielkiemu Kniaziowi. Nadzwyczaj czynnie jął przygotowywać obronę. Kazał pobudować przed miastem ogromne tabory z wozów i zaopatrzył je w liczne działa. Wszystkich mężczyzn powyżej lat 20 powołano pod broń dla obrony murów i obwarowań miejskich. Horda liczyła podobno 400.000 łuków, nie śmiał tedy wyruszyć na jej spotkanie. Postanowił jej oczekiwać pod Moskwą.

Gońcy donosili nieustannie o pośpiesznym pochodzie nieprzyjaciela. Dnia 2 czerwca wczesnym rankiem ujrzano te nieprzejrzane tłuszcze, co na podobieństwo obłoku zakłębiły się na widnokręgu. Pod kopytami końskiemi zadrżała ziemia. Dzicz zwaliła się na Kołomeńsk, o półtorej mili od stolicy moskiewskiej.

Pierwszych kilka dni upłynęło na pomniejszych utarczkach. Z dzikiem męstwem rzucali się wojownicy tatarscy na tabory moskiewskie, ustępując pod ogniem dział, wprawdzie bardzo licznych, ale źle obsługiwanych. Żołnierze moskiewscy nie odznaczali się walecznością i nie umieli obchodzić się z artylerją. Borys rychło pojął, że nie zwycięży siłą i uciekł się do podstępu. Kazał bić na oślep przez całą noc ze wszystkich armat. W Moskwie ludziom się zdawało, iż zapadnie się ziemia od gromowego huku. Nikt nie rozumiał, po co odbywała się ta strzelanina.

Dowiedziano się jednak rychło.

Z rozkazu Borysa pewien bojarzyn dał się pojmać Tatarom. Ci, widząc jego złotogłowiową szatę, naszywaną perłami, zaprowadzili go do Chana, który go zapytał o przyczynę tego bezcelowego marnowania prochu. Jeniec odpo-

wiedział, iż 30.000 Polaków oraz najemnego żołnierstwa niemieckiego przybyło z pomocą i wieczorem weszło do Moskwy od strony przeciwnej.

Wzięto go na męki, ale wytrwał i nie zmienił zeznań. Wówczas wódz tatarski uwierzył i zląkł się tak bardzo, iż pierzchnął ze swą ordą następnej nocy. Ucieczka odbywała się w takim popłochu i nieładzie, że Tatarzy, przejeżdżając przez niewielkie laski między Moskwą a Sierpuchowem, przewracali w pędzie młode drzewka, wśród których uwięzło tysiące ludzi i koni. Niepoliczone trupy zasłały drogę. Było skwarne lato. Zwłoki te, zmiażdżone i poszarpane kopytami końskiemi, jęły się rozkładać, okryły się robactwem i muchami. Nastał nieznośny zaduch.

Wojownicy moskiewscy nieprędko dostrzegli odwrót nieprzyjaciela. Nieustanny huk dział zagłuszył tętenty uchodzących koni, a niepogaszone przez Ordę ogniska do samego rana utrzymywały ich w niepewności.

Wysłano spóźniony pościg, nie zdołał on jednak zapobiedz spustoszeniu krain za Oką. Tatarzy zagarnęli w odwrocie ogromne łupy i pognali w swe stepy tysiące jeńców.

W Moskwie uwielbienie dla Borysa nie miało granic. Imię jego było na wszystkich ustach. Fedor już tylko z nazwania był Hospodarem. Jego ascetyczne cnoty zaćmiła drapieżna wielkość pogromcy Tatarów, który w upojeniu swej potęgi odważył się wreszcie targnąć na życie młodszego syna Iwana Groźnego.

Młodociany Książę Dymitr miał dworzanina, który go nie odstępował i uchodził powszechnie za najwierniejszego jego sługę i przyjaciela. Zwał się on Michał Michajłowicz Bitiagowskij. Borys zdołał przekupić tego człowieka i skłonił go do skrytobójczego zamachu na życie hosudarskiego brata. Ale Bitiagowskij sam nie odważył się podnieść ręki na ostatniego z Ruryków. Tedy dobrał sobie dwu siepaczy, z których jeden miał być jego własnym synem. Borys ich ośmielił, zachęcił

do zbrodni hojną nagrodą oraz obietnicami godności i zaszczytów. Jego jałmużnik pobłogosławił ich, udzieliwszy przedtem rozgrzeszenia i sakramentów. Podczas zabawy, którą Bitiagowskij urządził dla towarzyszy Dymitra w uglickim dworze, zakłuli oni nożami książęce pacholę, czy też poderżnęli mu gardło. Tak opowiadano później. Wszelako szczegóły tej zbrodni nigdy nie wyszły na jaw. Krążyły o niej najbałamutniejsze i najsprzeczniejsze pogłoski. Jej potworność i zuchwalstwo wstrząsnęło nawet zatwardziałemi sumieniami moskiewskiemi. Dymitr był lubiony. Pospólstwo w Moskwie jęło szemrać i podejrzewać Borysa. Groziły rozruchy. Borys zapobiegł im na swój sposób. Kazał uwięzić nie wiedzących o niczem dworzan Dymitra, zaś struchlały z przerażenia i żalu Wielki Kniaź, Fedor, polecił mu przeprowadzić dochodzenia i ukarać winowajców. Sprawa baranka dostała się w łapy wilka. Śledztwo, którego dokonał Kniaź Wasyl Szujski pospołu z innymi bojarami, wypadło na niekorzyść niewinnych przeciwników Borysa. Wielu stracono, innych rozesłano do odległych więzień. Carową Marfę zamknięto w monasterze, zaś jej krewnych, Nagich, skazano na wygnanie.

Mimo to szemrania nie ustawały. Wówczas poczęły szerzyć się pożary w Moskwie. Spłonęło około dwustu domostw. Podpalacze byli najęci przez Borysa. Atoli ginęli, zanim zdążyli go oskarżyć. Równocześnie z rozkazu jego rozpuszczano wieści, iż Tatarzy czyhają na sposobność do nowego najazdu, a tymczasem starają się wzniecić popłoch podpaleniami i zabójstwami. Troski i zgryzoty, wywołane stratami, co wynikły z pożarów, obawa nowej, straszniejszej jeszcze klęski, pogrążyły w niepamięci niedawną zbrodnię. Wszyscy myśleli o sobie. Nikt nie miał czasu opłakiwać nieszczęść cudzych. Borys zdołał odwrócić od siebie podejrzenia. Żale pogorzelców uśmierzył hojnemi zapomogami. Przekleństwa zamieniły się w błogosławieństwa. Pospólstwo, którem gardził, było ugła-

skane, a bojarowie, których nienawidził, przepłacali swą skrywaną zawiść oraz nieustępliwy opór śmiercią, utratą mienia lub wygnaniem.

Od *prestołu* carskiego dzieliła go już tylko pokorna, mnisza postać Fedora, który niby za winy ojców pokutujący pielgrzym zamieszał się w barbarzyński, opiły krwią i zbrodnią korowód samodzierżców rosyjskich. Nie było w nim nic z potwornej wielkości i urągliwej buty jego ojca, Iwana. Zeszedł ze świata równie cicho jak żył. Umarł nagle, a niechętni bojarowie szemrali, że Borys zgon jego przyśpieszył trucizną. Jednak nie śmieli się sprzeciwiać, gdy lud obwołał swego ulubieńca Wielkim Kniaziem. Ich wybraniec, Fedor Nikitowicz, nie odważył się przyjąć *posochu* i korony, które podobno oddały mu drętwiejące ręce konającego Rurykowicza.

Potomek Murzów tatarskich został Hospodarem, Wielkim Kniaziem i Obładatielem wszystkiej Rosji. Starodawnym obyczajem koronował go Patrjarcha moskiewski w otoczeniu metropolitów, władyków oraz niższego duchowieństwa. Uroczystość odbyła się z niesłychanym przepychem. Radość w Moskwie nie miała granic, gdyż z orszaku hosudarskiego rzucano w tłum garściami złoto, a w różnych miejscach Kremla stały ogromne kadzie, pełne gorzałki, miodu i piwa, z których wolno było pić do woli. Piła też gawiedź na umór.

Borys stanął wysoko nad swym ludem, niby święty patron Moskwy, który okolony poświatą złotych mozaik bizantyńskich, spogląda nieczułym wzrokiem ze sklepień cerkiewnych. Nad nim nie było już nikogo. Wprawdzie Patrjarcha, popi oraz jego siostra, Irena, która po śmierci swego carskiego małżonka oblokła szaty zakonne, powiadali, że był jeszcze Bóg. Może i był. Ale napewno nie był to Bóg miłości, sprawiedliwości i dobroci, bo ten oddawna już by go pokarał. Takiego Boga w Moskwie nie znano. Czczono go podobno w innych krajach... Wszelako Borys temu nie wierzył. Był

tylko jeden Bóg, *jego* Bóg, krwiożerczy, mściwy, obłudny i przebiegły jak jego serce. Bogiem było jego serce, pełne jakiejś dziwnej siły, co wszystko przemogła. Wyobraźni jego, nieokiełznanej, zabobonnej wyobraźni dzikiego i spodlonego człowieka, wydawało się, że moc jego świeci nad krajem niby groźne, płomieniste słońce.

Pycha jego wzmogła się niepomiernie, gdy z obcych krain jęły przybywać poselstwa z życzeniami, zapewnieniami przyjaźni i drogocennymi darami. Chytry jego umysł w lot odgadywał, co kryło się w słowach tych cudzoziemców i co chciano wyłudzić od niego wzamian za te dary. Najpierw uderzył przed nim czołem poseł tatarski. Później zawitali kolejno Duńczycy, Szwedzi, Anglicy, kupcy Hanzeatyccy i wysłannicy Cesarza Niemieckiego. Pokłonił się mu przez swego posła Sofi perski i nawpół dzicy książęta gruzińscy. Wszelako żadne z tych poselstw nie utkwiło mu w pamięci tak głęboko jak poselstwo polskie.

Śród chrzęstu rozmigotanych zbrój, śród łopotania barwnych chorągwi i proporców, śród prychania i tętentu rumaków, podzwaniających złotymi łańcuchami, śród rozhuku bębnów, grania trąb i pogwizdu piszczałek odprawiał swój wjazd do Moskwy Lew Sapieha, Kanclerz Litewski. Orszak jego, złożony z 900 osób, miał na swe usługi dwa tysiące doborowych koni oraz mnóstwo karet, pojazdów i wozów skarbnych. Widok był piękny, pełen rycerskiej chwały. Hospodarowi, który posępnie przyglądał się mu z murów Kremla, zdawało się, jakgdyby jakiś zwycięzca wjeżdżał w tryumfie do zdobytego miasta. Nienawidził Polaków za ich butne poczucie swej wyższości. Byli wrogami odwiecznymi i strasznymi. Lękał się ich nieuskromionego męstwa. Po wszystkich ziemiach rosyjskich wciąż jeszcze opłakiwano poległych, wspominano klęski, co spadły z ciężkiej ręki Stefana Batorego. A przytem Polacy, jakby na urągowisko jego światowładnej pysze, mienili się ludźmi wolnymi. Drażniła go do-

stojna stanowczość i zaledwo skrywane lekceważenie, z jakiem podczas rokowań o przedłużenie traktatu pokojowego przemawiał Kanclerz Litewski do jego tępych, gnuśnych, wiecznie pijanych Bojarów Dumnych i do niego samego, Hospodara i Wielkiego Kniazia Wszech Rosji. Czuł niejasno, że ten Polak patrzy na niego, jakby patrzał na Chana Tatarskiego lub innego barbarzyńcę. Wzbierała w nim wściekłość, lecz na posła porwać się nie ważył. Nie śmiał zadzierać z Polską, w pojęciu jego równie pogańską jak wszystkie cudzoziemskie ludy. Lękał się nowej wojny. Wiedział, iż bojarowie z Ziemi Siewierskiej i *Wołosti* Kamaryńskiej bratają się z Litwą i spiskują przeciw niemu. Nie ufał Tatarom, nie był pewny rozbójniczych Kozaków Nadwołżańskich i Dońskich. Targował się bez końca, starał się uzyskiwać ustępstwa prośbą i groźbą, przewlekał układy, ale ich nie zrywał. Kiedy zaś ostatecznie je umówiono i podpisano, zaprosił Polaków na wspaniałą ucztę.

Nie zapomniał jej do grobowej deski. Pamiętał, jak tłum obcych ludzi w złotogłowiach, aksamitach i jedwabiach zapełnił wielką, niską salę, której jaskrawo malowane i złocone sklepienie wspierało się na jednym ogromnym, przysadzistym słupie. Wszyscy mieli u boku szable. Słyszał, jak szemrali na to pocichu jego dworacy i bojarowie, którym broni podczas pokoju nosić nie było wolno, ale którzy miewali ukryte w zanadrzach lub rękawach długie noże, często zatrute. Siedział na *prestole* i patrzył chmurnie na pogodne, uśmiechnięte oblicza cudzoziemskich gości, gdy nagle z pod polskiego kołpaka mignęła w ciżbie twarz brzydka, lecz wyrazista, i uderzyły w niego zuchwale małe, zaklęsłe oczy. Zdawało się mu, jakgdyby śniła mu się już kiedyś ta twarz, której babska młodzieńczość pozostawała w dziwnej sprzeczności z mściwą zaciętością i surową groźbą wpatrzonych w niego oczu. Polacy już dawno odjechali, a one nękały go jak oczy upiora. Nie mógł się otrząsnąć z złowrogiego ich spojrzenia.

Zachwiało ono dzikiem jego męstwem, rozbudziło w nim lęk zabobonny. Gasło słońce jego mocy, gasło. Tchórzliwa jakaś żałość wślizgnęła się mu do duszy. Uczuł, że ma sumienie, co zgnębiło go niezmiernem poczuciem winy. Po nocach straszyły go widma. Słyszał charczenie duszonych, rzężenie zarzynanych, wrzaski i skowyty topionych pod lodem. Gdy zasnął, kładły się mu na odsłonięte piersi czyjeś lodowate ręce i bluzgała mu na twarz ohydną falą ciepła jeszcze krew. Tedy zrywał się z krzykiem, aby bić czołem przed świętym Nikołą i Boharodycą, którzy spoglądali na niego obojętnie ze świętych obrazów. Urzekły go oczy przeklętego Polaka, urzekły. Utkwiły w jego sercu jak grot zatrutej strzały.

Od tej trucizny czarne jego serce zgniło, zropiało, zamieniło się w wielki wrzód, co rozpękł się i ogromną jak Wołga strugą wstrętnej, lepkiej, jadowitej ciemności zatopił niezmierzone jego dzierżawy, czyniąc je grząskiem trzęsawiskiem, na którem począł się chwiać jego *prestoł* carski. Ciemność jego serca zakaziła niebo, ziemię i powietrze, zepsuła dusze i sumienia ludzkie, które z dnia na dzień podlały. Coraz gorszymi, występniejszymi i nikczemniejszymi stawali się ludzie, a razem z nimi inne twory.

Napróżno w cerkwiach rozlegały się błagalne modły i psalmodje. Napróżno żałosnym pojękiem łomotały w niebo niepoliczone dzwony. Głód, mór i nędza okropną, nieopisaną klęską zwaliły się na nieszczęsne plemiona rosyjskie.

Pastwiły się nad niemi jakieś mściwe, złowrogie moce. Straszliwe wichury wywalały bramy miejskie, obalały ostrokoły, mury i wieże, strącały z świątyń trójramienne krzyże. Znikły ryby z wód, zwierz dziki z boru i ptactwo z powietrza. Niezwykły, odrażający posmak miewały nawet najlepiej przyrządzone potrawy. Pies zagryzał psa, wilk wilka. Nieraz pozostawały z nich tylko łby i łapy. Na pograniczu kijowskiem i litewskiem rozmnożyły się wilki i wałęsały się ogromnemi stadami, napadając samotnych podróżnych i napełniając od-

ludne pustkowia przeraźliwem, złowieszczem wyciem. Poczwarni, zaszyci w skóry guślarze lapońscy, którzy czynili czary, wypruwając płód z łon niewieścich i zabijali konie, żeby z ich serc wyczytać tajemnice rzeczy przyszłych, przepowiadali przedwczesną śmierć wielu carów, zgubę i zniszczenie ziem, miast i siół, oraz niebywałe krwi ludzkiej przelanie. Słowa ich zdawała się potwierdzać niezwykle wielka i jasna kometa, co niby miecz płomienisty zawisła wyżej od wszystkich planet śród przestworów niebieskich i migotliwą swą jasnością zażegła w zaniepokojonych umysłach nowe ogniska zabobonnej grozy i trwożliwego oczekiwania.

Na placach miejskich i rozdrożach gorzały nieustannie stosy jałowca. Ale nic nie pomagało. W sinych dymach jawiły się rozgorączkowanym i przerażonym oczom jeszcze inne zwiastuny klęsk. Na niebiosach krwawiły się widziadlane łuny. Walczyły ze sobą napowietrzne wojska. Najciemniejsze noce rozwidniały się jaśniejszą od dnia białego poświatą. Niekiedy ukazywały się naraz po trzy słońca, to znów po trzy księżyce.

A jednak były te dziwy tylko jakby zapowiedzią najokropniejszego, wyrocznego zjawiska, co w ostatecznej rozpaczy pogrążyło duszę Cara Borysa i zasiało w niej zaródź samobójczej myśli.

Pewnej nadzwyczaj ciemnej nocy nieprzejrzane mroki rozjaśniły się nagle nad Kremlem tajemniczą światłością. Straże, co czuwały u podwoi carskich, ujrzały w jej otoku rydwan, zaprzężony sześcioma rumakami i powożony przez polskiego rycerza. Okrzyk jego rozległ się kilkakrotnie nad uśpioną Moskwą, był zaś tak potężny i straszliwy, że struchlali *strielcy* rozbiegli się w popłochu, pozostawiając kilku towarzyszy, którzy skonali z przerażenia. Hospodarowi, który wyjrzał z okna swej komnaty, wydało się, iż z pod kołpaka owego widziadlanego rycerza błysnęły ku niemu mściwie i groźnie już raz kiedyś widziane oczy.

Pojął, co go czekało. Pomsta i kaźń miały przyjść z Polski.

I odtąd bezsenne jego źrenice śledziły noc po nocy skrawy brzeszczot komety niby wskazówkę zegara i przysłuchiwał się w zadumie, jak posępnie wyły wilki pod zrębami i murami stolicy, co swą wielkością przewyższała podobno ówczesną Lizbonę, Paryż i Rzym.

II.

Przywołany przez pacholę nadworne, już od godziny czekał Pan Jan Gołuchowski w antykamerze królewskiej. Atoli król nie śpieszył się z wezwaniem swego dworzanina. Pacholęta służebne spoglądały z podziwem na smukłą, męską postać urodziwego rycerza, który przez kilkanaście lat napełniał kraje italskie, hiszpańskie i francuskie chwałą swojego imienia i dopiero od niedawna przebywał na Dworze Wawelskim, najchlubniej polecony Zygmuntowi III z Rzymu, przez samego Ojca Świętego. Pan Gołuchowski nie zwracał uwagi na uwielbienie młodzieniaszków. Milczący siedział na ławie, co stała pod ścianą antykamery. Jego piękne, surowe oczy ani na chwilę nie traciły wyrazu tego wytężonego i tajemniczego skupienia nieustannie pracującej myśli, który niewiadomo dlaczego zachwycał nawet płoche i świegotliwe amoratki dworskie. Zachwycał i drażnił zarazem, bowiem pan Gołuchowski nie szukał towarzystwa płci białej i częściej obcował z księgami niż z podwikami. W jego wyniosłej kortezji było tyle oziębłości, iż wydawała się niemal zniewagą. Jakoż dąsały się na niego nawet białe, pulchne, ociężałe gąski niemieckie z fraucymeru nieboszczki królowej Anny, co pozostały na dworze i oczekując nowej pani, skracały sobie czas igraszkami miłosnemi a także grą w piłkę, którą nie gardził niekiedy nawet Król Jego Mość.

Za to tem więcej ceniono dumnego samotnika w kole rycerskim. Znano jego chłodne męstwo, jego prawość, jego

wielkie zdolności wojskowe. Łaskawie spoglądał na niego sędziwy kanclerz, Jan Zamoyski, i serdecznie witał go hetman polny, Stanisław Żółkiewski, który nie często bywał na Dworze Wawelskim. Zaś Zygmunt III cenił go, bo cenili go inni, i poruczał mu często zlecenia, wymagające szczególniejszej roztropności, delikatności i znajomości natury ludzkiej.

Oczekiwanie przewlekało się nieznośnie. Przez zamknięte drzwi komnaty królewskiej dolatywał chwilami słaby, przytłumiony szmer rozmowy, bowiem król miał u siebie na posłuchaniu jakiegoś niemieckiego Ojca Jezuitę, który przybył onegdaj z Pragi i przywiózł podobno listy z dworu rakuskiego. Zapewne mówiono o rzeczach bardzo ważnych. Lub może król zwierzał się przed Ojcem Jezuitą. Może... Zygmunt III lubił gawędzić z Jezuitami, zwłaszcza gdy mówili po niemiecku.

Pan Gołuchowski pomyślał o tem z niechęcią. Przebywał długo na obczyźnie, szukając wiedzy, miłości, przygód rycerskich i sławy, ale nie odmienił swej polskiej duszy, ani nie postradał ukochania rodzinnej ziemi i ojczystego obyczaju. Raził go ten król, stroniący od Polaków, a otaczający się Niemcami. Wszelako skrytość jego była tak zupełna i głęboka, że nikt nie przenikał jego myśli.

Podniósł się z rzeźbionej ozdobnie ławy i podszedł do okna, znużony rozgwarem głosów, co czcze i mętne obijały się skądś o jego uszy. Jedna kwatera okna stała otworem. Dzień był pogodny. Ciepłe powietrze, nasycone mocnemi, rzeźwemi woniami, napływało do antykamery. Za blankami zamkowemi z czerwonej, pociemniałej cegły i szarego kamienia widniały wieże, dachy i mury obronne Krakowa, a za niemi roztaczały się otworzyste pola, śród których migotała srebrzysta smuga Wisły, niby krzywy brzeszczot szabli, porzuconej na zielonym kobiercu. W zamglonej nieco dali majaczyły niewyraźnie sine góry.

Zapatrzył się w przestrzeń i sam nie wiedział, kiedy od-

biegł myślami gdzieś daleko, we własną przeszłość, kłębiącą się bezładnie barwnymi strzępami wspomnień, które jego nienasycona dusza gromadziła chciwie przez długie lata po całej Europie. Wydało się mu, że znów oddycha suchem, dusznem powietrzem sal uniwersytetu padewskiego, zatłoczonych butną czeredą studencką. Padwa... Padwa, tak bliska lagun weneckich, po których wieczorami ślizgają się czarne gondole, a kędyś w mrokach świegocą gitary. Potem owionął go ostry, wilgotny ziąb, co nieraz przenikał jego utrudzone ciało na czatach krwawych pobojowisk flanderskich, uczuł w ustach gorzkawy posmak piwa, podawanego przez tłuste, sprośne gamratki w gospodach niemieckich, przypomniały się mu zwady i pojedynki w wąskich ulicach Paryża, nocne bankiety na najwyższych piętrach warownych wież florenckich, świetne uczty we wspaniałych pałacach patrycjuszów rzymskich, długie tygodnie i miesiące twardej, uciążliwej służby na galerach weneckich i hiszpańskich, szumne kawalkady rycerskie, barwne, krzykliwe, niechlujne ciżby greckich i afrykańskich miast portowych, ponurą czerwienią rozmigotany wąwóz Tagu pod Toledem — i piękne białegłowy. Musnęła jego duszę jakaś bolesna błogość niby rozwiane, krucze, szczodre włosy umiłowanej ongi nadewszystko, a utraconej bezpowrotnie kochanki...

Wtem za plecami jego brzęknął srebrzyście dzwonek i zaraz potem rozległ się nieco piskliwy głosik pacholęcia, wywołującego jego nazwisko. Drgnął zlekka, lecz powściągnął się odrazu, jak człowiek, nawykły do panowania nad sobą. Król Jego Mość go wzywał. Nareszcie! Odwrócił się i ujrzał, że drzwi komnaty stoją otworem, a przez nie wymyka się śród nieustannych, niskich pokłonów szczupła, sucha, obleczona długą, czarną sutanną postać Ojca Jezuity. Minął w przejściu Pana Gołuchowskiego i błysnął ukradkiem białkami oczu, wciąż jeszcze nie opuszczając ramion, skrzyżowanych na piersiach. Nie czekając już ponownego wezwania, dworzanin

wszedł śpiesznie do komnaty. Pacholę zamknęło za nim drzwi. Pan Gołuchowski postąpił naprzód parę kroków, pokłonił się głęboko i zatrzymał w postawie, pełnej kortezji, czekając rozkazania królewskiego.

Komnata była niezbyt obszerna, lecz nader wysoka. Przytłaczał ją jednakże i jakby obniżał wspaniale rzeźbiony i złocony strop z pociemniałej już mocno dębiny. W czterech rogach wspierał się on na potężnych barach pochylonych, brodatych satyrów, których włochate, kozie nogi więzły na wysokości jednej trzeciej komnaty w suto pozłoconem listowiu bujnego winogradu. Ściany były pokryte oponami niezmiernie kosztownych, jedwabnych szpalerów, z których bladawo złocistego tła wyzierały postacie i sceny mitologiczne. Był tam Jowisz na Olimpie w otoczeniu bogiń i bogów i boska łowczyni Djana, z sierpem księżycowym we włosach, i Aurora na rydwanie i Neptun ze swym trójzębem. Jeden kąt komnaty zajmował ogromny, z białego marmuru zbudowany komin, którego czeluści strzegły po obu stronach bronzowe, skrzydlate gryfy. Na szerokim, kolistym gzemsie komina między dwoma ciężkimi, trójramiennymi świecznikami z pozłacanego bronzu stał również bronzowy zegar, przedstawiający zgarbionego Atlasa, dźwigającego kulę ziemską. Głucho i miarowo tykotało jego wahadło. Biało emaljowana, lśniąca tarcza zegara z ciemnym kręgiem pośrodku migała swem szkliwem w pomroku niby niemrużące się oko Cyklopa.

Przez dwa weneckie okna, w grubym murze głęboko osadzone, napływała jasność dzienna i pełzającemi, przytłumionemi plamami kładła się na wzorzystą pozłotę kobierców adziamskich, co przysłaniały niemal w zupełności pawiment, ułożony biegłą ręką stolarzy kieleckich z naprzemian białych i czarnych kwadratów jakiegoś twardego, połyskliwego drzewa. Naprzeciw okien wisiały na ścianie dwa wielkie konterfekty w bogato rzeźbionych i złoconych ramach, ozdobionych koronami i herbowym Snopem Wazów. Przedstawiały one

rodzicieli królewskich, Jana III-go i Katarzynę Jagiellonkę. Oboje mieli na sobie szwedzkie stroje koronacyjne. Z wyniosłą obojętnością zdawali się spoglądać w przetkaną radosnymi promieniami, mroczną i barwną ciszę komnaty.

Podwoje w obramieniach z rzezanego w płaskorzeźby marmuru, uwieńczone rzeźbionem i malowanem nadprożem, oddzielały je od drugiej ściany, na której wisiał wielki krucyfiks z lśniącego hebanu i kości słoniowej. Do czarnego krzyża przybite było złotymi ćwiekami olśniewająco białe ciało Zbawiciela. Krew, co spływała dużemi kroplami z pod cierniowego wieńca i z otwartej w boku rany, mieniła się szklistą czerwienią rubinów.

Obco wyglądały w tej wawelskiej komnacie okazale rzeźbione, lecz ciężkie sprzęty, sprowadzone na rozkaz królewski z Szwecji. Pod wielkim pająkiem, co zwieszał się od stropu i lśnił cały od barwistych szkiełek muraneńskich, stał okrągły, hebanowy stół, wsparty na złoconych, lwich łapach. Wierzch jego pokrywała wzorzysta, jakby nieco spłowiała, makata turecka. Pośrodku stołu stała potężna, srebrna waza, wykonana mistrzowskim rylcem jakiegoś Włocha. Stół otaczały głębokie, poręczowe krzesła, wyściełane tłoczoną i wyzłacaną skórą.

Między oknami mieściła się starożytna, cedrowa skrzynia, pokryta malowanemi płaskorzeźbami i pięknie okuta polerowanem żelazem. Była otwarta. Uchylone jej wieko opierało się o ścianę. Z wnętrza jej wyzierały grzbiety książek, oprawnych w wytłaczany pergamin i złoconą skórę. Król zabawiał się księgami niekiedy, zwłaszcza gdy nie wiodły się mu arcytrudne poszukiwania kamienia filozoficznego lub gdy Imć Pan Kanclerz, Jan Zamoyski, podnosił wrzawę o ponowne dziewosłęby, o niesprawiedliwe rozdawnictwo dostojeństw i urzędów lub o potajemne knowania z Cesarzem Rakuskim.

Nie cierpiał tego uprzykrzonego, zgryźliwego starca, któremu zawdzięczał polską koronę. Płynąc przed laty do Gdań-

ska, wyobrażał sobie, iż jako dobrotliwy, lecz samowładny Jowisz zstąpi z Olimpu Alp Skandynawskich na niziny sarmackie. Wszelako nie zdążył jeszcze postawić stopy na ziemi polskiej, a już poczęto stawiać mu żądania, narzucać warunki. Zamknął się tedy w oziębłej małomówności obrażonego majestatu i odtąd życie jego miało stać się skrytą, bezsilną, ale nieustającą walką ograniczonej i małodusznej pychy z samowolną aż do zbrodniczości, lecz przelewającą się od nadmiaru bujnych sił naturą polską. Z biegiem lat, pod wpływem niepowodzeń w Szwecji, zniżył się do ustępstw, do tłumaczeń i usprawiedliwień, atoli nigdy nie zapomniał, iż Kanclerz po jego przyjeździe do Polski, miał się wyrazić do kogoś z jego orszaku: „Jakieżeście nieme djablę nam przywieźli!" Płynęła w nim po części krew Jagiellońska, ale zarówno z wyglądu jak ze skłonności, upodobań i nawyków był nieodrodnym Skandynawem.

Gdy Pan Gołuchowski wszedł, Zygmunt III, Król Polski, Wielki Książe Litewski, Pan Dziedziczny Szwedów, Gotów i Wandalów, był zajęty misterną, złotniczą robotą. Z pod jakiegoś narzędzia, co zgrzytało w jego białych palcach, sypał się złoty pył na lśniącą powierzchnię stolika, pod oknem ustawionego. Bowiem Król Jego Mość w chwilach, wolnych od sprawowania rządów, od nabożeństw, uroczystości oraz godziwych igraszek małżeńskiego łoża, których już od lat niespełna pięciu pozbawił go zgon jego małżonki, Arcyksiężniczki Austrjackiej, lubił zabawiać się nie tylko alchemią i grą w piłkę, ale także malarstwem i złotnictwem. Bladoniebieskie, czcze jego oczy, pełne ospałej dumy Pomazańca Bożego, spoglądały tak obojętnie, jak dziś jeszcze patrzą z wysokości Kolumny na Placu Zamkowym.

Nieprędko odpowiedział na pokłon dworzanina lekkiem skinieniem głowy. Niedbałym ruchem odłożył cyzelowaną, złotą patynę, na znak szczególniejszej łaski podał mu do uca-

łowania swą wypieszczoną rękę, poczem odezwał się jak na władcę trzech królestw dziwnie bezradnym głosem:

— Dobrze, że Waść przyszedłeś. Trzeba coś zrobić. Trzeba pomyśleć. Pan Kanclerz woła o flotę, o zaopatrzenie żołnierza w Inflanciech. Wszyscy wyciągają rękę, a Pan Podskarbi mówi, że ledwo głowa mu się nie kazi, bo pieniędzy niema. I nikt nie płaci. Nikt! Taki Pan Sandomierski! Pięknie mówi i nisko się kłania. Prosił za nim jego cioteczny, Ksiądz Kardynał Maciejowski. Daliśmy mu Starostwo Lwowskie, wypuściliśmy mu Żupy Ruskie i Ekonomję Samborską. Najtłustszy połeć w Rzeczypospolitej! Stać go na wszystko. Ponoć nowe pałace ciągle w Samborze buduje. Bankiety, przyjęcia, zjazdy! Posyłał synów na naukę do Włoch i Paryża. Byłeś Waść na ślubnych godach jego córki, Orszuli z Księciem Konstantym Wiśniowieckim. Sam opowiadałeś, jakie fumy, nieledwie królewskie! A tenuty nie płaci. I chachuli, chachuli, jak powiadają Wielkopolanie. Wykręca się sianem. Raz nibyto zniszczyli go Tatarzy, to znowu kwarciani, potem jakaś powódź... Byle zbyć. Pan Podskarbi radził, żeby mu zasekwestrować Ekonomję Samborską — ale przyjaciel! Tu ze wszystkimi trzeba politycznie... Ojciec Skarga powiada, żeby nie drażnić. Lecz co począć? Pieniędzy potrzeba. Waść go znasz. On Waści lubi. Powiedz, jak to zrobić?

Nieprzystępny zawsze Jowisz zstąpił ze swego monarszego Olimpu. Rozwiązał się język Królowi Jego Mości. Był nadzwyczaj nieufny i podejrzliwy, ale wiedział, do kogo mówi. Na tym dworzaninie można było bezwzględnie polegać. Nie miał, jak inni, w duszy zastawionych paści. Niedarmo polecił go Ojciec Święty.

Pan Gołuchowski miał już istotnie sposobność zaznajomić się z Jerzym Mniszchem i wiedział, że ma niejakie u niego uważanie. Pan Wojewoda był nie tylko gościnny, ale i obrotny, zaś jako były dworzanin Zygmunta Augusta znał dobrze wartość zażyłych znajomości i dobrych przyjaciół na

dworze królewskim. To też niejednokrotnie zapraszał do Sambora i z ujmującą serdecznością podejmował u siebie młodego dworzanina, w którym odgadł odrazu człowieka niezwykłej miary, mającego wielką przyszłość przed sobą. Niedawniej niż przed kilku miesiącami, kiedy wydawał już drugą córkę zamąż, nie zapomniał o Panu Gołuchowskim i będąc w Krakowie, zabrał go ze sobą niemal przemocą na weselne gody.

Król Jego Mość przerwał. Zapatrzony w patynę, co złotym kręgiem lśniła przed nim na stoliku, muskał palcami swe piękne, płowe wąsy, podczesane ze szwedzka ku górze. Dopiero po dłuższej chwili przemówił znowu:

— Mówi Pan Podskarbi, że ma długów po uszy i kłopotów co niemiara. Szkoda go, bo to podobno niezły człowiek, chociaż szczwany jak lis. Był tu Bernardyn ze Sambora, zacny Ojciec Gąsiorek, który z łacińska przezwał się Anserinus. Sławił wielce jego szczodrobliwość i dobrotliwość dla Zakonu. *Aber er muss zahlen* — dodał, zapominając się, w ulubionym języku — musi zacząć wypłacać się bodaj potrosze, bodaj częściowo. Pojedziesz Waść do niego i pomówisz z nim, a jeśli okaże się potrzeba, zagrozisz sekwestrem. Ma na Sanie komięgi, naładowane solą. Ma przyjaciół, koligacje, nawet na Węgrzech. Ożeniony z Tarłówną. Jedną córkę wydał za Kasztelana Wojnickiego, drugą za Wiśniowieckiego. Niech mu zięciowie dopomogą, a zapłacić musi!

Poczem zniżył się do pytania:

— Widziałeś Waść młodą księżnę, tę Orszulę? Co? Ale podobno jej młodsza siostra to istne cudo. Jakże ma na imię? Aha, Maryna!

Król był mniejwięcej w tym samym wieku, co jego dworzanin, i pytanie to nie byłoby dziwnem, gdyby nie padło z ust, które zacinały się zazwyczaj pysznem milczeniem. Widocznie Miłościwy Pan wiedział, co dzieje się w Rzczplitej, i mimo przykładnych obyczajów nie był obojętny na wdzięki swych poddanek.

Pan Gołuchowski zmieszał się nieco. W pamięci błysnęły mu oczy dziewczęce, duże, czarne, dumne, mglące się zadumą lub jarzące się uniesieniem i tak świetliste, że zdawały się ze swej głębi tryskać iskrami. O mocy tego wspomnienia nie wiedział nikt i on sam był niepomału zdziwiony, gdy odżyło w nim jakąś tęskną niecierpliwością.

Odpowiedział ze skrywanym przymusem:

— Tak jest, Miłościwy Panie. Wołają na nią Maryna. Cudnać ona, lecz jeszcze bardzo młodziutka. Istne dziecko.

Na to Król, jakby trochę ze siebie niezadowolony, że dopuścił dworzanina do takiej poufałości, rzekł oschlejszym głosem:

— No, już dobrze, dobrze! Udasz się Waść do Sambora i wypełnisz nasze rozkazania. Pomów przedtem z Panem Podskarbim. Pojedziesz juścić konno, ale niech ci dadzą karetę, bo chcemy, aby Pan Wojewoda wiedział, że przyjeżdżasz z urzędu, i żebyś nie powstydził królewskiego dostojeństwa. A teraz odejdź! I nie wracaj bez pieniędzy! Ma tu być za chwilę Ksiądz Nuncjusz Rangoni.

Pan Gołuchowski oddał powinną cześć królewskiemu majestatowi i wyszedł. Zygmunt III wziął ze stolika patynę. Obracając ją z upodobaniem w palcach, jął odprawiać pacierze kapłańskie, jakby był księdzem. Poczem pogrążył się w myślach o hożej i dorodnej siostrze swej nieboszczki żony, Arcyksiężniczce Rakuskiej, Konstancji. Wprawdzie już oddawna raili mu panowie senatorowie Hospodarównę moskiewską, która miała być dzika, smętna i ognista, jak letnia noc stepowa. Raili mu ci starcy, pomni tylko publicznego dobra. Atoli jego skandynawskim nawykom odpowiadały tylko Niemki, pogodne, uległe, tęgie i krwiste. Był bogobojny i nie miał skłonności do zdrożnych miłostek. Myśląc, wzdychał często, gdyż tęskniło mu się już bardzo do statecznych lubości małżeńskiego łoża.

III.

Światłem księżycowem ścieliła się Panu Gołuchowskiemu droga, gdy po dłuższym popasie wyjeżdżał w kilka dni później z Przemyśla do Sambora.

Wyjechał późnym wieczorem, ponieważ mimo pierwszej połowy czerwca już od samego Krakowa dni bywały nadzwyczaj upalne, nie chciał tedy utrudzać niepotrzebnie swej czeladzi i swych koni. Beskidników, przed którymi ostrzegano go w mieście, nie obawiał się, gdyż jako człowiek rycerski zdążył nawyknąć do napadów i rozbojów, które w całym ówczesnym świecie, zaś przedewszystkiem w Ziemi Sanockiej, były rzeczą nader zwyczajną. Miał śród swej czeladzi kilku hajduków królewskich, żołnierzy wiernych, twardych i doświadczonych, którzy pamiętali wyprawy moskiewskie Króla Stefana. Zresztą mniemał, iż o bezpieczeństwie posła królewskiego pomyśli Pan Sandomierski, do którego zawczasu wysłał gońca.

Noc była ciepła i jasna. Gdy księżyc skrył się, wyiskrzyło się niebo od drogi mlecznej i gwiazd spadających. W cichem powietrzu, pełnem dziwnie słodkich i zarazem cierpkich woni, śmigały bez szelestu nietoperze. W chaszczach, białych od uroszonego kwiecia, kwiliły słowiki. Z borów, co naprzemian zbliżały się i odsuwały od drogi, odzywało się donośnie ptactwo nocne i rozlegały się głuche, przytłumione pomruki dzikiego zwierza.

Zwyczajem rycerskim jechał Pan Gołuchowski konno, wyprzedzając znacznie swą czeladź, która z zapalonymi dla ostrożności lontami otaczała okazałą, poszóstną kolebkę królewską oraz dwa czy trzy wozy skarbne, wiozące zapasy i przybory podróżne.

Pan Gołuchowski chciał być sam. Lubił samotność. Była potrzebą jego myśli, nieustannie pracującej. Wprawdzie już zdawna posiadł umiejętność osamotniania się nawet śród wrzawy bitew i hałaśliwej jaskrawizny życia dworskiego, ale było to połączone z przykrym przymusem, którego nie doznawał, gdy nie czuł nikogo w swem pobliżu.

Miało się już ku północy. Dworzanin poddał się wszystek błogości nieco sennej, lecz pełnej żywej zadumy, co niby światłość gwiezdna zdawała się spływać w głąb jego duszy. Lecz jak bywa u ludzi, nawykłych do częstych niebezpieczeństw, zawsze baczna czujność nie usypiała u niego pod rozmarzeniem zmysłów.

Nagle, jakby draśnięty czyjemś mocnem i drapieżnem spojrzeniem, podniósł oczy i spojrzał w głąb boru, co za przejrzystą zasłoną przydrożnych zarośli tworzył czarne, nieprzeniknione zakole dokoła niewielkiej polany leśnej, mżącej od sinej poświaty. Koń, co stąpał pod nim wolno, przystanął. Duszą jeźdźca targnęło przejmujące poczucie nadlegającego niebezpieczeństwa. Bezwiednym ruchem uwolnił jedną stopę z strzemienia.

Niemal tejże samej chwili świsnęły strzały. Jedna z nich utkwiła głęboko w szyi jego konia, który wspiął się i wykręcił chwiejnym, kurczowym ruchem. Wszelako Pan Gołuchowski już zdążył zeskoczyć z siodła i puścić z rąk wodze. Koń zakołował raz jeszcze i powalił się ciężko na gościniec. Za jego ciałem, miotającem się w bezsilnych podrzutach, Pan Gołuchowski przylegl szybko do ziemi. Strzał się nie lękał, gdyż pod swą podróżną, tatarską czujką miał karacanę, dzierzganą z najprzednieszej, toledańskiej stali. Atoli, zbły-

snęło się mu w mózgu, że napastnicy nie poprzestaną na strzałach.

Jakoż wraz potem huknęły samopały. Ukryty za zewłokiem nieżywego już konia, dojrzał Pan Gołuchowski ostre ich błyski w mroku polanki. Zamgliła się ona dymem, zaroiła od ciemnych postaci, co najeżone długiemi włóczniami, poczęły biec ku niemu. Zanim zdążył zerwać się z ziemi i dobyć szabli z pochwy, załomotał mu w uszach od strony taboru, co pozostał w tyle, tętent koni, wypuszczonych cwałem. To jego hajducy usłyszeli wystrzały i gnali co tchu na pomoc. Pan Gołuchowski obejrzał się i zobaczył w oćmie nocnej ich ogromne postacie, pochylone na karki końskie.

Nim jednak dobiegli, beskidnicy zdążyli już wtargnąć na drogę i czarnym, ruchomym wałem swych ciał odgrodzić dworzanina od jego czeladzi. Niektórym migały w rękach zatlone lonty. Widocznie zdołali już nabić ponownie swe długie rusznice. Inni naciągali łuki.

Kilku z nich oddzieliło się od gromady i rzuciło się ku Panu Gołuchowskiemu, który mierzył z krucicy, wydobytej wreszcie z olstr siodła. Przypuścił ich na bliską odległość i dał ognia. Jakiś rosły drab w długim po kolana żupanie i osobliwej, zwężającej się stożkowato czapie, runął jak miech ze zbożem na ziemię. Pan Gołuchowski rzucił dymiącą się krucicę, już nieużyteczną, i z dobytą szablą, natarł na przeciwników. Coś mu mówiło, że tylko szybkiem, zaczepnem działaniem zdoła się ocalić. Miał duże doświadczenie i wiedział, że takie zawalidrogi nawet w wielkiej kupie bywają zazwyczaj tchórzliwi. Postanowił przebić się ku swoim.

Tymczasem z odgradzającego go wału lunęły znowu rusznice i świsnęły strzały. Pan Gołuchowski miał uwagę skupioną na najbliższych swych wrogach, którzy okazali się dzielniejszymi, aniżeli o nich mniemał, lecz mimo to dojrzał lub zdawało się mu, że dojrzał, iż jeden czy dwu jeźdźców obsunęło się z koni, zanim zdążyli werznąć się w zbójecką

tłuszczę. Pozostali wbili się w nią z rozmachem, lecz uwięźli śród dziesiątków napastliwych, przewalających się ciał.

Utarczka zaczynała przybierać obrót niebezpieczny. Pan Gołuchowski zawołał groźnie:

— Coście są za ludzie? Z rozkazania królewskiego jadę. Na kolana, chamy!

Tłum zarżał dzikim, urągliwym śmiechem. Byli pijani. Dziwnie po kobiecemu brzmiący, rozgorączkowany głos wrzasnął tuż przed nim:

— Wiemyć, o, haj, wiemy! Waszego króla się nie boimy. My z Węgier. Oddaj, psi synu, pieniądze, które wieziesz dla Pana Sandomierskiego, a puścimy wolno ciebie i twoich ludzi.

Pan Gołuchowski chciał właśnie odpowiedzieć, że jedzie po pieniądze, ale ich nie wiezie, gdy od strony wręcz przeciwnej rozległ się znowu jeszcze daleki, lecz już zupełnie wyraźny tętent licznych kopyt końskich. Coby to było? Czyżby nadciągała jakaś nieoczekiwana pomoc? Beskidnicy koni nie mieli.

Odcinając się nieustannie, rzucił okiem ku swoim ludziom. Ujrzał, że słabli i topnieli w walce z przemagającą siłą. Lecz tętent już się zbliżał. Tłuszcza drgnęła i zakołysała się jakby niepewnością czy trwogą. Ów białogłowski głos krzyknął znowu:

— Kończyć ich, kończyć! Nie bójcie się, chłopy, niczego!

Pan Gołuchowski rzucił się w kierunku tego głosu i związał swój miecz z mieczem przeciwnika, który zdawał się być hersztem beskidników. Nie chciał puścić go żywcem. Nawoływanie jego nie pomagało. Skłębiony wał ludzki jął chwiać się, przerzedzać i rozsypywać. Zrazu pojedynczo, a potem gromadami poczęli wypadać beskidnicy i niknąć chyłkiem w ciemni boru. Tętent się zbliżał, grzmiąc coraz donośniej.

Pan Gołuchowski naparł z rozmachem. Iskry sypały się

z szabel. Uczuł, że przemaga. Użył podstępnego, straszliwego sztychu, którego nauczył się w Hiszpanji. Przeciwnik jego krzyknął przeraźliwie, opuścił szablę, zachwiał się i obsunął się bezwładnie na ziemię. Od łoskotu walących ławą koni zadrżała stwardniała, wyschła ziemia. Na zakręcie gościńca, z poza czarnej gęstwy drzew, błysnęły trzepoczące się pochodnie. Beskidnicy uchodzili w nieładzie. Dwu czy trzech hajduków Pana Gołuchowskiego ścigało ich, siekąc zaciekle.

Dworzanin królewski, ścierając się z jakimś olbrzymim drabem, który ostatni osłaniał swego powalonego towarzysza, rzężącego już w męce śmiertelnej, zawołał zdyszanym głosem:

— Bywajcie! Bywajcie! Kto tam? My królewscy, napadnięci przez zbójów.

Jeźdźcy już ich otoczyli. W kopcącem się, czerwonawem świetle pochodni mignął potężny obuch i spadł na czaszkę jego przeciwnika. Jakiś surowy, męski głos mu odpowiedział:

— Tu porucznik kozaków Pana Wojewody Sandomierskiego. Jak godność?

— Jan Gołuchowski, dworzanin. Z rozkazania królewskiego jadę właśnie do Pana Wojewody.

— A ja Mikołaj Maik, do usług! Pan Wojewoda wysłał mnie naprzeciw, bo uprzedzony był już przez gońca o przyjeździe Waszej Wielmożności. Ale goniec po drodze się upił i przyjechał dopiero wieczorem. Na szczęście, nie zapóźno. Wiedzieliśmy o beskidnikach i obawialiśmy się napadu.

— Który nastąpił — dorzucił Pan Gołuchowski.

Z ziemi odezwał się słaby jęk. Czyjeś stygnące usta zaszemrały zcicha:

— Księdza!

Żołnierze pozsiadali z koni. Jeden z nich poświecił pochodnią. Obok ogromnego zewłoka o śniadej, wąsatej twarzy i zmiażdżonej obuchem czaszce leżało smukłe, kształtne ciało,

rozpłatane straszliwem cięciem Pana Gołuchowskiego. Z pod rozchełznanej odzieży wysunęła się w męce konania drobna, biała, krągła pierś kobieca. Piękna, smagła twarzyczka o pełnych, lecz już więdnących i posiniałych wargach oraz niezwykle długich, opuszczonych na oczy rzęsach nikła w rozwichrzonej gęstwinie bursztynowych włosów, zbroczonych krwią i unurzanych w kurzu.

Pan Gołuchowski patrzał w osłupieniu.

— To Pani Knihinicka, która rozbijała po drogach, — odezwał się Pan Maik, pochylając się z konia. — A ten drugi to jej kochanek, szlachcic węgierski.

Poczem pochyliwszy się jeszcze niżej, popatrzał z uwagą oczyma, błyskającemi łagodnie z pod krzaczastych brwi, zdjął zwolna czapkę, przeżegnał się pobożnie i dodał:

— Zapóźno zachciało się jej księdza. Zdaje się, że już nie żyje. Hej, chłopcy, zanieść ją na powózkę! Pochowa się ją uczciwie. Boże, bądź miłościw jej zbójnickiej duszy!

IV.

Z ogromną pieczołowitością i wielkimi honorami odstawił Pan Porucznik Pana Gołuchowskiego pod ochroną swych kozaków do Sambora. Mimo nalegania nie chciał zająć miejsca w kolebce, do której musiał wsiąść Pan Gołuchowski po stracie swego konia. Jechał niedaleko i nie wziął drugiego na zmianę.

Pan Wojewoda pokrył w sobie niezadowolenie, jakiem napełnił go przyjazd niepożądanego gościa, i uderzył w ton serdeczny. Korzył się przed słusznem żądaniem Jego Królewskiej Mości, usprawiedliwiał się, że wciąż niema pieniędzy, a żniwa znowu zapowiadają się nie najlepiej, lecz nie miał żalu do Pana Gołuchowskiego. Sam był dworzaninem i wie, że rozkaz jest rozkazem. Niech Imci Pan Dworzanin u niego wypocznie, a on pomyśli, co zrobić. W trzosie pustki. Trzeba będzie pojechać, poszukać. Może jaka życzliwa dusza pożyczy. W ostateczności trzeba będzie uciąć sobie połę i nie wszystko, bo to niemożliwe, lecz jakąś część zapłacić. Byleby Król Jego Mość się nie gniewał, że wciąż go obraża i nieustannie musi żebrać jego łaski.

Wszelako już po sutym i wystawnym obiedzie, podczas którego surowe oczy królewskiego dworzanina krzyżowały się niejednokrotnie z promienistem, skrycie rozradowanem spojrzeniem Panny Wojewodzianki, zapomniał o swych utyskiwaniach na ciężkie czasy i jął oprowadzać Pana Gołuchowskiego po zabudowaniach zamkowych, chełpiąc się ulepszeniami i upiększeniami, których z ogromnym nakła-

dem wciąż dokonywał. Wszystko to nie było jego własnością. To rezydencja królewska. Tych okien z szkła weneckiego, tych drzwi, fladrem sadzonych, tych malowanych pieców i mozaikowych posadzek z sobą nie zabierze. Pozostaną w posiadaniu królewskiem. Nie płaci tenuty, gdyż wszystkie dochody wsiąkają w Ekonomję. I niejedno trzeba dołożyć z własnej kieszeni. Niechże Król Jego Mość ma wyrozumienie! Najgorzej z chłopami. Nie dopuszcza się żadnych angaryj i agrawacyj, a wciąż zanoszą do Krakowa *gravamina*, w których, zapominając o swym chamskim stanie, ośmielają się tytułować obywatelami, poddanymi Króla Jego Mości. Co za czasy! Ale gdy miarka się przebierze, to nie pomogą im nic glejty ni mandaty królewskie. Każe, jak inni, chłostać buntowników postronkiem i polewać wodą. Dalibóg, każe, bo zanadto rozwydrzyło się chłopstwo!

Mówiąc to, błyskał chytrze swemi lutemi i stroskanemi zarazem oczyma, podkręcał sumiastego, siwego wąsa lub obracał w placach wielki medaljon, przedziwnie wykonany, co na złotym łańcuchu zwisał u jego szyi.

Pan Gołuchowski miewał już sposobność zapoznać się z temi sprawami i wiedział, co o nich myśleć. Pan Wojewoda nie płacił tenuty dzierżawnej; uciskał i nękał pańszczyznami poddanych; wybrańców i synów kmiecych, którym posprawiał barwy, używał do swej własnej posługi; ale za to rozbudowywał wspaniale zamek; wyprawiał świetne przyjęcia i bankiety; był wreszcie nad miarę szczodrobliwy dla OO. Bernardynów i niejako ufundował na nowo ich starożytny, podupadły klasztor w Samborze. Dziwny, zaiste, człowiek! Krzywdą ludzką torował sobie drogę do wiecznego zbawienia.

Pan Gołuchowski zwyczajem swoich czasów nie był nadmiernie czuły na krzywdę ludzką, a zwłaszcza na chłopską, jednak bezwiednie raziła go ona. Było w nim coś, co bez skrupułu pozwalało mu w boju czy w pojedynku zabić czło-

wieka, ale nie pozwalało mu go skrzywdzić. Z jakiejś wnętrznej konieczności był naturą czystą, zaś krzywda, przedewszystkiem krzywda dla pieniądza, bywa zawsze brudna.

Przyszło mu to na myśl, gdy chodził z Panem Jerzym Mniszchem po ganku okolistym, który bronił bramy wjazdowej w wysokim parkanie, otaczającym rozległy Przygródek zamkowy. Pan Wojewoda lubił mówić, zaś Pan Gołuchowski umiał lub udawał, że umie słuchać. Dopełniali się zatem wzajemnie.

Pan Sandomierski uskarżał się, że nieustannie niedomaga mu żona. — Mdli ją w dołku, no, i z niewieścińcem jakoś niedobrze — wyżalał się, zniżając głos. Zaś jemu samemu dokucza podagra, strzyka mu w kościach. Trzyma wprawdzie doktora Włocha, ale ten hultaj nic nie pomaga.

— Ha, starość nie radość — westchnął melancholijnie, lecz wnet zmienił przedmiot rozmowy. Zaczął rozpowiadać o swych przewagach rycerskich na wyprawach moskiewskich za króla Stefana. Chełpił się swemi zasługami około pojednania Cerkwi Ruskiej z Kościołem Rzymskim. Utrzymywał, że ma wielkie zachowanie u Ojca Świętego. No, a wiadomo, że Ksiądz Kardynał Maciejowski jest jego bratem ciotecznym.

Pan Gołuchowski wiedział o nim jeszcze więcej. Wiedział, że Pan Jerzy Mniszech przebywał za swoich młodych lat na dworze nieszczęsnego Zygmunta Augusta i zniesławił swój klejnot szlachecki najzwyklejszem rajfurstwem, stręcząc mu nierządną Giżankę. I nie tylko ją jedną. Usłużny dworzanin sprowadził do Knyszyna jeszcze wiele, wiele innych „sokolic“, jak król zwykł był nazywać swe nałożnice... Zaś cała Rzczplita wiedziała wraz z nim, że po śmierci ostatniego z Jagiellonów znikły z Zamku Knyszyńskiego klejnoty, zastawy stołowe i gotowe pieniądze. Co się z niemi stało, w jaki sposób przepadły, niewiadomo. To pewna, że głos publiczny pomawiał o sprzeniewierzenie tych skarbów obecnego Pana Sandomierskiego i jego brata, Mikołaja.

Przyschło to na nich jak na psie. Pan Gołuchowski nie dziwił się, że uszło to im bezkarnie. Nie pojmował tylko, dlaczego Pan Mniszech jest zawsze bez pieniędzy.

Rozmawiając, zatrzymali się i oparli o poręcz krużganku. Na krótkich, grubych, tłustych palcach Pana Wojewody zamigotały djamentami i rubinami wspaniałe, złote pierścienie. — Może zdjęte ze stygnących rąk Zygmunta Augusta? — pomyślał Pan Gołuchowski i odwrócił oczy od swego gospodarza, gdyż uczuł do niego wielką odrazę.

Pod ogromną banią z pobielanej blachy, ozdobioną pozłocistemi gałkami i blaszanemi chorągiewkami, czyli, jak wówczas mówiono, powietrznikami, wyglądał krużganek bardzo okazale. Powietrzników wszędzie było mnóstwo. Skrzypiały na drewnianych basztach, co przerywały swymi baniastymi hełmami jednostajność parkanu, kręciły się na spadzistych dachach, pokrytych czerwoną dachówką.

Przed nimi roztaczał się cały obszar zamkowy. Wysoki, umocniony basztami parkan nie był jedyną jego ogrodą. Już w znacznej odległości przed nim wił się płot między potężnymi kołami dębowymi. Na przestrzeni między tym płotem, co tylko gdzieniegdzie przezierał z pod bujnych opon dzikiego chmielu i kwitnących powojów, a poczerniałą od słońca, śniegów i deszczów ścianą parkanu wznosiło się sześć dużych domów, w których mieszkała służba oraz urzędnicy nadworni Pana Wojewody. Posępnie i ogromnie piętrzył się śród nich zrębisty taras z przegrodami, do których wtrącano więźniów.

Środek Przygródka był jakby sercem osiedla zamkowego. Otaczał go niezbyt wysoki mur, najeżony u szczytu czerwonemi sztachetami. Z białości otynkowanego muru wyszczerzały się potężnymi, żelaznymi guziołami wrótnie bramy, również obwiedzionej obronnym krużgankiem z wielką banią i mniejszemi banieczkami, na których połyskiwały złociste gałki i obracały się z wiatrem powietrzniki. Dopiero za tą

bramą, śród murów i bujnej zieleni rozkwieconych cudnie ogrodów kryła się właściwa rezydencja królewska, która dzięki obrotności Pana Wojewody stała się siedzibą jego samego oraz licznej jego rodziny. Był tam wielki dom dla Króla Jego Mości i mieszkanie Królowej Jej Mości i dom zwany „wysokim", który zawierał obszerną izbę stołową. Na rozłożystym, potężnym kopcu, dokoła którego pod zwisającymi konarami odwiecznych, wyniosłych drzew szkliła się szeroka pętla spokojnej wody, górowała nadewszystkiem ogromna, kolumnowa „sala", połączona z innymi budynkami mostem, wspartym na grubych, omszonych palach i ujętym w gęste okratowania ciosanych z drzewa poręczy.

Opodal kopca wyzierała z uroczej gęstwiny pokryta białą blachą, baniasta wieżyczka kościółka i bieliły się ściany innych domostw, w których prócz izb i komnat gościnnych znajdowały się spiżarnie, kuchnie, piekarnie i piwnice.

Zaiste, wielkie były dostatki Pana Sandomierskiego. Miał co pozostawić w spadku swym pięciu synom i pięciu córkom.

Pan Gołuchowski znał je wszystkie. Były dorodne jak łanie, jak królewskie łanie. Niedarmo miały w sobie po matce starożytną, szlachetną krew Tarłów. Mimo swych dziewięciu pawich piór w herbie i pono wielkich tradycyj w rodzie, ojciec ich wyglądał przy nich jak czeski kramarz wędrowny. I nie dziwota, bo dopiero niedawno rodzina jego przybyła z Czech do Polski.

Dwie najstarsze wyszły już za mąż, dwie najmłodsze nie odrosły jeszcze od ziemi i trzymały się fartuszka Pani Wojewodziny, wysokiej, szczupłej, chorowitej białejgłowy, która miała ostre, jakby z kości słoniowej wyrzezane rysy Matki Bolesciwej i nosiła napoły zakonne stroje. Piątą i jedyną, która go obchodziła, była dumna, kruczowłosa i czarnooka Panna Maryna.

Pani Matka niezbyt się nią zajmowała. Oddała ją całkowicie pod opiekę wielkiej, tęgiej i niewymownie dobrotliwej

Ochmistrzyni, Pani Kazanowskiej, która wyniańczyła poprostu Marynę i przywiązała się do niej jak do własnego dziecka.

Mimo swych młodocianych lat i cudnie dziecinnego liczka Panna Wojewodzianka wyglądała na bardzo skrytą i zapewne przed wszystkimi miała tajemnice prócz swej ochmistrzyni i swego spowiednika, uczonego i bogobojnego Ojca Gąsiorka, który lubił, gdy go nazywano Anserinem.

Pan Gołuchowski uśmiechnął się zlekka do siebie, gdyż przypomniało się mu, że Pan Stanisław, Starosta Sanocki, brat Wojewodzianki, podżartowując sobie z łysiny tego świątobliwego zakonnika, mawiał, że nosi on tonsurę na całej głowie.

Było parno. Panu Sandomierskiemu mimo cienia, co padał od blaszanego daszku krużganka, operliło się potem czoło pod włosami, w siwy czub uczesanymi. Spocił się i zadyszał od swej miodopłynnej wymowy. Poprosił dworzanina, żeby go sprowadził na dół, gdyż schody z krużganku są za kręte i za strome na jego stare nogi.

— Chciałem Waści pokazać osobiście, co zrobiłem z tego zamku — oświadczył. — Niech Król Jego Mość się dowie.

I niespodziewanie jął utyskiwać nad upadkiem cnoty obywatelskiej w Rzeczypospolitej.

— Co to będzie, gdy my, starzy, wymrzemy? No, są jeszcze ludzie! W Litwie Pan Lew Sapieha, Pan Hetman Krzysztof Radziwiłł, Pan Chodkiewicz. W Koronie Pan Zamoyski, Pan Żółkiewski, Ksiądz Maciejowski... I kto więcej? Chyba ja!

Pan Gołuchowski bardzo troskliwie sprowadzał po drewnianych, trzeszczących schodkach polskiego Cycerona i Katona w jednej osobie, myśląc o jego córce.

V.

Z trochę rubaszną, lecz zarazem jakby nieco niepewną poufałością dostojnego senatora, ojca rodziny i starszego człowieka powitał nazajutrz w izbie stołowej Pan Wojewoda swego młodego przyjaciela. Nie widzieli się zrana. Pan Wojewoda był uważnym gospodarzem i pozwolił wywczasować się swemu gościowi po trudach i przygodach podróży.

Na ścianach izby stołowej wisiało kilka obrazów olejnych, z których największy wyobrażał ogary, co opadły rozjuszonego odyńca. Od jednego rzutu oka poznał Pan Gołuchowski pędzel holendrowego malarza w szerokich pludrach. Bowiem w swych peregrynacjach po świecie dworzanin Króla Zygmunta III nabrał upodobania nietylko do ksiąg, ale i do muzyki, posągów i malowideł.

Wielki stół, rzeźbiony z taką przedziwną sztuką, że mógł zasiąść do niego nawet sam Król Jego Mość, był pokryty pięknym, cienkim, śnieżno-białym obrusem. Pośrodku niego stała duża, srebrna statua, przedstawiająca jakowąś *figuram poeticam.* Na skraju stołu, przed krzesłami z wysokiemi oparciami, lśniły srebrne talerze, ozdobione rytym na dnach herbem Mniszchów, a za nimi błyskały świetliście kryształowe szklanki, kieliszki i puhary. Przy każdym talerzu leżała łyżka, wetknięta w serwetkę niedużą, misternie złożoną. Noży i widelców nie było. Ówczesnym zwyczajem każdy gość przynosił je ze sobą. Przybory te Pana Gołuchowskiego, umieszczone w pięknie rzeźbionym futerale ze słoniowej ko-

ści, położył przy jego talerzu pokojowiec, który przyszedł razem z nim i stanął za jego krzesłem.

Niemal całą szerokość bocznej ściany zajmowała ogromna służba, czyli, jak powiada się dzisiaj, kredens, wykonany mistrzowską robotą przez stolarzy gdańskich i ozdobiony łokciowemi figurami biblijnemi. Liczne, otwarte przegrody służby piętrzyły się pułkami, co uginały się pod ciężarem farfur włoskich o cudnym połysku, porcelany chińskiej, barwistych kryształów muraneńskich, srebrnych, złotych i pozłocistych mis, puharów, roztruchanów, konwi, dzbanów, czar i nalewek. Obok służby stała wielka, srebrna baryła, która mogła pomieścić z pięćdziesiąt garncy wina. Okrakiem jak na koniu siedział na niej Bachus, trzymając w jednej ręce złote grono winne, a w drugiej pozłocistą czarę.

Wielmożność ta aż zrywała oczy. I znowu przyszły na myśl Panu Gołuchowskiemu skarby Zygmunta Augusta.

Czekano na panie, które białogłowskim narowem się opóźniały. Pan Wojewoda zapoznał tymczasem dworzanina z współbiesiadnikami. Było ich zaledwie dwu; ogromny jak dąb, stateczny i już leciwy Pan Zwłóczymowski, który zawiadował wszystkiemi majętnościami Pana Sandomierskiego i był podobno obok OO. Bernardynów jedynym jego szczerym przyjacielem, oraz ksiądz kanonik Pomaski, proboszcz samborski. Ksiądz Pomaski, podając rękę Panu Gołuchowskiemu, spojrzał na niego ciekawie swemi pogodnemi, siwemi oczyma. Bywał często na Dworze w Krakowie i słyszał o nim dużo, a ponieważ znał również świat i umiał gawędzić zajmująco, więc ucieszył się z tej nowej znajomości.

Niezwłocznie też zaczął z nim rozmowę o Henryku IV, królu francuskim, w którego służbie Pan Gołuchowski jakiś czas pozostawał.

Otwarły się wreszcie sadzone fladrem podwoje i ukazała się zamaszysta postać Pani Kazanowskiej czyli Pani Starej, bo tak ją tytułowano na Zamku Samborskim jako prawą

rękę Wojewodziny, w towarzystwie smukłej i wiotkiej Panny Wojewodzianki. Panna Maryna była ubrana skromnie po polsku. Jej szczodre, krucze włosy były gładko uczesane i splecione w dwa warkocze. Miała na sobie spódniczkę z przedniego sukienka holenderskiego, śnieżnobiałe giezłeczko, naszywane perłami, z złotą tkaneczką pod szyją i obcisły gorsecik. Przegub jej prawej ręki otaczała łańcuszkowa, złota manela, błyskająca spięciem z szafirów z pod długiego rękawa koszuli.

Panu Gołuchowskiemu przypomniało się, że szafir ma być podobno najskuteczniejszą ochroną niewieściej cnoty.

Obie pokłoniły się Panu Wojewodzie i przywitały się z gośćmi. Panna Maryna podała ojczeńkowi do ucałowania swe białe czółko. Pani Kazanowska przeprosiła za opóźnienie, lecz wcześniej przyjść nie mogły. Pani Wojewodzina znowu niezdrowa. Była to widocznie rzecz tak zwyczajna, iż nie zaniepokoiła zbytnio ani Pana Wojewody ani jego przyjaciół.

Żartobliwie poprosił Panią Kazanowską, żeby zajęła miejsce naprzeciw Pana Zwłóczymowskiego, kiedy zaś ten spojrzał na niego zdziwionym wzrokiem, rzekł z uśmiechem:

— Bo Waść gruby i Pani Stara gruba, bo Waść wdowiec i Pani Stara wdowa.

Przyjętym w tych czasach zwyczajem panie siadały po jednej stronie stołu, a panowie po drugiej. Panu Gołuchowskiemu dostało się miejsce naprzeciwko Panny Maryny. Umywając drobne, opalone rączki w srebrnej miednicy, z którą kolejno przystępowali do biesiadników dwaj słudzy rękodajni, uczuła na swej twarzy przelotne, lecz jakby pieściwe muśnięcie jego surowych, myślących oczu. Mimowolnie zapłoniła się zlekka. Z rozmysłem sięgała opieszale po tuwalnię, którą, trzymając za końce, podawali dwaj inni rękodajni, bo to pozwalało jej nie podnosić odrazu na niego oczu. Coś ją ostrzegało, że mogłyby powiedzieć za wiele.

Podawano potrawy. Jadła mało. Zaczęli rozmawiać zrazu z niejakim przymusem, potem coraz swobodniej. Jednakże przerwał im rychło Pan Wojewoda, który dotychczas zajadał w milczeniu. Jakby tknięty jakąś nagłą myślą, skinął na któregoś z rękodajnych i rzekł:

— Idź i powiedz, żeby założono konie do karety i przygotowano zaraz wszystko do drogi. Niech Pan Porucznik będzie gotów ze swoimi kozakami. Odprowadzi mnie. Pośpiesz się!

Poczem nachyliwszy się do Pana Zwłóczymowskiego, jął mu się zwierzać nibyto na ucho, lecz tak, że wszyscy słyszeli:

— Zapomniałem powiedzieć. Pojadę do syna — do Stefana. Wybierałem się oddawna. Nie widziałem go już od jego wesela. Z jaki rok. Ma teraz pieniądze. A raczej nie on, lecz jego żona. Ta Węgierka. Miała przed nim dwu mężów, a jest jeszcze niczego. Dalibóg, nieszpetna. Jakże ona z domu? Aha, Doczi de Naguluczy. Djabelnie trudne te węgierskie nazwiska!... Dam membranę, dam zastaw, a pożyczyć musi. Zatkam gębę tym tam w Krakowie.

Pan Wojewoda nie umiał mówić po cichu. Zresztą nie uważał za potrzebne krępować się pod własnym dachem, śród domowników i przyjaciół. Córka mogła także słyszeć. Wszyscy wiedzieli o jego kłopotach pieniężnych.

Obiad nie trwał już długo. Rozmawiano niewiele, głównie o żniwach i jakoby nieuniknionym napadzie Tatarów. Ksiądz Pomaski opowiadał o nowych cudach gdzieś, pod Neapolem. Pan Sandomierski na zakończenie kazał sobie jeszcze raz nalać piwa, w którem pływały grzanki, maczane w oliwie. Wstając od stołu, odezwał się do Pana Gołuchowskiego:

— Wybacz, Waszmość, że cię na kilka dni opuszczę. Rad, nierad muszę. Pojadę po pieniądze. Poczekaj na mnie, a odrazu je zabierzesz. Nie będziesz się nudził. Jedź z Panem

Zwłóczymowskim na łowy. On to lubi. Niedaleko stąd pojawiły się dziki i niedźwiedzie. Szkodę w owsach mi robią.

Powstali wszyscy za jego przykładem. Pani Kazanowska, żegnając się z dworzaninem, rzekła śpiesznie i cichszym niż zazwyczaj głosem:

— Pan Wojewoda wyjeżdża. Pani Wojewodzina niedomaga. Dzisiaj Waszmość Pan nie wybierzesz się już na łowy. Proszę zajść do nas nad wieczorem. Waszmość bywał wiele w obcych krajach, a ja jestem ciekawa i lubię posłuchać. Marynka także...

I nie czekając odpowiedzi, objaśniła, gdzie je zastanie. W Białym Domku koło kościoła. Pokojowa wskaże.

Pan Gołuchowski, skłonił się milczący i szczęśliwy. Nawiązywało się porozumienie. Zrobiło się mu jakoś radośnie, jakby w duszę jego padł promień italskiego słońca, które tak lubił.

Białegłowy odeszły. Podano wino. Zaczęły krążyć kielichy. Wszelako dobra myśl trwała niedługo. Pan Sandomierski się śpieszył. Wszyscy odprowadzili go do karety. Ksiądz Pomaski zabrał się z nim do Sambora. Pan Zwłóczymowski również nie mógł dotrzymywać towarzystwa dworzaninowi. Przeprosił i odszedł do zajęć gospodarskich, z czego Pan Gołuchowski bynajmniej nie był niezadowolony. Lubił towarzystwo, ale wolał samotność. Zwłaszcza w tej chwili.

Kazał podać sobie konia. Chciał rozejrzeć się po okolicy i wytchnąć po obiedzie. Koń szedł pod nim wolno długą aleją kwitnących lip, w których szemrały pszczoły, rozigrane jak jego myśli.

Wrócił dopiero na odwieczerz. Oddał konia stajennemu, poczem poszedł do swego pokoju, żeby się przebrać. Pan Gołuchowski nie wybredzał w stroju, ale dbał bardzo o swą powierzchowność.

Zżymał się nieco w duchu na siebie, idąc przez ogród ku Białemu Domkowi. A może to tylko ciekawostka Panny Wo-

jewodzianki? Może jest dla niej tylko jakiemś dziwowiskiem? Lecz co innego mówiły jej oczy!

Zapewne okna były otwarte, bo już zdaleka usłyszał jej głos, czysty, słodki i zarazem mocny. Śpiewała. Lubił śpiew. Zatrzymał się, żeby posłuchać. Śpiewała włoski madrygał, znany mu z Florencji:

La vïoletta
che in su l' erbetta
apre al matin novella,
di', non è cosa
tutta odorosa,
tutta leggiadra e bella?

Fiołków już nie było, ale śpiew jej miał coś z fiołkowego uroku i fiołkowej woni.

Si, certamente,
chè dolcemente
ella ne spira odori!
e n'empie il petto
di bel diletto
col bel de' suoi colori.

Gdy przestępował próg, madrygał przebrzmiewał w melancholji zakończenia:

Ahi, che in brev' ora,
come l' Aurora
lunge da noi sen vola:
ecco languire,
ecco perire
la misera vïola...

Pokojowa, którą zastał w sieni, otworzyła przed nim drzwi. W świetlicy panował barwny pomrok od ścian, zawieszonych w całości makatami i od głęboko w murze osadzonych okien, przez których małe szybki napływały czerwonawe już nieco blaski chylącego się słońca, padając na wzorzyste kobierce posadzki. Panna Wojewodzianka siedziała

na podwyższeniu w obszernej framudze okna, wysłanej również smugą dywońskiego kobierca. Zmieniła ubiór. Miała na sobie strojną, francuską suknię z białą, rurkowaną krezą pod szyją oraz inaczej uczesane włosy.

Panu Gołuchowskiemu wydało się, jakby się odmieniła z tą zmianą ubrania. Była wprost cudna. Przybladła nieco alabastrową, przejrzystą białością. Duże jej oczy jakby jeszcze się powiększyły i wypełniły całe złotą, rozmigotaną, tęskną czernią. Obok niej, na ławeczce, leżała lutnia, zaś na stopniu, po którym wchodziło się do framugi, siedział ulubiony jej murzynek w tureckim stroju. Mógł mieć zaledwie pięć lub sześć lat.

— To moje pacholę — rzekła z lekkim uśmiechem, odpowiadając wdzięcznem, lecz zarazem nieco wyniosłem skinieniem głowy na ukłon dworzanina. Tą niezręcznie udaną wyniosłością chciała pokryć swe zmieszanie i swą nieśmiałość. — Darował mi go na imieniny mąż mojej siostry, Książę Wiśniowiecki. Pani Kazanowska na chwilę wyszła. Zaraz wróci. Raczy Waszmość Pan zająć miejsce. Nie byłam dotychczas nigdzie poza Samborem. A tak pragnęłabym poznać świat! Opowiadali mi już nieraz moi panowie bracia o Krakowie, Paryżu, Rzymie, Wenecji... Ale oni opowiadać nie umieją. Mnie się zdaje, że trzeba patrzeć na świat innemi oczyma. Nie jest on cały w gospodarstwie, łowach i bankietach... Musi być w nim coś więcej — coś dziwnego... Sama nie wiem, co... I chciałabym się dowiedzieć... Nie jestem jak moje siostry... jak inne białegłowy...

Nie spodziewał się takich zwierzeń. Spojrzał na nią nieco zdziwiony.

— Świat jest istotnie nieco inny... Może głębszy, może nieco dziwniejszy — odrzekł z niejakiem wahaniem. — Jednak to zależy od oczu, które na niego patrzą. Nie wszystkie oczy widzą to samo. Trzeba samemu żyć, czuć, myśleć... Czasem także za innych...

I zawahał się znowu. Uprzytomnił sobie, że mówi do młodziutkiej dziewczyny.

— Ale tego trzeba także się uczyć — uczyć od ludzi ze wszystkich stron świata... Jak Waszmość Pan — przemówiła znowu. — Dlaczego Waszmość Pan się uczył?

— Bo takie było we mnie rozkazanie.

— Mnie się zdaje, że mam w sobie także to rozkazanie. Czytałam już różne opisania Rzymu pogańskiego i Rzymu chrześcijańskiego. Czy tam naprawdę tak cudnie? Pewno jeszcze cudniej, bo ludzie również opisywać nie umieją.

Zaczął jej opowiadać o chwale i wspaniałości Wiecznego Miasta. Mówił o marmurowych rozwalinach, co pamiętają czasy Cezarów Rzymskich, o Łukach Tryumfalnych, o kościołach, pałacach, willach, wodotryskach, o akweduktach, co wloką się przez pustynną Kampanję niby objuczone woły. Odżyły niedawne jego wspomnienia i uniósł się. Zapamiętał się w marzeniu. Tchnął w swe opowiadanie całą moc swego ducha, wszystko bogactwo swej myśli i wszystką ognistość swych uczuć. Nie opowiadał, lecz niejako ujmował w rzeźbiarskie, dotykalne kształty swe wrażenia słowem szczodrem, jędrnem i barwnem. Nie wiedział już, gdzie jest, zapomniał znów, do kogo mówi. Bezwiednie przelewał swą duszę w jej duszę, chociaż ani razu nie wspomniał o sobie.

Była jak pod jakiemś szczęśliwem zaklęciem. Nie spuszczała z niego swych oczu, złotych coraz promieniściej. Każde słowo jego opowiadania otwierało przed nią nowe światy. Zapałała w niej chętka nadzwyczajności i przygód. Murzynek, który się zdrzemnął, ocknął się i jął kwilić. Położyła zatem palec na ustach, nakazując mu milczenie, poczem pogłaskała go po kędzierzawej główce i dała znak, żeby wyszedł. Ochłonęła ze swej nieśmiałości. Nie czuła już zakłopotania, że jest sama z tym obcym rycerzem w ustronnej, mrocznej izbie. Raczej było jej z tem dobrze. Roztajała jej samotna, oziębła duma. Była mu wdzięczna, bardzo wdzięcz-

na. Sama nie wiedziała, za co. Może za jego opowiadanie, może za jego urodę. Było w nim coś z błędnego rycerza, dostojnego pana, surowego mędrca i ognistego poety. Był niepojęty i tajemniczy, a stał się jej bardzo bliskim — jak brat, więcej niż brat. Obdarzał ją rozrzutnie, acz nie natrętnie. Nie dbał o to, a kazał wierzyć w swą piękność, siłę i szlachetność. Wezbrało jej serce ufnością tkliwą i nieobronną. Zapragnęła do niego się przytulić.

Czerwona, jakby stygnąca poświata zachodu dogasała zwolna na szybkach, rzezanych na kształt płaskich cegiełek i oprawnych w ołów. Sine mroki gęstniały w świetlicy.

Pan Gołuchowski jął przewlekać słowa, jakby nie był pewny, czy nie należałoby przerwać opowiadania, lecz zachęciła go do dalszego mówienia niemą prośbą błagalnych, wpatrzonych w niego oczu. Oddawna już doznawała zwycięskiego uczucia, że ma władzę nad nim, jednak dopiero teraz ośmieliła się jej użyć. Słuchając jego głosu, zdjęła z ręki manelę, co miała spięcie z broniących czystości szafirów, i bezwiednie poczęła przesuwać w palcach jej złote ogniwa. Zdawała się liczyć na nich słowa, które jakby wzbiły się naraz jeszcze wyżej i rozkołysały się miarową, dźwięczną falą wiersza:

Ty, co Rzym w pośrzód Rzymu chcąc baczyć Pielgrzymie:
A wżdy baczyć nie możesz w samym Rzyma Rzymie,
Patrzaj na okrąg murów, y w mur obrócone
Teatra, y Kościoły, y Słupy stłuczone;
To są Rzym: Widzisz jako miasta tak możnego
Y trup, szczęścia poważność wydycha pierwszego.
To Miasto, świat zwalczywszy, y siebie zwalczyło,
By nic nie zwalczonego od niego nie było.
Dziś w Rzymie, w zwyciężonym, Rzym niezwyciężony
(To jest ciało w swym cieniu) leży pogrzebiony.
Wszystko się w nim zmieniło; sam trwa prócz odmiany
Tyber, z piaskiem do morza co bieży zmieszany.
Patrz, co Fortuna broi! To się popsowało,
Co było nieruchome, trwa, co się ruchało.

Pan Gołuchowski umilkł. Nie rozłączały się ich szczęśliwe, zachwycone oczy. Od niechcenia spytała go o amoratki włoskie. Wiedziała o nich. Czytywała poetów — Petrarkę.

— Chciałabym bardzo, żeby Waszmość Pan mnie lubił — rzekła do niego nieoczekiwanie.

Poruszyła się, mówiąc. Złoty klejnot zamigotał mocniej w jej ręku i obsunął się po jedwabiu jej sukni na kobierzec posadzki.

Pan Gołuchowski powstał z krzesła. Śpiesznie wszedł na stopień framugi, żeby manelę podnieść. Pochylił się do stóp Wojewodzianki, nie odrywając oczu od jej oczu. Jakby ugięty potęgą jej spojrzenia, przykląkł bez słowa na jedno kolano. Dłoń jego sięgnęła po manelę. W mrocznej, barwnej ciszy zbłysnęło się niewidzialne płomię.

Z niewinną przebiegłością wabiła go ku sobie. Poczuła, że ma piersi. Dotychczas ich nigdy nie czuła. Garnęła się do niego ustami i piersiami. Podała mu usta i objęła go jednem ramieniem za szyję. Drugiem, jakby nieumyślnie, rozpuściła włosy, co spłynęły na jego twarz szczodrą, odurzającą czernią.

Umiała kochać Panna Maryna, chociaż nigdy się nie uczyła.

Drzwi w głębi świetlicy uchyliły się zlekka. Zajrzały przez nie oczy Ochmistrzyni, tęgiej i zacnej Pani Kazanowskiej. Zajrzały, uśmiechnęły się dobrotliwie i znikły.

VI.

Twardy, cnotliwy arjanin, Pan Gabrjel Hoyski z Hoszczy, dawał swemu wychowankowi wskazówki i rady na dalszą drogę życia. Mimo niezbyt podeszłego wieku miał włosy zupełnie białe, lecz młodzieńczo gładkie było szerokie jego czoło. Wielkie, obwisłe, nietknięte jeszcze siwizną wąsy zakrywały mu niemal zupełnie usta. Odgarniał je co chwila suchą, kościstą ręką. Twarz miał pociągłą, szczupłą i łagodną. W bladych jego oczach mgliło się ascetyczne zapatrzenie wnętrzne.

Był możnym senatorem, Kasztelanem Kijowskim, ale wyglądał skromnie, prawie ubogo w długim, czarnym żupanie z pośledniego czamletu. Trzymał w ręce czarną, aksamitną kuczmę z bobrową opuszką.

— Jesteś młody, dziecko prawie, a tułałeś się, jako powiadasz, już długo po świecie—mówił namaszczonym, przeciągłym głosem. — W habicie czerńca uszedłeś przed prześladowcami swymi z moskiewskich krajów, przebywałeś po monasterach, sługiwałeś po zamkach i dworach panów, którzy Boga mają na uściech a służą Antychrystowi, i nigdzie prawdy nie poznałeś. Dopiero tutaj, w zborze naszym i w szkole zboru naszego oświecił cię Pan. Ciekaw jesteś życia, rwiesz się do świata; niechże cię prowadzi! Ale pamiętaj o przykazaniach Jego! Niech cię grzech nie opęta i próżność światowa nie omami! Dni ludzkie jako cień przechodzą. Głupstwem jest mądrość świecka, a utrapieniem i zdrożnością wszelka roz-

kosz doczesna. Jedynie w Panu jest żywot wieczny. Nie umrze, kto w nim położył dufność swoją.

Blade oczy zamigotały mu naraz posępnym, jakby z powściąganego bólu wynikającym blaskiem. Jednakże mówił dalej spokojnie:

— Chcesz szukać pomsty na swych moskiewskich nieprzyjaciołach. Pragniesz dostać służbę blisko nich, od tamtej ściany. Dam ci list do Brahima, do Księcia Adama Wiśniowieckiego. Nie naszej on wiary, ale, jak ty, nienawidzi Moskwy. Pono krzywdę znaczną mu uczynili. Trzeba ci jednak wiedzieć, że to pan porywczy i służba u niego ciężka.

Wychowanek stał przed nim w postawie pokornej, lubo nie pozbawionej godności, zaciskając grube, mięsiste, świeże wargi. Wyglądał, jakby ważył myśl jakąś lub tłumił w sobie jakieś wyznanie. Ręce miał białe i kształtne. Odziany był w karazjowy żupanik kozacki, co nie różnił się zbytnio od skrojonej na żupan siermięgi.

Mógł mieć około dwudziestu lat. Wzrostu był mniej niż średniego, ale z szerokiej piersi i z potężnej budowy całego ciała znać było, że posiada żelazne zdrowie i turzą siłę. Rysy miał z moskiewska grube i pospolite, twarz okrągłą, śniadą, zupełnie pozbawioną zarostu i mimo młodego wieku dziwnie jakoś babską. Wielki jego nos szpeciła po prawej stronie duża, sina brodawka; drugą, mniejszą, miał na górnej wardze koło szerokich ust. Mocno wysklepioną jego czaszkę pokrywała rusa czupryna, co gęstym, twardym, szczeciniastym włosem opuszczała się mu nisko na czoło i zakrywała w części szerokie jego skronie. Rozumnie i posępnie spoglądały jego małe, błękitne, głęboko osadzone oczy.

Jakby błogosławiąc, położył mu Pan Hoyski po ojcowsku rękę na głowie, poczem podał mu ją do ucałowania i dorzucił miękkim głosem:

— Pamiętaj, co ci powiedziałem. Idź się pomodlić. Pan Marszałek mojego dworu wie już, że ma ci dać niezgorszego

konia z rzędzikiem, trochę grosza i strawę na drogę. List do Księcia Wiśniowieckiego przyniesie ci za chwilę rękodajny.

Wychowankowi zwilgotniały posępne oczy. Niskim, dziękczynnym pokłonem obłapił pod kolana swego dobrotliwego opiekuna, jednak nie rzekł nic, jakgdyby słowa uwięzły mu w krtani. Pochyliwszy głowę, wyszedł z komnaty Pana Kasztelana i powolnym, opieszałym krokiem człowieka głęboko zamyślonego udał się do pobliskiej kaplicy, co ze świątyni katolickiej stała się przybytkiem ministrów arjańskich.

W kaplicy nie było nikogo. Usiadł w ławie i ukrywszy twarz w dłoniach, siedział długi czas nieruchomo. Niełacno było odgadnąć, czy się modlił czy też tylko rozmyślał nad swem tajemniczem, burzliwem życiem.

Nieprędko odszukał go pokojowiec, który przyniósł list od Imci Pana Kasztelana i dość opryskliwie oznajmił mu, że wszystko gotowe i że może jechać. Dmytro Moskałeńko — bowiem tak od jego pochodzenia nazywano go powszechnie na dworze Pana Hoyskiego — nazbyt był ubogi i nic nie znaczący, żeby zdobyć sobie poważanie u służby. Nie lubiono go za jego posępną i nieco odludną wyniosłość, co dziwnie raziła u obcego, bezdomnego przybłędy. Lękano się jego zapalczywości, zuchwałej odwagi i nieuskromionej siły. Odjechał na swym podjezdku, nie żałowany przez nikogo. Ledwo że usłyszał na pożegnanie dobre słowo od dworskiej, czarnobrewej mołodycy.

Drogę miał daleką i niezbyt bezpieczną. Znikł w ciemnej, szumiącej dąbrowie, co rozpościerała się tuż za dworem, i zapomniano o nim rychło.

Pod wieczór zatrzymał się w nędznej, przydrożnej karczmie. Drzwi były tak niskie, że wchodząc, musiał pochylić się mimo niskiego wzrostu. Wewnątrz obsunęła się z niego przybrana pokora jak opończa podróżna. Z oznakami uległej czci, z głębokimi pokłonami otoczyli go jacyś z cudzoziemska wyglądający ludzie, których widocznie znał oddawna.

Zachowywał się śród nich jak pan, rozmawiał z nimi przez całą noc, wydawał jakieś rozkazy. Żyd karczmarz spoglądał na niego nieufnie, ale milczał, opłacony sutym datkiem. Przytem tych obcych ludzi było zawielu i jak się zdawało, mieli broń, ukrytą pod chłopskimi kożuchami i sukmanami. Nie szczędzili grosza, płacąc dobremi pieniędzmi za lichą gorzałę.

Dopiero w jakiś miesiąc później zatrzymał się zdrożony przybłęda moskiewski przed ogromną, żelazem potężnie okutą bramą warownego dworca Księcia Adama Wiśniowieckiego. Wpuszczono go boczną furtką, gdy pokazał list od Pana Kasztelana Kijowskiego. Musiał czekać długo, poniewierać się po czarnych izbach służebnych, lecz miał szczęście. Przyjechał w porę. Książę potrzebował łaziebnika, ale nie gamonia, gdyż był prędki i dwa razy niczego powtarzać nie lubił.

Dostał barwę książęcą i objął służbę. Nie trzeba było go przyuczać. Zapoznał się tak szybko ze swymi obowiązkami, jakgdyby niczego innego w życiu nie robił. A Księciu niełacno było dogodzić. Bywał niemal codziennie dobrej myśli, zaś po każdej dobrej myśli udawał się do łaźni. Czasem sam, częściej z dziewkami gołębicami. Taki był jego zwyczaj.

Był to pan smagłej, kozackiej urody, średniego wieku, rycerski, drapieżny i zapobiegliwy. Księżna Pani była przy nim jak trusia. Wszyscy byli przy nim jak trusie. Rzadko mówił po polsku, częściej po białorusku. Wychowywał się u OO. Jezuitów w Wilnie, ale był bardzo przywiązany do swej greckiej wiary. I kiedy niedomagał z przepicia, bywał bardzo pobożny. Ale rzadko niedomagał z przepicia, bo mocną miał głowę.

Polubił swego łaziebnika, gdyż z listu Pana Hoyskiego dowiedział się, że nienawidzi on Moskwy, umie toczyć koniem i obchodzić się z orężem. A dworzec Księcia Pana wyglądał niby obóz wojenny, bowiem granica moskiewska była

bliska niezmierzonych jego włości i mimo pokoju powtarzały się nader często zbrojne zatargi.

Zdarzyło się pewnego dnia wczesnym bardzo rankiem, iż do izby łaziebnika wpadł pokojowiec książęcy z rozkazem, żeby zaraz przygotował kąpiel. Książę Pan już wstawał, gdyż w towarzystwie swego brata, księcia Konstantego, oraz jego małżonki, Księżnej Orszuli, wybierał się na łowy z rarogiem i chciał przedtem dla rzeźkości ciała zażyć łaźni. Niechże się pośpieszy, a nie zapomni niczego, bo Książę Pan dzisiaj jakiś markotny i leżąc jeszcze w łożu, dał już pewnemu pokojowcowi po gębie. Taki był jego zwyczaj.

Łaziebny kazał natychmiast swym pomocnikom rozpalić pod kotłem i z największym pośpiechem przygotował wszystko, co było potrzebne. Zapewne z nadmiaru gorliwości zapomniał tylko przynieść z apteczki jakiegoś olejku perskiego czy tureckiego, którym Książę Pan po kąpieli kazał polerować swe jędrne, śniade ciało, gibkie jak stal najprzedniejsza. Taki był jego zwyczaj.

Książę Pan jużcić musiał być tego dnia bardzo markotny, gdyż wszedłszy do łaźni, zaraz zauważył, iż na półce niema słoika z olejkiem. Nie pozwalając przyjść swemu łaziebnikowi do słowa, zelżył go od takich synów, trzasnął w babską gębę i byłby jeszcze raz powtórzył, gdyby z małych, posępnych oczek nie strzeliło takie płomię bólu, urażonej dumy i hardego gniewu, że Książę Wiśniowiecki zdumiał się, zawahał i opuścił popędliwe ramię.

Łaziebnik wyprostował się, drgnąwszy swemi potężnemi, obnażonemi barami. Zaogniły się jego bladawe policzki. Zdawało się, że rzuci się na Księcia. Lecz wraz powściągnął się, opuścił na piersi podniesioną głowę, załamał rozpaczliwie ręce i zaniósł się płaczem jak małe dziecko.

— Nie znieważałbyś mnie tak, Mości Książę, — wyrzekł śród łez przez zaciśnięte zęby — gdybyś wiedział, kto przed tobą stoi.

Książę mimo swej popędliwości miał po swojemu miękkie serce. Przytem zastanowiły go te słowa, niezwykłe w ustach nikczemnego człeka. Gniew jego uśmierzył się. Zapytał niemal łagodnie:

— A ktoś ty taki, że tak przemawiasz do swego pana?

Kształtną, białą ręką wyrwał łaziebnik zza pazuchy duży, złoty, starożytny krzyż, sadzony drogimi kamieniami, który nosił na szyi, i dumnym ruchem pokazując go Księciu, rzekł, znowu bardzo hardo podniósłszy głowę:

— Jam Dymitr, najmłodszy syn Iwana Wasylewicza, Cara, Wielkiego Hospodara i Wielkiego Kniazia wszystkiej Rusi. Chciał mnie zgładzić Borys Godunow, ale nie zgładził. Jestem żyw i da Bóg, że upomnę się o swoje dziedzictwo.

Książę osłupiał, dzierżąc podany krzyż w ręce.

Jakby szczęśliwy, że może zbyć się brzemienia długoletniej tajemnicy, łaziebnik z uniesieniem młodości jął opowiadać dzieje swego dzieciństwa... Słaby, bezrozumny brat jego, Fedor, który wstąpił na *prestoł* carski po śmierci Iwana Wasylewicza, pozwolił Borysowi Godunowowi, że wywiózł go z Moskwy do Uglicza, aby po jego trupie utorować sobie drogę do samodzierżawia. Był dzieckiem, mógł mieć wtedy lat osiem lub dziewięć. Pozostawał nibyto pod opieką matki, Marji, oraz swych trzech wujów, którzy również wygnani z Moskwy, osiedlili się w pobliżu. Ale matka była słaba i bezradna, a wujowie pili bez pamięci. Godunow osaczył dzieciństwo jego zdrajcami i siepaczami. Śledzili go, podsłuchiwali każde jego słowo i donosili o wszystkiem do Moskwy. Byli przekupieni i czyhali na jego zgubę. Najpodlejszy był djak, Bitiagowskij! Miał jednak, na szczęście, w swym carewiczowskim orszaku także ludzi godnych. Jak własne dziecię kochał go doktór jego nadworny, siwy już, siwiuteńki Włoch, Simone. Godunow potajemnie zażądał od niego, żeby dopomógł do zgładzenia go ze świata. Sędziwy lekarz pozornie się zgodził, chcąc tem snadniej zapobiec zbrodni. Dowiedział się, której

nocy miano jej dokonać i poczynił odpowiednie przygotowania. Nibyto dla igraszki przebrał w wyszywaną perłami koszulkę towarzysza jego zabaw, który był do niego podobny jak brat rodzony, i ułożył go do snu na jego łóżeczku. Gdy jego towarzysz, synek jakiegoś popa, zasnął, skrył swego ulubieńca za dużym piecem. Noc była czarna. Weszli zabójce z zapaloną świecą. Przy świetle jej widział, jak zarzynali małego popowicza, jak krew trysnęła na wezgłowie białej pościeli... Nie wie, co potem się stało. Gdy odzyskał przytomność, niósł go Simone śpiesznie w głąb ciemnego ogrodu. Pamięta, że drżał na całem ciele, obejmował swego dobroczyńcę za szyję i nadsłuchiwał. W dworze — w jego własnym dworze — zrazu było cicho. Dopiero później błysnęły światła i doleciały ich przerażone krzyki. Ale byli już daleko. Już odjechali pędem przygotowaną zawczasu powózką. Może lekarzowi ktoś dopomógł. Może był z nim w zmowie i czuwał nad sierotą dostojny bojarzyn, Bohdan Bielski, który dawnemi laty był dworzaninem jego nieboszczyka ojca i nienawidził Godunowa za to, że kazał mu wysiepać na pośmiewisko brodę i zesłał go na daleką Syberję? Może. Wie tylko, że sędziwy lekarz dbał o niego bardzo, że ukrywał go, a umierając, oddał pod opiekę żebraczych czerńców, którzy chodzili po całym kraju i prosili chleba. Dorósł śród nich. W żebraczych łachmanach przebiegł Carstwo wzdłuż i wszerz. Bywał w monasterach, w dworach bojarskich, w nędznych, czarnych od dymu chałupach chłopskich. Niepoznany był nawet na Kremlu. Ale niebezpieczeństwo szło jego śladem. Godunow powziął podejrzenie, że zarzezano kogoś innego, i kazał go szukać. Zakonni jego opiekunowie zlękli się i wywieźli go do Polski, a sami rozbiegli się po okrainach kozackich, żeby głosić, że ród Rurykowiczów nie wygasł i że najmłodszy syn Cara Iwana Wasylewicza żyje. On sam dopiero w Polsce, zamieszany śród ludzi nikczemnego stanu, zmylił pościg swego prześladowcy. Szybko dojrzewał w nieszczęściu. Nie chciał zawstydzić swych

przodków, przeto czynił wszystko, aby stać się ich godnym. Uczył się w szkołach i w monasterach, bywał po dworach. Ale poniewierki i upokorzenia już mu obmierzły. Jest rad, że może do dna otworzyć swe serce...

Mówił biegle po polsku, nie zmieszany przenikliwem spojrzeniem Księcia, który wciąż jeszcze nie wypuszczał krzyża z dłoni.

Wreszcie głos mu się zachwiał, osłabł i zadrgał łkaniem. Rzucił się przed Księciem na kolana. Bijąc moskiewskim obyczajem czołem o ziemię, bełkotał spłakany i drżący:

— Teraz, Mości Książę, wiesz wszystko. Jestem w twojej mocy. Uczyń ze mną, co zechcesz. Odejmij mi to nędzne życie lub dopomóż do odzyskania mojego tronu. Tyś pan, tyś możny! Wszystka Rzczplita stanie za tobą... Nie odmówi swej opieki Król Jego Mość... A ja — ja będę umiał być wdzięcznym. Wdzięczność to cnota monarchów... Wojsko Dońskie, Wojsko Wołżańskie nie zna mnie jeszcze, lecz wie już o mnie i jest po mojej stronie.

Książę Wiśniowiecki był w głębi duszy łatwowierny, gdyż rycerskie jego serce, serce awanturnika, pragnęło wielkich czynów i niezwykłych przygód. Uprzykrzyły się mu już błahe, pograniczne swary, bójki i zatargi. Był ruskiego pochodzenia, miał przyjaciół śród bojarów siewierskich i smoleńskich, jakoż wiedział, że upokorzony i sponiewierany przez Godunowa stan bojarski czeka tylko sposobnej chwili, żeby go obalić. A gdyby tak dopomóc temu Hospodarczykowi prawdziwemu czy udanemu? Zresztą musi być prawdziwy, bo i skądże wziąłby ten krzyż drogocenny? W oczach wciąż jeszcze migotały mu djamenty, a w myślach błysnęła wielka przyszłość chwały, dostojeństw, potęgi. Rozległemi majętnościami każe sobie zapłacić za pomoc. Mieczem z niezmierzonych ziem moskiewskich wykroi królestwo oddzielne...

Głęboko zapadły mu w serce proste, szczere, wzruszające słowa, które usłyszał. Z powagą podał rękę klęczącemu, dopo-

mógł mu do powstania i rzekł nieco chrypliwym z podniecenia głosem:

— Ucałuj, Waszmość, krzyż, który masz na piersiach, i poprzysięgnij, żeś ty nikt inny, jeno rodzony syn Iwana Wasylewicza, korony i sceptra hospodarskiego dziedzic.

Łaziebnik uczynił, co mu kazano. Ucałował uroczyście krzyż, poczem z niejakiem drżeniem, lecz pewnie i donośnie przemówił:

— Przysięgam na Chrysta Pana i świętą mękę Jego, żem jest Dymitrem, prawowitym dziedzicem *prestołu* i Hospodarstwa moskiewskiego.

Książę uwierzył. Był przekonany. Dopomogły mu skryte jego upragnienia i rozbudzona nagle wyobraźnia. Zaprawdę, temu młodemu pacholikowi za dobrze patrzało z oczu i nazbyt był niezwykły, żeby mógł łgać i krzywoprzysięgać. Książę mimo swych wad był serca prawego, ufnego, zapalnego i sam kłamać nie umiał. Sądził tedy, że również innym kłamstwo niełatwo przychodzi. A zresztą, gdyby nawet łgał...

Zmienił ton. Przedzierzgnął się w dworaka, pełnego kortezji. Raczy Jego Hospodarska Mość wybaczyć. Przebóg! Nie zelżyłby i nie podniósłby ręki, gdyby wiedział, z kim ma do czynienia. Przeprasza, z całego serca pokornie przeprasza. Niech Jego Carska Mość mu wybaczy i puści w niepamięć tę zniewagę. Z jego ust nikt o niej się nie dowie. W miarę sił swoich postara się ją zmazać. Niech Jego Carska Mość zatrzyma się w łaźni i na niego poczekać raczy. Musi poczynić przygotowania, żeby godnie przyjąć tak dostojnego gościa. Wróci wnet — wróci...

I wyszedł, żegnając swego byłego sługę dwornym pokłonem. Drzwi zamknęły się za nim. Syn Iwana Groźnego pozostał sam. Poprzez gorące opary usłyszał, jak Książę wykrzyknął za drzwiami do rękodajnego, żeby do łaźni nikt wchodzić się nie ważył.

VII.

Książę Adam postąpił po książęcemu, działając zresztą, jak zwykli działać ludzie pod naporem zdarzeń, którym niepodobna zaprzeczyć, acz niełacno je pojąć. Odwołał, a raczej przełożył na inny dzień łowy, chociaż orszak myśliwski czekał już na majdanie. Następnie szepnął coś na ucho swemu stryjecznemu, Księciu Konstantemu, i żartobliwie przeprosił jego młodą małżonkę, Księżnę Orszulę, która miała płowe, złote włosy, roześmiane zawsze oczy i była zupełnie niepodobna do swej młodszej siostry, Wojewodzianki Maryny. Naostatek poszedł do żony.

Opowiedział jej wszystko. Naradzali się oboje długo. Stanęło na tem, iż wieczorem odbędzie się wspaniały bankiet na cześć Hospodara moskiewskiego. Niech cały dwór słupieje i zachodzi w głowę, kiedy i jakim sposobem zdąży Car przybyć na czas ze swojej stolicy. Dowie się w porę o wszystkiem.

Pierwszy zdumiał się marszałek nadworny, który otrzymał polecenie, aby wydał odpowiednie rozkazy kuchmistrzom, piwnicznym i pokojowym. Zdumiał się, nie śmiał jednak zapytać, dla kogo miano przygotować pokoje i ozdobić je najdrogocenniejszymi kobiercami perskimi.

Książę Pan osobiście udał się do stajen. Wybrał sześć najpiękniejszych rumaków, które kazał ustroić w rzędy tak wspaniałe, że z pod pozłoty nie było widać rzemieni. Czapraki były bogato haftowane, sprzączki, łańcuchy i strzemiona srebrne. Na końskich ogłówkach powiewały kępy piór strusich w tule-

jach, sadzonych rubinami i turkusami. Rumaki te miało prowadzić sześciu masztelarzy, przyodzianych w książęce barwy i sukienne, karmazynowe opończe.

Z rozkazania książęcego założono również poszóstny zaprząg do najokazalszej karety. Wysłano ją poduszkami, haftowanemi w kwiaty jedwabiem i złotem. Miała stać gotowa na każde zawołanie. Stajenni mniemali, że Książę Jego Mość wybiera się w podróż, i to chyba do samego Króla.

Kiedy wszystko było już po jego myśli, kazał Książę Wiśniowiecki siedemnastu pokojowcom zanieść za sobą do łaźni najprzedniejsze złotogłowie, jedwabne szaty, sobolowe delje i nabijane złotem oręże. Z osłupieniem patrzyli słudzy, jak ich pan własnoręcznie pomagał łaziebnikowi przywdziać najstrojniejszy żupan, zaś z jeszcze większem słuchali, że przemawiał do niego jako do Miłościwego Pana, Hospodara wszystkiej Rusi.

Hospodar, który zdążył już wykąpać się i uspokoić po doznanej zniewadze, przyjmował skromnie, lecz wdzięcznie te hołdy i usługi. Wyglądał, jakby nawykł do nich i jakgdyby były mu one miłe, ale wcale go nie dziwiły.

Wyszli z łaźni. Głębokimi ukłonami witali ich domownicy książęcy, ustawieni w dwa rzędy. Dymitr, syn Cara Iwana Wasylewicza, odpowiadał łaskawem skinieniem głowy i uprzejmym uśmiechem. Książę poszedł z nim na obszerny podwórzec. Kazał przyprowadzić lśniące od złota wierzchowce i zajechać karecie. Niech Carewicz Miłościwy wdzięcznem sercem zechce przyjąć te dary, niech rozporządza całem jego mieniem. Małe ono, niegodne hospodarskiego majestatu, ale daje, co ma. Zaś Dymitr zachwycał się przedewszystkiem końmi i orężem, dziękował, ściskał Księcia i powtarzał, że niezawodnie szczodrze się odwdzięczy.

Przy stole wszystkie oczy były zwrócone na niego. Zachowywał się nieco nieśmiało, lecz z kortezją człowieka, któremu pisano wielkie rzeczy. Okazał się wstrzemięźliwym. Jadł

w miarę i pił niewiele. Umiał zabawić rozmową Księżnę Panią, rozśmieszyć śmieszkę, Księżnę Orszulę, ująć sobie Księcia Konstantego, co zresztą nie było rzeczą trudną, bo stryjeczny Księcia Adama nosił serce jak na dłoni. Wogóle miał dar ujmowania sobie ludzi ten przybłęda. Napomykał o hojnych nagrodach dla wszystkich, którzy staną przy nim w tej potrzebie. Wspomniał swe lata dziecinne, dwór w Ugliczu, towarzyszy swych zabaw i swoich dworzan. Dziś jeszcze poznałby ich wszystkich. Pono jeden z nich, szlachcic inflancki, Piotrowski, przebywa obecnie gdzieś na Litwie. Chciałby go zobaczyć. Przypomnieliby sobie dawne czasy...

Przy tych słowach promieniała jego brzydka twarz i spoglądały pogodniej jego posępne oczy.

Bankiet przeciągnął się do późnej nocy. Hucznie i ogniście przygrywała nadworna muzyka. Tańczono nawet nieco, wszelako białegłowy rychło odeszły. Gęściej potem zaczęły krążyć kielichy. Książę Adam ruszył czapki i powstawszy z stołka, pił do Carewicza Jego Mości, a Carewicz Jego Mość do Księcia Pana. Wszyscy byli dobrej myśli. Ochota była tak wielka a wina tak przednie, że biesiadnicy jęli tłuc o posadzkę i o własne głowy kryształowe kielichy. Wezbrała czcza, pijacka serdeczność. Dymitr kłaniał się, ściskał spocone dłonie, dziękował i uśmiechał się grzecznie. Pozostał miernym do samego końca. Ledwie umaczał usta w puharze. Książę dąsał się nieco, lecz nie nalegał zbytnio. Bywają różni ludzie na świecie, bywają nawet tacy, którzy pić nie mogą czy nie umieją. Rozeszli się dopiero nad ranem. Przed spaniem Książę Pan udał się do łaźni, ale kąpiel przyrządzał mu już kto inny.

Nie zatajono tego osobliwego zdarzenia w Brahimiu. Nie chciano go wcale zatajać. Owszem, niechaj cały świat co rychlej się dowie o cudownem ocaleniu Dymitra, syna Wasylowego. Wieść o niem obiegła wnet Litwę i Ukrainę, przeniknęła w głąb moskiewskich krain, dotarła za Porohy Dnieprowe, nad Don i nad Wołgę. Nawet z najdalszych stron zjeż-

dżała się do Brahima szlachta, aby ujrzeć na własne oczy prawowitego dziedzica posochu hospodarskiego i nadziwować się Opatrzności Boskiej. Byli śród niej rycerze, którzy mieli krewnych, powinowatych lub przyjaciół w Siewierszczyźnie i Smoleńszczyźnie. Niemniej od nich nienawidzili oni Borysa Godunowa. Ci przed innymi garnęli się do Dymitra, obiecując swą zbrojną pomoc. Dla takich gości wrota Zamku brahimskiego zawsze stały otworem. Książę Wiśniowiecki umiał być dla nich szczodrobliwym, ugaszczał, czapkował, karmił i poił. Nigdy więcej nie był za pan brat z panami braćmi.

Czaty kozaków nadwornych jęły wrychle przyprowadzać bojarów moskiewskich. Niewiadomemi drogami, przebrani za chłopów, czerńców i żebraków, przedostawali się oni z najdalszych ziem ruskich. Wszyscy dyszeli zemstą do Borysa Godunowa i od pierwszego wejrzenia padali na twarz przed Dymitrem, uznając go za prawowitego dziedzica korony carskiej. Pozostawali w Brahimiu niedługo, otrzymywali od swego władcy rozkazy i przepadali znów w stepach, uwożąc ze sobą słowa pociechy dla jednych, a zapowiedź pomsty dla drugich. — Koniec Borysa Godunowa już bliski! — głosił przez ich usta Dymitr.

Ta groźba obiła się o uszy Hospodara Moskiewskiego. Zalękło się jego udręczone serce. Drżał przed gniewem niebios i oto pojawił się upiór!

Pewnego dnia pograniczna straż moskiewska wypuściła na przejeżdżających kozaków dworskich strzałę z zawiadomieniem, że przybył z Moskwy goniec Najmiłościwszego Hosudara i chciałby w najgłębszej tajemnicy oddać ważną hramotę Księciu Wiśniowieckiemu. Prosi, by Książę Pan raczył go dopuścić przed oblicze swoje.

Mimo swej nienawiści do Moskwy Książę zaciekawił się i pozwolił. Przyprowadzony późnym wieczorem przez kozaków gończyk, padł przed nim na kolana i podał mu pismo, moskiewskim zwyczajem zwinięte w trąbkę.

— Powstań! — rzekł po rusku Książę. — A wy pilnujcie go jak oka w głowie — dodał, zwracając się do kozaków, i wyszedł do drugiej izby.

Dopiero tam rozwinął pismo. Wielki Kniaź, Borys, pisał do niego jak sąsiad do sąsiada. Ubolewał nad nieszczęsnymi zatargami granicznymi, o których dopiero bardzo niedawno miała go dojść wiadomość. Każe surowo ukarać winowajców i zwróci zagarnięte włości, Przyłuki i Święcino, ale prosi o pewną przysługę — o nic nie znaczącą przysługę. Oto dowiedział się, że na zamek książęcy przybłąkał się jakiś niegodziwy *wor*, który śmie utrzymywać, jakoby był synem nieboszczyka Cara Iwana Wasylewicza, chociaż całemu światu wiadomo, że nieszczęsny carewicz sam poderznął sobie gardło w przystępie wielkiej choroby. Jestto łotrostwo, które powinno być przykładnie skarcone. Niechże Książę Pan wyda w ręce sprawiedliwości hosudarskiej owego *wora*, a Hospodar nie tylko odda Przyłuki i Święcino, ale jeszcze nie poskąpi w swej łasce dziengów. Targować się nie będzie.

Ostatnie wątpliwości Księcia Wiśniowieckiego znikły. Nieznany przybłęda był istotnie synem Iwana Groźnego. Inaczej Borys Godunow nie byłby gotów naprawić wyrządzonej krzywdy, wdawać się w targi o pierwszego lepszego włóczęgę.

Atoli przezorność go nie opuściła. Wiedział, że ramię Borysa umie sięgnąć daleko. Obawiał się niespodziewanego napadu lub skrytobójstwa. Dał więc przez gońca polityczną odpowiedź, że wprawdzie radby odzyskać swe włości, ale że żadnego takiego *wora* u niego niema, że nic o nim nie wie i nigdy nie słyszał.

Na rozkaz jego odprowadzili kozacy carskiego wysłannika z powrotem do granicy, zaś on sam mimo spóźnionej pory udał się do Dymitra. Rozmawiali długo. Na poły poważnie na poły żartem ostrzegał Książę Adam swego młodego przyjaciela przed Godunowem. Najlepiej postąpi, jeśli corychlej wyjedzie z Brahima. Tu może pod nim zapalić się ziemia.

Książę będzie mu towarzyszył, odwiezie go do swego brata, do Załoziec. Tam będzie dużo bezpieczniej.

Dymitr opierał się nieco. Z nieopatrzną butą młodzieńczą oświadczał, że nie lęka się niebezpieczeństw. Kiedy jednak Książę odpowiedział z uśmiechem, że on sam może przytem również ucierpieć, stropił się i ustąpił natychmiast. Przebóg! Byłoby z jego strony niegodziwością narażać swych przyjaciół. Mówił z przejęciem, które podobało się Księciu.

— Szczerą, zda się, duszę ma ten hospodarczyk — pomyślał sobie.

Postanowiono wyruszyć już nazajutrz. Przodem poszły wozy skarbne pod osłoną piechoty, zaś w kilka godzin później wyjechał Książę Jego Mość z dobrze okrytym dworem. Miano się na baczności. Przed karetami i za karetami jechały doborowe oddziały kozaków nadwornych. Podróż odbyła się bez przygód, a przyjęcie w Załoźcach było bardzo serdeczne. Książę Konstanty uściskał gości, radośniej niż zwykle uśmiechnęły się oczy Księżnej Orszuli. Hospodarczyk kłaniał się niezgrabnie w pas, onieśmielony jej pańskością i wielką urodą.

Dopiero w kilka dni później, gdy już dobrze wypoczęli, pokazał mu Książę Adam list Borysa Godunowa i osłupiał nad niepojętą zmianą, jaka przy jego czytaniu nastąpiła w Dymitrze. Jął mienić się na twarzy, drżąc na całem ciele. Coś głęboko w nim utajonego wybuchnęło nagle rozpaczliwem łkaniem. Jak niedawno w Brahimiu, rzucił się znowu do stóp Księcia Adama, błagając zmiłowania.

— Panie mój! — wołał, łamiąc ręce. — Czyń ze mną, co chcesz. Prócz ciebie i Boga nie mam nikogo na świecie.

Książę go uspakajał. Niech Hospodarska Mość mu zaufa. Nie jest zdrajcą i nie wyda go na zatracenie. Tu, pod opieką Księcia Konstantego, włos mu z głowy nie spadnie. Donosił już o nim Królowi Jego Mości. Opisał cudowne jego ocalenie. Jest nadzieja, że Król Jego Mość o nim pomyśli. Nie potrze-

buje się lękać Godunowa, bo Godunow jego się lęka. Inaczejby nie przysyłał. Niechże nie będzie dzieckiem i zamiast się rozkwilać, niech myśli o odzyskaniu *prestołu* swych ojców. Sprzyjają mu już pocichu niektórzy bojarowie, gotowi są opowiedzieć się za nim Kozacy dońscy i nadwołżańscy. Dziki to lud i niepewny jak lotne piaski. Polegać na nich nie można. Pójdą za każdym, co obieca im wojnę i łupy. Nienawidzą Godunowa, bo ich gnębi, ale Carstwa z nimi się nie zdobędzie. Trzeba szukać mocniejszego oparcia, pozyskać pomoc panów polskich, którzy mają bogactwa, wojska nadworne i wielki głos w Rzczplitej. Wiele mógłby zdziałać Książę Konstanty. Jest łacińskiej wiary, ma za żonę córkę Wojewody Sandomierskiego. A to pan możny, jeden z najmożniejszych w Koronie...

Dymitr wprawdzie wciąż jeszcze tarł dłońmi swą rusą czuprynę, ale już powściągnął się i słuchał coraz uważniej. Nie miał, jak przed chwilą, oczu zalęknionego zwierzęcia. Na szczęście, nie wszyscy sprzysięgli się na jego zgubę. Poczęła znowu wstępować w niego otucha.

— A czy Imci Książę Konstanty raczy sierocie dopomóc? — zapytał jeszcze chwiejnym nieco głosem.

— Już z nim mówiłem — odparł Książę Adam. — Myśli tak samo, jak ja. Jest chętny, lecz chciałby bliżej poznać Waszą Hospodarską Mość i mieć pewność, że Wielki Kniaź, Dymitr Iwanowicz, gdy zostanie Samodzierżcą i Obładacielem wszystkiej Rusi będzie umiał pamiętać o pracach i zasługach swych przyjaciół.

— Cóż mam tedy czynić? — zagadnął znowu Dymitr.

— Słuchać rad naszych! — rzekł niemal rozkazująco Książę. — Bez nas Wasza Hospodarska Mość nie zdołasz postąpić naprzód ani kroku. W swoim czasie trzeba będzie pojechać do Pana Sandomierskiego i przez niego trafić do Króla Jego Mości. Zajmie się tem mój stryjeczny.

Umilkł zamyślony. Zdawały się śledzić coś w przestrzeni jego drapieżne oczy.

— Ja muszę wracać do Brahima — dodał po chwili. — Trzeba mieć baczenie na Moskwę. Nie można im dowierzać. Godunow ma długie ręce.

VIII.

Kiedy Książę Biskup, Claudio Rangoni, jako Nuncjusz Stolicy Apostolskiej wyjeżdżał do Polski, wydawało mu się, że sczeźnie z zimna i tęsknoty w tej barbarzyńskiej krainie. Wszystko było dla niego obce i nowe. Nie znał Polski, nie znał ludzi, z którymi miał mieć do czynienia, nie był nawet obeznany z obowiązkami, których brzemię na jego giętkie i pochyłe barki podobało się włożyć Ojcu Świętemu. Jadąc, polecał duszę Bogu, zaś jedyną jego pociechą była myśl, że jeśli zdoła powrócić, to powróci do rodzinnej Modeny w purpurze kardynalskiej, nagradzano nią bowiem zazwyczaj zasłużonych wysłanników Stolicy Apostolskiej.

Nie sczezł i — o, dziwo! — zczasem nawet upodobał sobie pobyt w tym dżdżystym, północnym kraju. Zdziwiło go przyjemnie, że na Dworze Wawelskim zastał ogładę i ceremonjał, zaprowadzony jeszcze przez Królowę Bonę. A ceremonjał wrósł w jego duszę, stał się niejako drugą jego naturą. Jeszcze przyjemniejszą rzeczą była gościnność panów polskich, ich bankiety, festy i kawalkady, bowiem Książę Biskup znał się na winach i wielce cenił dobrą kuchnię. Atoli najrozkoszniejsze były jasnowłose Polki. Przepadał poprostu za jasnowłosemi podwikami i uwielbiał Polki!

Stolica Apostolska pragnęła wiedzieć wszystko, pisywał tedy rozwlekłe relacje. Pisywanie ich poza bywaniem u dworu uważał za najgłówniejszy swój obowiązek. Ale nieraz, zmożony jakąś nową, miłosną tęsknotą, krył swą posągowo piękną twarz senatora rzymskiego w białych, wydłużonych dłoniach

i pogrążał się w zadumie. Wszelako z tej zadumy nie rodziła się żadna myśl, nie powstawało nic, coby wnosiło zarzewie ducha w jego czynności urzędowe. Niewiele obchodziła go krucjata przeciwko Turkom, której rzecznikiem był podówczas Ojciec Święty. Nie wydały plonu jego wątłe zabiegi około pojednania Polski z Moskwą i zjednoczenia w ten sposób Cerkwi Ruskiej z Kościołem Katolickim. Wyrzekł się tedy wielkich dążeń. Ograniczył się do zbierania i udzielania mniej lub więcej ważnych wiadomości. Znał wszystkich, umiał zagnieździć się wszędzie i czynił to po mistrzowsku.

Bywał często na Dworze. Zygmunt III lubił jego nijakość i dworską układność. Mieli dużo wspólnego. Obaj dbali wielce o chwałę Kościoła, obaj sprzyjali Austrji i obaj wzdychali potajemnie. Król Jego Mość statecznie do pulchnych i obfitych wdzięków Arcyksiężniczki Rakuskiej, a *Monsignor* do tej lub owej Polki, która miała modre oczy i nieprawdopodobnie płowe włosy, płowe jak źrzałe, polskie zboże. Książę Biskup, twardy w rzeczach wiary, pod tym względem przychylał się do wielobóstwa. Wielbił piękno jak poganin.

— *Che bella! Che bionda!* — zachwycał się w duchu Ksiądz Nuncjusz spotkaną po drodze Nimfą polską, przestępując próg komnaty, w której miał go przyjąć na posłuchaniu Zygmunt III.

Król nie był sam. Miał u siebie swego sekretarza, Księdza Piotra Tylickiego, który trzymał jeszcze w ręce pismo, przeczytane przed chwilą. Obaj rozmawiali z ożywieniem.

Na głęboki ukłon dostojnika kościelnego Król skinął głową dobrotliwie, lubo z niejakiem roztargnieniem.

— Nie do wiary, nie do wiary! — powtarzał.

Monsignorowi rozdęły się zlekka nozdrza. Poczuł w powietrzu jakąś niezwykłą nowość. Może uda się nieco urozmaicić relacje, które w ostatnich czasach stawały się coraz nudniejszymi i coraz bardziej jałowemi.

Ostrożnie i jakby od niechcenia zapytał, co zaszło. Poseł

Stolicy Apostolskiej miał większe prawa od innych. Król Jego Mość wybaczał mu nieraz podobne pytania, więc i tym razem nie weźmie chyba za złe jego ciekawości.

— Pisze do nas Książę Wiśniowiecki z Brahima, że pojawił się u niego jakiś Moskwicin, który mieni się być Dymitrem, synem nieboszczyka Iwana Wasylewicza — odezwał się Król.

— A Książę Wiśniowiecki zapewne mu uwierzył? — rzekł drwiącym nieco głosem *Monsignor*. Znał Księcia Adama i nie lubił go. Wydał się mu on człowiekiem grubym i nieokrzesanym. Przytem nie mógł mu zapomnieć, że był wyznawcą greckiej wiary i przyznawał się zuchwale do swych heretyckich błędów.

— Nie idzie on tak łacno na byle czyj lep, *Reverendissime!* — przemówił Ksiądz Tylicki. — To pan przezorny i doświadczony. Zna Moskwę i tych tam ludzi. Ale Dymitruszka go przekonał. Opowiedział, jak uszedł zguby, pokazał mu złoty krzyż, który dostał przy chrzcie od Kniazia Mstisławskiego. Zjeżdżają się do niego bojarowie oraz Kozacy z nad Wołgi i Donu. Ci, co go widywali za lat dziecinnych, poznają go zaraz po brodawkach na twarzy. Podobno ma także jedno ramię krótsze od drugiego, a oni to zapamiętali. Wielki Kniaź, Borys, na niego dybie.

— Dybie na niego? — zdziwił się Książę Nuncjusz, mrugając nieco ptasiemi oczyma. — Wielki Kniaź na niego dybie?...

— Obiecował Księciu Wiśniowieckiemu, że odda mu za niego zagrabione majętności i gotów jest nawet dołożyć dzieńgami — mówił dalej Ksiądz Tylicki.

— Gdzież jest teraz ów Dymitruszka? — zapytał Nuncjusz.

— W Załoźcach, u Księcia Konstantego. Książę Adam odwiózł go tam, bo lękał się napadu moskiewskiego lub skrytobójstwa. Godunow nie zwykł przebierać w środkach. Nie-

wieleby obchodził nas ten kniazik, gdyby nie to, że na Zadnieprzu już wre. Zaporożcy obwołują go Hospodarem, chcą połączyć się z Dońcami i ruszyć pod jego przewodem na Moskwę. Ciężcy są tamtym stronom. Zabroniło się im tworzyć swawolne kupy. Mieszczanom tamtejszym niewolno sprzedawać prochów i broni ognistej. Ale co to pomoże?

Nastała chwila milczenia. *Monsignor* nagle spoważniał i zamyślił się. Jasnowłosa Nimfa polska wywietrzała mu z głowy.

— I nie można dowiedzieć się o nim niczego więcej? — zapytał.

— Już dowiadywaliśmy się — odrzekł Ksiądz Tylicki, wyręczając Króla Jego Mości, który nie był skłonny do dłuższych rozmów, zwłaszcza o podobnych sprawach. Imci Pan Kanclerz Litewski, Lew Sapieha, ma w swej służbie szlachcica inflanckiego, niejakiego Piotrowskiego, który był jeńcem w Moskwie i widywał Dymitruszkę za jego lat dziecinnych. Posłało się tego Piotrowskiego do Załoziec i nauczyło się go, co ma zrobić. Miał nibyto przypadkiem nawinąć się przed oczy Moskwicinowi, udając, że go nigdy nie widział.

— No, i cóż? — wypytywał go Rangoni.

— Dymitruszka poznał szlachcica odrazu i przypomniał mu, że był na dworze w Ugliczu. Musiał tedy Pan Piotrowski przyznać się, że go także poznaje.

— Dziwne to! Bardzo dziwne.

— Ale są inni, którzy powiadają, że widywali owego Dymitra w orszaku Pana Kanclerza Litewskiego, kiedy tenże posłował do Moskwy, — nadmienił znacząco Ksiądz Tylicki.

— Naradzaliśmy się już z niektórymi panami senatorami — odezwał się Król. — Różni różnie powiadają, jednak wszyscy zgadzają się, że nie można o nim wyrokować zdaleka. Trzeba go sprowadzić do Krakowa i zobaczyć na własne oczy. Rozkazaliśmy tedy, żeby posłano po niego.

Audjencja miała się ku końcowi. Król Jego Mość znudzo-

nym już potrosze głosem zagadnął jeszcze o wieści z Wiednia. Częściej niż w Polsce przebywał myślami w Szwecji i na Dworze Rakuskim.

Monsignor wyszedł zadumany i roztargniony. Nie poznawał nikogo, nie widział niemal w antykamerze dworzan, pokojowców i pacholąt, którzy rozstępywali się przed nim z uszanowaniem. Sam nie wiedział, że tulił do piersi krzyż złoty, co zwisał u jego szyi. Zdawało się mu, że oświecił go Duch Święty. Zstąpiło na niego natchnienie.

Był umysłem płytkim i człowiekiem płochym, ale nawykł z konieczności do zastanawiania się nad sprawami publicznemi. Dwór Wawelski nie miał dla niego tajemnic, zaś sąsiedztwo moskiewskie było zbyt groźne i bliskie, żeby na Dworze tym miano nie wiedzieć, co dzieje się w Moskwie. Zaprawdę, ów Dymitruszka, czy jak tam się nazywa (bowiem Nuncjusz nauczył się nieco po polsku, lubo zawsze zapominał imion i nazwisk), pojawiał się we właściwą porę. Borys Godunow chwiał się na swym tronie. Kniaziowie i bojarowie spiskowali przeciwko niemu, pospólstwo było wygłodzone i zrozpaczone. Nieprzejrzane ziemie, których rubieże gubiły się kędyś w niezbadanych wnętrzach Azji, były do zagarnięcia. A wraz z niemi miljony biednych, ciemnych dusz. Trzeba było tylko woli i ramienia, któreby niemi zawładnęły. O ramiona w tej Rzczplitej było nietrudno. Roiła się od młodzieży walecznej, chciwej sławy, przygód i łupów wojennych. Zaś wolą będzie wola Świętego Kościoła Powszechnego. *Monsignor* uczuł się pokornem, niegodnem woli tej narzędziem. Atoli oświecił go Duch Święty. Będzie wiedział, co czynić na razie, a potem pokieruje nim mądrość Stolicy Apostolskiej. Przygarnie tego moskiewskiego barbarzyńcę, postara się otworzyć jego oczy na światło prawdziwej wiary. Nie uczyni tego sam. Niechętnie i podejrzliwie patrzą na niego polscy biskupi i purpuraci. Miał na myśli Kardynała Maciejowskiego. Wszelako znajdzie uczynnych i gorliwych pomocników śród

braci zakonnej, zaś przedewszystkiem śród OO. Jezuitów. Posiadają oni dar słowa. Umieją wzruszać nawet najzatwardzialsze, heretyckie serca. Króla przekona z łatwością. Jest on wiernym synem Kościoła i nie zaniedba niczego, gdy będzie chodziło o zbawienie dusz. Senatorowie się podzielą: jedni będą za nim, drudzy przeciw niemu. Obawiał się nieco Kanclerza. Na szczęście, jest już wielce niemocny i zgrzybiały. Byleby ten kniazik moskiewski corychlej przyjechał i okazał się godnym łaski Ducha Świętego...

Dłoń jego zacisnęła się dokoła krzyża. Zaczął szemrać pacierze. Nigdy jeszcze nie doznał takiego zachwycenia, nie czuł takiej potęgi myśli. Rozwarły się nad nim niebiosa. Zapomniał nawet o kardynalskiej purpurze. Poprostu nie wiedział, że jedzie karetą i wraca do swego pałacu.

Po powrocie wezwał zaraz do siebie O. Kaspra Sawickiego, superiora domu zakonnego Jezuitów przy kościele św. Barbary. O. Sawicki był znakomitym teologiem i dziwnie umiał łączyć znawstwo ludzi oraz powszedniego, świeckiego życia z utajoną żarliwością ascetycznego zakonnika. *Monsignor* wielce go cenił, gdyż miał zaufanie do jego rozumu, gorliwości i cnoty. Naradzali się długo.

Dopiero późnym wieczorem zasiadł Ksiądz Biskup Rangoni do pisania relacji dla Ojca Świętego. Pisał szybko, z niezmierną łatwością, jednakże lotne myśli wyprzedzały jeszcze jego pióro. Był w zapale. Czuł, że tym razem jego relacja przelewa się od bogactwa treści. Ukończywszy ją, nie podnosił się długo ze swego krzesła i marzył nie o Nimfach polskich, lecz o kardynalskiej purpurze.

IX.

Pannie Marynie, która nigdy nie płakała, zachciało się płakać po wyjeździe Pana Gołuchowskiego. Nie lubiła przedtem łez. Wydawały się jej czemś niegodnem. Nie wiedziała, dlaczego. Może dlatego, że jej siostry, a także inne białegłowy płakały tak łatwo i równie łatwo od płaczu przechodziły do śmiechu. Błahy był jeden i drugi. Ta błahość ubliżała jej dumie. W jej rozumieniu godziło się płakać tylko dla czegoś wielkiego — wielkiego jak jej kochanie.

Pan Gołuchowski chciał zaraz po powrocie Pana Sandomierskiego prosić o jej rękę, lecz sama go powstrzymała. Pragnęła nasycić się swą miłością w skrytości. Miłość jej była święta, a wszelka świętość bywa tajemnicą. Zdawało się jej, że jej niezmierne szczęście pierzchnie, gdy ludzie o niem się dowiedzą. Będą mówili o niem, będą się uśmiechali, żartowali jak wówczas, kiedy Książę Konstanty przysłał dziewosłęby o jej siostrę, Orszulę. Ojciec, matka, rodzeństwo stali się naraz dla niej dalekimi i obcymi. Nie chciała się przyznać przed sobą, ale jej się wydawało, że nikt nie jest godny wiedzieć o jej kochaniu. Dziwne było dla niej to słowo. Miało w sobie szczęście, lecz nie było w niem radości, przynajmniej takiej, jak ją zazwyczaj pojmują ludzie.

Oglądała pokryjomu w zwierciadle swe usta i dziwiła się, że nie znać na nich śladu pocałunków, rozplatała swe szczodre, krucze warkocze i dziwiła się, że od dotknięcia ukochanej dłoni nie zmieniły swej barwy. Miłość ją przeobraziła.

Stała się zupełnie nową. Chciała być bardzo piękną — piękną inaczej niż dotychczas...

I myślała o rzeczy najtajemniejszej. Wstydziła ją ta myśl. Wstydziła i uszczęśliwiała. Było ciemno... noc. Leżała w swem dziewczęcem łóżeczku. Nie mogła usnąć. Prócz niej w alkierzyku nie było nikogo. Pani Kazanowska sypiała obok. Było ciemno, a czuła, że się płoni. Dlaczego się płoni? Bóg jest wszędzie, Bóg wszystko widzi i widzi jej niewstydliwe myśli. Kajała się w duchu za swe myśli.

Mimo młodych lat wiedziała już niejedno o tajemnicach miłości. Żyła śród gadatliwych i rubasznych ludzi. Była bardzo domyślna. Wiele dowiedziała się z tego, co ją codziennie otaczało. Z matką nie ośmielała się o tem mówić. Pani Kazanowska i zamężne siostry zbywały ją półsłówkami i półuśmieszkami. Nie nalegała. Wiedziała niezawodnie, że miłość zrywa panieństwa róże. Wyobrażała sobie, że jest w tem coś wielkiego i uroczystego. Niby jakieś święto. I przenikała ją radość na myśl, że przyjdzie chwila, kiedy tego święta będzie kapłanką i ofiarą. Niby całopalną ofiarę złoży swe panieństwo na ołtarzu swego miłowania.

Myślała z drżeniem o tej chwili, ale nie z drżeniem lęku. Był w tej myśli wstyd, ale była również niepojęta błogość. Człowiek obcy, mężczyzna posiędzie jej nieobronną nagość. Obcy? Był obcy, ale już nie jest. Zostanie jej mężem. Nie będzie już płoniła się przed Bogiem... Przeraziło ją przypuszczenie, że mogłaby w tej chwili obaczyć na jego twarzy cień brzydkiego uśmiechu. Płonna obawa! Miała pewność, że taki uśmiech jest u niego niepodobieństwem.

Pani Kazanowska powiedziała jej kiedyś w łaźni, że jest cudna. Zaśmiała się na to wówczas. Nie pojmowała, jak w jej dziewczęcem ciele może być coś cudnego. Później wydawało się jej niekiedy, że jej siostry myślały to samo, ale nie mówiły. Dopiero teraz jęło narzucać się jej porównanie. Porównywała siebie z innemi białemigłowami, które widywała w ką-

pieli. A może?... Nie może — napewno! I im większa była jej pewność, tem czuła się szczęśliwszą, że tyle piękności odda ukochanemu.

Za miesiąc, za dwa, za pół roku niechaj rodzicom pokłoni się o nią. Przyjmą, niezawodnie przyjmą. Nie wyobrażała sobie, żeby mogli nie zgodzić się na Pana Gołuchowskiego. Nie miał ci on przeważnego imienia, nie miał wielkiej fortuny, ale był jedyny na świecie. Lubili go Kanclerze i Hetmani, sam Król wielce go uważał. Chwilami bała się ojczeńka. Nie pojmowała go. Bywał czasem dziwny... lękała się powiedzieć sobie, że odrażający. Ale kocha ją i się zgodzi... Zostanie Panią Gołuchowską. Jakie to osobliwe ta zmiana nazwiska! Z godziny na godzinę! Trzeba czasu, żeby do niej się przyzwyczaić. Czy z początku nie będzie się myliła? Nie! Za mocne na to jest jej kochanie.

Będą mieli dzieciątko. Na początek synka — koniecznie synka, takiego śmiesznego jak jej murzynek, ale dużo piękniejszego. Co też ona, nieboga, myśli? Fe! Obraziła tem porównaniem swego przyszłego synka. Musi on mieć po Panu Gołuchowskim te jego tajemnicze, surowe oczy. Jak można mieć takie oczy? Czy z niemi przychodzi się na świat? A jeśli nie, to jakie musi być życie, żeby oczy nabrały takiego wyrazu?... Może najwięcej miłowała go za te oczy. I przyszła jej do głowy dziecinna obawa, żeby spokojne szczęście małżeńskiego pożycia nie roztajemniczyło tych oczu. Nasłuchała się już nieraz skarg na małżeństwo. Wszelako ona swemu najmilszemu da inne szczęście i inne, całkiem inne będzie ich pożycie. Już ma on obiecane starostwo, gdzieś na Pokuciu czy Podolu. Będą mogli się pobrać. Potem zostanie Kasztelanem lub Wojewodą jak ojczeńko, zaś ona będzie Panią Kasztelanową czy Wojewodziną. Będzie mówiła do niego Janku, a on do niej Marynko. I zawsze bardzo będą się kochali.

Zasypiała z imieniem Janka na ustach. Śniły się jej pieszczoty i pocałunki.

Zrywała się wczesnym bardzo rankiem i nieubrana, w samem tylko giezłeczku, biegła do Pani Kazanowskiej, żeby ją objąć nagiemi ramionkami za grubą szyję, wyściskać, wycałować i jeszcze raz nakazać jej milczenie... Przyjdzie czas — ale teraz nie powinien nikt wiedzieć... Zaś Pani Kazanowska śmiała się dobrym, macierzyńskim śmiechem, groziła jej wielkim, tłustym paluchem i nazywała ją dzieciakiem.

W godzinę później bywała już na koniu i pod opieką dwu oddanych do swych posług hajduków, jechała kłusem do lasu. Hajducy ledwie mogli za nią nadążyć. Jeździła sławnie, lepiej od braci i ojczeńka, lepiej od młodzi szlacheckiej z okolicy, która, widując ją z łukiem u łęku i sajdakiem na plecach, nazywała ją Djaną. Odpowiadała z pustotą, że Djana konno nie jeździła, i wyzywała ich na wyścigi, w których zawsze zwyciężała. Ale teraz nie chciała widywać nikogo, szukała samotności, zjeżdżała z dróg bitych na ścieżki polne i na miedze, żeby co rychlej ukryć się, zatonąć ze swem szczęsnem kochaniem w głębi boru, co swym szumem wykołysał jej dzieciństwo. Zdawało się jej, że ma w sobie duszę tego boru, piękną i surową jak oczy Janka, gdy w miłosnej pokorze pochylał głowę do jej stóp. I w uniesieniu chciało się jej wołać na cały głos, że znalazła miłość, wielką, jedyną, szczęśliwą, nieogarnioną miłość!

Do Zamku wracała niechętnie. Wiedziała, że ją czekają skargi wiecznie na swe zdrowie utyskującej matki i przykre zrzędzenia rozdrażnionego zawsze ojczeńka. Był, jak powiadał, w ostatecznej toni, miał troski, długi i kłopoty. Zachwiany był podobno splendor ich domu. Słyszała już niejednokrotnie te słowa i z dziecinną nieporadnością martwiła się niemi. Ale teraz niecierpliwiły ją one, brzęczały tylko koło jej uszu, puste i bez znaczenia. Była rada, gdy w alkierzu mateczki nie zastawała Pana Wojewody. Wszelako od niejakiego czasu był zajęty czemś w domu i zachodził często do żony.

Wynurzywszy się pewnego dnia z gęstwiny leśnej, wpadła niespodziewanie na tłumny i świetny orszak podróżny Księcia Konstantego, który w towarzystwie swej małżonki oraz jakiegoś szpetnego i z cudzoziemska wyglądającego młodzieńca jechał do nich w odwiedziny. Wiedziała, że już od kilku dni czyniono w Zamku wielkie przygotowania, lecz w swem miłosnem zapamiętaniu nie zważała na nie — zapomniała o nich. W pierwszej chwili drgnęła, chciała kinąć koniem i uciec. Jednakże już ją dostrzeżono. Było zapóźno.

Wyminąwszy zręcznie brzydkiego cudzoziemca, co znieruchomiał na swym wronym, dzikim rumaku, jakby ujrzał nieziemskie zjawisko, podjechała do karety, w której siedziała jej siostra, Orszula. Książę Konstanty chciał jej dopomóc przy zsiadaniu, lecz się spóźnił. Zeskoczyła z siodła bez niczyjej pomocy. Stawiając nogę na stopniu karety, uczuła wąsatą twarz przy swojej twarzy. Książę pocałował ją na powitanie po bratersku w policzek.

— Wyglądasz, Marynko, jak leśna bogini — zaśmiał się, a skrywany zachwyt zaigrał mu w oczach.

— Co ty masz liści na sobie i we włosach! — odezwała się Księżna Orszula, ściskając siostrę. — Skąd jedziesz? Czy wciąż swoim zwyczajem uganiasz po lasach?

Poczem wskazując jej oczami cudzoziemca, który jeszcze ciągle siedział nieruchomo na swoim wierzchowcu, przygarnęła ją do siebie i rzekła zcicha:

— Czy wiesz, kto to jest? Dymitr Iwanowicz, Hospodarczyk moskiewski. Pewno słyszałaś już o nim.

Panna Maryna przypomniała sobie, że istotnie słyszała. Coś tam o tym kniaziu opowiadał przy stole ojczeńko długo i szeroko Księdzu Pomaskiemu, nie wiedziała jednak dobrze, co. Drgnęła w niej jakaś osobliwa niechęć. Spytała szeptem:

— Skąd on jedzie? Pocóżeście go ze sobą zabrali?

— Jedzie od nas do Krakowa na wezwanie Króla Jego

Mości — zaszeptała jej do ucha Księżna Orszula. A zabraliśmy go, bo zaprosił go ojciec. — I zawołała głośno:

— Kniaziu Dymitrze Iwanowiczu!

Brzydki cudzoziemiec rzucił w skok konia i podjechawszy do pojazdu, zdjął z głowy czapkę, okładaną z moskiewska bobrowem futrem. Jak rozżarzone węgielki zamigotały posępnie małe jego oczy.

— Kniaź nie zna jeszcze mojej siostry, Maryny — rzekła Księżna Orszula. — A ty, Marynko, nie znasz Kniazia Jego Mości. Poznajcie się tedy.

— Szczęśliwy dla mnie dzień tego poznania — przemówił dwornie Dymitr, prostując się na siodle. — Ujrzawszy Jej Mość Pannę, myślałem, że widzę boginię Djanę.

— Mam tylko tyle wspólnego z Djaną, że jeżdżę z łukiem, Mości Książę — odezwała się uprzejmie, lecz dość ozięble Panna Maryna. — Nie noszę, jak ona, półksiężyca we włosach.

— Ale ma Jejmość Panna gwiazdy pod powiekami — z nieco dziką kortezją odparł Dymitr.

— Gwiazdy świecą tylko na niebie.

— Bywa, że spadają z nieba i jak gołębice zagnieżdżają się pod powiekami panieńskiemi.

Kłuł ją poprostu swem rozgorzałem spojrzeniem. Spuściła oczy.

— Wie Kniaź Jego Mość, co komu należy. Jest polityczny — zaśmiał się Książę Konstanty. Wsiadł już znowu na konia i zaczął się niecierpliwić. — Przebóg, nie stójmy na drodze! Z Zamku wyjeżdżają na nasze spotkanie.

Z miejsca, na którem się zatrzymali, Zamek było widać jak na dłoni. Stały otworem potężne, szerokie wrota w płocie, obwieszonym zielonemi oponami pnączów i utwierdzonym warownemi basztami. Rączym, miarowym krokiem wyszedł przez nie oddział węgierskich sabatów, przystanął, rozłamał się na szeregi i ustawił się sprawnie we dwa rzędy

wzdłuż drogi. Mieli oni na głowach czapki krągłe, zawiesiste, osobliwszego kształtu. Z pod opończy, co okrywały ich aż poniżej kolan, błyskały rzemienie, skrzyżowane na piersiach i nabijane mosiężnymi guzami. Podtrzymywały one szerokie pasy skórzane, na których po prawej stronie zwisała ładownica, a po lewej para krucic i szabla. Nieśli na ramionach długie rusznice. Z oczu patrzało im okrutne, zbójeckie męstwo.

Za nimi nadeszli nadworni hajducy w wysokich czapach, obszytych lisią opuszką i przystrojonych piórami. Mieli na sobie żupany z pętlicami po pas i szerokie szarawary z radła. Ci również byli uzbrojeni w samopały i szable; ponadto zwieszały się im u boków potężne czekany. Długimi, karnymi szeregami uszykowali się obok sabatów.

Po nich z dziedzińca zamkowego śród chrzęstu połyskliwej broni i tętentu kopyt końskich wysypały się konne roty kozackie. Świetnie mieniły się w słońcu ich bogato i strojnie haftowane barwy. Zjechały z drogi na otworzysty majdan i wielkiem zakolem otoczyły turecki, różnobarwny namiot, w którym Pan Wojewoda oczekiwał moskiewskiego gościa.

W orszaku podróżnym Księcia Konstantego wszczął się ruch. Zmieniono porządek. Na jego czoło wyjechał konno sam Książę, mając po swej prawicy Księcia Dymitra. Za nimi podążała niewielka garstka zbiegłych bojarów moskiewskich w różnobarwnych giermakach i jedwabnych kaftanach. Śród ich krępych, ociężałych postaci drapieżną, rycerską butą wyróżniało się kilku wysmukłych, kraśnych jak gile Kozaków z nad Wołgi i Donu. Z kolei noga za nogą toczył się pojazd, którym jechała Księżna Orszula ze swą młodszą siostrą. Zamykała ten korowód rota jezdna Księcia Wiśniowieckiego. Czeladzi i taborowi wozów skarbnych nakazano pozostać daleko wtyle.

Pan Sandomierski wyszedł przed namiot na spotkanie gości w gronie synów, powinnych, księży i przyjaciół. Dostojną,

senatorską jego postać opływała sutymi fałdami aksamitna, czarna delja, rozmigotała brylantami wielkich guzów. Na głowie miał kołpak z czaplą kitą, przytwierdzoną również brylantową zaponą. Wyniosły i razem łaskawy, jaśniał śród swoich towarzyszy jak słońce. W zazwyczaj lutych i już mocno przygasłych oczach czaiły się mu podstępne błyski.

Książę Konstanty zsiadł z konia i dał znak moskiewskiemu Kniaziowi, żeby uczynił to samo. Z odkrytemi głowami podeszli do Pana Wojewody. Za nimi postępowała garść onieśmielonych, pokornych bojarów.

— Witaj mi, Miłościwy Carewiczu, witaj, kochany zięciu! — przemówił Pan Sandomierski, otwierając ramiona.

Huknęła przedwcześnie nadworna muzyka janczarska. Zadęli trębacze i zakołatali bębeniści w bębny. Pan Sandomierski uciszył hałas niecierpliwem skinieniem ręki, poczem zaczął, długą, miodopłynną orację. Mówił o cudownych zrządzeniach Opatrzności Boskiej, o niecnem ukrzywdzeniu prawowitego dziedzica przesławnej korony hospodarskiej, nie zapomniał zapewnić o swej gościnności oraz współczuciu, chętnem do wszelkich usług, z lubością wygłaszał z pamięci maksymy mędrców i oratorów starożytnych. Kniaź Dymitr nie spuszczał z niego swych posępnych oczu, słuchał cierpliwie Książę Konstanty i drapiąc się pod jamułkami w głowy, gapili się bojarowie moskiewscy.

Znudzone białegłowy odeszły niepostrzeżenie, nie doczekawszy się końca. Na dziedzińcu zamkowym doleciał je raźny, niepowstrzymywany już niczem rozhuk muzyki janczarskiej. Zapewne z namiotu wyniesiono dzbany z winem i kielichy.

Pan Wojewoda witał godnie carskiego gościa.

X.

— Ulituj się nademną, Panienko Najświętsza! Zmiłuj się nademną i nad mojem kochaniem! — modliła się ze łzami Panna Maryna, klęcząc przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej w swym alkierzyku. W utrapieniu miała zwyczaj modlić się własnemi słowami.

Dostała przed chwilą list od Pana Gołuchowskiego, przysłany potajemnie na ręce Pani Kazanowskiej. Donosił jej, że z rozkazania królewskiego wyjeżdża z ważnem, pilnem poselstwem do Wiednia, Wenecji i Rzymu, skąd powróci dopiero za kilka miesięcy. Było jej niewymownie smutno i tęskno. W rodzicielskim domu, pod opieką ojca i matki, śród sióstr i braci, czuła się sierotą. Już od dłuższego czasu prześladował ją swymi obmierzłymi umizgami Kniazik moskiewski. Dogadywali jej bracia, a ojczeńko się uśmiechał... Niekiedy zdawało się jej, że sama da sobie radę z tym natrętem, lecz częściej bolało ją opuszczenie. Wszyscy byli po jego stronie, nawet Ksiądz Pomaski, nawet Ojciec Gąsiorek, którzy niemal nie wyjeżdżali z Zamku.

Zamykali się w komnacie z Panem Wojewodą oraz Kniaziem Dymitrem i rozprawiali całemi godzinami. Nawracali Moskwicina. Dowodzili mu wyższości świętej religji katolickiej nad jego ruską wiarą prawosławną. Nie chciał zrazu słuchać. Spierał się. Bywał z musu czerńcem i nasłuchał się dysput religijnych. Miał na wszystko odpowiedź.

Wszelako po takich budujących rozmowach szukał towarzystwa Panny Maryny i szeptał jej namiętnie, że gotów jest

uwierzyć we wszystko, gotów zostać katolikiem, byleby go wysłuchała. Kiedy zaś zbywała go ozięble, radząc mu, żeby to uczynił nie dla niej, lecz dla zbawienia swej duszy, unosił się. Z ogniem i dumą mówił o swem carskiem pochodzeniu, o swych nieprzemierzonych dzierżawach, o mnogich ludach, które wkrótce okrzykną go swym panem i samodzierżcą... Poczem przechodził znowu do prośby, do pokornego błagania. Miłuje ją, nad własną duszę miłuje! On jej sługa, jej rab! Przyjmie koronę, ale tylko poto, żeby ją złożyć u jej stóp. Niechże raczy go wysłuchać i zechce rozkazać...

Umiał mówić słodko i rzewnie. Urzekał ją swemi słowami pieściwemi i niemal modlitewnemi. Rozkołysywał przyczajoną w jej sercu, władczą dumę. Mogła zostać panią miljonów jak Jej Mość Królowa. Koronę Hospodarów moskiewskich mogła włożyć na swe skronie, koronę, której jeszcze nie nosiła żadna białogłowa.

Uciekała od niego, ale w niepewności i rozterce nurzała się jej dusza. Bolała ją miłosna tęsknota jak nie osurowiała jeszcze rana. — Co począć? Co począć, Matko Przenajświętsza? — modliła się po nocach, załamując ręce. Atoli nie chciała wyjawić wszystkiego w listach Panu Gołuchowskiemu. Drżała o niego. Obawiała się jego rycerskiej zapalczywości. Wróciłby i stałoby się nieszczęście!

W Zamku Samborskim było gwarniej i ludniej niż zwykle. Zjeżdżali się panowie szlachta. Odbywały się narady. Czarował swą łaskawością Hospodarczyk Moskiewski. Nawet najostrożniejszych i najoporniejszych porywał swą ognistą wymową. Niech mu dopomogą, a ruszy przeciw potędze tureckiej ludy moskiewskie, zgniecie na zawsze pohańców Tatarów, zatknie na meczetach konstantynopolitańskich krzyż Zbawiciela. Rozda między rycerstwo polskie skarby sułtanów, rozdaruje braci szlachcie pół świata. Odpowiadało mu pochwalne szemranie: — Mądrze mówi! Istny z niego Hektor!

Szlachta polska wolała zawsze Hektora niż Achillesa.

W swym zapale bywał potężny i prawie piękny. Czuć w nim było wolę, co umie rozkazywać. Nikomu nie przychodziło na myśl pytać o dowody jego carskiego pochodzenia. Zresztą coraz liczniej zjeżdżali się bojarowie moskiewscy i wszyscy padali przed nim na twarz, wielbiąc w nim swego Hospodara, Samodzierżcę i Obładaciela. Książę Adam doniósł z Brahima, że po raz drugi przysyłał do niego Borys Godunow i za wydanie swego wroga jeszcze rozleglejsze przyobiecywał ziemie i jeszcze większe przyrzekał skarby.

Kniaź Dymitr tym razem nie zadrżał i nie uląkł się. Był już pewny Pana Sandomierskiego.

— Dopomóżcie mi do odzyskania mojego dziedzictwa, Miłościwy Panie Ojcze, i dajcie mi za żonę waszą córkę, Pannę Marynę, — przemówił zdławionym od wzruszenia głosem, kłoniąc się po moskiewsku do samej ziemi przed Panem Wojewodą.

Pan Sandomierski spodziewał się już oddawna tych oświadczyn, lecz rozwarł szeroko oczy i udał niewymownie zdumionego. Poprostu znieruchomiał, skamieniał w swem poręczowem krześle. Nieprędko odrzekł z kłamaną prostotą:

— W gorącej wodzie cię kąpano, Mości Książę. Do korony carskiej jeszcze daleko, a Marynka za młoda... Ma czas. Mówiąc otwarcie, nie miałbym serca narażać dziecka swego na niepewne losy w obcym i grubym kraju.

— Miłuję nad własną duszę Pannę Marynę — zaczął znowu Dymitr.

— Ale Książę Jego Mość jest ruskiej wiary, a ona katoliczka — oświadczył Pan Wojewoda. — Nie wziąłbym na sumienie grzechu, żeby oddać dziecko innowiercowi. Za żadne skarby, nawet za koronę hosudarską, do której, powtarzam, droga trudna i daleka! Wszystko w Bożych ręku. Ze swymi Moskwicinami i Kozakami Książę nie zwycięży, a na polskie zaciągi trzeba dużo pieniędzy.

— Wiem ci ja o tem. Mam jednak potuchę w Księciu Adamie i Księciu Konstantym. Za nimi pójdą inni. Nie pożałują!...

— Ja także gotów byłbym dopomóc. Namówiłbym Pana Zebrzydowskiego i innych panów. Ale u mnie najpierw wiara, a potem szczęście mojego dziecka, a potem...

— A potem? — zagadkowym głosem powtórzył Kniaź Dymitr.

— Mości Książę, mam długi. Zjadają mnie długi. Głowa już od nich się kazi.

— Teść Hosudara wszystkiej Rusi nie będzie miał długów — rzekł wyniośle Dymitr. — I posiędzie udzielne carstwo.

— Udzielne carstwo? Hm! A któreż ziemie oddałbyś, Mości Książę? Nie chciałbym daleko od polskiej granicy. Stary jestem i lubię być ze swoimi.

— Czy dogadzałyby Panu Ojcu i Dobrodziejowi mojemu Siewierszczyzna i Smoleńszczyzna?

Panu Wojewodzie błysnęły lute oczy. Iściło się jego tajne marzenie o własnem królestwie. Jego grube, grabiejące, sinawe pod pierścieniami palce zagięły się dokoła poręczy krzesła jak szpony. Udawał, jakoby nie słyszał czy nie zauważył, że Hospodarczyk nazywa go ojcem.

— O Marynie godziłoby się także pamiętać, gdyby miała zostać żoną Księcia Jego Mości. Lepiej o wszystkiem zawczasu pomyśleć.

— Oddałbym mojej małżonce Psków i Nowogród. Czyniłaby ze mną i z majestatem moim, co zechce.

— To tak mówi się teraz. Wiem ja; jara jest młodość. Później może być inaczej, Mości Książę. Ojciec Waszej Miłości miał siedem żon. Mogłoby mnie zaboleć na starość rodzicielskie serce. A jakby ją przyjęto w Moskwie? Czy zechciałby ją koronować Patrjarcha ruski? Coby rzekli kniazie i bojarowie?

— W państwie mojem niema polskiej, złotej wolności. Wola moja będzie wolą popów, kniaziów i bojarów.

— Wiem ci, wiem, że u was Bóg i Hosudar to jedno. Ale trzeba najpierw zostać Hosudarem i dzierżyć mocno tę kanalję w ręku... Niewiadomo jeszcze, co powie Król Jego Mość. Do niego droga przez Księdza Nuncjusza i OO. Jezuitów. Zjednasz ich, Mości Książę, gdy pozwolisz im się nawrócić.

— Nawracają mnie już Ojcowie Bernardyni. Biję się z myślami, bo czuję, że światło prawdziwej wiary przenika w moją duszę. Jednak nie mogę nawrócić się jawnie. Moskwa jak jeden mąż stanęłaby przeciw mnie. Okrutnie nienawidzi łacinników. Woli od nich bisurmanów i Tatarów.

— Rozumiem. Tak nakazuje roztropność. Zaprawdę, niełacna jest sztuka rządzenia. Nawrócenie Księcia Jego Mości musi pozostać tajemnicą aż do opanowania wszystkich ziem moskiewskich, do koronacji, a może nawet dłużej. Niewczesna gorliwość mogłaby zepsuć wszystko. Moskwicini to ludzie tępi i grubi. Obruszyliby się, gdybyś Książę nie całował ich *chresta*, nie chodził jak oni do cerkwi, nie wyznawał bodaj pozornie ich błędów. Tylko na pozór, bo sam powiadasz, że w sercu już jesteś naszej wiary. Umieją przemawiać do dusz grzesznych OO. Bernardyni. Co za ludzie! Pobożni, cisi, pokorni, uczeni! Wielce ich cenię i uważam, ale jeszcze raz radzę ci, Mości Książę, żebyś dał się ostatecznie nawrócić tylko Ojcom Jezuitom. Ci znają się lepiej na sprawach świeckich. Nie pożałuje, kto odda się im w opiekę.

Uśmiechnął się, zadowolony ze siebie. Mądrość statysty błysnęła z jego czoła.

— Dla porządku spisze się to wszystko, Mości Książę, punkt po punkcie — oświadczył po chwili. — Zatwierdzi się podpisami i pieczęciami. Jesteśmy śmiertelni. *Verba volant, scripta manent*. Nie wiem jeszcze, co powie moja Marynka. Pomówię z nią. Kochane dziecko. Posłuszna córka. Słowo ojcowskie jest dla niej święte. Pojedziemy do Krakowa. Trze-

ba będzie się rozejrzeć. Zrękowiny mogą odbyć się pocichu. Ale o ślubie nierychło może być mowa. Dopiero po waszej koronacji w Moskwie, Mości Książę. Borys Godunow dzierży jeszcze posoch carski.

— Niebawem wytrącę mu go z ręki — odezwał się zapalczywie Dymitr. — Pomyślne zewsząd dochodzą wieści. Bojarowie czekają tylko mego przyjścia. Chłopstwo i *mir* się burzy. Kozacy w stepach gotowi są na moje wezwanie. Pod Glinianami poczynają gromadzić się zaciągi. Zawsze raźna szlachta polska do korda!

— Ano, zobaczymy. Pójdę do córki.

Panna Maryna zerwała się z klęcznika, usłyszawszy ojcowskie stąpanie w sionce. Na piersiach, za gorsecikiem, ukryła list Pana Gołuchowskiego i pośpiesznie otarła zapłakane oczy. Czytała, klęcząc i płacząc. Na przemian modliła się i czytała. Była zdziwiona, prawie zatrwożona temi odwiedzinami. Pan Wojewoda niezmiernie rzadko zachodził do jej Białego Domku. Nie zwykł był rozpieszczać dzieci. Wzywał ją do siebie lub do alkierza Pani Wojewodziny, gdy miał coś jej do powiedzenia.

Podał jej do pocałowania rękę. Dotykając jej ustami, omal nie zadrasnęła ich o ostry kraniec wielkiego brylantu, co zdobił złoty pierścień na ojcowskim palcu.

Pan Sandomierski nie odrazu przystąpił do rzeczy. Zaczął od zdrowia swego i Pani Wojewodziny. Uskarżał się na niewdzięczność synów, którzy bez niego byliby niczem. Gniewnie zaiskrzyły się mu oczy, gdy wspomniał synową Węgierkę, która nie chciała mu pożyczyć pieniędzy.

— Musiałem sprzedać za bezcen piękną majętność — lamentował, bębniąc grubymi palcami po stole.

W jego głosie odzywała się starcza gorzkość i znużenie. Panna Maryna milczała, ale serce trzepotało jej w piersiach z niepokoju. Do czego to wszystko zmierzało? Bała się ojca. Przeczuwała coś niedobrego. Czyżby się czegoś dowiedział?

Ni stąd ni zowąd wydało się jej, że nigdy on nie zezwoli na jej związek małżeński z Panem Gołuchowskim.

— Korona cię czeka, Marynko, carska korona, — odezwał się nagle Pan Sandomierski. — Kniaź Dymitr prosił mnie dzisiaj o twoją rękę. Obiecałem mu ją, lecz dopiero wówczas, gdy przejdzie na naszą wiarą i koronuje się carem.

Pannę Marynę targnęło coś za serce. Zadygotała w sobie. Stała się rzecz najgorsza, o której, nie wiedzieć czemu, nie pomyślała przedtem. Nie mogła przemówić.

— Czemu milczysz jak niunia? — zagadnął szorstko Pan Wojewoda. — Korona cię czeka. Słyszysz? Ciesz się, mówię ci!

Wciąż jeszcze dławiło ją w krtani. Uczuła na swych ustach jakby miłosne usta Pana Gołuchowskiego. Przypominały się. Ostrzegały ją.

— Ja... ja, ojczeńku, nie chcę... nie mogę — zabełkotała pośpiesznie. — On obcy, brzydki, niemiły. Nie chcę być daleko od Polski. Ja go się boję. Słyszałam, jak bojarowie mówili, że u nich biją żony.

Pan Wojewoda spojrzał na nią srogo. Gęstemi zmarszczkami poradliło się jego czoło. Pod siwymi wąsami rozdrażnieniem drgnęły jego wargi.

— Nie wiesz, co mówisz i do kogo mówisz — krzyknął, tupnąwszy nogą. — Nie pozwalaj sobie na fochy! Taka jest moja ojcowska wola!

— Ojczeńku, zlituj się! Jeszcze nie wszystko powiedziałam. Ja... ja miłuję innego.

Pana Wojewodę aż podrzuciło na krześle. Powstał i dłonią, twardą jak osęka, uchwycił ją za ramię.

— Kogo, ty wyrodna dziewko? Pachołka jakiego czy rękodajnego? — Poczem zgrzytnął, jakby tknięty nagłem przypomnieniem. — A może tego dworzanina królewskiego, który był tu niedawno? Zawrócił ci głowinę. Ha, ha, ha!

Pan Sandomierski miał zwyczaj śmiać się, gdy był zły.

— Nic mnie jednak nie obchodzi twoje kochanie. Dworzanina każę poszczuć psami, jeśli jeszcze raz tu przyjedzie. Będziesz, głupia, carową, bo ja tak każę!

W Pannie Marynie zakipiała dumna, popędliwa krew. Nie o miłowanie już chodziło, lecz o zniewagę. Przestała drżeć i lękać się. Skrami oburzenia zamigotały jej czarne, władcze oczy.

— Jestem twoją córką, ojczeńku, ale nie jestem niewolnicą. Mam swoją wolę. Zabij, a nie zmusisz!

Twardo skrzyżowały się ich spojrzenia. Pan Wojewoda pochylił twarz ku jej twarzy. Wysunęła się mu naprzód szczęka dolna. Oczy zabiegły mętnem, żółtawem szkliwem. Był odrażający.

— Ty... ty! — zaciął się i nagle z rozmachem uderzył ją w twarz.

Szarpnęła się, oblała się krwią, lecz z pomiędzy jej zaciśniętych zębów zasyczały przenikliwie słowa:

— Zabij, a nie zmusisz!

Zapamiętał się. Mocnem pchnięciem powalił ją na ziemię i począł bić bez pamięci. Ujął ją za zmierzwione włosy, co zdawały się mu syczeć jak węże, poczem uderzył kilka razy jej głową o posadzkę.

— Nie zabiję, lecz każę wrzucić ze złodziejami do tarasu. Tam zgnijesz, moja panno! — bełkotał rozdygotanym, zdyszanym głosem. — Słyszysz ty... — i rzucił jej wyzwisko plugawe, którego wprawdzie nie zrozumiała, lecz zelżywość jego uczuła jak smagnięcie bicza.

Naraz ochłonął, jakby sam się przeraził. Nieprzytomnym ruchem odsunęła go od siebie. Podźwignęła się na kolana. Ocierając rękawem krew z twarzy, rzekła:

— Ty, Panie Wojewodo, nie jesteś już moim ojcem, a ja nie jestem twoją córką. — W ustach jej zaszemrał przykry, urągliwy śmiech. — Będziemy odtąd żyli w zgodzie — dla ludzi...

Zerwała się na nogi, podeszła ku niemu chwiejnym krokiem i patrząc mu zuchwale w sępie oczy, zaśmiała się znowu:

— Dobrze, Panie Ojcze; zostanę carową, ale pierwej moje panieństwo oddam innemu. Nic zadarmo!

Ohyda wypełzła na jego twarz, wciąż jeszcze wzburzoną i zmiętą gniewem. Zdawało się, jakby naraz odżyła w nim dusza dworaka, który stręczył nałożnice dogorywającemu Zygmuntowi Augustowi. Zniechęconym, obojętnym głosem rzekł opieszale:

— A czyń, co chcesz, byle nikt się nie dowiedział!

Odwrócił się i wyszedł, trzasnąwszy ciężko drzwiami za sobą. W obolałej i sponiewieranej piersi Panny Maryny skowytała krzywda jak obity pies.

XI.

Panna Maryna przez cały tydzień nie wstawała z łóżeczka i nie pokazywała się nikomu. Co chwila zanosiła się od płaczu, tłukła piąstkami swe dziewczęce piersi, gryzła z gniewu i żalu poduszki wezgłowia. Pani Kazanowska okładała jej rozpaloną główkę mokremi chustami, poiła ją jakiemiś ziółkami, tuliła i koiła jak małe niebożątko. Potem przyszło na Pannę Marynę głuche, zastygłe zobojętnienie. Odwracała się do ściany, nie chciała jeść ni pić i nie odpowiadała na pytania.

Myślała. Jeszcze nigdy w życiu nie myślała tak wiele. Od wytężenia myśli aż bolało ją w skroniach. Co ona zawiniła, że ją sponiewierano, zelżono jej serdeczne ukochanie, chciano ją niegodnie przefrymarczyć za dostojeństwa, majętności oraz inne dostatki? Czciła rodziców, jak przykazuje święta religja katolicka, była córką posłuszną i przykładną. O. Gąsiorek, który był jej spowiednikiem, pod tym względem nigdy nie miał jej nic ważniejszego do zarzucenia; same tylko drobne grzeszki, za które musiała odmawiać przez kilka dni Zdrowaśki. Jednakże w głębi sumienia coś jej powiadało, że nigdy nie kochała swego ojca. Oddawna już, prawie od dzieciństwa, wydawało się jej, że chorowita jej mateńka znosiła go jeno jako dopust Boży, jak jakieś niezawinione utrapienie. Wprost bała się go, mieniła się na twarzy, gdy wchodził do jej alkierza, wołała na Panią Kazanowską, aby zabrała Marynkę i młodsze dzieci. Ta bojaźń udzieliła się Pannie Marynie. Lękała się ojca. Nigdy jej nie pogłaskał, nie popieścił. Tylko przy ludziach całował ją w czoło. Miał dla niej zawsze spojrzenia

karcące, słowa oschłe, szorstkie i przykre. Nieraz chowała się przed nim pod fartuch Pani Kazanowskiej, uciekała do ogrodu lub w las. Teraz rozumie, dlaczego tak było. Pan Wojewoda jął na nią spoglądać łaskawie dopiero, gdy podrosła i wyładniała. Mógł ją pokazać, pochwalić się nią przed ludźmi. Gorycz, która co chwila tryskała z jej serca jak krew z niezamkniętej rany, dopowiadała, znęcając się nad szczętami jej dziecięcej czci dla ojca: żeby ją lepiej sprzedać.

Drogo chciał ją sprzedać: za koronę. Wprawdzie ta korona była jeszcze niepewna, przeto na razie chciał z niej uczynić ponętę dla tego moskiewskiego kniazia o babskiej twarzy. I bił ją i bezcześcił i poniewierał dlatego!...

Jest bezsilna. Teraz musi na wszystko się zgodzić. Na szczęście, jest czas. Pojedzie ojciec z Kniaziem Dymitrem do Krakowa. Nieprędko wrócą. Potem będzie wojna z Moskwą, pewno długa, bardzo długa wojna. A może Hospodarczyk przegra? Albo polegnie? Albo dostanie się w ręce swego wroga? Była dziecięciem rycerskiego rodu i wiedziała, jak niepewne są losy każdej wojny... Tymczasem Pan Gołuchowski powróci. I coś poradzi. Pocieszała się tą myślą, lubo rozumiała, że niewiele będzie mógł poradzić przeciwko wszechwładzy jej ojca, możnego w Rzczpltej senatora. To pewna, że będą jakiś czas szczęśliwi. Luby ojczeńko uczuł, że skrzywdził ją nad wszelką miarę i pozwolił... Chciał ją wynagrodzić. Jej zapłacić. Godna, zaprawdę, jej krzywdy zapłata! Zelżył ją podwójnie, bo sponiewierał, nie szanując w niej własnej krwi, i pozwolił, na co żaden ojciec nigdyby nie pozwolił. Za kogo ją miał? Pchał ją do niegodziwości i zguby. Jednak ona zemści się za to — zemści się swojem szczęściem. Krótkie będzie ono i pokalane kłamstwem, lecz lepsze niż żadne. A potem co? Ucieknie z Panem Gołuchowskim, umrze lub zgodzi się na moskiewskie carowanie, gorsze od śmierci. Niech będzie, co chce... Żal jej było mateńki. Jest chora i nieporadna. Bracia i siostry prędko zapomną...

Gdzie jej niewinne uciechy, igraszki psotne i dziecinne? Przedwcześnie przyszła na nią okrutna dojrzałość. Dojrzała, nim zdążyła rozkwitnąć w słońcu życia...

Skąd przychodziły jej te myśli, tem okropniejsze, że na swe wypowiedzenie nie znajdowały słów? Mimo to były przeraźliwie jasne i wyraźne, bolały ją w mózgu. Jaka ona zła! Jak będzie mogła z nich się wyspowiadać? Nie przyzna się do nich nikomu. Skłamie, będzie musiała skłamać przed Bogiem i ludźmi. Zgubi na wieki swą duszę. Ehej, niepocieszona jej dola!

Pan Wojewoda po rozprawie z córką był więcej rozdrażniony niż zwykle, nie dawał atoli uczuć tego nikomu prócz swej małżonki. Na zapytania Księcia Dymitra o Pannę Marynę mrugał znacząco oczami i odpowiadał:

— Ot, zwykłe, babskie niedomagania.

Całkiem inne pochłaniały go myśli. Przystępował do gry o wielkość, od której mąciło się w jego starej głowie. Była bardzo niebezpieczna. Mogła zakończyć się sromotnym upadkiem i ostateczną ruiną. Całe swe mienie, wszystką swą wielmożność gotował się rzucić na szalę. Dotychczas w życiu nie zawodziło go ani jego męstwo ani jego chytrość. Może i tym razem nie zawiodą.

Drżącemi rękami rozpisywał i otwierał listy, przywożone przez umyślnych z różnych stron kraju. Niemal wszystkim jego przyjaciołom uśmiechała się nadzieja przewag wojennych, tryumfów i zdobyczy. Najwięcej jednak dodał mu otuchy Pan Wojewoda Krakowski, Mikołaj Zebrzydowski. Byle Król Jego Mość zechciał przymknąć jedno oko, a bez jego czynnej pomocy się obejdzie. Takie było zdanie Pana Zebrzydowskiego. No, na Króla znajdzie się sposób; Kniazik da się nawrócić OO. Jezuitom, zaś ci uczynią z Zygmuntem III, co zechcą.

Wyprzedał się, pozastawiał, co mógł, zadłużył się, gdzie mógł, ale wielkim i świetnym dworem wyruszył z Carewiczem

Dymitrem do Krakowa. Panna Maryna ukazała się dopiero na samem wyjezdnem. Była bledsza niż zwykle i dużo poważniejsza. Na pożegnanie podała ojczeńkowi czółko do pocałowania i łaskawszem na pozór spojrzeniem uszczęśliwiła Kniazia Dymitra.

Zima była jeszcze tęga, lecz o wszystkiem pomyślano i wszystko przygotowano zawczasu, jakoż podróż odbyła się wygodnie, a nawet przyjemnie. Carewicz Dymitr mógł osobiście się przekonać, że wszędy imię jego było na ustach. W Krakowie dla siebie i swego pocztu zastał przygotowany osobny dwór. Wrodzona mu przebiegłość, wspomagana chytrością Pana Wojewody, pozwoliła mu zachować się godnie na wspaniałym bankiecie, wydanym wrychle dla najprzedniejszych panów senatorów. Czapką i papką jednał Pan Sandomierski stronników dla swego przyszłego zięcia.

Monsignor Rangoni był również obecny. Nie zaniedbywał potraw i napojów, ale powitał nader politycznie i niemal czule Kniazia Dymitra, który wydał się mu młodzieńcem prawie potulnym, przytem skromnym, rzutkim w słowie i pochopnym do czynu. Bacznym oczom Księcia Biskupa nie uszła jakowaś jego wyższość oraz jego piękne, białe ręce.

Pan Sandomierski rozpromieniony, co chwila powstawał, ruszał czapki i wznosił kielich za czyjeś zdrowie. Zaczął od najdostojniejszego wysłannika papieskiego, potem uczcił swego przyjaciela, Pana Zebrzydowskiego, a naostatek przypił do miłościwego Księcia Dymitra. Biesiadnicy przyglądali się mu ciekawie. W wielkiej, wspaniałej sali, jarzącej się od świateł, dokoła ustawionych w podkowę stołów uczyniło się gwarno. Gawędzono o przyszłej wyprawie moskiewskiej, o wielkich korzyściach, jakie mogą z niej wyniknąć dla całego chrześcijaństwa i dla Rzczpltej. Książę Dymitr swym zwyczajem pił mało, mówił niedużo, za to dużo słuchał. Był ciekaw, z kim będzie miał do czynienia. Nie rozchmurzały się jego posępne

oczy. Do Panny Maryny, ale i do pól otworzystych, do chwały wojennej, tęskniła jego młoda, nieodgadniona dusza.

Ksiądz Nuncjusz, rozmawiając z nim, odważał mądrze każde słowo. Nie powiedział nic, coby pozwalało domyśleć się, że skrycie pała niecierpliwością. Rzymska mądrość, która sięga bez wahania po różaną radość życia, ale jest bardzo powściągliwa, gdy chodzi o jego zawiłości i głębie, kazała mu mieć się na baczności. Wolał działać z ukrycia przez Pana Krakowskiego i OO. Jezuitów.

Potężny ciałem i duchem Pan Mikołaj Zebrzydowski mniej gmatwał się w subtelnościach wątlącego skory czyn sumienia. Wprawdzie słuchał rozmów uważnie, ale nie zadawał sobie pytania, czy uwielbienie, z jakiem ten tajemniczy, naznaczony brodawkami młodzian rozprawiał o Kościele Katolickim, jest szczere lub udane, ani też czy może być on istotnie synem okrutnego Iwana Wasylewicza. Jaśnie wielmożna jego buta, co wkrótce potem nie wahała się zażec złowrogiego płomienia rokoszu, wstrząsnąć posadami Rzczpltej i wywołać żałosnego bratniej krwi przelania, widziała w nim tylko ślepy, podatny miecz, którym będzie można poskromić albo nawet zupełnie zniszczyć nienawistną potęgę moskiewską. Miecz ten, dla większej skuteczności, należało zdaniem jego zanurzyć przedtem w wodzie święconej wedle obrządku łacińskiego czyli innemi słowy skłonić Dymitra, żeby wyrzekł się błędów prawosławnych i powierzył zbawienie swej duszy świętemu Kościołowi Katolickiemu. Dwudziestoletni rozejm z Borysem Godunowem, zawarty i zaprzysiężony przez Księcia Lwa Sapiehę imieniem Króla i Rzczpltej, był w przeświadczeniu jego nieważny. — Nie mogą nas wiązać umowy, wyłudzone przez wydziercę i przywłaszczyciela korony, której prawowity dziedzic umów tych uznać nie zechce i za niebyłe uważać je będzie — dowodził przekonywująco i wymownie w kilka dni później Królowi Jego Mości na krótko przed posłuchaniem, na którem miał być przyjęty Carewicz Dymitr.

Posłuchanie to odbyło się poufnie. Zygmunt III nie chciał narażać się niechętnym senatorom, którzy go śledzili i podsłuchiwali; przytem Borys Godunow mógł mieć swych szpiegów wszędzie. Książę Dymitr szedł na nie jak na ścięcie. Ważyły się jego losy. Zaciskał grube wargi. W posępnych jego oczach mimo otuchy, której dodawał mu Pan Sandomierski, pałały potępieńcze płomyki. Korny i pobladły stanął przed Zygmuntem III. Król w postawie, pełnej majestatu, ze wspaniałym kapeluszem na głowie i białą ręką, wspartą o krawędź połyskliwego stolika, wydał się mu istotnym Pomazańcem Bożym, wyniesionym wysoko nad małości i niedole zwyczajnych ludzi. Na dużej, czerstwej twarzy królewskiej igrał łagodny, lecz nieprzenikniony uśmiech bóstwa. Zwolna podał do ucałowania rękę nowemu hołdownikowi i nie bez pewnej lubości uczuł na niej zadrżenie jego ust. Książę Dymitr jął mówić pośpiesznie i bezładnie, jakby słowa jego przynaglała zadawniona krzywda. Czuł na swej twarzy spojrzenie oczu królewskich i wydawało się mu, że czczy ich błękit wzbierze niebawem burzą nadludzkiej mocy, co mroczne tajnie jego duszy rozwidni nagle olśniewającą błyskawicą. Z niezmiernym wysiłkiem i dopiero w ostatniej chwili przypomniała się mu opowieść o królewiczu, niemym od urodzenia, który widząc nad głową swego ojca, Krezusa, wzniesiony miecz żołdaka perskiego, odzyskał z przerażenia głos i zawołał: Żołnierzu, nie zabijaj króla lidyjskiego! — On także był skazany na długie, tułacze milczenie. Wszelako na widok nieszczęść swej ojczyzny, niedoli swego ludu i pohańbienia korony swych ojców niby starożytny ów królewicz odzyskuje głos, aby błagać o pomoc i opiekę Najmiłościwszego Króla Polskiego. Serce powiada mu, że niepłonna będzie jego prośba, ponieważ nie opuści pokrzywdzonego sieroty wspaniałomyślność narodu polskiego oraz wielkoduszna łaska królewska. Poczem spokojniejszym i mocniejszym nieco głosem jął zapewniać o wieczystej wdzięczności, napomykając dość niejasno i bałamutnie

o sławie i korzyściach, jakie stąd wynikną dla Rzczpltej Polskiej.

Król Jego Mość słuchał łaskawie. Ucho jego, nawykłe do starożytnych porównań, pogłaskała zręcznie użyta przypowieść z Herodota. Podobała się mu trwożna, niemal poddańcza cześć, jaką mu okazywał ten carzyk moskiewski. Zygmunt III wyobrażał już sobie w duchu niepoliczone zastępy moskiewskie, co pod wodzą tego rycerskiego młodzika ruszą przeciw Karolowi Sudermańskiemu i dopomogą mu do odzyskania podstępnie wydartej korony szwedzkiej. Odpowiedź miał gotową, ale nieodmienny obyczaj ceremonjału dworskiego nie pozwolił mu dać jej odrazu. Na skinienie Pana Podkomorzego Koronnego, który był mistrzem ceremonji, wyszedł Książę Dymitr do antykamery, gdzie oczekiwał go Pan Sandomierski w towarzystwie Księcia Konstantego oraz wielu innych panów. Król Jego Mość pozostał z *Monsignorem* Nuncjuszem. Narada ich była tylko pozorna i trwała niedługo. Wszystko już było zgóry umówione. Ksiądz Biskup Rangoni zaledwie zdołał ukryć swe zadowolenie, gdy Dymitr na wezwanie wchodził znowu z pochyloną głową i złożonemi błagalnie na piersiach rękami. Król Jego Mość ruszywszy zlekka kapelusza, rzekł do niego z miłościwym uśmiechem na wyniosłej twarzy:

— Bóg z wami, Dymitrze, Książę Moskiewski, bowiem ze słów waszych i ze świadectw wiarygodnych wiemy, że nim jesteście. Jako gościowi i przyjacielowi naszemu wyznaczamy na potrzeby wasze czterdzieści tysięcy złotych oraz pozwalamy wam układać się z pany naszymi, korzystać z ich rad i pomocy.

Dymitr nie zmienił swej kornej postawy. Oniemiał z nadmiaru radości, co falą światła wtargnęła do jego chmurnej duszy. Nie czuł prawie, że ktoś włożył mu na szyję złoty łańcuch z wizerunkiem oblicza królewskiego. Pokłonił się głęboko, poczem wyszedł nawpół nieprzytomny, nie przemó-

wiwszy ani słowa. Nie słyszał tryumfalnego gwaru, którym powitali go przyjaciele w antykamerze, nie rozróżniał twarzy, bezwiednie ściskał podawane dłonie. Świat rozokolił się mu przed oczami. Uczuł w sercu raźny przypływ mocy, jakgdyby na czole położyła mu swą rękę potęga.

Monsignor nie zaraz pożegnał króla. Dobrotliwemi słowy uniewinniał dzikość i zmieszanie młodzieńca, który wzrósł śród prześladowań. Mówił tem składniej, że w jego wyobraźni wyraźniej niż zwykle majaczyła kardynalska purpura, a świątobliwego spokoju jego duszy nie mąciły tym razem płowe włosy ni modre jak blade niebo oczy żadnej polskiej dziewoi.

XII.

Imci Pan Wojewoda Krakowski nie był zbyt przenikliwym znawcą ludzi, gdyż jego butne warcholstwo zwykło było więcej polegać na przewadze siły i pieniędzy niż na zawiłych igraszkach popędów ludzkich. Był człowiekiem powierzchownej, prostej wiary, którą z łatwością naginał do swych zachceń i porywczych przewinień, żeby później za nie szczerze pokutować. Nie lubił zaciekać się w wątpieniach religijnych, co spędzały podówczas sen z niejednych powiek i były troską niejednego w Polsce sumienia. Powaga ich mroziła go posępnem, stęchłem tchnieniem grobu. Nawykł był wprawdzie patrzeć w oczy śmierci, ale myśleć o niej nie lubił.

To też z niejakiem zaciekawieniem i zdziwieniem spoglądał na Hospodarczyka, jak w poufnych rozmowach z Panem Sandomierskim miał zwyczaj nazywać Księcia Dymitra. Juścić zaopiekował się nim, popierał gorliwie jego zuchwałe zamiary i sam namawiał go do zmiany wyznania, bez której dla Polaków mógł być on tylko przybłędą obcym i nic nie znaczącym. Nie pojmował atoli, jak człowiek młody i pan rycerski może przejmować się tak bardzo rozmyślaniami religijnemi. Bowiem Książę Dymitr od pewnego czasu żył tylko niemi, zdawał się nie pamiętać o niczem innem. Iście mnisze zapamiętanie było w pochopnej żarliwości, z jaką garnął się na łono Kościoła Katolickiego. Z niepomiernem lekceważeniem jął odzywać się o ciemnocie i grubych zabobonach duchowieństwa greckiego. Wzamian wielbił pasterza ludów i ojca uciśnionych, Papieża Rzymskiego, pałał chęcią nawró-

cenia wszystkich swych poddanych, nie wyłączając bałwochwalców i mahometanów, i gotów był cerkwie prawosławne w całem Carstwie Moskiewskiem zamienić na świątynie katolickie.

Pan Krakowski poprostu osłupiał, gdy Książę Dymitr, wytrącony z głębokiej zadumy jakiemś obojętnem pytaniem, oświadczył mu niespodziewanie, że ślubował odbyć pielgrzymkę do Częstochowy.

— Zaszkodziłbyś sobie tem wielce, Mości Książę, — odrzekł, spoglądając na Carewicza z niejaką podejrzliwością. — Coby na to powiedziała Moskwa? Bojarowie twego pocztu wyczekują, co prawda, cierpliwie po księżych antykamerach, lecz podobno już na to się uskarżają. Za często bywasz w naszych kościołach. A nie wiem, czy twoje śluby byłyby miłe Przenajświętszej Panience, boś jeszcze nie naszej wiary.

Książę Dymitr przyznał słuszność tym rozsądnym uwagom, ale po kościołach bywać nie przestał. Czas był wielkopostny. Żałobna chwała nabożeństw katolickich zdawała się odpowiadać jego usposobieniu. Lubił oddychać dymem kadzideł, słuchać łkających pieśń chóralnych i uroczystej muzyki organów, patrzeć na rozmodlone twarze i pochylone pokornie głowy, na które słowa kaznodziejów zdawały się spływać niby płomieniste języki. Zachwyconemi oczyma dziecka wpatrywał się w promienne otoki świateł dokoła ołtarzy, rozmigotanych od złota. Świętą grozą przejęły go obrzędy w kościele Kamedułów. Świątynia była zatłoczona wiernymi. Z ambony przemawiał jakiś młody zakonnik o surowej, wybladłej twarzy i rozszerzonych umartwieniem źrenicach, co posępnymi ognikami gorzały w dołach czarnego smutku. Długiemi, wątłemi ramionami, z których obsuwały się szerokie rękawy włosiennicy, zdawał się miotać przestrogi i upomnienia, bezlitosne, bolesne i natarczywe, jak świeżo wyostrzone noże. Wkońcu mocnem, rozkazującem skinieniem dał znak. Światła w kościele pogasły. Wiernym zaparło dech w piersiach.

Bracia zakonni obnażyli swe grzbiety i ujęli silnie w dłonie rzemienne dyscypliny. Rozległ się w mroku świst biczy. Księciu Dymitrowi rozdęły się nozdrza. Poczuł wyziew krwi. Przejmującą rozkoszą drgnęło w całej jego istocie dzikie okrucieństwo. Nie widział biczowania, lecz wyobrażał sobie sine pręgi na wyschłych, wzdrygających się ciałach i ciepłą posokę krwi, wsiąkającej w szorstką tkaninę włosiennic. Niby rzężenie konających rozbrzmiewało w złowrogiej ciszy straszliwe *Miserere*. Wtem znów godowym rozbłyskiem zapłonęły światła. Pierzchły pokutne oćmy potępienia. Nad śmiercią miało zwyciężyć życie, a razem z niem wniebowzięta radość. Odświętnie, uroczyście rozległy się dziękczynne i pochwalne hymny, tryumfalnym rozpryskiem srebrnych dźwięków wionęły pod sklepienie organy, odetchnęły znowu swobodniej uciśnione piersi ludzkie. Niema, niema śmierci! Zmartwychwstanie Syn Człowieczy! Nieziemską, tajemniczą światłością zajaśniał nad głowami wiernych Przenajświętszy Sakrament. Kniaziowi Dymitrowi wydało się, że niewidzialne anioły otulają go w rękach kapłana swojemi skrzydłami. Szedł razem z innymi w tłumnej procesji, trzymając zdala od siebie gromnicę jarzącą się i ociekającą woskiem. Od wielkiego ołtarza nieprzerwanym korowodem leciały nad procesją anioły i śpiewały hymn święty Chwała na Wysokościach... W chwili błogosławieństwa ukląkł na oba kolana i uderzył czołem o płyty posadzki. Stąpał, niby pogrążony w głębokim śnie. Nie czuł uprzykrzonych jak muchy, ciekawych spojrzeń ludzkich. Pasowały się w nim dotychczas dwie moce: moc krwi, zakrzepłej w gnuśnem barbarzyństwie, oraz jasne anielstwo ducha. I oto duch zwyciężył. Może przemijająco, może tylko na krótko, lecz zwyciężył. Jego poprzednicy byli władcami z ciała, on będzie pierwszym władcą z ducha. Rozkuje więzy niewolniczych sumień, zaczynając od siebie. Uczuł się wreszcie godnym przyjąć w serce swe posiew boskiej prawdy, dostąpić łaski szczerego nawrócenia. Tak mu się przynajmniej

zdawało w olśniewającym zachwycie człowieka, wyniesionego z nizinnych padołów.

Wzruszonym, nabrzmiałym od łez głosem spowiadał się Panu Krakowskiemu, gdy wychodzili z kościoła. Nigdy czegoś podobnego nie doznał w cerkwi prawosławnej. Bezduszne były modły popów ruskich, nudnie wlokły się przeciągłe ich psalmodje. Dojrzał już do nawrócenia. Wielką atoli jest rzeczą odstępstwo od wiary ojców. Jest pełen wahań i wątpliwości. Zbyt głęboko zakorzeniły się w jego umyśle narowy schyzmatyckie. Potrzebuje światłej rady. Gdybyż go ktoś ostatecznie oświecił, przekonał...

Pan Krakowski oddawna oczekiwał tych słów. Jednak pokrył w sobie zadowolenie i zagadnął:

— To może, Mości Książę, chciałbyś pomówić o pryncypjach naszej wiary z uczonymi teologami?

— Właśnie o to by mi chodziło — odrzekł Dymitr. — Cóż, kiedy nie wiem, do kogo się zwrócić.

— Myślę, że najlepsi byliby Jezuici, lecz nie moja to rzecz. Zapytam *Monsignora*. Niech poradzi.

I zaczął mówić o czem innem. Rychło jednak wywnioskował z roztargnionych odpowiedzi Dymitra, że myśli jego wciąż jeszcze nie są z tego świata, więc umilkł. Rozwiały się znowu jego podejrzenia.

— Zakuty mnich! — pomyślał sobie. — Mnich i rycerz — dziwował się w duchu. — Jakie to będzie jego carowanie?

Pojaśniała radością rzymska twarz Księdza Nuncjusza, gdy dowiedział się nazajutrz z listu Pana Krakowskiego o życzeniu Dymitra. Wybór jego był już uczyniony. W domu zakonnym przy kościele św. Barbary zdawna oczekiwano wezwania. Tegoż samego dnia wieczorem długim, śród grubych murów ukrytym krużgankiem do ustronnej, niedostępnej dla podejrzliwych bojarów moskiewskich komnaty Pana Zebrzydowskiego weszli dwaj Ojcowie Jezuici. Obaj słynęli ze swej uczoności i obaj byli przejęci ważnością swego zadania. To też

niklejszym i ruchliwszym niż zazwyczaj wydawał się Ojciec Superior Sawicki i głośniej sapał Ojciec Grodzicki, ogromny jak zwalista dzwonnica, którą przyodziano w księżą sutannę. Książę Dymitr przybył wcześniej od nich. Śpiesznym, nierównym krokiem przechadzał się po obszernej komnacie. Był sam. Pan Krakowski wyszedł przed chwilą, zalecając mu zupełną szczerość i głęboką rozwagę. Miał inne zajęcie, nie był zresztą ciekaw dysputy religijnej.

Potężnym, basowym głosem pochwalił na powitanie Pana Boga Ojciec Grodzicki, śpiewnie i miękko zawtórował mu Ojciec Superior Sawicki.

Książę Dymitr przyjął ich z nieco wyniosłą i zarazem poufałą uprzejmością, z jaką możni tego świata zwykli witać niekiedy sługi Chrystusowe. Był uszczęśliwiony, że będzie mógł z nimi porozmawiać. Chce otworzyć swe serce. Bodajby w nie zajrzeli i zobaczyli, że jest czyste. Nie może jednak oprzeć się wątpliwościom. Chciałby spytać o różne rzeczy...

— Pytajcie, Panie Miłościwy, — odezwał się Ojciec Sawicki z głębi wielkiego, poręczowego krzesła. Nie spuszczał bacznego oka doświadczonego znawcy dusz ludzkich z brzydkiej, babskiej twarzy Carewicza. Podobała się mu ognistość jego natury, przebijająca poprzez skrywaną nieśmiałość zakłopotania.

— Pytajcie, Mości Książę, — powtórzył O. Grodzicki. — Jesteśmy poto, żeby na pytania sumienia sumiennie odpowiedzieć.

— Powiedzcież tedy Ojcowie, — wybuchnął porywczo Książę Dymitr — dlaczego Kościołowi Katolickiemu zarzucają ruscy popi i władycy, że zerwał z dawną wiarą, kiedy jeszcze nie było katolików ni prawosławnych?

— Tak, to oni mówią — odparł pobłażliwie Ojciec Sawicki. — Daj im Panie Boże opamiętanie. Ale to nieprawda. Nigdy Kościół Święty nie zrywał ze starą wiarą. To oni od niej odstąpili, bowiem nie chcą uwierzyć, że Duch Święty pocho-

dzi od Ojca i od Syna i nie uznają starszeństwa Papieża Rzymskiego nad wszystką Cerkwią Ruską.

— Skądże to wiadomo, że Duch Święty pochodzi także od Syna? Czy są na to jakie świadectwa?

Ojciec Sawicki uśmiechnął się wyrozumiale. Zanim jednak zdążył dać odpowiedź, już go wyręczył Ojciec Grodzicki.

— Mówiliście, Panie Miłościwy, o starej wierze — huknął znagła. — Otóż ta wiara zawsze wyznawała, że Duch św. pochodzi od Syna. Zali nie wiecie, co oświadczył powszechny Sobór piąty w Carogrodzie? Posłuchajcież!

Zasapał się i przerwał. O. Sawicki, jakby wyjmując słowa z jego popędliwych ust, jął recytować miarowym, słodkim głosem:

— We wszystkiem Świętych i Nauczycielów Świętej Cerkwi Bożej naśladujemy: Atanazego, Hilarjusza, Bazylego, Grzegorza Bogosłowa, Grzegorza Nissena, Ambrożego, Augustyna, Teofila, Cyryla, Jana Carogrodzkiego, Leona, Prokla — i wszystko, co od nich napisano jest o prawej wierze i na potępienie heretyków, przyjmujemy.

Kniaź Dymitr zamyślił się. — Widzę z tych imion, że Cerkiew starej wiary nietylko na greckich, ale i na łacińskich polegała Ojcach — rzekł po chwili.

— Juścić — zawołał tryumfująco O. Grodzicki. — A wiecie wy, Mości Książę, jak się wyraża w *Symbolum* swojem prawosławny św. Atanazy, Patrjarcha Aleksandryjski? Duch św. od Ojca i od Syna nie uczyniony, nie stworzony, ale pochodzący! Te słowa tylko w greckich księgach się znajdują, bo je Panowie Dyzunici wyrzucili, jak świadczy Patrjarcha Carogrodzki, Gennedius.

— Niemniej dobitnie wypowiada się zarosły starożytnością św. Cyryl, Patrjarcha Aleksandryjski, — zabrał znowu głos O. Sawicki — bowiem pisze: Istotnie z obydwuch, to jest z Ojca i Syna wycieka Duch Święty. Zaś wycieka albo wylewa się znaczy tyle, co pochodzi. Ponieważ tedy Duch św., prze-

bywając w nas, czyni nas podobnymi Bogu, a pochodzi od Ojca i Syna, przeto rozumie się samo przez się, iż jest On Boskiej Istoty i rzeczywiście w niej i z niej pochodzi, jako wręcz odmiennie owo, co z ust ludzkich wybiega.

Przerwała się grobla jego uczoności. Nie dał już przyjść do słowa swemu duchownemu przyjacielowi, który tylko sapał i potakiwał w milczeniu skinieniem głowy. Mówił wiele, szybko i zawile. Powoływał się jeszcze na prawosławnego Patrjarchę, św. Jan Carogrodzkiego oraz na Wielkiego Metropolitę, św. Bazylego. Książę Dymitr słuchał pilnie. W jego małych oczach drgnął błysk płochej wesołości, gdy usłyszał, że św. Cyryl zarósł starożytnością, ale zgasł zaraz, jakby poskromiony nakazem surowej woli. Carewicz zdawał się porównywać w myślach słowa Ojca Superiora z tem, co mu już kiedyś, lubo wręcz inaczej, mówiono.

— No, ale dyzunici mają za sobą jasne słowa z Ewangelji św. Jana. — Zmarszczył czoło, pomyślał chwilę, poczem przytoczył z pamięci: — Gdy przyjdzie Pocieszyciel, którego ja wam od Ojca przyślę, Duch prawdy, który od Ojca pochodzi. On da świadectwo o mnie.

O. Sawicki żachnął się, gdyż zdumiał się nieco w duchu. Nie spodziewał się tego argumentu z ust świeckiego młodziana. Atoli wraz przypomniał sobie, że Kniaź Dymitr bywał po monasterach, przeto odrzekł z naciskiem:

— Nie o to spór. Wierzą katolicy, iż Duch św. od Ojca pochodzi. Ale niechaj popi z Pisma świętego dowiodą, że nie pochodzi także od Syna. To jakby ktoś powiedział, że Piotr ma matkę, a zatem niema ojca; że ma brata, *ergo* nie ma siostry; że jasność, która pochodzi od słońca, nie może już tem samem pochodzić od jego promienia.

Wypowiedział to z ogniem głębokiego przekonania. Światło wiary rozwidniło jego umysł. Uczuł w sobie dar przekonywania. Niedarmo błagał w modlitwach swych o łaskę słowa.

Książę Dymitr wspomniał jeszcze coś o Baronjuszu, lecz milczący od dłuższego czasu O. Grodzicki wprost zdruzgotał jego wątłe dowodzenie, wykazując jak na dłoni, iż Baronjusz nigdzie nie przeczy pochodzeniu Ducha św. od Syna.

Nierównie łatwiej poszło Ojcom Jezuitom z uzasadnieniem starszeństwa Papieża Rzymskiego. Mieli za sobą powagę Leona Wielkiego i św. Tarazjusza ,mogli powołać się na Papieża Innocentego, który wyłączył ze społeczności chrześcijańskiej Patrjarchę Aleksandryjskiego, Teofila, i Patrjarchę Carogrodzkiego, Ursacjusza. Już za czasów cesarza Justyniana Papież Rzymski, Agapet, wyklął kacerskiego Antima, i na jego miejsce mianował Patrjarchą Carogrodzkim Mennę. Przed Stolicą Apostolską uginali się cesarze greccy; udawali się do niej po błogosławieństwo św. Cyryl i Metody, zaś św. Teodor Studita pisał błagalnie do Leona Papieża:

Archipasterzu Cerkwi, która jest pod niebem, pomóż nam, bo zginiemy. Naśladuj Chrystusa i daj rękę pomocy Cerkwi naszej Carogrodzkiej! Naśladuj swego wielkiego poprzednika i imiennika (to jest Leona Wielkiego), który na heretyka, Eutychesa, ryknął. I ty ryknij na dzisiejsze kacerstwo!

Słowa te odczytał O. Grodzicki z przygotowanej zawczasu kartki. Kniaź Dymitr uśmiechnął się znów niepostrzeżenie, lecz bronił się słabo. Wspomniawszy Patrjarchę Moskiewskiego, już niewiele miał do powiedzenia. Bo i czemże był ten niedołężny starzec, wyniesiony zmienną łaską hosudarską, w porównaniu z światowładną potęgą Stolicy Apostolskiej? Niby od niechcenia zagadnął:

— A dlaczego Papieże Rzymscy każą się całować w nogi nawet królom i książętom?

— Bo tę uczciwość Kościołowi Prawdziwemu przyobiecał Duch Święty — odparł żywo O. Sawicki. — Bo Chrystus Pan wymaga aktów pokory, które podobnymi znakami się wyrażają. Czyliż sam nie umywał nóg Piotrowi świętemu? A Papież czyż nie myje i nie całuje corocznie nóg ubogim żebra-

kom dla czci Pana naszego? Zaiste, trzeba hardego zaślepienia heretyków, żeby tego nie rozumieć.

Było już późno, gdy odchodzili Ojcowie Jezuici, utrudzeni, lecz ufni, że ich ziarno nie padło na jałową opokę. Książę Dymitr zapytał nieśmiało przy pożegnaniu O. Sawickiego:

— Ojcze wielebny, czy zechcecie mnie przyjąć na łono świętego Kościoła Katolickiego i być moim spowiednikiem?

O. Sawicki oniemiał ze wzruszenia. Drżącą ręką uczynił znak krzyża nad jego czołem.

— Bóg z wami, Książę! Bóg z wami! — bełkotał, oglądając się jeszcze ode drzwi.

Mrucząc pacierze, szli we dwójkę długim korytarzem. Od ścian blado migotały kaganki oliwne. Ojciec Grodzicki wykrzyknął:

— Twardy on w uściech. Ale nasz — już nasz!

Odtąd rycerski Carewicz moskiewski bywał częstym gościem w domu zakonnym przy kościele św. Barbary. Zachodził tam o zmierzchu, gdy łacniej mógł zgubić się w tłumie. Na swój strojny żupan z szkarłatnego, kwiecistego aksamitu wkładał dla niepoznaki czarny, przestronny habit, w jakich na podobieństwo widziadeł snuli się od domu do domu Bracia Miłosierdzia, zbierając jałmużnę dla ubogich. Z otworów kaptura, co osłaniał szczelnie jego rusą głowę, tajemniczo i posępnie błyskały jego oczy. Zaprzyjaźnił się z Jezuitami. Był dobry i uległy jak dziecko. Z głęboką skruchą wyrzekł się błędów heretyckich przed surowym Ojcem Sawickim. Wyspowiadał się sumiennie z grzechów swego niedługiego żywota. Jak rzucane w przepaść kamienie, głucho zapadały w ciszę pustego kościoła jego wyznania gorzkie i żałosne.

Tkliwie i niemal po ojcowsku spoglądał na Kniazia Dymitra Nuncjusz Apostolski, odprawiając wnet potem Mszę świętą w komnacie swego pałacu, którą zamieniono na kaplicę. Carewicz klęczał przed ołtarzem, wsparłszy rękę na złotej głowicy krzywej, tureckiej szabli. Pobożnie skrzyżował

na piersiach ramiona i przymknął oczy, przyjmując Komunję w swe rozchylone usta. Książę Biskup pomazał go następnie Olejami świętymi, poczem lekkim policzkiem swej uświęconej dłoni pasował go na rycerza chrześcijańskiego, który miał pojednać Cerkiew Ruską z Kościołem Rzymskim i poskromić bisurmana. Dymitr rozpłakał się jak bóbr. Idąc za popędem swej pierwotnej, gorącej natury, rzucił się przed Nuncjuszem na kolana. Na znak czci synowskiej dla Ojca świętego chciał ucałować stopy jego zastępcy. *Monsignor* odtrącił go pokornie i łagodnie, lubo serce jego tajało ze szczęśliwości.

XIII.

Pan Michał Ławrynowicz Ratomski, Starosta Osterski, co miał plecy jak drzwi i wąsy jak dwa potężne, zmierzwione wiechcie, wierzył w Boga i czcił rany Chrystusowe, chociaż nikt nie wiedział wedle jakiego obrządku. Zdziczał i skozaczał w swym warownie ostrożonym gródku wśród komyszy stepowych. Za młodych lat był podobno żonaty, lecz zgubił małżonkę w swem burzliwem życiu jak w tańcu ostrogę. Żył samotnie, otoczony chmarą nadwornego, bucznego kozactwa, zaś jedynym jego druhem był kapelan zamkowy, Ksiądz Florjan Łatęda, który jakiemś zrządzeniem Opatrzności przybłąkał się aż z Wielkopolski. Powiadano sobie na ucho, że coś przeskrobał i że zaciężyła nad nim ręka biskupia. Atoli była to jeno plotka, której rękodajni nie śmieli powtarzać nawet przy kielichu. Ogromny, barczysty Pan Ratomski nigdy nie zachodził do kościoła, odkładając skruchę na koniec życia. Żałośnie z tego powodu potrząsał głową Ksiądz Łatęda, nie zapominał jednak o jego zatwardziałej duszy i polecał ją codziennie w swych modłach nieskończonemu miłosierdziu Boskiemu. Mimo to kochali się jak bracia, jako że przystawali do siebie niby bliźniacze dłonie. Obaj nie mogli żyć bez łowów i wypraw rycerskich, obaj pili potężnie, grywali namiętnie w szachy i — o, dziwo! — prześcigali się w uwielbieniu dla Horacego, którego Ksiądz Florjan w chwilach ciężkiego opilstwa poważał się nazywać „świeckim Ojcem Kościoła“.

Grzech ten starał się zmazać przykładnem spełnianiem

swych obowiązków duszpasterskich. Dbał wielce, acz, jak niektórym niepoprawnym zrzędom się zdawało, nader bezskutecznie o zbawienie służby i czeladzi swego dobrodzieja i przyjaciela. Przeważnie składała się ona z zatraconych drapichróstów i włóczykijów, którzy przed pościgiem nierychliwej sprawiedliwości polskiej chronili się w stepowe odludzia. Umiał przebierać między nimi Pan Starosta, ujmując ich w karby żelaznej, lecz sprawiedliwej karności, co z pospolitych opryszków czyniła niekiedy rycerzy prawych i niezłomnych. W tem trudnem dziele uszlachetniania czerni ludzkiej dopomagał mu dzielnie Ksiądz Łatęda, który nawet przy konfesjonale nie szczędził dyscypliny. Miał ją zawsze pod ręką, bowiem w cichości zwykł był nią poskramiać swe cielsko, czasem nadmiernie rozuzdane. O kozaków i miejscową, nawpół dziką ludność ruską wcale się nie troszczył, utrzymując, że te chamy nigdy nie pojmą świętych tajemnic Kościoła Katolickiego i nigdy nie będą godni wejść do Królestwa Niebieskiego. Czy kto karcił go kiedy za te osobliwe poglądy, niewiadomo. Ksiądz Łatęda, zaprzepaściwszy się w stepach, unikał zetknięcia z innymi księżmi, zaś zwierzchność duchowną, której rzekomo podlegał, znał tylko z dawno minionej przeszłości, no, i ze słyszenia. Zresztą pocieszał się tem, że sumienie miał czyste, bo że od czasu do czasu zastrzelił na podjeździe kilku wrażych Kozaków, Tatarów lub Moskwicinów, to uważał sobie za zasługę, która napewno przepomniana być nie mogła na strasznym Sądzie Bożym. Mniemał, że obowiązkiem uczciwych ludzi i dobrych chrześcijan jest czyścić ziemię z wszelkiego plugastwa. Bez względu na porę roku miał zwyczaj odprawiać Mszę świętą bardzo wczesnym rankiem. Pijał tedy tylko od godziny dwunastej w południe do godziny dwunastej w nocy. Już około dziesiątej wieczorem kładł przed sobą na biesiadnim stole srebrny, cebulasty zegarek holenderski i wychylając szklanice, spoglądał na niego co chwila. Po północy za żadne skarby doczesnego

i znikomego świata nie byłby pokalał swych ust pokarmem ni napojem, chociaż by miał nim być najprzedniejszy, *obarny miediec* ruski, który Ksiądz Florjan dla jego aromatu, zdrowej krzepkości i kryształowej klarowności niezmiernie cenił.

Ważąc w zamyśleniu półgarncowy kielich w ręce, dziwował się sobie niekiedy zacny Ksiądz Florjan, iż tak trudno przyszło mu zrazu nawyknąć do życia w tym okolonym wodami, kresowym gródku, gdzie jedynymi niemal gośćmi bywali co pewien czas pograniczni bojarowie siewierscy. Miał śród nich wielki mir Pan Starosta Osterski. Znał ich troski, radości i obyczaje, żył z nimi za pan brat, pijał często, lecz bijał się też niekiedy. Bowiem mimo przyjaźni nie obchodziło się bez sąsiedzkich, często krwawych waśni i zatargów, zaś Pan Starosta nietylko lubował się Horacym, ale także rzymską miał duszę, pilnie stojąc na straży godności i granic Rzczpltej.

Dla Księdza Florjana niepojętem dziwactwem było osobliwe, niemal do przywiązania spotęgowane upodobanie Pana Ratomskiego do odwiecznego, z grubych, poczerniałych bierwion jodłowych niezgorszą robotą ciesielską zbudowanego wiatraka, co stał daleko poza obrębem gródka na wyniosłym brzegu Desny, samotnie w szczerem polu. Niby ramiona ogromnego krzyża kreśliły się na tle nieba jego wielkie śmigi, umocnione wzdłuż i w poprzek zardzewiałemi, żelaznemi okuciami. Łomotały one nader rzadko i tylko na wyraźny rozkaz dziedzica, który czasami kazał puszczać wiatrak w ruch, jakgdyby dla nasycenia oczu powolnym obrotem śmig, skrzypiących posępnie na swej osi. Wiatrak od lat stał bezczynnie, bowiem ziarno z rozległych majętności mełło się na żarnach, obracanych przez jeńców tatarskich, lub w młynach, których było poddostatkiem. Jednakże Pan Starosta nie pozwalał zburzyć wiatraka, który mógł stać się niebezpieczną kryjówką i osłoną dla jakiej rozbójniczej watahy, zaś co więcej, miał o niego nader troskliwe staranie. Corocznie kazał poprawiać dach, uzupełniać gonty w śmigach oraz zmieniać przegniłe lub

spróchniałe słupy. W przystępach melancholji, która mimo czynnego życia nawiedzała go dość często, lubił przesiadywać na wysokim ganku wiatraka i spoglądać stamtąd na przeciwległy, spadzisty brzeg Desny, jakgdyby śledził, czy z pobrzeżnych chaszczy nie wysuną się znagła moskiewskie łodzie, czyhające na jego gardło i dobytek.

Pan Starosta był bardzo skryty. Ku ubolewaniu Księdza Kapelana nie chciał nigdy przystąpić do spowiedzi. Nie wiedział tedy Ksiądz Łatęda, iż z tym wiatrakiem kojarzyło się wspomnienie, które mimo dojrzałego wieku i poczynającej się siwizny jątrzyło się w duszy rycerza niby blizna osurowiała, lecz nie wygojona.

Za swych młodych lat pozostawał Pan Ratomski w bliskiej zażyłości z bojarzynem moskiewskim, Wańką Saburowym, którego ziemie graniczyły o miedzę z jego posiadłościami. Jako człek ognisty i chciwy płci białej rozmiłował się Pan Starosta na życie i na śmierć w młodej siostrze bojarzyna, nadobnej Soni, która miała cudne liczko, drobne, jędrne piersi i czarne, płochliwe oczy leśnej łani. Dziewczyna była mu wzajemna, nie śmiała atoli przyznać się rodzicom do swego kochania, bowiem nie byliby wydali jej za Lacha, który już uchodził za potajemnego łacinnika. Pan Ratomski postąpił wedle obyczaju swych czasów. Pokryjomu przekroczył ze swymi kozakami granicę, zaczaił się w borze, porwał Sonię i uwiózł ją do swego gródka. Upojony słodyczą jej pieszczot, zaniedbał wszelkiej ostrożności. Odwet nastąpił niebawem z niepohamowaną mściwością. Wańka Saburow napadł w nocy znienacka na gródek, po krótkiej walce wyciął w pień jego nieliczną na ten czas załogę, poczem jakby na urągowisko zrozpaczonym oczom ciężko rannego Pana Ratomskiego, kazał uwiesić nagie ciało swej siostry na ścianie wiatraka. Pijany bez pamięci, znęcał się nad nią długo, aż wkońcu zabił ją strzałami, które powoli i okrutnie puszczał z cięciwy swego łuku. Pana Ratomskiego ocaliło od śmierci

jeno głębokie, podobne do zgonu omdlenie, w które zapadł z żałości i utraty krwi. Wańka Saburow kopnął go tylko kilka razy na odjezdnem nogą, plując z wściekłością w jego twarz, umazaną błotem i skrzepłą posoką. Pan Ratomski, ocucony przez wiernego rękodajnego, który cudem zdołał ujść pożogi i rzezi, nieprędko powrócił do zdrowia. Od tego czasu zmienił się zupełnie. Skończyła się dla niego junacka, lekkomyślna młodość, a nastał surowy i tajoną boleścią zatruty wiek męski. Serce jego owrzało zaciekłą, cierpliwą zemstą. Szukał Wańki Saburowa na pobojowiskach, na których wysłużył sobie u Króla Jego Mości Starostwo Osterskie, ale go znaleźć nie mógł. Widocznie bojarzyn się dowiedział, że wróg jego żyje, i czmychnął przed nim w głąb Carstwa Moskiewskiego. Wytrwale tropił go Pan Ratomski, wszelako dopiero po latach, gdy Borys Godunow zasiadł na hosudarskim *prestole*, zdołał zasięgnąć wiadomości, że Wańka Saburow jako krewny i ulubieniec carski dostąpił na Kremlu godności Bojarzyna Dumnego.

Pan Starosta Osterski zastanawiał się długo, co mu uczynić wypadnie. W przebraniu czerńca lub żebraczego włóczęgi zapuszczał się nieraz daleko na ziemie moskiewskie, poznał niegodziwość, obłudę i okrucieństwo tego grubego ludu i wiedział, że mógłby nasłać na Saburowa skrytobójców lub zgładzić go za dziengi trucizną. Jednakże wzdrygła się przed taką nikczemnością jego szlachecka uczciwość. Rozumiał, że krzywda wyszła od niego, i byłby może wybaczył Wańce swe rany i swą zelżywość, gdyby nie pamięć okrutnej śmierci Soni. Bywał nieraz na cmentarzu u jej mogiłki, zaklęsłej już w ziemię, odnawiając ślubowanie swej pomsty za jej młodą, niewinną krew. Trapił się, bo mu się zdawało, że pomsta nie byłaby pomstą, gdyby Saburow nie poległ z jego ręki lub przynajmniej nie wiedział, że ginie za jego sprawą. Wkońcu postąpił wedle zwyczaju, przyjętego podówczas przez szlachtę polską. Przez jeńca moskiewskiego, którego uwolnił i hojnie

opłacił, posłał bojarzynowi *litterae diffidationis,* wypisane pięknie na karcie pergaminu bujnemi głoskami słowiańskiemi. Było to ostrzeżenie, żeby miał się przed nim na baczności w domu, w cerkwi, w łaźni, na polu, w drodze, śpiąc, jedząc, pijąc, wszędy i na każdem miejscu, bo na nim za śmierć Soni się zemści i na gardle jego usiędzie. Saburow pismo to otrzymał, przy pomocy biegłego w piśmie djaka zapoznał się z jego treścią, Bogu ducha winnego posłańca kazał zaknutować na śmierć, a Panu Ratomskiemu odpowiedział stekiem grubych obelg i nikczemnych złorzeczeń. List jego znaleziono uwiązany do strzały, co wypuszczona moskiewską ręką, utkwiła w drewnianej ścianie wiatraka. Pan Starosta zgryzł się, lecz sroga jego zawziętość bynajmniej się nie umniejszyła. Musiał bojarzyna dostać w swoje ręce, chociaż wciąż jeszcze nie mógł dociec, w jaki tego dokaże sposób.

O tem wszystkiem nie wiedział Ksiądz Łatęda, był tedy zdumiony niepomierną radością, z jaką surowy jego dobrodziej przyjął nierychłą wieść o pojawieniu się Kniazia Dymitra na dworze brahimskim. Była to woda na jego młyn, a raczej wiatr na jego wiatrak. Mimo dwudziestoletniego rozejmu z Godunowem zapowiadała się nowa wyprawa do Moskwy. Zaraz następnego dnia pojechał z pocztem swych kozaków do Brahima, aby zapoznać się z tajemniczym hospodarczykiem moskiewskim. Miał z nim na osobności długą rozmowę i powrócił jego zwolennikiem żarliwym i gotowym na wszystko. Odrazu zrozumiały się ich nienawiści. Poprzysięgli sobie iść ręka w rękę, wspierać się wzajemnie. Pan Starosta był tak uszczęśliwiony, że wydał w swym gródku szczodry bankiet, na którym popoił do nieprzytomności sproszonych licznie bojarów siewierskich.

Odtąd rył jak kret w Siewierszczyźnie i *Kamarińskoj Wołosti.* Sam nie pojmował, skąd w jego sercu brało się tyle chytrego rozmysłu. Wysłannicy jego docierali do Wielkiego Nowogrodu, do Pskowa, Moskwy, Jarosławia i Kaługi. Niby-

to kupcy a nie kupcy, nibyto czerńcy a nie czerńcy, nibyto żebracy a nie żebracy, przebiegali Carstwo Moskiewskie od jednego krańca do drugiego. Wszędy znajdowali chętny posłuch. Zmienne i zdradliwe umysły ludu moskiewskiego odwróciły się od Borysa Godunowa. Obmierzły naraz jego zbrodnie i nieprawości. Poszła w niepamięć niestrudzona jego praca, nie pamiętano mu już chrobrej dzielności i wielkiego rozumu. Mściwa nienawiść uwzięła się na jego samotniczą wielkość. Dymitr był nowością. Oczekiwano go jak słoneczka, jak nowego Mesjasza.

A Hospodar się srożył. Wątliła i podkopywała jego siły przedwczesna, starcza choroba. Mimo to skupiał dogorywające moce swego potężnego ducha, starając się odwrócić wartkie koło fortuny. Nie ufał nikomu. Swych dworaków, djaków i bojarów mierzył podejrzliwem, kosem spojrzeniem. Wiedział o wszystkiem. Wszyscy byli łotrami. Czyhali podle na jego zgubę. Czyhał na niego nawet Bóg. Bo i czemuż z ciemni piekieł, co miały go pochłonąć, wywołał jakiegoś Dymitra. Kim był ten nowy wróg? Czyżby istotnie synem Iwana Wasylewicza? Może nie zginął w Ugliczu? Może podstępnie ocalili go bojarowie? Którzy? Pewno Bohdan Bielski... Z zemsty za swą wielką, ryżą brodę. I rozjaśniała się złośliwym, jadowitym uśmiechem posępna twarz Hosudara, gdy wspominał, jak na jego rozkaz usłużny doktór, Niemiec, wyskubywał mu garściami tę brodę. Na wszystkie strony leciały ryże, niechlujne kłaki...

Niewszystko jeszcze było stracone. Wymykały się mu nędzne dusze, lecz miał najemników, skarby i siepaczy, którzy węszyli wszystko, podsłuchiwali wszędzie, siali nieufność między najserdeczniejszymi przyjaciółmi, między rodzicami i dziećmi, między panami i służbą, w każdym *kabaku*, każdej cerkwi i monasterze... Ślepo wykonywali jego rozkazy. Więzili, bili, wynajdowali najwymyślniejsze męki, topili pod lodem. Raźniejszym oddechem rozszerzała się jego uciśniona

pierś, gdy myślał z lubością o przeraźliwym wrzasku swych wrogów, wrzucanych do przerębli. Lód gruby, bardzo gruby, ściany przerębli gładkie i śliskie. Niema o co palców zaczepić... Będą miały karm ryby... Ha, ha, ha! I chychotał z zadowoleniem w swej samotności chorym, złowrogim śmiechem Car i Obładaciel wszystkiej Rusi.

Idzie wróg z zewnątrz, więc może przyjdzie pomoc z zewnątrz. Pośle do Cesarza Niemieckiego, do króla szwedzkiego, okłamie i zastraszy polskiego Zygmunta. Innym obieca złote góry. Swą córkę Ksenię, jasną jak zorza, wyda za królewicza duńskiego lub księcia gruzińskiego. Potrzebuje chrobrego wodza. Syn jego, Fedor, jeszcze za młody. Skończył zaledwie szesnaście lat i nie lubi krwi rozlewu. A car i samodzierżca moskiewski powinien nurzać ramiona we krwi aż po łokcie. Tak zawsze bywało i było dobrze. Poduczy zięcia cudzoziemskiego. Wtajemniczy go we wszystko. Daruje mu pół carstwa. Postawi na czele wojsk. Dzielnie biją się cudzoziemcy, gdy mają za co...

Nie, ów polski Dymitr nie może być synem Iwana Wasylewicza. Umie czytać i pisać, zna dzieje Rosji, bywał po monasterach. To pewno mnich, zbiegły czerniec... Trzeba go zrobić złajdaczonym czerńcem, Rozstrygą, obrzydzić go czerni. Niech ten próchniejący grzyb, Patrjarcha Job, obwoła go łotrem i zdrajcą, niech swą kapłańską klątwą wstrząśnie serca rosyjskie.

Serca rosyjskie... Znał on te serca.

Czczem, bezsilnem słowem będą w nich rozlegały się te klątwy. Bowiem niema szczerości ni wierności w sercach rabów.

I znowu poczynał rozpaczać Wielki Kniaź, Borys Godunow. Niespokojnie tłukło się w jego piersiach udręczone nad miarę serce. Po nocach zwidywały się mu mary. Nie mógł sypiać. Kazał tedy przywoływać dzieci, Ksenię i Fedora... Tulił je do siebie, poczem ze zgrozą w głosie opowiadał im o szatańskim mnichu, o czarowniku Rozstrydze.

XIV.

W niskiej, schludnej izbie sędziwego Konrada Bussowa, który sękatymi palcami rozdzielał na dwa pasma wielką, siwą brodę, łypiąc co chwila ciężkiemi, zaczerwienionemi powiekami, przy dużym stole dębowym siedzieli zwykli jego goście. Konrad Bussow pochodził z Księstwa Luneburskiego, był człekiem roztropnym, uczonym i w rzemiośle wojskowem nader biegłym. W młodych jeszcze latach opuścił swą niemiecką ojczyznę, sługiwał w Inflanciech księciu Karolowi Sudermańskiemu, poczem ówczesnym zwyczajem swych rodaków przerzucił się na stronę Borysa Godunowa, który pozwolił mu osiedlić się w swej stolicy. Bussow wydał swą niezbyt urodziwą, lecz rozrosłą w biodrach córę za Martina Beera, przykładnego i wymownego pastora nader podówczas już licznej kolonji niemieckiej w Moskwie, i zamieszkał śród swoich nad rzeką Jaguzą w Niemieckiej Słobodzie, ciesząc swe stare oczy widokiem niedawno zbudowanego zboru luterańskiego oraz spisując w cichości swego domostwa kronikę wypadków, których Opatrzność pozwoliła mu być świadkiem.

Konrad Bussow lubił obcować z ludźmi, jakoż miał liczne w Moskwie znajomości. Niemal codziennie zbierali się u niego jego ziomkowie, pastorzy, lekarze, kupcy i rzemieślnicy. Zasiadali ociężale dokoła dębowego stołu i gawędząc swem twardem narzeczem, popijali mocne piwo z cynowych kubków, ozdobionych pijackiemi sentencjami. Małe, kolistemi smugami ołowiu przyciemnione jeszcze okienka powlekał

w zimie białem kwieciem mróz, zaś w czeluści dużego komina gorzał jasno chróst lub suche, jodłowe szczapy. Latem zaglądały do wnętrza drżące listki brzóz, co rosły przed domem.

U Bussowa bywali także inni cudzoziemcy luterskiej wiary. Bywał Anglik, John Merrick, który szczerzył nieustannie szczerbate, karbowane zęby, i spoglądający na ludzi z podełba, zgryźliwy Szwed, Peer Peersson, i młody, lecz nad wiek dojrzały Holender, Isaac Abrahamszon Massa, który kupczył kobiercami perskimi i jedwabiem. Poczuwali się między sobą do łączności na tej dalekiej obczyźnie. Gardzili barbarzyńskim ludem, śród którego osiedli. Byli wrogami Papizmu; zgodnie nazywali Kościół Katolicki babilońską nierządnicą i nie lubili Polaków. Wyrozumiały był tylko Konrad Bussow. Żył długo, widział wiele, nie gorszył się niczem i nie dziwił niczemu.

Atoli najznakomitszymi jego gośćmi bywali czterej *Herren Doctores*. Borys Godunow sprowadził ich z Niemiec, żeby go strzegli od trucizny, czarów i choroby. Zrównał ich w zaszczytach z najmożniejszymi bojarami i opłacał szczodrobliwie. Dorobili się tedy grosza. Każdy z nich miał suto zaopatrzoną piwnicę. Mieszkali na Kremlu w bliskości *pałat* carskich i trzymali się zawsze razem. Byli do siebie tak podobni, iż różnili się tylko nazwiskami. Pierwszy był *Doctor* David Vasmar, *Lubecenses*, drugi *Doctor* Henricus Schröder, który również z Lubeki się wywodził, trzeci *Doctor* Casparus Fiedlerus, *Regimontanus*, a czwarty *Doctor* Johannes Hylchenius, *Rigensis*. Wszyscy ubierali się jednakowo w długie, rozwiewne szaty z czarnego sukna, wszyscy byli jednakowo małomówni, jednakowo kiwali głowami i jednakie administrowali leki. Ich łysawe głowy o czerstwych, różowych policzkach i zlekka wyłupiastych, niebieskich oczach spoczywały na rurkowanych, wąskich krezach, niby na śnieżnych, nieco zamałych półmiskach.

Codziennie odwiedzali Hospodara, żyli śród jego dworaków, bywali wzywani do kniaziów i bojarów. Widzieli i słyszeli niejedno, nauczyli się jednakże milczeć w Moskwie, gdzie każde niebaczne słowo groziło zgubą. Dopiero pod gościnnym dachem Konrada Bussowa, gdy wszystkie drzwi i okna były szczelnie pozamykane, a w izbie prócz dawnych znajomych nie było nikogo, ustępowali natarczywości gospodarza i rozwiązywały się im języki.

Pierwszy zaczynał zwykle nie najstarszy, lecz najśmielszy Ryżanin, *Doctor* Johannes Hylchenius.

— Car chory, bardzo chory — mówił, a słowa zacinały się mu w zębach. — Podagra, *melancholia acuta*, serce spracowane. Odchodzi od rozumu. Sam nie wie, co myśleć o tym Łże-Dymitrze, który w Polsce podaje się podobno za syna Iwana Wasylewicza i już podburzył przeciw niemu Kozaków. Skoro dowiedział się o tem, kazał go wykląć po wszystkich cerkwiach Patrjarsze Jobowi jako Rozstrygę, zbiegłego czerńca, Griszkę Otrepiewa, który zaprzedał duszę djabłu i przy pomocy mamideł szatańskich wykradł tajemnice państwowe, a teraz chciałby zasiąść na hosudarskim *prestole*, żeby na gruzach cerkwi prawosławnych pobudować kościoły katolickie, zbory luterańskie i żydowskie synagogi. Jednakże zaraz potem kazał sprowadzić potajemnie z monasteru do swej *palaty* wdowę po Iwanie Wasylewiczu, starą carową, Marfę, i wypytywał ją długo, co stało się z jej synem i czy on jeszcze żyje. Podobno Marfa miała odpowiedzieć, że żyje, za co młoda caryca, Marja, omal nie wysmaliła jej oczu pochodnią.

— A czy na Kremlu wierzą, że ten polski Dymitr jest istotnie Rozstrygą, Griszką Otrepiewem? — zapytał Bussow, podnosząc kubek do ust.

— Głośno, nibyto wierzą, — odrzekł *Doctor* Hylchenius, sięgając po duży, pisany dzban, żeby znowu nalać sobie piwa, — ale pocichu drwią sobie z tego. Przedewszystkiem stryj Griszki...

— To ten Griszka ma na dworze stryja? — zagadnął ciekawie starzec.

— A tak, Smirnoja Otrepiewa, który dobrze wie, że jego luby bratanek drapnął z *Monastyra Czudow* i wałęsa się teraz z Kozakami gdzieś nad Wołgą czy Donem.

— I ten Smirnow żyje? — dziwił się Bussow, rozczesując palcami brodę. — Cóż to się stało, że Wielki Kniaź nie kazał go jeszcze wykorzenić, jak oni tu powiadają, z całą jego rodziną?

— A żyje i jest nawet w wielkich łaskach. Car go widocznie potrzebuje. Posłał go w wielkiej tajemnicy do Krakowa niby nie od siebie, lecz od bojarów, żeby się zobaczył z owym Dymitrem i naocznie się przekonał, czy jest on Griszką czy też prawdziwym carewiczem. Wszelako Dymitra nie było w Krakowie, a senatorowie polscy nie chcieli z Moskwicinem rozmawiać.

— Kimże może być ów Dymitr?

— Któż to może wiedzieć? Polacy to chytry naród. Pewno jakiś twór Jezuitów. *Non audet Stygius Pluto tentare, quod audet effraenis Monachus plenaque fraudis anus.*

— *Instrumentum diabolicum* — przemówił milczący dotychczas *Doctor* David Vasmar, *Lubecenses*, który trudnił się także alchemją i astrologją. To pewna. Są znaki na ziemi i na niebie. Wszyscy widzieli w biały dzień kometę, skrzącą przeraźliwie nad Kremlem. Stropili się nawet Moskwicini, którzy są za grubi, żeby na *spectra* niebieskie zwracać uwagę.

— Dokoła *pałat* carskich myszkuje mnóstwo lisów — wtrącił *Doctor* Casparus Fiedlerus, *Regimontanus*. — Są między nimi czarne i czerwone. Niedawno któryś z *strielców* zastrzelił pod murem zamkowym czarnego lisa. Był taki piękny, że w kramnicy z kosmatym towarem dostał za niego dziewięćdziesiąt rubli. Ładny pieniądz dla chłopa na te ciężkie czasy!

— Namnożyło się w tym kraju wróżbitów — zabrał głos

Doctor Henricus Schröder, *Lubecenses*, który miał zwyczaj najdłużej milczeć i najmniej mówić, lecz śród przyjaciół pragnął również coś dorzucić od siebie. — Nigdy ich tylu nie było. Ściągają zewsząd jak kruki i kraczą jak kruki. Starzy Tatarzy przepowiadają, że wkrótce obce narody będą się wałęsały po Carstwie niby owe lisy, zaś Moskwicini będą się zagryzali wzajemnie jak wściekłe wilki. Czy wiecie, *meine lieben Freunde*, co było z Jeleną Jurodliwoją?

— Nie słyszałem jeszcze o niej — rzekł Bussow i ciężkim krokiem poszedł poprawić ogień na kominie.

— To wróżka, sławna na całą Moskwę. Straszliwa wiedźma. Szkielet, przyodziany w brudne łachmany mniszego habitu. Pali oczami, co świecą zielono jak u kota. Mieszka opodal małej cerkiewki w pieczarze podziemnej z dwiema czy trzema monachiniami. Jest ich ksienią. Utrzymuje się z wróżbiarstwa, a przepowiednie jej zawsze się sprawdzają. Mówi na głos, co myśli. Nie boi się nikogo. Wielki Kniaź poszedł do niej niedawno pokryjomu. Wiedziała, że przyjdzie, i zaparła przed nim drzwi. Prosił, lecz nie chciała go wpuścić. Poszedł po raz drugi i zaklął ją w imię Boże. Wysłuchała go wreszcie. Atoli zamiast odpowiedzi, kazała swym monachiniom przywlec przed niego niewielką, spróchniałą kłodę, poczem wezwała czterech popów z kadzielnicami, żeby odmówili modły za umarłych i okadzili tę kłodę. Chciała dać w ten sposób do zrozumienia Carowi, że wrychle żałobne modły będą odprawiane nad jego trupem. Hospodar nie mógł dowiedzieć się od niej niczego więcej i odszedł smutny. Powróciwszy na Kreml, kazał zaszyć w miechy i wrzucić do rzeki dwu bojarów, oskarżonych przez własne żony, że pili u siebie w domu za zdrowie Łże-Dymitra.

— *Omnium bipedum nequissimus* — mruknął stary Bussow, pogrążając się w myślach. Lękał się przyszłości. Już dość terał się po świecie. A może teraz na stare lata trzeba bę-

dzie szukać nowego pana? Lecz gdzie? Źle i straszno było w moskiewskim kraju, ale w Niemczech nielepiej.

— Może ten Dymitr niezły człowiek — odezwał się. — Dobrzeby było zawczasu poszukać jego łaski.

— A może i łaski panów Polaków? — syknął zjadliwie *Doctor* David Vasmar, *Lubecenses.* — Bo oni z nim przyjdą. *Verfluchte Kerle.* Jeszcze czas na to. Poczekajmy. Wielki Kniaź gromadzi wojska...

— Które bić się nie będą — przerwał mu zapalczywy Hilchenius. — Bojarowie, *mir*, czerń chłopska — wszyscy mu stoją na zdradzie. Łaszą się przy nim tylko popi, lecz ci także niepewni. Patrjarcha Job grzmi, ciska na Dymitra przekleństwa, a trwoży się zapewne w duszy, co z nim będzie. Oni wszyscy jednacy. Podłe, niewierne plemię.

Doctor Henricus Schröder obejrzał się dokoła lękliwie.

— Cyt! Nie tak głośno — mruknął.

— Jest zaciąg cudzoziemski — zżymał się *Doctor* Vasmar, wydymając policzki. — Niemcy i Francuzi pod Walterem von Rosenem i kapitanem Jaques'em Margeretem.

— Mało ich — odparł Hilchenius. — Walter von Rosen stary, Francuz Margeret dobry żołnierz, lecz niepewny. Jest katolikiem. Sługiwał już w Polsce.

— Nie zawiodą tylko Niemcy — zawyrokował *Doctor* Casparus Fiedlerus.

— Jeśli Wielki Kniaź dobrze im zapłaci — zaśmiał się *Doctor* Hilchenius. — Nasi lubią dziengi.

— Któżby ich nie lubił? Za to są wierni — rzekł *Doctor* David Vasmar, spoglądając na niego gniewnie. — Czy ma Car wierniejszego sługę odemnie?

— Albo odemnie? — przemówił *Doctor* Henricus Schröder.

— Albo odemnie? — zaskrzeczał *Doctor* Casparus Fiedlerus.

— No, i odemnie — zakończył *Doctor* Hilchenius. Nie lubił czuć się osamotnionym.

Zgodnie odetchnęli lżej, jakgdyby tem swojem wyznaniem zgładzili pamięć wszystkiego, co poprzednio mówili.

Konrad Bussow milczał. Siedział, zapatrzony w ogień, buzujący na kominie. Jął wspominać dawniejsze czasy. Bywało już różnie. Czasem bardzo źle. I zawsze jakoś Bóg dopomógł. Trzeba jednak pomyśleć w porę o wszystkiem. Polacy nie tacy straszni, jak się wydają. Można ich usidłać pochlebstwami i uległością. Niedarmo w Moskwie powiadają, że najbutniejszymi ludźmi są Polacy, ale najroztropniejszymi Niemcy. Król Polski lubi Niemców. Już po raz drugi zamierza się ożenić z arcyksiężniczką niemiecką. Ma spowiednika, Friedricha Bartscha, wprawdzie Jezuitę, lecz Niemca. Ulituje się...

— Ale król Zygmunt, przynajmniej na razie, nie ruszy z swem rycerstwem... Zaleją Moskwę Kozacy, wojska najemne. A te wszędzie jednakie. Żyją z łupiestwa i grabieży. Zresztą, co stanie się z nami, zanim nadciągną Polacy ze swym carzykiem? — rozprawiał *Doctor* Vasmar, szarpiąc swe wąsy rzadkie, jakby wyliniałe.

Pytanie było słuszne. Bussow nie umiał znaleść na nie odpowiedzi. Niemcy byli znienawidzeni dla swej pychy i pomiatania ludnością miejscową. Niektórzy trudnili się lichwą. Pasorzytowali na czerni moskiewskiej. Wprawdzie stolica była spokojna jak nigdy. Atoli pod pokrywką tego spokoju czy tej martwoty działy się rzeczy straszne. Przypomniało się mu, co opowiadał niedawno w tejże samej izbie pewien Holender, Arendt Claussen, który już od wielu lat był aptekarzem na dworze hosudarskim.

Jadąc dokądś ubiegłej zimy, znalazł w miejscu ustronnem dziecię, porzucone na śniegu, konające niemal z głodu, zimna i wyczerpania. Była to dziewczynka. Ulitował się nad nią, zabrał ją na swe sanie i ułożył śród skór niedźwiedzich. Przy-

jechawszy do jakiejś wioski, gdzie niektórzy chłopi byli jeszcze żywi, położył dziecię, otulone w skóry, na zapiecku. Pod wpływem ciepła dziewczynka odzyskała przytomność. Claussen dał jej coś od zjedzenia i napoił ją ciepłem mlekiem.

Opowiedziała mu słabym głosem, że cała jej rodzina wymarła. Pozostała tylko jej matka, która poczęła wodzić ją bez celu po śnieżnych drogach. Nie mogąc widocznie przenieść na sobie, żeby dziecko w jej oczach skonało z głodu, pozostawiła je przy drodze na śniegu, a sama uciekła w las. Niczego więcej od owej dziewczynki nie było można się dowiedzieć. Arendt Claussen, który jeszcze długą podróż miał przed sobą, oddał dziecko pod opiekę biednych chłopów, pozostawił dla niej nieco żywności i odjechał, obiecując, że ją wkrótce zabierze.

Powrócił do tej wioski, lecz nie zastał już nikogo. Cała jej ludność wymarła. Co więcej, dowiedział się, że spożywszy jego zapasy, chłopi pożarli dziecko, pozostawione przez niego, poczem sami wyginęli z głodu.

Wspomniał to opowiadanie stary Niemiec i wzdrygnął się.

Rychło przebierze się miarka. Lada chwila może rozuzdać się dzicz straszliwa, okrutna, niszczycielska. Będzie rzeź. Pójdzie z dymem Niemiecka Słoboda. Zmarnieją lub zginą jego ziomkowie, jego przyjaciele, on sam. Obróci się w perzynę nowo zbudowany zbór. Będą pohańbione świętości Pańskie... Oczytanemu w pismach starożytnych Bussowowi zwidział się obraz ginącej Jerozolimy.

Za oknem szumiał wiatr. Gdzieś daleko rozlegało się wycie wilków. *Herren* Doctores pożegnali się ze starcem i, pochyliwszy głowy, odeszli. Było im ciężko na sercu. Pocieszali się między sobą, jak mogli, atoli czuli, że nastają czasy groźnie. Byli zabobonni. Podobnie jak niektórzy popi moskiewscy oczekiwali przyjścia Antychrysta. *Doctor* Dawid Vasmar wyczytał jego zapowiedź w gwiazdach.

XV.

Niski, pękaty, krępy bojarzyn, Piotr Kruszczow, który wyglądał niby jarmarczna, naprędce kozikiem wyciosana kukła i zdawał się pruć powietrze swym wścibskim, długim, kabłąkowatym nosem, powalił się na brzuch przed Carewiczem Dymitrem, gdy mu zdjęto kajdany. Borys Godunow posłał go nad Dniepr, żeby szczuł Kozaków przeciw synowi Iwanowemu. Atoli Kozacy pojmali go, śród wrzasków i naigrawań odarli ze wspaniałego giermaka złotogłowiowego, zdjęli z niego przemocą piękny, jedwabny pas, którym okręcał swój obwisły brzuch, i złakomili się nawet na jego koszulę wzorzyście wyszywaną. W łachmanach zawszonego kożucha przywieźli go na koniu ze swych stepów, żywiąc po drodze suszoną padliną, poczem rzucili w Gródku Samborskim do stóp Dymitra. Carewicz przyjął go z tem łaskawem obrzydzeniem, jakie miewa się niekiedy dla podłości ludzkiej. Z roztargnieniem słuchał obleśnych zachwytów dla swej wielkoduszności i swego majestatu. Kruszczow przejrzał, spadły mu łuski z oczu. Marnował dotychczas życie, czcząc niecnego Borysa Godunowa, aż tutaj, na ziemi polskiej, wzeszło mu prawdziwe, carskie słońce. On biedny czerw, lecz błogosławione są jego oczy, że dano im oglądać oblicze prawdziwego pana. Nikczemnemu jego tchórzostwu dziwował się nawet długi i cienki jak glista, bezczelnie wyglądający skryba, który zapisywał jego zeznania.

Dymitr wypytywał go szczegółowo, myśląc równocześnie

o Pannie Marynie. Powrócił z Krakowa, dumny i uszczęśliwiony. Pochlebcy polscy tytułowali go już Miłościwym Carem. Udawał przed OO. Bernardynami chrześcijańską pokorę, ale czuł się bogiem. Wydawało się mu, że dotyka czołem gwiazd i obłoków. I oto ona nim pomiatała. Przyjęła go niemal lekceważąco. Obraźliwie dała mu do zrozumienia, że targuje się o nią z jej Panem Ojcem. Ano, niechże tak będzie! Ona na targ się zgadza. Odda się za carską koronę, za ziemie rozległe, za mnogich rabów, za szaty wspaniałe, za złoto, perły i djamenty. Jednakże powinien się śpieszyć. Pozostawia mu rok czasu. Na razie musi spisać z Ojczeńkiem umowę. Wszystko w niej będzie przewidziane i zawarowane. A jeśli do roku nie posiędzie carstwa, umowa na nic! Ojczeńko z nim pojedzie. Będzie hetmanił jego wojskom, dopomoże mu we wszystkiem. Zastawił już wszystkie swe majętności, ale będzie umiał znaleść jeszcze pieniądze. A za pieniądze kupuje się krew ludzką.

I śmiała się wzgardliwie Panna Maryna. Kiedy jednak byli śród ludzi, udawała zakochaną niunię, potulne dziewczątko, i jemu nakazywała udanie. Carewiczowi ciemniało w oczach, burzyła się jego duma. Naglił, by corychlej wyruszyć. Było mu duszno w Samborze. Tęskniło się mu do wolnego życia, do rycerskiego czynu, do stepów.

Pożegnanie na osobności było bardzo chłodne, ale przy ludziach serdeczne. Smukłemi ramionkami wieszała się na szyi lubego ojczeńka Panna Maryna, Dymitrowi podała rączkę do ucałowania. Bojarowie moskiewscy z jego licznego już pocztu padli przed nią na twarz. Najpokorniejszym i najuniżeńszym w pokłonach był w nowe słońce wpatrzony, łaską Dymitra udarowany Kruszczow. Atamanowie kozaccy ledwie skłonili się po swojemu. Car był im potrzebny. Obiecywał wojnę i łupy. Czem jednak była dla nich ta białolica, polska panienka, niedostępna niby święta ze złotej ikony? Pożegnali ją przeto jak ludzie stepowi, nieokrzesanie i buń-

czucznie, jednakowoż odjeżdżając, odwracali się na siodłach i spoglądali na nią jak na nieziemskie cudo.

Pod Glinianami, w białych namiotach, budach i chróścianych szałasach naprędce skleconego obozowiska mrowiło się od ludzi. Ściągała zewsząd dostatnia szlachta i zawodowe żołnierstwo, szła *golota et odardi*, przewiązani tylko sznurkami, niosąc na ramionach liche rusznice i podpierając się siekierkami. Atoli wszyscy byli dobrej myśli, pijąc bez pamięci na rachunek przyszłego żołdu. Śpiewano chóralnie wszeteczne piosenki, grano na bębnach w karty i w kości. Śród żołnierstwa uwijały się zgrabne dziewczęta lwowskie, kupcząc obwarzankami, łakociami i pocałunkami. Po obozie wałęsały się niechlujne żydy i złodziejskie cygany. Przed starszyzną wojskową skwierczeli na rapty, grabieże i rozboje sławetni mieszczanie lwowscy. Z namarszczoną groźnie brwią słuchał ich Pan Sandomierski, który z woli rycerstwa objął nad niem hetmańską władzę. Płonnemi obietnicami zbywał ich Dymitr, przyrzekając, że wszystko wynagrodzi z hosudarskiej swej *kazny*. Mieli obaj ważniejsze rzeczy do czynienia. W Moskwie mógł ktoś ubiec syna Iwanowego, wywołać rozruch i ogłosić się Wielkim Kniaziem. Groźny był zwłaszcza Wasyl Szujski. Ten nieduży starzec o ponurych, oparzystych oczach wywodził się od Rurykowiczów, był zaś człekiem niezmiernej chytrości i upartej woli. Król Zygmunt sprzyjał pocichu carzykowi, lecz nie mógł się opędzić Panu Kanclerzowi Zamoyskiemu oraz innym, niechętnym senatorom. Piorunowali oni przeciw naruszaniu traktatu z Godunowem, obawiali się wojny z Moskwą. Domagali się, żeby Król powściągnął wichrzenia Pana Sandomierskiego *brachio regali, fortiter et finaliter*, wywołał Hospodarczyka z kraju i ogłosił banitami jego zwolenników. Lada dzień drogę w stepy naddnieprzańskie mógł zagrodzić zawzięty Kasztelan Krakowski, Książę Konstanty Ostrogski. Nie cierpiał Dymitra ten możny i surowy obrońca grecko-ruskiej wiary. Złośliwe języki opowiadały, że

jeszcze jako żebraczego czerńca kazał go hajdukom wyrzucić ze swego zamku w Ostrogu. Nie było czasu do stracenia!

Car Miłościwy, jak go już w obozie nazywano, odbył pośpiesznie walną naradę z Panem Wojewodą oraz jego synem, Panem Stanisławem, Starostą Sanockim. Zarządzono popis wojska. Buńczucznie przeciągali przed nimi pułkownicy i rotmistrze na czele swych kopijniczych rot, witając ich okrzykami; przewalił się śród wrzasków bezładnym hurmem niesforny zastęp kozacki i przeszły w milczeniu równym, śpiesznym krokiem nieliczne szeregi piechoty. Roztropność kazała wodzom rozdzielić to wojsko. Dwiema różnemi drogami trzeba było przemykać się chyłkiem ku Dnieprowi. Inną drogą poprowadził swe roty Carewicz, a inną doświadczony wojownik, Pan Sandomierski. Nakazano surowo największą czujność i ostrożność, zabroniono srogo niesnasek i grabieży. Piechota szła z zapalonymi lontami, a jeźdźcy układali się do snu na ziemi, nie wypuszczając z rąk wodzów swych koni.

Aż do samego Dniepru wieszały się nad nimi groźne wojska Księcia Ostrogskiego, jednakże widząc gotowość bojową, nie śmiały zaczepić. Skarg na swawolę żołnierską było po drodze niewiele. Raz tylko użalił się przed Dymitrem archimandryta dubieński, że go Kozacy wytrzęśli do koszuli i czerwonych złotych *(salvo honore)* w pasie jego rupturnym szukali. Carewicz przeprosił i hojnie wynagrodził cerkiewnego dostojnika. Odetchnął swobodniej dopiero wówczas, gdy różnemi drogami podążające roty połączyły się wreszcie nad Dnieprem, powyżej Kijowa. W stepowej oddali roztopiła się i znikła ciemna smuga rycerskich drużyn Księcia Ostrogskiego, co dotychczas nieustannie mgliła się na widnokręgu jak nadlegająca nawałnica. Nie było końca radosnym okrzykom, gdy na czele nieprzejrzanej, ruchomej ławicy kozackiej niby konny posąg wynurzył się z morza burzanów olbrzymi Pan Ratomski, Starosta Osterski.

Pan Starosta promieniał, lecz klął zarazem, na czem świat

stoi. Do samego Dniepru prześladował Carewicza swą niełaską Książę Ostrogski. Kazał zabrać nocą promy, przygotowane oddawna do przewozu. Trzeba było sporządzać nowe. Pan Ratomski, pomny swej zemsty, niecierpliwił się wielce. Pragnął co rychlej rzucić się w głąb Carstwa Moskiewskiego niby w paszczę olbrzymiego smoka. Nie znała niepewności ni trwogi jego niezłomna dusza Rzymianina.

Dano rozkaz, żeby wypoczęły zdrożone wojska. Step w jednej chwili pokrył się białymi stożkami namiotów. Zamieszkali w nich towarzysze chorągwiani. Z gałęzi i burzanów pobudowała sobie schronienia pospolita chasa żołnierska. Ciury porozpalały ogniska, nad któremi zawisły kotły, buchające parą. Naprawiano odzież i obuwie, prano w rzece ubogą bieliznę. Dokoła obozu zaciągnięto straże. Zbrojna czeladź rozjechała się na wszystkie strony po żywność i paszę.

Czerń kozacka stanęła osobno. Carewicza i starszyznę wojskową zaprosił Pan Ratomski w gościnę do chutoru, który nabył czy też dziedzicznie posiadał na prawym brzegu Dniepru. Ksiądz Florjan Łatęda boczył się przy stole podejrzliwie na dwu OO. Jezuitów, Czyrzowskiego i Ławickiego, którzy byli kapelanami w wojsku Dymitra. Nie podobało się mu, że pili niewiele, żegnali się za często i za często do nieba podnosili oczy. Dobra myśl odbywała się przed domem, na obszernym ganku, ocienionym dzikim winogradem, co mienił się już purpurą jesienną. Grzmiały wiwaty na cześć Miłościwego Cara i na powodzenie wyprawy. Dzień był ciepły. Ciche, złote powietrze przepajała niewysłowiona słodycz. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Płowe wody Dniepru przewalały się z szumem i rozpryskiem, migotając połyskami miedzi, niby podwodnemi błyskawicami Peruna, ponurzonego w ich toni.

Dymitr wyglądał jak człowiek, odurzony nadmiarem słońca. Stawało się rzeczywistością to, co do niedawna zaledwie nieśmiało mu się śniło. Miał swoje wojsko, swą wielką,

carską chorągiew z czarnym, płatanym orłem bizantyńskim na czerwonem polu, swój dwór, swoich urzędników. Świat stał przed nim otworem. Napełni go chwałą swego imienia. Marzyły się mu czyny Aleksandra Wielkiego i niezwyciężonego Cezara. Dniepr będzie jego Rubikonem. Kopjami rycerstwa polskiego rozniesie nędzne, tchórzliwe chasy Godunowa, zaprzęże do swego rydwanu wszystkie moskiewskie plemiona, pobrata się z królami całego chrześcijaństwa. Wydawało się mu, że czuje już na głowie ucisk zamczystej korony hosudarskiej...

W tej chwili Pan Sandomierski, któremu z przepicia zaczynało być duszno i strzykać w kościach, swem przeciągłem syknięciem wytrącił go z przelotnej zadumy. Poprosił Dymitra, żeby wziął go pod ramię i sprowadził po schodkach do ogrodu. Chciał się przejść nieco.

— Tylko powoli, bardzo powoli — powtarzał, stąpając ostrożnie. — Oh, znowu strzyka — postękiwał. — Skaranie Boże z tą podagrą! Musiałem się przeziębić. Od rzeki wieje wilgocią.

Carewicz opiekował się starcem troskliwie. Już od dłuższego czasu nazywał go stale Panem Ojcem, co wywoływało wprawdzie skrywane, lecz złośliwe uśmieszki na usta Panny Maryny.

Dziwnego, zaiste, rodzaju była ta zażyłość między sędziwym senatorem polskim a gołowąsym przybłędą moskiewskim. W Krakowie powiadano śród Panów Radnych, że Pana Jerzego Mniszcha urzekł przebiegły Hospodarczyk. Jakoż dla ludzi nieuprzedzonych i trzeźwo na rzeczy patrzących niepojęte było postępowanie Pana Sandomierskiego. Jakieś szaleństwo omroczyło siwy jego łeb. Ślepo uwierzył w gwiazdę drapichrusta, który prócz życia nie miał nic do stracenia. Zadłużał się, trwonił swe mienie, szargał do ostatka swe, co prawda, już mocno zaszargane imię dla więcej niż niepewnych zdobyczy, dla nieuchwytnej chimery. Ci, co znali stan jego

zdrowia, obawiali się, że nie dożyje końca tej nierozsądnej wyprawy. Melancholijnie pokiwał na pożegnanie głową Pan Zwłóczymowski, który pozostał w Samborze, żeby opędzać majętności Pana Wojewody od uprzykrzonych wierzycieli, czuwać nad szkutami, wożącemi sól do Gdańska, i z pod ziemi wydobywać pieniądze. Kozaków można było zwodzić obietnicami. Żywili się jak Tatarzy ścierwem końskiem, kochali wojnę dla samej wojny, nie mieli również nic do stracenia. Inaczej było z rycerstwem polskiem. Należało mu wypłacać żołd regularnie, ponieważ rozpierzchłoby się lub, co gorsza, zamiast iść do Moskwy, zawiązałoby konfederację i jak łupieska szarańcza spadłoby na ziemie Rzczpltej.

Pan Sandomierski to rozumiał. Gnębił go niepokój i przygniatała troska. Przechadzając się z Dymitrem po sadzie Pana Ratomskiego, zwierzał się mu ze swych zmartwień, obliczał na głos swe szczupłe zasoby. Hospodarczyk go pocieszał. Byleby przekroczyli granicę! Przychylni są mu bojarowie, wielbi go mieszczaństwo i lud wieśniaczy. Znajdą się dziengi i zasoby po grodach i włościach Borysowych. Pisał już na ręce *Monsignora* do Ojca świętego. Może nie opuści w potrzebie...

Zmierzch zwolna zapadał. Powiał chłód nocny. W przybrzeżnych oczeretach mocniej szumiały fale Dniepru. W obozie pałały ogniska, niby rozsiane po ziemi, czerwone gwiazdy. Na ganku, pod oponami gęstego winogradu, wciąż jeszcze wrzał zgiełk biesiadni i gromko odzywały się wiwaty.

Dymitr odprowadził Pana Mniszcha do przygotowanej dla niego izby, a sam niepostrzeżenie wymknął się do obozu. Nie lubił gwarnych biesiad. Ciszy i samotności potrzebowała jego posępna dusza. Chciał zebrać myśli. Kazał podać sobie konia i pojechał w step. Powrócił dopiero około północy. Czujne straże powitały go okrzykami, gdy wjeżdżał do obozu. Niespodziewanie przyszła mu do głowy myśl, że przyjął na swe sumienie odpowiedzialność za tych ludzi.

Ufał swemu szczęściu i męstwu, lecz przyszłość była niepewna. Przed spaniem pomodlił się gorąco. Zasypiając, ślubował sobie być dobrym, sprawiedliwym i wspaniałomyślnym. Taki był wzór jego, Aleksander Wielki. Przypomniała się mu nędzna, ruska książczyna, z której po raz pierwszy się dowiedział o jego istnieniu i o jego czynach. Całemi latami nosił ją w zanadrzu swego habitu i czytywał potajemnie. W poniewierce tułaczego życia była ona dla niego jedyną pocieszycielką.

XVI.

Budowano pośpiesznie promy. Z całego Osterskiego Starostwa spędził cieśli Pan Ratomski. Zwożono zewsząd deski i kłody wozami, do których zaprzężono woły. — Sob! Cabe! — pokrzykiwali ruscy wolarze. Od świtu do późnego wieczora skrzypiały piły, łomotały siekiery, porykiwały woły i sypały się z szelestem trzaski. Powietrze, zgęszczone od ciepłej wilgoci, przesycały mdłe wyziewy uznojonych ciał oraz rzeźwy, gorzkawy zapach nie wyschniętego jeszcze drzewa. Dniepr szumiał, głusząc szmery głosów ludzkich.

Wojska wypoczywały. Towarzystwo z pod chorągwi pancernych pojechało na hulankę do Kijowa, który był odległy zaledwie o dwie mile. Do obozu napłynęło wzamian pospólstwo kijowskie. Miała jeszcze nieco grosza chasa żołnierska, trwoniła go tedy, pijąc na umór. Bywały pijane nawet nieliczne i niedbałe straże. Tym dzikim wywczasom pobłażali doświadczeni pułkownicy, Pan Adam Dworzycki i Pan Adam Żulicki. Jeszcze wyrozumialszymi dla swego hulaszczego kozactwa byli atamani Bieleszko, Kucek i Szweykowski. Pan Sandomierski sprawował wodzostwo tylko z imienia. Wiek podeszły i uprzykrzona podagra nie pozwalały mu pełnić obowiązków hetmańskich. Zresztą oszczędzał swej powagi na ważniejsze chwile. Przesiadywał na ganku z OO. Jezuitami, klepał pacierze, postękiwał i wygrzewał się na jesiennem słońcu. Duszą wszystkiego był Dymitr.

Niebawem miały się rozstrzygnąć jego losy. Miał ich świadomość i zmienił się do niepoznania. Z mnicha, który roz-

prawiał o subtelnościach religijnych, przedzierzgnął się w rycerza. Upodobnił się do Króla Jego Mości, którego dostojna pańskość i władcza kortezja wielce mu się podobała. Był za pan brat z rycerstwem polskiem i łaskawie obchodził się z Kozakami. Uważali go za swojego, lubo bali się go jak ognia, umiał bowiem nakazać poszanowanie dla siebie. Wszystkim dawał uczuć swą wyższość. Miękki, młodzieńczy głos jego w razie potrzeby stawał się twardym i rozkazującym. W gniewie poczynały mu sypać się skry z oczu i latać nozdrza. Nie było żartów z Miłościwym Carem.

Otoczył się wyniosłością majestatu i przybrał szumne tytuły, ale bywały chwile, kiedy śród ciszy nocnej czuł się bardzo samotnym. Ciężko biło podówczas jego serce. Zaiste, kruchy i śliski był lód, na którym budował swe zamki. Jego bogatą, namiętną, marzeniami o wielkości i sławie upojoną duszę wcześnie wyposażyła niedola życia zmysłem przenikania zamiarów cudzych. Czemże był dla ludzi, którzy nim się zaopiekowali i byli nibyto jego przyjaciółmi? Tylko igraszką lub narzędziem! Jużcić *Monsignor* Rangoni oraz OO. Jezuici mogli dbać o jego zbawienie, jednakże przedewszystkiem chcieli oni zasłużyć sobie na godności doczesne i nagrody wiekuiste, zdobywając przy jego pomocy rządy dusz w Carstwie Moskiewskiem. Król Polski oraz jego senatorowie dążyli do zaborów i podbojów, pragnęli uczynić z niego taran, który miał rozbić zmurszałe, aczkolwiek wciąż jeszcze groźne posady potęgi moskiewskiej. Pan Sandomierski chciał bodaj za cenę swej córki pospłacać swe długi, zaspokoić nienasyconą pychę i posiąść udzielne księstwo. Zgnębieni i upokorzeni bojarowie moskiewscy mieli również swoje zamiary; pragnęli mściwem jego ramieniem obalić znienawidzonego Borysa Godunowa. Nawet niezłomny Pan Ratomski, nawet błahe żołnierstwo, które dla żołdu i łupu zaciągało się pod jego chorągwie — wszyscy myśleli tylko o zaspokojeniu swych zachceń, o swojej pomście lub o swojej łapczywości. Opuściliby go

napewno, gdyby powinęła mu się noga. Dumał nocami nad tem wszystkiem i zalewała gorycz jego młodzieńcze serce.

Na czemże jednak polega wielkość ducha, jeśli nie na pokonywaniu przeszkód, które bohaterom rzuca pod nogi przebiegłość, nikczemność lub wiarołomstwo ludzkie? Odgadywał, że uchodzi za samozwańczego szalbierza lub za niedowarzonego straceńca. Mądrym statystom i polskim strategom, doświadczonym w niedawnych wojnach moskiewskich, wyprawa jego wydawała się szaleństwem. W Krakowie szydzili z niego niechętni, że z garstką obwiesiów i opryszków, co przy lada porażce rozsypią się jak plewa, chce dopiąć tego, czego nie dokazał wielki król Stefan na czele najprzedniejszych zastępów niezrównanego rycerstwa polskiego. Trzeba było olśnić niedowiarków przewidującą mądrością i zwycięskim czynem. Przeto zdwajał i potrajał swe siły. Poprzysięgał sobie, że z drapieżnem męstwem lwa skojarzy podstępną chytrość lisa.

Nie widział przeszkód, które widzieli rozumniejsi i doświadczeńsi od niego. Odrzucał zawiłe pomysły strategiczne swych pułkowników. Zamiarem jego było pójść śmiało wprost na Moskwę i koronować się Hosudarem. Więcej niż na oręż liczył na rozprzężenie i zamęt, które głód, zaraza oraz krwiożercze okrucieństwo Borysa Godunowa wywołały na ziemiach moskiewskich. Podsycał je zręcznie i przebiegle przy pomocy Pana Ratomskiego. Przez swych wysłanników głosił rychłe swe przyjście. Syn Iwana Wasylewicza wróci do swych dzierżaw nie jako zdobywca, lecz jako dziedzic pobożny, dobrotliwy i sprawiedliwy. Przyniesie pokój i pomyślność swemu ludowi. Niechże wszyscy pośpieszą mu z pomocą, niech z bronią w ręku upomną się o przelaną niewinnie krew, o podeptanie wszelkiej godziwości. Niech pamiętają, że zaprzysięgli wierność jego ojcu. Dali się otumanić Borysowi Godunowowi i oto srodze pokarała ich ręka Boża!

Zdawało się mu, że wichry stepowe roznoszą w dalekości

chłodnych głusz moskiewskich te jego ogniste, rozkazujące słowa i że słyszy przytłumione, trwożne, lecz radosne okrzyki powitalne nieprzejrzanej ciżby. Tedy rozpraszały się znowu troskliwe myśli niby nawałnicowe chmury, a w uciśnioną pierś jego wstępowała ufna, zuchwała otucha. Nikt nigdy się nie dowie, czy był istotnie synem carskim, ale po wiek wieków będą ludzie wiedzieli, że był wybrańcem Bożym!

Minęło kilka dni. Roboty koło promów się przewlekały. Dymitr nie przynaglał zbytnio. Wiedział, że czas pracuje na jego korzyść. Zapragnął zobaczyć Kijów, gdzie w mniszem przebraniu upłynęło mu parę gorzkich lat wcześniejszej młodości. Nic już nie groziło, gdyż wróg jego, Pan Kasztelan Krakowski, przebywał w swym Ostrogu. Wybrał się okazale w otoczeniu swego hosudarskiego dworu. Towarzyszyli mu także OO. Jezuici. Świetnie połyskiwała jego zbroja, gdy wjeżdżał do starożytnego miasta. Tłumnie powitali go mieszczanie kijowscy. Godnym bankietem uczcił go ksiądz biskup, Krzysztof Kazimierski. Nie wątpił, że gości potomka Rurykowiczów. Następnego dnia przyjął pokornie Dymitr z rąk jego błogosławieństwo, poczem z OO. Jezuitami wybrał się na zwiedzenie miasta. Namówił ich, żeby wstąpili do soboru św. Zofji i poszli zobaczyć Złotą Bramę, pałającą barwiście od mozaik i malowideł. Razem z nim pomodlili się oni na gruzach kaplicy, gdzie błąkała się jeszcze pamięć św. Jacka, ale nie chcieli wejść do Ławry Peczerskiej, co w swych piaszczystych podziemiach przechowuje zwłoki świętych grecko-ruskiej wiary. Carewicz Dymitr ich nie przyniewalał, gdyż poznał już pobożną ich dusz zawziętość.

Gdy powrócili z Kijowa, ogromne promy były wreszcie gotowe i leżały u brzegu. Czeladź zwijała już niektóre namioty. Popychane rękami ciurów, toczyły się ku Dnieprowi niewielkie, polowe spiże. Pan Sandomierski wytchnął po trudach i zarządził przygotowania do przewozu.

— W imię Boże, w imię Boże! — powtarzał, przyglądając

się promom z konia, O. Ławicki. Niedawno ukończył nowicjat ten syn mieszczański, był młody i zapalny, przeto wydawało się mu, że wyrusza na nową wyprawę krzyżową.

Następnego dnia, wczesnym bardzo rankiem, rozpoczęła się przeprawa. Nie wzeszło jeszcze słońce. Białym kłębiącym się tumanem wisiały mgły nad rzeką, kiedy Carewicz Dymitr siedział już na koniu, wydając rozkazy. Stał pod wielkiem, rozsochatem drzewem nadbrzeżnem, z którego na jego głowę i ramiona spływały zrzadka pożółkłe liście, strząsane chłodnym wietrzykiem poranku. Był blady i głos miał znużony, ponieważ przepędził noc na modlitwach z Jezuitami, których późnym wieczorem zaprosił pokryjomu do siebie. W szarej poświacie brzasku wydawał się roślejszym i jakby niedostępniejszym swym Kozakom. Kureniami schodzili oni nad rzekę, prowadząc swe ojuczone konie i pozdrawiając go okrzykiem *Sława Bohu!* Mieli przewieźć się pierwsi, gdyż znali już z swych rozbójniczych pochodów siewierskie komysze i mogli pełnić służbę straży przedniej...

Szybko zapełniły się promy dzikimi wojownikami w kraśnych, obcisłych żupanach, których wielkie kołnierze opadały im na plecach aż do pasa. Wszyscy nieśli na ramionach długie samopały, okopcone od dymu, i mieli u boków ciężkie szablice. Parskając i prychając, płynęły obok promów ich konie. Zawrzały i spieniły się od nich płowe tonie rzeczne. Powoli posuwały się promy i był już świt jasny, gdy przybiły do przeciwległego, lesistego brzegu. Pogwar głosów ludzkich dolatywał od nich niby brzęczenie odlatującego, pszczelnego roju.

Niecierpliwy Pan Starosta Ratomski przeprosił Dymitra i odpłynął z pierwszym kureniem. Ważniejsze rzeczy miał na głowie, niż podejmować gości lub zabawiać rozmową Pana Sandomierskiego, który już się obudził, ale jeszcze nie wstał z łoża. Bąkając pod nosem słowa pacierza, popijał Pan Wojewoda polewkę winną na rozgrzanie swych starych kości.

Prawie sześć dni trwała przeprawa. Po mnogiej chasie kozackiej przyszła kolej na kopijników, po nich na petyhorców. Trzeciego dnia przeprawił się Carewicz z bojarami moskiewskiemi. Dumnie powiewała nad jego promem wielka, czerwona chorągiew z czarnym, płatanym orłem pośrodku.

Pan Sandomierski jako rządny hetman pozostał do ostatka w gościnnym chutorze. Dopilnował przewozu piechoty, czeladzi, dział, koni powodnych oraz taboru, złożonego z kilkuset wozów, napełnionych sprzętem wojennym i amunicją. Na promie przedostatnim umieszczono jego karety i toboły podróżne, wóz skarbny z ołtarzykiem polowym oraz kilkunastu chorych, którzy spodziewali się rychłego wyzdrowienia i jeszcze chcieli wziąć udział w wyprawie. Był śród nich jakiś młody towarzysz z chorągwi pancernej o zapadłych, rozgorączkowanych oczach i wychudłej, woskowo żółtej twarzy. Podesłano mu skórę niedźwiedzią, leżał tedy wygodnie niemal na samym skraju promu. Czuwał nad nim O. Ławicki. O. Mikołaj Czyrzowski oraz kilku balwierzy zaopiekowało się innymi chorymi.

Pan Wojewoda wsiadł na prom ostatni, mając ze sobą swego syna, Pana Stanisława, Starostę Sanockiego, jako też kilkunastu przyjaciół i pokojowców. Towarzyszył mu także Ksiądz Florjan Łatęda, który powracał do Osterskiego Gródka. Tonie dnieprowe pałały srebrzystemi skrami w jaskrawym blasku południowego słońca. Oba promy wyruszyły niemal równocześnie i płynęły blisko siebie, jeden za drugim.

Pan Sandomierski siedział rozparty w wygodnem krześle, gawędząc z Księdzem Łatędą. Wypytywał o majętności i intraty Pana Ratomskiego.

— Jest boru i stepu, ile dusza zapragnie, — odpowiedział Ksiądz Florjan — ale o intratach w tych dzikich, mało ludnych stronach niema nawet mowy. Bo i z czego, Mości Panie Wojewodo, bo i z czego? Bojarzy i wołoszczanie nieskorzy

są do danin. Ot, dobrze, jeśli coś kapnie od nich za bicie zwierza i za darcie łyka.

— O. Ławicki przysłuchiwał się ich rozmowie z drugiego promu. Mimowoli zerknął przed siebie, gdy mignął świetniej wielki brylant w pierścieniu Pana Sandomierskiego. Chory towarzysz o woskowej cerze, który leżał obok niego, dysząc ciężko, podźwignął się nagle na łokciu i jakimś dziwnym, krętym podrzutem skoczył do rzeki. Krzyknął coś niewyraźnie, jednakże zamarły mu na ustach niedomówione słowa. Zachybotała w toni jego czarna, krótkim włosem zjeżona głowa i znikła.

O. Ławickiego opamiętał dopiero plusk ciała i rozprysk wody, co przemoczył go całego. Mocnem szarpnięciem rozpiął sutannę aż poniżej pasa i drżącemi rękami jął zdzierać ją przez głowę, atoli tej samej chwili uchwyciły go od tyłu za ramiona czyjeś silne ręce.

— Zapóźno już, Ojcze, zapóźno! — krzyknął balwierz, który go zatrzymał. — Porwał go wir. Widziałem, jak się przegibnął i poszedł głową na dno. W Dnieprze jest dużo podwodnych wirów. Był chory, utęskniło mu się w gorączce i chciał umrzeć. Nic już mu pomóc nie można.

Promy się zatrzymały. Ludzie pospuszczali głowy i poczęli się żegnać. Niektórym zakręciły się łzy w oczach. Na chwilę zaległo głuche milczenie, przerywane tylko krzykiem czajek. Pan Sandomierski odwrócił z odrazą głowę. Był zabobonny; nie lubił podobnych widowisk.

— Płyńmy dalej! — zawołał szorstko, żegnając się również.

— *Omnes una manet nox* — odezwał się posępnie Ksiądz Łatęda, któremu nie w porę przypomniał się wiersz Horacego. Pan Sanocki spojrzał na niego niechętnie. Nie czas było wspominać o śmierci.

O. Ławicki krył twarz w dłoniach, dygocąc na całem ciele. Był jeszcze młody i czuły na ludzkie nieszczęście.

Śmiesznie wyglądał w zadartej poza głowę sutannie, której jeszcze nie zdążył obciągnąć na sobie. Z pluskiem ruszyły promy w dalszą drogę. Zrazu zcicha, jakby nieśmiało, zaś później coraz pewniej i donośniej zabrzmiał znów na nich pogwar głosów. Zapomniano rychło o samobójcy. W oddali czatował wróg. Nęciły przygody, zwycięstwa i łupy. Nigdy świat więcej nie należał do żywych.

XVII.

Wysoki, z grubych okrąglaków dębowych zbudowany zrąb opasywał miasteczko Morawsk i jego gródek. Była to nieduża, lecz obronna twierdza moskiewska, wysunięta najdalej w Ziemi Siewierskiej ku rubieżom polskim. Po palankach, co na kształt wąskiej galeryjki, przykrytej daszkiem, wspartym na drewnianych słupkach, wieńczyły szczyt warownego zrębu, dniem i nocą ciężkim, powolnym krokiem krążyły *strieleckie* straże. Byli to ludzie krępi, silni, uzbrojeni w szable, łuki oraz długie rusznice. Prawie nigdy nie zdejmowali kożuchów ze swych krótkich, samodziałowych kaftanów.

Wojewoda moskiewski, który sprawował dowództwo nad załogą Morawska, nie wiedział o Bożym świecie. Swój ród kniaziowski wywodził od chanów tatarskich, miał krągły łeb, żółtawą cerę i nieco skośne oczy. Był bardzo pobożny. Nie zaniedbał nigdy nabożeństwa w cerkwi. Jak to było w ówczesnym obyczaju moskiewskim, przysiadaniem a nie przyklękaniem czcił święte obrazy oraz obchodził święta. Im uroczystsze było święto, tem zatraceńszem obchodził je pijaństwem. W dni powszednie jeździł na łowy, ściskał swoją babę, co dla lepszego trawienia luźno zawiązywała pod giermakiem krajkę na grubym żywocie, i także pił. Nie gardził piwem, lubił *miediec* i wino, ale przepadał za gorzałką. Za jego przykładem piły wszystkie *gołowy*, wszyscy setnicy, pięćdziesiętnicy i dziesiętnicy. Piła pospolita chasa żołdacka i pił *mir* miejski. Ten jednak wiedział o Bożym świecie. Wiedzał od *wiestowszczyków* Pana Ratomskiego.

Jakoż nie zdziwili się mieszczanie, gdy z pobliskiej dąbrowy, co już postradała wiele zeschłych i pożółkłych liści, wynurzyły się konne czaty kozackie. Dzień był pogodny, lubo mroźny, i w powietrzu pachniało już poroszą czyli pierwszym śniegiem. Strażnicy na palankach Morawska zatrzymali się w swym nieskorym pochodzie, ze zdziwieniem i niepokojem przysłaniając dłońmi oczy. Jednak odzyskali otuchę, kiedy z szeregów kozackich powiano ku nim czerwoną chorągwią z czarnym, płatanym orłem bizantyńskim. Był to umówiony znak, którego oczekiwali oddawna. Skupili się nad warowną broną wjazdową i jęli odpowiadać przyjaznemi skinieniami.

Od czaty kozackiej, która zatrzymała się pod lasem, odłączyło się kilkunastu jeźdźców. Wiódł ich mąż olbrzymiej postawy, połyskujący w słońcu polerowną stalą swego pancerza. Brodząc w uwiędłych, lecz wciąż jeszcze bujnych trawach, podjechali pod bronę gródka. Pan Ratomski, który jechał na czele, dobył swego długiego, prostego miecza i końcem jego podał któremuś z moskiewskich strażników zwinięte w trąbkę orędzie Carewicza Dymitra. Moskwicini przyjęli je z oznakami głębokiej czci. Jeden z nich, zaliczający się widocznie do starszyzny wojskowej, powitał pokornem i razem radosnem przemówieniem Pana Starostę, oświadczając, że odpowiedź nastąpi za jakąś godzinę. Pan Ratomski oddalił się od zamczystej brony, najeżonej kolcami, i nie śpiesząc się, powrócił do czaty. Już zdążyła ona zsiąść z koni i rozłożyć ogniska, przy których na żelaznych szpikulcach pieczono zwierzynę, upolowaną przez Kozaków podczas pochodu.

Strielcy rychło znaleźli uczonego w piśmie djaka, który im odczytał przywiezioną hramotę. W Morawsku zawrzało. Niby z pod ziemi pojawili się jacyś obcy ludzie. W ciasnych, wąskich uliczkach zaroiło się od ciżby. Na ramionach obnoszono djaka, który ochrypłym, rozklekotanym głosem powtarzał tłumowi treść orędzia, jak słowa Ewangelji. Miasto Morawsk oraz jego mieszkańców spotkało wielkie szczęście!

Wkrótce zawita do niego Carewicz Dymitr Iwanowicz, prawowity dziedzic korony moskiewskiej. Niechże wszyscy przyodzieją odświętne szaty, niechaj godnie powitają go jako swego pana, dobroczyńcę i oswobodziciela. Precz z Borysem Godunowym, precz z jego siepaczami! Śmierć wojewodzie!

Wszelako popi oraz starsi, rozważniejsi mieszczanie ostrzegali, żeby nie podnosić ręki na wojewodę. Wprawdzie zawinił, że służył Godunowowi, lecz pił zawiele, żeby być do cna złym człowiekiem. Sąd należy pozostawić młodemu Hosudarowi, który najlepiej będzie wiedział, jak z winowajcą postąpić.

Gorętsi spierali się. Jakiś rzeźnik, który wybiegł ze swej *ławki* z zakasanymi rękawami, dowodził, że Car nie byłby Carem, gdyby nie lubił krwi. Odpowiedziano mu z tłumu, że jużcić ją lubi, ale tylko wtedy, gdy sam ją przelewa. To jego święte prawo. Rzeźnik poczochrał się w głowę i niechętnie ustąpił. Rozwaga wzięła górę.

Wojewoda, który nie wiedział o Bożym świecie, mimo wczesnej pory zalewał się gorzałką. Zdumiał się, gdy tłuszcza wywaliła drzwi i wtargnęła do jego mieszkania. Zrazu chciał ją zastraszyć groźnym wyrazem swych skośnych oczu, jednakowoż postradały one już swoją władzę. Na zapienione groźby odpowiadały mu wrzaski, piski i gwizdy. Jakaś ladacznica plunęła mu w twarz. Wrzeszczeli nawet ci, którzy nie zdołali wtargnąć do dworu i stali na ulicy. Dom huczał od zgiełku. Dziesiątki ciężkich, spracowanych pięści wzniosło się nad głową wojewody. Rzeźnik dla postrachu zamachnął się toporem. Wówczas wojewoda uderzył w pokorę. *Christa radi!* Niech się zlitują nad nim, biednym czerwiem! Nie wiedział, co czyni.

— *Pożałuj! Umiłosierdiś!* — skomlał, włócząc się po ziemi i obejmując kolana rzeźnika.

Niewiele pomogły jego bełkotania. Chłopi zdarli z niego złotogłowie i wyszywaną wzorzyście koszulę. Posypały się

razy pięści i kijów, aż szerokie plecy wojewody oblały się krwawą posoką. Powaliło go na brzuch kopnięcie kowanego buciska. W okamgnieniu nałożono mu najcięższe kajdany, jakie były w Morawsku. Dla większego pohańbienia rzeźnik uwiązał mu do capiej brody powróz, odczepiony od krowiego żłobu. Wojewoda wytrzeźwiał ze strachu zupełnie, lecz okowy były tak ciężkie, iż zaledwie zdołał się podnieść. Stąpał chwiejnie, potykając się co chwila pod ciężarem zardzewiałego żelaziwa, co krępowało jego ręce i nogi.

Czerń się rozhukała. Lada chwila mogła zacząć palić i grabić. Z cerkwi odezwały się dzwony. Godowo i uroczyście rozlegały się ich dźwięki w jasnem, mroźnem powietrzu. Z oddali zagrzechotały przygłuszone wystrzały. To czata kozacka pod lasem strzelała z dzikiej, rozigranej ochoty. Na ulicach miasta pojawił się sędziwy władyka z wielkim, mosiężnym krzyżem w trzęsących się rękach. Miał pergaminowo bladą, dobrą, słodką twarz. Rzeźwy wiatr rozwiewał jego długie, rzadkie włosy, białe jak mleko. Otaczali go brodaci popi i czerńcy z cudownemi ikonami. Z skrzących otoków pozłocistych blach wyzierały posępnie ciemne, drętwe oblicza Przeczystej Matki Bożej, świętego Mikołaja oraz innych świętych. Rozwinięto wojewódzką chorągiew. Posłano do czaty kozackiej dwu bojarów, żeby zapytali, gdzie szukać Miłościwego Carewicza. Pan Ratomski odpowiedział, że Dymitr Iwanowicz obozuje ze swemi wojskami za lasem, w pobliskiem siole.

Na ścieżaj otwarły się wrota gródka. Przez wąską bronę jęły wyrajać się rzesze niby przez ucho igielne. Utworzył się pochód. Dla władyki, który ze swymi popami i czerńcami zajął miejsce naczelne, zajechał pojazd. Za nim na koniach jechali bojarzy. Pierwsza ich para wiozła wielkie klucze twierdzy, druga chleb i sól, trzecia płytkie czary srebrne, napełnione dukatami. Starszyzna wojskowa miała na sobie szyszaki i kolczugi, ale była bez broni. Za nią postępowali mieszczanie i wołoszczanie, niscy i brodaci niby leśne krasnoludy,

a na samym ostatku tłoczyła się czerń, natrząsając się z nieszczęsnego wojewody, wleczonego na powrozie przez rozhukanych *strielców*. Nielicznych jego *czynowników*, podejrzanych o sprzyjanie Borysowi Godunowowi, wrzuciła tłuszcza na samo dno turmy, gdzie mieli oczekiwać sądu.

Długim, krętym, mieniącym się barwnie korowodem powlókł się pochód skróś otworzystego stepu. Za nim, w miasteczku, dalej biły dzwony. Głucho i zaciekle dudniły wielkie bębny, które bębeniści wieźli na koniach. Czarki ich podzwaniały srebrzyście. Pan Ratomski ze swą czatą ruszył przodem, aby uprzedzić Dymitra. Niby wąż wpełzł pochód w bór, niknąc stopniowo pod sklepieniem jego rozłożystych, poplątanych konarów. Jasno przezierało przez nie słońce. Polatywały suche liście i skrzące jak gwiazdy, pierzchliwe płatki śniegu.

W obozie, który na skinienie srebrnej buławy hetmańskiej Pana Sandomierskiego rozłożył się dokoła nędznej wioszczyny stepowej, odprawiał O. Czyrzowski Mszę świętą pod wolnem niebem dla polskich żołnierzy. W pobożnem skupieniu klęczeli na zmarzłej ziemi pułkownicy, rotmistrze, namiestnicy, towarzystwo i czeladź. Przed samym ołtarzem chylił pokornie swą siwą głowę Pan Wojewoda Mniszech. Kozacy i chłopstwo, co wybiegło z swych kurnych chat, stali opodal, przyglądając się ciekawie. Niejeden zdjął z kołtuniastego łba wytartą, barankową czapę. Carewicz Dymitr nibyto od niechcenia przejeżdżał kilkakrotnie mimo na swym skarogniadym koniu. Za każdym razem przystawał, a oczy jego nie odrywały się od polowego ołtarza, jarzącego się światłami. Niepokoił się, miał serce pełne błagalnej modlitwy.

Nabożeństwo już się skończyło i nastała pora obiednia, gdy od strony boru ukazał się Pan Ratomski ze swymi Kozakami. Ujrzawszy Carewicza Dymitra, kinął ku niemu koniem. Już zdaleka jął dawać znaki swą bobrową czapką, wołając na cały głos:

— Morawsk się poddaje. Idą tu z czołembitnią!

— Kto? — zapytał z udanym spokojem Dymitr. Serce trzepotało mu w piersiach. Śniady rumieniec oblewał jego babskie oblicze.

— Władyka, popi, bojarzy, wojsko, mieszczanie, czerń... wszyscy. Poszło jak z płatka.

— Dziękuję Waszmości, Panie Starosto, — rzekł z powagą Carewicz, wyciągając ku niemu rękę. — Nie zapomnę...

— Będzie-li Wańka Saburow mój? — zapytał śpiesznie Pan Ratomski. Twarz mu się ściągnęła i pobruździła twardemi, podłużnemi zmarszczkami.

— Będzie, jak mi Bóg miły, i nie przepomni przyjacielskiej przysługi nasza hosudarska łaska — odrzekł Dymitr.

Pojechali razem do Pana Wojewody, który pospołu z Panem Starostą Sanockim i Panami Pułkownikami zasiadał już w kurnej chacie do stołu. Dowiedziawszy się, o co chodzi, błysnął radośnie lutemi oczyma i jął wydawać rozkazy.

Przyjmiemy ich godnie — rzekł. — Wojsko stanie pod bronią. Niech ujrzą potęgę naszą!

Szybko i sprawnie ustawiły się hufce. Świetne, ku siniejącemu borowi rozwarte półkole dokoła namiotu hospodarskiego zatoczyły jezdne roty polskie. Po bokach hurmem stanęli kozacy. Z tyłu uszykowała się skromnie piechota. Na spotkanie pochodu, który wynurzał się już z dąbrowy, posłał Carewicz swych przybocznych bojarów. Pomknęli cwałem śród tętętu kopyt, szczęku oręża i pobrzęku ostróg.

Było już dobrze z południa, ale słońce świeciło jeszcze jasno. Złotawymi płomykami mżył step, co płową płaszczyzną roztaczał się w stronę boru. Pochód zatrzymał się przed obozem. Ze swej kolemagi wysiadł władyka, pozsiadali z koni bojarowie. Długą ulicą, utworzoną przez milczące zastępy polskie, podążali pieszo ku namiotowi carskiemu. Podniosła się jego płócienna zasłona. Dymitr ukazał się ze swym orszakiem. Niskim pokłonem pochylił się władyka, pochylili się popi, czerńcy, bojarowie i mieszczanie.

Cicho, niewyraźnie zabrzmiały słowa władyki. Był utrudzony i wzruszony. Nikłą, opieszałą strugą sączył się głos z jego bladych, uwiędłych ust. Czuł się szczęśliwym, że starym jego oczom dano jeszcze za życia ujrzeć prawego dziedzica. — Raduj się matko Rosjo, — mówił — raduj się prawosławny ludu rosyjski, bo oto wzeszło wreszcie twoje słoneczko! — Zatchnął się i podniósł drżącą ręką krzyż w górę, jakby zlewając nim na głowę Carewicza swe błogosławieństwa. Dymitr skłonił się pobożnie. Tejże samej chwili wionął w step gromki, przeciągły okrzyk tłumu:

— Wzeszło słoneczko nasze! Niech Bóg ma w swojej opiece Dymitra Iwanowicza, Hosudara wszystkiej Rosji!

Władyka jął słaniać się na nogach. Ze znużenia uginały się pod nim stare kolana. Troskliwie wsparli go ramionami popi, sadowiąc obok Carewicza na przygotowanem krześle. Dymitr podniósł rękę w górę. Nastało milczenie. Donośnym, dźwięcznym przemówił głosem, jak władca, jak samowładny pan. Cieszy się, że jest wreszcie na swojej ziemi, śród swego ludu. Modlił się o to w latach utysku i prześladowania, jakoż wysłuchał go Ojciec Przedwieczny. Chce być słońcem, chce uszczęśliwić swój naród, ale niech wszyscy mu poprzysięgną i *chrest* mu ucałują na wierność i posłuszeństwo.

I znowu wrzawą zakipiała ciżba.

— Przysięgamy! Ucałujem *chrest!* — krzyczeli popi i bojarzy, *mir* i wołoszczanie. — Sława Dymitrowi Iwanowiczowi, Carowi i Hospodarowi naszemu!

Do tych okrzyków przyłączyli się Kozacy. Lubili krzyczeć. Nawet śród rycerstwa polskiego przebiegł szmer zapału. — Dobremu panu służymy — mówiono w szeregach. — Miłują go ci ludzie. — Poczekajcie! Niewiadomo jeszcze, co będzie — odpowiadali starsi, którzy pamiętali wojny Króla Stefana i mieli sposobność poznać obłudną nieszczerość Moskwicinów.

Tymczasem w zastępstwie zgrzybiałego władyki któryś

z znaczniejszych popów pokropił Dymitra wodą święconą, zaś inni podali mu do ucałowania swe najświętsze ikony. Śród rycerstwa polskiego dostrzegli kosem okiem szaty księże i badawczo patrzyli, jak Kniazik do pozłacanych blach obrazów przyciskał swe grube wargi. Następnie dwójkami przystępowali przed jego oblicze poważni, siwowłosi bojarowie. Ciężko obsuwali się na kolana, podając mu kolejno klucze Morawska, chleb i sól oraz czary, napełnione dukatami. Wręczywszy te symboliczne dary, zdejmowali z głów szłyki i świecąc barwną wzorzystością swych jamułek, rozciągali się przed nim na ziemi jak dłudzy.

Carewicz Dymitr patrzył na to z niesmakiem i zakłopotaniem. Pragnął objawów czci, lecz wstydziły go te barbarzyńskie hołdy. Zdawało się mu, że widzi szydercze uśmiechy na twarzach pułkowników polskich, którzy stali opodal, otuleni w swe delje. Chciał zapobiec tym niegodnym i śmiesznym oznakom czołobitności. Pochylał się do bojarów, ośmielał ich łaskawemi słowy, wyciągał do nich rękę. Dawał im do zrozumienia, że chce, aby go w nią całowali, jak Polacy swojego króla. Atoli widział z ich zalęknionych oczu i niezdarnych wzdragań, że nie pojmują, o co chodzi. Nieśmiało i przecząco potrząsnął głową nawet najznakomitszy śród nich Kniaź Możajski, który jako poseł carski bywał w świecie i znał obyczaje cudzoziemskich dworów. Nie umieli być wolnymi ludźmi. Nawykli od wieków do nikczemnej uniżoności i służalczej pokory. — Biedne czerwie! — mówił sobie w duchu Carewicz. Mimo rozgwaru głosów bezwiednie pogrążywszy się w zadumie, utwierdzał się w postanowieniu, że pod jego rządami musi to się odmienić.

Drgnął, bowiem niby miech z piaskiem, dwu krępych, ponurych drabów w czerwonych, sutych kaftanach rzuciło mu pod nogi nawpół nagiego wojewodę, zakutego w łańcuchy. Z czarnych, zmierzwionych kudłów capiej brody i rozczochra-

nych włosów podniosło się ku niemu błagalne, trwożne, bezduszne spojrzenie.

— Ktoś ty taki?... Co on za jeden? — zagadnął Dymitr, spoglądając kolejno na więźnia i na bojarów morawskich.

— To były nasz wojewoda, a twój wróg, Carze i Hospodarze, — odezwał się Kniaź Możajski.

— Nie trzeba poniewierać nikogo — mówił Carewicz łagodnie, pomny jeszcze swej własnej poniewierki. — On mój wróg, ale człek znaczny w Siewierszczyźnie i niezgorszy wojownik. Zdjąć mu te dyby!

Bojarowie spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Nie pojmowali nowego pana. Co on robi? Przebacza wrogom! Widocznie przewrócili mu w głowie Polacy.

— Zdjąć mu kajdany! — powtórzył popędliwie Dymitr i wodząc oczyma po tłumie, spotkał się z zachwyconem spojrzeniem Ojca Ławickiego.

Nieprędko ponure draby zdołały rozkuć wojewodę oraz odwiązać mu postronek, zadzierzgnięty mocno dokoła capiej brody. Miał członki stężałe, przeto gramolił się z ziemi niezdarnie niby żuk, leżący na grzbiecie.

— *Winowat!* — bełkotał żałośnie. — *Pomiłuj! Umiłosierdiś!*

— Kto cię tak sponiewierał braciszku? — zapytał z uśmiechem Carewicz.

Wojewoda zerknął chytrze na surowe twarze milczących bojarów.

— Moje grzechy — odpowiedział. — *Winowat!* — I z psią pokorą opuścił na pierś kudłatą głowę.

Dymitr klasnął w dłonie na pokojowca.

— Przynieść tu mój czamletowy giermak — rozkazał — i odziać go przystojnie! Jutro ze sobą pomówimy — rzekł do wojewody, który stał jak wkopany w ziemię, rozdziawiwszy szeroko usta.

— A teraz pojedziemy do miasta — przemówił, spoglą-

dając na zachodzące czerwono słońce. — Kniaziu Iwanie Gawryłowiczu Możajski, od dziś jesteś wojewodą Morawska! Zarządź, co potrzeba. Wojska nasze niech tu jeszcze przez noc pozostaną. Przysłać im zaraz żywności, a nie zapomnieć o piwie, wódce i miodzie! Chcemy, żeby żołnierze nasi byli dziś dobrej myśli.

Było już ciemno, gdy minęli dąbrowę. Uroczyście biły dzwony i jarzyła się łuna pochodni, z któremi lud wybiegł przed bronę na spotkanie swego władcy. W towarzystwie Pana Sandomierskiego jechał Dymitr konno obok pojazdu władyki, który siedział nieruchomo, przeżuwając bezdźwięczne słowa zwiędłemi ustami. Za pojazdem zbitą, kraśną gromadą podążali bojarzy. Tłum zapamiętał się z radosnego uniesienia. Padał na twarz przed Dymitrem, wywijał pochodniami i gorejącem łuczywem. Na palankach i na ulicach miasteczka grzechotały gęsto wystrzały. Wszelako głośniej od bicia dzwonów i rozhuku strzelby rozlegało się wołanie:

— Wzeszło słoneczko nasze! Boże, uchowaj Hospodara Dymitra Iwanowicza!

XVIII.

Wrychle potem Pan Ratomski pienił się ze wstydu i wściekłości. Ze swymi Kozakami pojechał przodem do Czernichowa, gdzie *mir* z radością otworzył przed nim bramy, i wpadł w zasadzkę. Bowiem mężny wojewoda, Kniaź Iwan Tatew, zmiarkował w porę, co się święci. Śpiesznie wycofał swych *strielców* z kipiącego rozruchem miasta do zamku warownego i dobrze armatą zaopatrzonego, kiedy zaś Kozacy rozpędzoną ławą wpadli przez niezamknięte umyślnie bramy, kazał dać do nich ognia ze wszystkich dział. Ze spłoszonych i dębiących się koni zwaliło się kilkudziesięciu stepowych oczajduszów. Zginął nawet któryś z podrzędnych atamanów. Pana Ratomskiego mocno drasnął w policzek odruzg rozpryśniętej kuli kamiennej. Czerwonymi soplami zakrzepła mu krew na ogromnych wąsiskach. Klął, miotał się, odgrażał się obuchem, chciał odrazu uderzyć na zamek i roznieść do cna to przeklęte gniazdo. Wszelako przepłoszeni Kozacy ostygli w zapale. Zamiast dobywać twierdzy, co jeżyła się na palankach od *strielców*, woleli wziąć odwet na ludnem i dostatniem mieście. W zamieszaniu wyłamali się z nader zresztą luźnych karbów karności i rozpierzchli się po ulicach jak drapieżne, wyjące wilki. Zaczął się pogrom, rozpętała się grabież. Z trzaskiem wywalało kozactwo wrótnie dworów i dworków, łupało siekierami zamczyste skrzynie, wyważało drągami kowane drzwi murowanych lamusów, wytaczało z piwnic beczki i śród ohydnych wrzasków wywlekało za włosy na

śnieg nagie białegłowy, ledwie żywe z przerażenia. Wszelakim łupem napełniły się przygotowane krobie. Pan Ratomski chciał zapobiec nieszczęściu, jednak nadarmo prosił, rozkazywał i płazował, nie szczędząc nawet starszyzny. Był bezsilny śród tej rozuzdanej, pijanej dziczy. Atamani stali z założonemi rękami i albo uśmiechali się pod wąsami albo wręcz zuchwale odpowiadali na pogróżki.

Pan Ratomski, oblegany przez zrozpaczonych mieszczan oraz bojarów, rozwścieczonych tym niespodziewanym napadem, wysłał gońców do Carewicza Dymitra, który z polskiemi rotami wciąż jeszcze przebywał w Morawsku. Śród zadymki śnieżnej, zapierającej dech w piersiach, popędzili, co koń wyskoczy. Jak po smole wlokły się opieszałe godziny. Do Morawska było opętanych mil osiemnaście. Pan Starosta Osterski chodził wielkim krokiem po bojarskiej izbie i przystając co chwila przed zawieszonym w rogu obrazem Przeczystej Bogarodzicy, łamał ręce. Dzień był krótki, listopadowy. Przed małemi okienkami rychło posiniał śnieg i jęły zapadać zmierzchy. Zewsząd wciąż jeszcze dolatywały dzikie wrzaski, przerywane grzechotami wystrzałów. Zadymka przycichła. Wyiskrzyło się gwiazdami niebo. Jakaś dziewczyna wniosła do izby zapaloną, łojową świecę. Pan Ratomski spojrzał na nią przelotnie. Wydało się mu w czarnej zgryzocie, że widzi Sonię. Mimowolnie przeżegnał się krzyżem świętym po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, nie przemówił jednakże do dziewczyny ani słowa.

Dopiero w jakąś godzinę później rozległo się pod oknami miarowe człapanie licznych kopyt końskich. Jacyś jeźdźcy zatrzymali się przed wrotami. Po chwili wszedł ktoś szybkim krokiem do sionki, poczem z trzaskiem otworzył niskie drzwi, prowadzące do izby. Pan Ratomski ujrzał przed sobą smukłe, młodzieńcze postacie Pana Stanisława Borszy i Pana Przeradowskiego. Znał ich już, byli bowiem dworzanami Carewicza Dymitra.

— Po niewczasie, Mości Panowie, po niewczasie — rzekł, podając im na powitanie rękę.

— Wiemy — odpowiedział Pan Borsza, otrząsając się ze śniegu. — Nie mogliśmy zdążyć wcześniej. Zawiało na chłopa. Ledwieśmy się przekopali.

— A czy mużyki jeszcze nie przecierają saniami dróg, jak mają przykazane? — zapytał Pan Ratomski.

— Wyjechali dopiero popołudniu — pośpieszył się z odpowiedzią panieńskim niemal głosikiem Pan Przeradowski, który wyglądał na maminego synka.

Pan Ratomski spojrzał uważniej na jego świeżą twarzyczkę, omszoną złotym puchem. — Dzieciuch! — pomyślał sobie. — Zachciało się mu przygód. Będzie je miał. — Poczem Pan Starosta, który od rana nie wychylał się z domu, żeby nie szargać swej powagi już mocno naruszonej, zapytał znowu:

— Przejeżdżaliście Waszmościowie przez miasto. Czy nie widzieliście, co robią moi Kozacy?

— Jedni jeszcze piją i wyskakują przy ogniskach — odrzekł Pan Borsza. — Ale tych już niewielu. Inni zapewne wylegują się pod pierzynami po domach.

— Z córkami bojarskiemi i mieszczańskiemi — trzasnął jak z bicza Pan Przeradowski i wraz potem zarumienił się mocno.

— A Waść skąd o tem wiesz? — żachnął się gniewnie Pan Ratomski. — To nie dla dzieci! Podrośnij jeszcze trochę.

Drwiącem spojrzeniem zmierzył długą jak tyka postać młodzieniaszka, uderzając ręką po szabli. Był zły nie na niego, lecz na Kozaków.

— A cóż Carewicz na to? — zwrócił się łagodniej do Pana Borszy.

— Był bardzo markotny. Nie wiedział, co począć. Obawiał się, że ten fasoł wywoła wzburzenie w kraju i razem nie chciał drażnić Kozaków. Wysłał nas z rotą przyboczną przo-

dem. Sam w godzinę później miał wyruszyć z całem wojskiem. Będzie tu nad ranem.

— Gdzież rota?

— Ma baczenie na zamek. Powiadają na mieście, że *strielcy* się burzą, że już rozbroili i związali Kniazia Tatewa, czekając tylko Carewicza Jego Mości, by przyjść z czołembitnią.

— Dobrze — rzekł rozchmurzony nieco Pan Ratomski. — Pożywcie się Waszmościowie w izbie sąsiedniej i idźcie na stanowiska.

— Dobranoc, Panie Starosto.

— Dobranoc.

Został sam. Postanowił czuwać do rana. Carewicz był niedowarzony; mogło mu strzelić do głowy jakieś głupstwo. Usiadł przy stole. Mimowolnym ruchem chciał oprzeć policzek na dłoni i syknął. Zabolała go obrzękła, pokaleczona twarz. Pochylił tedy czoło na podłożone ramiona. Łowiąc rozwałęsane myśli, sam nie wiedział, kiedy zasnął.

Obudził go hałas w sąsiedniej izbie. Poznał głos Carewicza Dymitra i ochrypłe, przepite głosy atamanów kozackich. Podniósł głowę, nadsłuchując.

— Oddajcie, coście ukradli, *wory!* — krzyczał Dymitr. — Lub dam wam bitwę i wytnę do nogi, jak psy.

Pan Ratomski nie chciał narazie mieszać się do tych swarów. Ziewnął, przeciągając się w krześle. Zauważył, że świeca zgasła i że siedzi pociemku.

— Nie oddamy, *Caru, Wieliki Kniaziu,* nie oddamy — zaskrzypiał jak zardzewiałe żelaziwo głos Atamana Bieleszki. — Taka to nagroda za naszą przelaną krew? Mieliśmy obiecane łupy...

— Na wrogach, nie na swoich. Musicie oddać. *Strielcy* już się poddali. Zamek w naszych ręku. Każę na was obrócić działa!

Pan Ratomski podniósł się ze stołka. Bez pośpiechu po-

stąpił kilka kroków, pomacał przed sobą ręką i popchnął drzwi. Otworzyły się cicho. Zauważyli go tylko Pan Sandomierski i Pan Borsza, którzy nie mieszali się do kłótni.

— Armaty nam niestraszne, a miasto pójdzie z dymem — warknął zuchwale wyglądający na zbója ataman Szweykowski. — Niema co oddawać. Sczezło. Rozkupili żydzi. Krobie i bednie przed domami próżne. Rozstąp się ziemio! — zaśmiał się, spluwając przez zęby pod nogi Dymitra.

Carewiczowi zaczęły latać nozdrza. Jak węgielki zamigotały jego oczy.

— Milcz, psi synu! — krzyknął.

Szweykowski ruszył niedbale ramionami, lecz cofnął się pod ścianę. Dymitr skoczył ku niemu, wyprostował się i szybkim ruchem dłoni trzasnął go dwukrotnie w obrzękły jak gąbka policzek. Następnie uchwyciwszy go obiema rękami za odstające uszy, jął tłuc łbem jego z rozmachem o ścianę.

Ataman spokorniał odrazu. Błagalnie obsunął się na podłogę i objął go ramionami za kolana.

— Przebacz, Panie Miłościwy, przebacz! — zabełkotał po polsku. — Nie wiedziałem, co mówię. Ot, po pijanemu. Poszuka się, znajdzie się...

— Ale nie wszystko. Pochowali i posprzedali już niejedno mołojcy. Nie gniewaj się na nas, *Caru, Wieliki Kniaziu!* — przemówił proszącym głosem ataman Kucek. Bieleszko się nie odezwał, lecz wyglądał na poskromionego zwierza.

— Idźcież i szukajcie! — zagrzmiał rozkazująco Dymitr. — Do południa mają być łupy na majdanie lub każę was wszystkich knutować i wbić na pal.

Atamani pospuszczali głowy, spoglądając z podełba ponuro.

— A za krew naszą czy żołdu nie będzie? — zaskrzeczał pokornie Bieleszko. — Nie dostaliśmy żołdu...

— Znalazły się dziengi na zamku — odparł Carewicz. —

Każemy po południu wypłacić wszystkim, wam i Polakom. Idźcie! A weźcie znowu w ryzy Kozaków! Niech się nie włóczą po mieście! Wyprowadzić ich nad Desnę! Pan Hetman wyznaczył już dla nich miejsce pod obóz! Wytrzeźwieją tam na mrozie!

Atamani wyszli w milczeniu. Przestępując przez wysoki próg, przytrzymywali szable, żeby przypadkowem szczęknięciem nie podrażniły hosudarskiego gniewu. Pan Ratomski zbliżył się z powitaniem.

— Znasz ich, Miłościwy Panie, i umiesz z nimi się obchodzić — rzekł z uśmiechem, od którego zabolała go świeża blizna na poszczerbionej twarzy.

Dymitr pokraśniał z zadowolenia. Pan Sandomierski odezwał się do dworzanina:

— Mości Panie Borszo, każcie no podać śniadanie. Jesteśmy wszyscy głodni. Nie jadło się nic od wczorajszego wieczora. I pić mi się chce. Podobno sławne są czernichowskie miody.

Pan Borsza wymknął się śpiesznie, a Pan Wojewoda mówił dalej:

— Nawarzył nam ten Kniaź Tatew piwa i poco? To było tylko udanie. Przyznał się przede mną, że nie cierpi Borysa Godunowa, potwierdzili zaś jego słowa godni, tutejsi ludzie. Co z nim uczynisz, Wasza Cesarska Mość?

Nie odzywał się inaczej przy ludziach do Dymitra, przestrzegając ściśle dworskiego ceremonjału dla podniesienia jego powagi.

— Pomyślę, — odrzekł Carewicz. — Tu go nie zostawię. Nie ufam mu jeszcze. Zabierzemy go ze sobą. *Strielców* wcieli się do piechoty, a zamek obsadzi polska załoga.

Weszła służba i zakrzątnęła się koło stołu. Prócz świetlicy, w której się znajdowali, nie było w tym domu większej izby, gdzieby można było podać śniadanie. Przeszli tedy do sąsiedniego alkierza, w którym Pan Ratomski przedrzemał się,

siedząc przy stole. Przez małe okienka, zaciągnięte błonami, zazierało już blado wschodzące słońce. Świat tonął w bieli.

— Przyjdzie tu za chwilę mój syn i panowie pułkownicy — gawędził Pan Wojewoda. — Zjemy w małem kółku. Jestem niewywczasowany i chciałbym po śniadaniu wypocząć. Rozkazałem, żeby dla orszaku Waszej Cesarskiej Mości podano śniadanie w Kupieckim Dworze.

Pan Sandomierski nie pomijał w swem myśleniu powszednich drobnostek. Pan Ratomski powstał.

— Raczy Wasza Miłość mi wybaczyć — rzekł do Dymitra z niezwykłą u siebie dworskością. — Jeszcze przed śniadaniem każę przemyć sobie ranę balwierzowi. — I wskazał palcem na swą pokiereszowaną twarz.

Po chwili powrócił czystszy i raźniejszy w towarzystwie Pana Starosty Sanockiego oraz Księcia Konstantego Wiśniowieckiego, który dogonił wojska polskie w Morawsku. Za nimi weszli pułkownicy, skrzypiąc obmarzłymi butami i ocierając ze szronu sumiaste wąsy.

Mimo senności, co obciążała wszystkim powieki, gwarno było przy stole. Doświadczony wojownik, Pan Adam Dworzycki, wyliczał zdobyte na zamku armaty, opowiadał o prochach, orężu i spiży. Pan Adam Żulicki chwalił gorliwość, z jaką atamanowie kozaccy przystąpili do odbierania łupów. Pan Starosta Sanocki wspomniał coś o skwierku pokrzywdzonych mieszczan i bojarów.

— Niech poczekają trochę — odezwał się Carewicz Dymitr. — Pokryje się szczodrze szkody z carskiej *kazny*.

— Bylebyśmy wreszcie do niej się dorwali — niecierpliwił się przedwcześnie Pan Sandomierski. Kazał pokojowcowi nalać sobie do szklanicy najprzedniejszego miodu i podniósłszy ją w górę, jął przyglądać się pod światło okiem znawcy.

— Czysty jak źródlana woda. Hem, co za aromat! Może to *dziewicze mleko?* Ale dziewicze mleko podają tylko na hosudarskim dworze.

W sionce zatętniły śpieszne kroki i zabrzęczały ostrogi. Do świetlicy wpadł panienkowaty Pan Przeradowski. Miał policzki, zaróżowione od mrozu. Powracał z objazdu.

— Przyjechali gońcy z nad Donu i z Zaporoża — przemówił zdyszanym głosikiem. — Jutro ma przyjść dziewięć tysięcy Dońców pod atamanem Korełą, a za kilka dni cztery tysiące Zaporożców.

Radosnym uśmiechem drgnęły Panu Ratomskiemu wargi pod wiechami ogromnych wąsów. Carewicz nachylił się do niego i ująwszy go za rękę, rzekł półgłosem:

— To wasze dzieło, Mości Panie Starosto! Słów mi nie staje na podziękowanie. Przyjdzie jednak chwila, że się odwdzięczę.

Poczem odwróciwszy się do Pana Przeradowskiego, wydał rozkaz:

— Zaprowadzić gońców do Kupieckiego Dworu. Niech ogarną się i pożywią. O południu będą wezwani przed nasze oblicze!

XIX.

Księżyc świecił jasno. Przez nieduże okno, sine od poświaty miesięcznej, zazierał skrawy brzeszczot komety. Żałośnie i przeciągle wyły kędyś wilki.

Car Borys Godunow wzdrygnął się w swem wspaniałem łożu i obudził się z przeraźliwym krzykiem, odrzucając ze zdyszanej i spoconej piersi wyszywaną perłami kołdrę. Dławiło go coś w gardle, rozerwał tedy pod brodą kołnierz koszuli, również perłami naszywanej. Serce jego biło burzliwie i boleśnie. Śniło się mu, że był znowu u Jeleny Jurodliwoj. Jak węże pełzały po nim jej zielone oczy. Niby spróchniała, zgniła kłoda leżał u stóp jej trupem, a popi go okadzali i śpiewali nad nim żałobne psalmodje. Miał jeszcze usta pełne wonnego, mdłego dymu. Wciąż jeszcze zgrzytał mu w uszach chrzęst rozwahanych kadzielnic. Od zimnego potu, gryzącego jak trucizna, pozlepiały się mu palce. Dolegał mu każdy włos na głowie i w brodzie.

Uczuł się niewymownie biednym i bezsilnym. — *Achty mene!* — jęknął, żegnając się raz po razu ręką, co mu ciężyła nieznośnie, jakby była z ołowiu.

Jego obolałe oczy raził skrzący blask komety, przeto odwrócił się od okna i począł mlamlać spierzchniętemi, popękanemi wargami, jakgdyby razem z gęstą, klejowatą śliną chciał wypluć przykry posmak dymu. Przeżegnał się znowu. Ulżyło mu w piersiach. Przywaliło go gnuśne znużenie. Usnął.

I po raz wtóry przyśniło się mu, że jest trupem i leży niby kłoda gdzieś, w jakiejś bezprzestrzeni. Lecz tym razem za-

miast wiedźmy zakonnej stał nad nim Chrystus, cały ze złota odlany Chrystus. Przypomniał sobie, że sam kazał go odlać mistrzowi holenderskiemu, Jakóbowi de Haen, z kruszcu, zagrabionego wytraconym kniaziom i bojarom. Ten ogromny posąg razem z posągami dwunastu Apostołów oraz Archanioła Gabrjela miał stanąć w wielkiej cerkwi, którą Borys zamierzał zbudować na Kremlu pod wezwaniem św. Ducha. Kiedyś cieszyło go skrycie, że złotnik holenderski z pochlebstwa dał Bogu Człowiekowi jego własne rysy. Myślał, że w ten sposób będą one przez pokolenia przekazane przyszłym wiekom i że ludzie, padając na twarz przed Zbawicielem, nawet po jego śmierci będą oddawali cześć jemu. I oto ten Chrystus stał teraz nad nim w swej posągowej wielkości, patrząc na niego tak straszliwie, jak on sam nigdy na nikogo nie spoglądał. Krew zlodowaciała w jego żyłach. Pojął, że jest potępiony na wieki. Chciał wznieść dłonie, błagać, modlić się... Lecz Bóg, co miał rysy jego własnej twarzy, podźwignął zwolna swą wielką, złotą stopę i postawił ją na jego piersi. Niby kruche próchno załamała się pod tym ciężarem chora, nieszczęsna pierś jego...

Car wrzasnął nieludzkim głosem i rzucił się tak mocno, że stoczył się z posłania na kobierzec posadzki. Leżał przez chwilę jak nieżywy, poczem usiadł nawpół nagi na ziemi, zanurzył palce w pozlepianych od potu włosach i jął skowytać w swej niemocy posępnie i żałośnie, jakby przedrzeźniał wilki, co wyły pod murami Kremla.

Dzień już szarzał. Księżyc zaszedł. Na niebie nieco przybladła kometa. Ktoś pod drzwiami sypialni carskiej chrobotał i podsłuchiwał, ale bez wezwania wejść się nie ważył. Nie wiedziała, co począć, zaniepokojona służba. Skrobiąc się w głowy, radzili pocichu przywołani doktorzy niemieccy. Wkońcu posłano po carewnę Ksenię. Ona jedna miała zawsze przystęp do ojcowskiego alkierza, zaś jej białe, łabędzie ramiona, posiadały moc uzdrawiającą.

Nisko skłonili się przed nią bojarowie i doktorzy. W białej, złotemi nićmi przetykanej szacie, z niesplecionymi jeszcze, kruczymi włosami, weszła lekkim krokiem do ojcowskiej komnaty. W pierwszej chwili ze zmieszania i zgrozy zakryła dłońmi oczy. Lecz wnet potem przypadła na kolanach do nieszczęsnego Hosudara. Jak dzieciątko utuliła go w swych dziewiczych ramionach, przycisnęła skołataną jego głowę do swej jędrnej piersi, jęła obcierać rąbkiem swej szaty jego spocone czoło i zapłakane oczy. Gdy *Herren Doctores* wchodzili, zawezwani przez nią do sypialni, Borys Godunow leżał już w łożu, zakryty drogocenną kołdrą aż pod samą brodę. Oczy miał przymknięte, oddychał ciężko, a palce o sinych paznogciach krzywiły się mu same jak ptasie szpony.

Ostrożnie i delikatnie ujął go *Doctor* David Vasmar u przeguba ręki. Car szarpnął ramieniem.

— Precz! Nie trzeba mi was! — odezwał się słabym, lecz groźnym głosem. — Ani ciała ani duszy leczyć nie umiecie.

Herren Doctores spojrzeli po sobie z wahaniem.

— Precz, mówię! — powtórzył, otwarł oczy i potoczył srogiem spojrzeniem.

— Zgaście pierwej kometę na niebie, a potem przyjdźcie do mnie! — zaśmiał się, zanosząc się krótkim, suchym kaszlem.

Na palcach, pocichu, niby stado czarnych, odpędzonych od ścierwa kruków, czterej *Herren Doctores* wyfrunęli za drzwi. Odprowadzały ich zalane łzami oczy Kseni, która wiązała w węzeł swe szczodre włosy u wezgłowia ojcowskiego łoża.

W przedsionku obstąpili ich bojarowie. — Co z Carem? Co z Wielkim Kniaziem? — zaszemrały ich głosy.

— Miłościwego Pana dręczą humory w dołku. Wyleży się, wypocznie i wszystko będzie dobrze — odpowiedział z powagą *Doctor* David Vasmar, atoli zaraz obejrzał się trwożnie. Wydało się mu, że przemówił za głośno i że Car Borys mógłby

przez drzwi usłyszeć jego słowa. Mimo to, zapewne przez uczone roztargnienie, odchodząc, zamruczał do siebie:

— *O, mala consciencia, quam timida tu es bestia!*

Któryś z bojarów, co miał bystrzejszy słuch, spojrzał na niego podejrzliwie. Domyślił się, że *doctor* mówi po łacinie, a łacina była wyklęta w Carstwie Moskiewskiem.

W kilka godzin później Hosudar już pełnił swe carskie obowiązki. Stanowczo i rozumnie wydawał rozkazy, chociaż twarz miał bladą, znędznioną i zapadłe oczy. Kolejno przesłuchiwał swych *wiestowszczyków.* Padali oni przed nim na twarz i mówili krótko śpiesznym, nierównym głosem. W stolicy był spokój, wszelako od rubieży nadchodziły wieści coraz groźniejsze. *Miatież* ogarnęła *Kamaryńską Wołost'* oraz całą Siewierszczyznę. Miasta i bojarowie stawali jawnie po stronie przeklętego Rozstrygi. Poddał się Morawsk i Czernichów. Ludność go wielbi, bo wojska jego nie palą, nie zabijają, nie grabią, zaś on sam jest mężny i wspaniałomyślny niby św. Jerzy. Złuda to jużcić i mamidło, ot, polskie, jezuickie czary! Ale rzekami napływają do niego Kozacy, czerń wszelaka, *brodiagi* i *wołokici,* zaś on wszystkich przyjmuje do swego wojska. Podstąpił teraz pod Nowogród Siewierski, lecz zima, chwała Bogu, jest twarda, przytem Piotr Basmanow wódz nad wodze! Spalił miasto i zamknął się w zamku. Rozstryga posłał swoich Polaków, żeby wezwali go do poddania, na co on kazał im odpowiedzieć z palanek: *A wy bledyny syny, wy z worom prijechali na nasze diengi!* Kopią teraz pod zamkiem szańce i plotą kosze, jednak idzie im nieskoro.

Hosudar pokrył w sobie nikły uśmiech. Lubił tego Basmanowa. Łebski z niego junak! Butny i lekkomyślny, jakby był Polakiem. Borys Godunow nienawidził Polaków, atoli myślał o nich jak o wyższych istotach.

Niecierpliwym ruchem ręki odprawił *wiestowszczyków,* poczem przywołał ku sobie stojącego u drzwi w kornej postawie, bojarzyna, Wańkę Saburowa, który błysnął przed nim

małemi, kaprawemi oczyma oraz łysą, ogromną banią czaszki, jakby za dużej w stosunku do drobnej, szubrawej, zmiętej twarzy. Wańka Saburow był na Kremlu niczem, ale wiedział wszystko. Psim jakimś swędem umiał wytropić najtajniejsze, kiełkujące zaledwie myśli nawet w duszy Wasyla Szujskiego, który był mistrzem wszelkiej zdrady.

— Słuchaj ty, stary łotrze, — rzekł, a Wańka Saburow wtulił w barki i pochylił niżej swą łysinę, jakby się pławił w szczęśliwości tej wprawdzie zasłużonej, lecz nieoczekiwanej pochwały. — Słuchaj ty, stary łotrze, czy Bojarowie Dumni mówią między sobą o tym przeklętym Rozstrydze, który udaje Dymitra Iwanowicza

— Mówić nie mówią, ale myślą, *Caru i Wieliki Kniaziu...* Zawiele myślą i żadnemu ufać nie można.

— A co w wojsku?

— Dużo go już; będzie ze sześćdziesiąt lub osiemdziesiąt tysięcy. Czerń ciemna i głupia. Nic nie myśli. Pójdzie jak trzoda za tymi, co sprawują dowództwo. Nie dałbym za ich wierność ani kopiejki.

— Wiedziałem, że nie można polegać na Szujskich — mruknął Car Borys w zamyśleniu. — Wasyl zdrajca, a Dymitr we wszystkim go słucha. Rodzony braciszek!

— Słuchają go także inni, Carze i Hosudarze; Wasyl Morozow, Andrzej Teljatewskij, Michał Sołtykow. Pewny jest tylko nasz powinowaty, Iwan Iwanowicz Godunow, lecz ten boi się wszystkich i wszystkiego. Um już mu zjełczał od pijaństwa. I nie zawiedzie Piotr Basmanow...

— O nim mówić nie można — żachnął się popędliwie Car. — Oblężony w Nowogrodzie Siewierskim...

— Przez kogo? Czy przez zbuntowanych Kozaków? — spytał z głupia frant Saburow, jakby chciał się dowiedzieć, co ma głosić na dworze.

— Dość tych łgarstw! Wiedzą wszyscy, że przez Rozstry-

gę. I ty wiesz także, więc poco udajesz? Zadużo sobie pozwalasz!

Borys Godunow bywał groźny nawet dla swoich najbliższych krewnych. Wańka Saburow skulił się znowu. Obleśny uśmieszek znikł z jego zmiętej twarzy.

Car zamyślił się ponuro, poczem rzekł po chwili:

— Sprowadź tu Kniazia Fedora Iwanowicza Mstisławskiego, ale tak, żeby nikt nie wiedział.

Wańka Saburow zerknął na niego ze zdziwieniem. Fedor Mstisławski uchodził za nieustraszonego wodza i człowieka bez skazy, jednakże odawna był w niełasce. Borys Godunow zabronił mu się żenić, a uroczą jego siostrę wtrącił do monasteru. Chciał, żeby wygasł ród Mstisławskich.

— Idź! — powtórzył Car. — Sprowadź go tu zaraz!

Saburow wyszedł. Borys powstał i chwiejnym, posuwistym krokiem jął przechadzać się po izbie. Był tak zamyślony, że nie wiedział, kiedy wydał rozkaz, żeby przed jasne jego oczy dopuszczono Mstisławskiego, który już czekał przed drzwiami.

Kniaź Fedor Iwanowicz Mstisławski był dumniejszy i niezależniejszy od innych bojarów, mimo to z niewolniczą pokorą rozciągnął się jak długi u stóp carskich. Tak wymagał obyczaj, przyjęty od Tatarów.

— Skrzywdziłem cię, Fedorze Iwanowiczu. Masz do mnie w sercu żal — zaczął Borys Godunow głosem łagodnym i niemal przepraszającym.

— Jam twój chłop, *Caru i Wieliki Kniaziu*. Rabom żalu mieć niewolno — odrzekł Kniaź Mstisławski. Miał powieki przez pół opuszczone i oczy utkwione w pstry kobierzec, lecz blizny na jego twarzy poczerwieniały zlekka.

— Zgrzeszyłem. Wszyscyśmy grzeszni — odezwał się znowu ze skruchą Borys, westchnął i zadumał się. — Słyszałem, że ci się podoba moja córka, Ksenia? — zagadnął znagła.

Kniaź Mstisławski poruszył się mimowolnie i szeroko otwarł czarne oczy, rozmigotane twardymi połyskami. Omal

się nie przeżegnał. Car wiedział wszystko. Przenikał jego najtajniejsze myśli.

— Ja czerw, ja zamały. Nie śmiem myśleć o Carewnie Kseni. Ona dla królewicza zagranicznego — rzekł, przeciągając opieszale słowa.

— Ty wiesz. Miała wyjść za księcia duńskiego, Jana. Ale Bóg nie pozwolił. Zapił się on na śmierć przed samym ślubem. Zbłądziłem. Nie chcę już dla niej cudzoziemca. Ona ruska i za ruskiego człowieka wyjść powinna. Tyś odważny, waleczny, chwała naszego narodu. Uczynię cię wodzem nad wszystkimi innymi, dam ci nad wojskiem nieograniczoną władzę. Pali się od granicy zachodniej. *Wor* Rozstryga z Polakami i Kozakami naszedł Ziemię Siewierską. Oblega Nowogród. Pobij go! Gdy zwyciężysz, będziesz drugim moim synem. Ksenia zostanie twoją żoną. — Zatchnął się. — Carstwo Kazańskie i cała Siewierszczyzna będzie jej wianem — dokończył.

Nagłym, dziękczynnym ruchem podniósł Kniaź Mstisławski wgórę ramiona i rzucił się znowu do stóp Borysa.

— Tyś mądry i dobry, Caru i Wieliki Kniaziu — wyjąknął. — Przyjmuję, skoro tak każesz. Zwycięstwo jest w ręku Boga, a z bojarami niełatwo. Ale życie moje do ciebie należy.

— Każę zwołać jutro Bojarów Dumnych i ogłoszę cię wodzem, Fedorze Iwanowiczu. Wszyscy muszą cię słuchać — wszyscy. A krótko ich trzymaj w ręku, bo są między nimi ludzie źli i niewierni, Wiesz, którzy!

Mstisławski nic nie odrzekł. Jak wszyscy w Moskwie nawykł do milczenia. Bał się wyrwać z nazbyt pochopnem słowem. Nie wiedział, kogo Car podejrzewa.

— Czemu nie mówisz? — spytał go porywczo Borys Godunow, zaglądając mu aż w białka oczu. — Zresztą nie trzeba. Słuchaj tylko! Znam ja was wszystkich!

Ociężał w duchu. Trawiło go chorobliwe znużenie. Poddał się znowu uczuciu zrozpaczenia i grozy, co jak skażona krew

krążyło w całej jego istocie. Czynił, co nakazywał mu bystry jego rozum, ale nie wierzył w to, co czynił. Nie był już zdolny tchnąć ożywczej siły w swe czyny. Przeczucie jakieś szeptało mu w duszy, że Mstisławski zawiedzie jak wszyscy inni. Może nie zdradzi, ale zawiedzie, bo daremna jest walka z strasznym gniewem Bożym.

Kniaź odszedł stropiony. Car powalił się na kolana przed dużym, starożytnym obrazem Mikołaja Cudotwórcy, składając ręce do modlitwy. Wszelako usta świętego były srogo zaciśnięte, a niepomiernie wydłużone jego oczy złowróżbnie zimne.

I kajał się przed ikoną Car Borys i tarzał się po ziemi i płakał jak niedołężne, bezsilne dziecko.

XX.

Przez zaśnieżone pola, śród zasp i wydmuchów chmarą szło chłopstwo, szło, obarczone ciężką swą niedolą. Lud ściągał od Putywla, Rylska, Siewska, Kurska i Kromów pod Nowogród Siewierski do obozu Carewicza Dymitra. Popi i czerńcy nieśli przed nim złote ikony i śpiewali. Niby dymne opary krwi ludzkiej słaniały się po lodowatych stepach ich żałosne psalmodje. Nad czernią zawodziły wichry potępieńczym szlochem duszy rosyjskiej.

Za chłopstwem przyjechali mieszczanie i bojarzy. Atoli nie tylko z płonną skargą i załamanemi od rozpaczy rękami. Wlekli powiązanych wojewodów Borysa, zgłaszali swe poddaństwo, przyrzekali pomoc zbrojną. A najgorętszymi i najzawziętszymi byli Putywlanie.

Dziwne, zaiste, są sprawy Boże. Carewicz Dymitr posłał swych moskiewskich halabardników pod Putywl po żywność. Moskwa ich pojmała i zapytała: — Coście za ludzie? — Halabardnicy wyznali całą prawdę, powiadając: — Jesteśmy bracia wasi, którzy idziemy do ojczyzny z Dymitrem Iwanowiczem, panem naszym przyrodzonym. — Nie odrazu zaufali im w tej mierze Putywlanie i chcieli ich oddać w ręce katów, żeby na męczeńską wzięli ich próbę. Na wolę Bożą zdali się nieborzęta halabardnicy, lecz im odpowiedzieli: — Czyńcie jako chcecie. Gardła nasze są w rękach waszych. Jednak nie możemy inaczej zeznać, jedno jako sami wiemy i czegośmy doznali, że jest prawdziwy dziedzic. — I uwierzyli im mieszczanie putywelscy. Przyjechali do obozu z orężem i z dzia-

łami. Ucałowali *chrest* synowi Iwanowemu i poprzysięgli krwawą zemstę Borysowi Godunowowi za krzywdy swej ziemi.

Bowiem rozjadł się wielce Car Borys na niepodległego ducha, który panował w Siewierszczyźnie i *Wołosti Kamarińskiej*. Niby psy wściekłe spuścił na te ziemie ze swej smyczy Tatarów pod Chanem Kasimowskim, Szymonem Bichołasowiczem. Tatarzy spadli jak dopust Boży, jak szarańcza. W niwecz obracali wszystko, pozostawiając za sobą tylko ziemię i wodę. Step dymił się zgliszczami, czerwieniły się strasznie na białym śniegu zakrzepłe kałuże krwi. Rozsochate konary odwiecznych dąbrów uginały się pod mnogimi, zastygłymi zewłokami ludzkimi niby pod ogromnymi soplami. Bowiem Tatarzy wiązali ręce swym jeńcom i za jedną nogę wieszali ich na drzewach w borze, gdzie rychło zamarzali ci nieszczęśni śród lodowatej głuszy. Wyjąc, pląsały dokoła nich wilki i w opętańczych podskokach zajuszonemi paszczękami wydzierały z ich ciał krwawe ochłapy. Orda bezcześciła białegłowy, poczem piekła je żywcem w rozpalonych piecach chlebowych lub wbijała na pale i polewała wodą. Perzyny siół były pełne tych okropnych, zlodowaciałych posągów. Dzieci nieletnie wrzucano w czeluście gorejących chat lub topiono jak szczenięta pod lodem. Młode, piękne dziewczęta sprzedawano za parę kopiejek, za gałgany starej odzieży lub za pół butelki gorzelca. Bluźniła Bogu swym widokiem ziemia nad Desną i Sejmą niby rana, otwarta włócznią plugawego łotra.

Za Tatarami postępowało stutysięczne wojsko Kniazia Mstisławskiego, gorsze i podlejsze w swej niegodziwości, bo złożone z rosyjskich ojczyców. Szedł przodem *Pierednyj Połk*, a czoło jego tworzyło kilka tysięcy *strielców* w zielonych kaftanach, z długiemi rusznicami czyli piszczelami. Czeladź prowadziła za nimi osiem wierzchowców wojewody pułku, Wasyla Morozowa. Były to ogniste argamaki tureckie w okazałych rzędach, przykryte wielkiemi, buremi skórami wilczemi

lub niedźwiedziemi. Prostując się wyniośle na swym siwym rumaku, jechał następnie sam Wasyl Morozow, zakuty w stalowy bechter i ze stalowym szyszakiem na głowie. U boku miał on krzywą szablę, zaś wielki, dwusieczny miecz sterczał między siodłem a jego lewem kolanem. U łęku jego *jarczaka* (tak podówczas nazywano w Polsce lekkie, tatarskie siodło) wisiał nieduży, miedziany bęben, w który co chwila uderzał groźnie nahajką, gdy któryś z tłoczących się za nim bezładną kupą jeźdźców nieopatrznie zajeżdżał mu drogę. Dobrze było uzbrojone i przyodziane to najprzedniejsze rycerstwo bojarskie. Świetnie mieniły się na barkach pozłociste kołczany. Wszyscy posiadali misternie rzeźbione i barwiście malowane łuki. Z pod ciężkich hełmów wyglądały twarze brodate, dzikie i wojownicze.

Za *Połkiem Pierednim* ogromnym, niesfornym hurmem walił *Bolszoj Połk*. Byli to również wojownicy groźni, doświadczeni w bojach z Polakami, Szwedami i Tatarami, którzy strojnością i krzykliwym przepychem przewyższali nawet towarzyszy, ciągnących przodem. Pośrodku wału, utworzonego z ich krępych, pleczystych ciał, jechał wódz naczelny, Kniaź Fedor Iwanowicz Mstisławski, z wielkim orszakiem podwładnych wojewodów i cudzoziemskich kapitanów. Śród nich wodzili rej Wasyl i Dymitr Szujscy. Dzielnego, surowego wodza poprzedzało kilka tysięcy *strielców* w szkarłatnych kaftanach, bramowanych suto gronostajami. Sławni byli oni na całe Carstwo z niezawodnej celności swych piszczeli. Wierzchowców prowadzono przed Kniaziem Mstisławskim aż 24, a wszystkie lśniły od czapraków, ociekających złotem i nabijanych drogimi kamieniami. Za okrycie służyły im skóry rysie i lamparcie. Wodza niecierpliwił niekarny tłok otoczenia, jakoż często kołatał w swój tołumbas nahajką. Milczała jednak surma basowa oraz długie trąby z kory brzozowej, któremi dawano znak do boju. Nieczęsto także odzywały się bębny, zwane *nabatami*, wielkie jako fasy winne. Było ich siedem. Wieźli je

na koniach jeden przy drugim tędzy bębeniści, przyodziani w strojny, sute kaftany. Wedle przyjętego zwyczaju tylko jedną kołatali w nie ręką.

Na skrzydłach *Połkiem Naprawym* dowodził Wasyl Golicyn, a *Połkiem Nalewym* młody Andrzej Teljatewski. Atoli nie jechali przed nimi, jak w głównych pułkach, *strielcy* i nie poprzedzały ich wierzchowe konie. W zupełnem zaś opuszczeniu wlókł się wtyle Nazadnyj Połk, nad którym wymówił sobie dowództwo Iwan Iwanowicz Godunow, drżący o całość swej skóry. Prócz mnogich wozów taboru tworzyła go niepoliczona, nędzna i obdarta chmara chłopstwa, której pospolite uzbrojenie stanowił łuk, a nieraz tylko osęka lub zwykły kostur z uwiązanym u końca kawałkiem kości lub ułomkiem miękkiego żelaza.

Działa, do których moskiewskim zwyczajem zamiast zwierząt pociągowych zaprzęgano *mużyków*, pozostawały pod osłoną rot cudzoziemskich w *Pierednym Połku*. Sprawnymi, karnymi szeregami jechali zgodnie obok siebie Niemcy i Francuzi. Pierwszymi dowodził leciwy, ospały baron von Rosen, obojętny na wszystko prócz żołdu i piwa, zaś drugimi szczupły, urodziwy i rycerski *Capitaine* Jacques Margaret, który jadał już chleb z niejednego pieca, niejednego w świecie nauczył się języka i na niejednem bijał się pobojowisku. Z szlachetną odrazą mówił on o okrucieństwach moskiewskiej i tatarskiej dziczy do swego niemieckiego towarzysza, jednakże ten uśmiechał się tylko i niedbale ruszał swymi przygarbionymi barami. Wiedział oddawna, co myśleć o Moskwie, i miał dla tych barbarzyńców spokojną, zakamieniałą pogardę. Mimo to, przynajmniej na pozór, służył Hosudarowi wiernie, spełniając rzetelnie swe kapitańskie obowiązki.

Kniaź Mstisławski był raczej nieustraszonym żołnierzem niż uzdolnionym wodzem. Obietnice Borysa Godunowa obudziły jego uśpione ambicje. Zamroczyło się mu w głowie od niespodziewanego wyniesienia, pałał tedy żądzą czynu i zwycięskiej

chwały. Przynaglał swe hałaśliwe, rozwałęsane, łupieskie chasy. Wszelako ubezwładniał jego zapędy tępy upór i jakby rozmyślna opieszałość podwładnych wojewodów. Marudził zwłaszcza przeważny w radzie Wasyl Szujski, którego podstępna przebiegłość i starannie tajona nienawiść do Borysa Godunowa coraz to inne wynajdowała przeszkody. Skrycie nurtowała śród bojarów zdrada. Nie wiedzieli, kim był Dymitr, lecz wydawał się im lepszym od dotychczasowego Hosudara. Pociągała ich tajemnicza nowość. Jakoż nieskończenie wolno i tchórzliwie pełzły poganiane nahajkami zgraje moskiewskie, zdążając przeciwko Dymitrowi, który łamał sobie zęby na zuchwałej śmiałości Piotra Basmanowa.

Chciał wziąć twierdzę od jednego rozmachu. Na drewniane jej zręby uderzyło nawet spieszone rycerstwo polskie, ale pod niszczącym ogniem dział moskiewskich musiało odstąpić. Powtórzyło się to jeszcze kilka razy. Jednakże nie pomogły snopy chrustu i słomy, z którymi żołnierze, idący w ogień, wyglądali jak chochoły. Dymitr, który wcale nie szczędził siebie, omdlewał prawie z żałości i wyrzekając na swe nieszczęście, zrzędził:

— Coś innego rozumiałem o Polakach, ale widzę, że są ludzie, jak inni.

Na co pułkownicy polscy odpowiadali dumnie:

— Nie ujmuj nam dobrej sławy, Miłościwy Carze! Wiedzą wszystkie narody, że nie nowina nam mocnych zamków dobywać. Chodziliśmy do szturmu nad powinność naszą i nadal wzbraniać się nie będziemy, ale każ pierwej działami wyłom uczynić. Dopiero w otwartem polu poznasz dzielność i męstwo polskie, o którem teraz zdajesz się mało rozumieć.

Tedy tłuczono obronne zręby ciężkiemi działami, sprowadzonemi z Putywla, a tymczasem nadchodziła odsiecz moskiewska.

Pierwszy przywiózł o niej wieść Pan Stanisław Borsza, który mając dobre kałauzy moskiewskie, jeździł z panienko-

watym Panem Przeradowskim na dalekie podjazdy. Wracali, obaj pełni obrzydzenia i smutku, lecz zarazem dumni ze swego narodu. Bo i czemże były jego nieprawości w porównaniu ze zbrodniami moskiewskiemi, co swą ohydą cuchnęły w niebiosa?

W szałasach i szatrach obozowych starzy żołnierze potrząsali głowami, szemrząc:

— Niedobrze! Wali na nas dwieście tysięcy Moskwy. Siła ludu! Trudno będzie zdzierżeć. Mocno trzeba będzie gęby opędzać.

Jakoż wychyliły się wreszcie z zaśnieżonych borów nieprzejrzane zastępy moskiewskie. Groziło małemu wojsku Dymitrowemu, że zostanie przyparte do nieprzełomnych zrębów Nowogrodu Siewierskiego i otoczone ze wszystkich stron. Nad głową Kniazia Mstisławskiego powiewała dumnie wielka, złota chorągiew.

Obie strony chciały zyskać na czasie, przeto nawiązano rokowania. Posłowie jeździli z obozu do obozu. Pierwsza potężnie stanęła Moskwa, rozpoczynając harce. Basmanow śledził ją pilnie z palanek swej twierdzy i wypadał co chwila, szarpiąc nieprzyjaciół od tyłu.

Powoli, lubo niewstrzymanie, rozwijała się bitwa. Jak pszczoły z ula rajały się roty z obozu Dymitrowego. Z płomiennem uniesieniem przemówił do kopijników polskich syn Iwanowy.

— O, Boże! — wołał wielkim głosem, wznosząc opancerzone ramiona ku niebu. — Jeśli sprawa moja jest niegodziwa, niechaj gniew Twój spadnie tylko na mnie. Wszelako Ty wiesz, Panie, że jest słuszna, i dasz dłoni mojej moc niezwyciężoną!

W szeregach moskiewskich gromko huknęły brzozowe surmy, a zawtórowały im ponuro *nabaty*. Pan Sandomierski skinął swą srebrną buławą hetmańską. Z ogromnym trzaskiem uderzyła rota Pana Nieborskiego. Uderzyła dobrze, jednak

wsparła ją Moskwa. Tedy odwiódł swą rotę niestropiony Pan Nieborski i przeszedł znowu do sprawy, posiłkowany tym razem przez Bylińskiego i Kruszynę. Równocześnie potkał się mężnie Pan Adam Dworzycki ze swymi petyhorcami. Jęły gibać się i chybotać zastępy moskiewskie niby wrota wywalane obuchami.

W odwodzie stały jeszcze trzy roty husarskie po sto koni oraz czwarta pod wodzą samego Dymitra, która liczyła dwieście koni. Stały milczące i nieporuszone, jakgdyby gardząc ogromną wrzawą, którą podniosła Moskwa. Troskliwy Pan Sandomierski nie przeoczył chwili właściwej i niby ptak skrzydłem, skinął znowu swą hetmańską buławą. Z polskiemi chorągwiami pancernemi uderzył Dymitr Iwanowicz jak białozór na stado łabędzi. Nie minęło nawet kilku pacierzy, a rozmiótł Moskwę niewstrzymanym zamachem.

Husarze, skruszywszy kopie, dobyli z pod kolan mieczy. Napróżno zabiegł im drogę sam Kniaź Mstisławski z przybocznymi bojarami. Zaraz w pierwszem starciu z jakimś husarzem zwinął się mu miecz w dłoni. Z piętnastu ran broczył mężny wódz moskiewski, gdy nieprzytomny potoczył się na ziemię. Byłby zginął lub dostał się do niewoli, gdyby w ostatniej chwili nie wydarli go z rąk polskich wierni *strielcy*, którzy swymi szkarłatnymi kaftanami zasłali pobojowisko.

Jak wyczerpana przed czasem nawałnica długą, ciemną, połamaną linią pierzchała w bory Moskwa. Odsiecz się nie udała. Na oślep uciekali kniaziowie i bojarowie, uciekali *dworianie* i *strielcy*, uciekała czerń tatarska i chłopska hałastra. Umknęli nawet Francuzi i Niemcy, opuszczając działa. Na śniegu pozostali tylko zabici i ranni niby snopy na polu.

Zdyszane i uznojone zatrzymały się roty polskie. Dalszy pościg wzięły na siebie lżejsze chorągwie kozackie pod Panem Ratomskim.

Carewicz Dymitr, który walczył w pierwszych szeregach,

był jak w niebowzięty. Chciał właśnie przemówić, gdy wtem Pan Borsza zawołał:

— Gore! Nasz obóz gore! Patrzcie, patrzcie!

Obejrzeli się wszyscy. Nad szatrami kłębiły się szare, gnuśne zwały dymu, przetykane czerwonymi językami płomieni.

Jakiś bojarzyn moskiewski, nadbiegający pędem na koniu, wrzasnął zdaleka:

— Wypadli z twierdzy! Niemcy w obozie! Na pomoc!

Dymitr kinął swym skarogniadym rumakiem, wołając rozkazująco:

— Odwołać pogonie! Wszyscy do obozu!

Z niemieckiemi piechotami najemnemi chyłkiem wtargnął do niego mężny Szwed, Hans Biugge, rudy Szwed, Hans Biugge, który z czworogrannej baszty zamku nowogrodzkiego patrzał na tryumfy polskie nienawistnemi oczyma. Opanował opustoszały obóz, lecz niedługo w nim się utrzymał. Wnet wyparli go stamtąd powracający zwycięzcy i Nowogród Siewierski jeszcze szczelniejszym osaczyli pierścieniem, skazując Hansa Biuggego wraz z całą załogą na końską padlinę.

Po bitwie Pan Starosta Osterski, rzucając pod nogi Dymitra wielką, złotą chorągiew, co jeszcze do niedawna powiewała pysznie nad Kniaziem Mstisławskim, zapytał chełpliwie:

— A co, Miłościwy Carze, czy są Polacy jako inni ludzie?

XXI.

Buczni rycerze polscy piastowali na kolanach dziewki krasawice. Piastowali je na kolanach, ponieważ o dziewki było łatwo. Same garnęły się do obozu, jak ptactwo, co czasu mrozów zlatuje się po żywność. Bowiem kraj był wyniszczony, zima sroga, a chasy Kniazia Mstisławskiego czaiły się groźnie, zarąbane i zamiotane zasiekami w lasach. I mimo nieustannego ognia ciężkich spiży putywelskich trzymały się wciąż jeszcze poszczerbione i podziurawione jak rzeszoto zręby nowogrodzkie. Z baszty strażniczej urągał Polakom najemny Szwed, Hans Biugge, rudy jak szatan. Żarł końską padlinę i urągał polskim papistom.

Zdarzyło się, że pewnego dnia wybuchł śmiech ogromny w obozie polskim. Z podjazdu wracał panienkowaty Pan Przeradowski i wiózł przed sobą na siodle pannę. Dziewczyna była jak malowanie. Wstydziły ją zuchwałe spojrzenia żołnierskie, przeto tuliła do młodocianej twarzy rycerza swą spłonioną twarzyczkę, właśnie jako biała lelija tuli się do róży. Pan Przeradowski znalazł ją w borze samą jedną. Jakoś uszła pościgu czaty tatarskiej, co zagarnęła w drapieżnym pochodzie jej rodziców razem z czeladzią. Była córką znacznych bojarów. Miała na imię Tatjana.

Ale nie było to wszystko.

Między dwoma rzędami ośnieżonych Kozaków Pana Przeradowskiego sunęły sanie z łubkami miodowemi. Obok nich jechali cudzy, Borysowi ludzie. Wiódł ich jakiś młody, nie-

szpetny bojarzyn, który gawędził po przyjacielsku z Panem Przeradowskim i uśmiechał się do dziewczyny.

Ciekawie skupiło się rycerstwo.

— Patrzcie, Mości Panowie, Car Borys przysyła nam z Moskwy miodu! — zawołał jakiś wysoki, czubaty towarzysz pancerny, który z ciepłej izby wybiegł z kartami w ręku.

— I jeszcze insze delicje. Nadobna czarnobrewka! — dorzucił ktoś drugi, poczem zagadnął drwiąco Pana Przeradowskiego:

— A w jakimże to kramie sprzedają takie słodkości?

— Łasy młodzik na łakocie — odezwał się trzeci.

— Synogarliczka! Kureczka! Cip! Cip! Cip! — wydziwiał inny.

Pan Przeradowski udawał, że nie słyszy. Nie było nikogo ze znaczniejszych, przed którymi potrzebowałby się tłumaczyć. Tedy trzymał w objęciu dziewczynę, nadrabiał miną, marszczył brwi i rozmawiał z nieznajomym bojarzynem. Jechał w służbie. Było mu pilno do Carewicza Dymitra.

Carewicz siedział w kurnej chacie przy łożu Pana Sandomierskiego. Od czasu bitwy Pan Wojewoda kwękał i niedomagał. Trapiły go przytem niewesołe myśli. Gońce przywieźli mu listy z Sambora i z Krakowa. Nastawali na niego Kanclerz Jan Zamoyski i Książę Janusz Ostrogski. Za jego wichrzenia pozywali go przed Sejm, który wkrótce miał się zebrać. Ponadto w obozie szemrało wojsko. Oddawna nie otrzymywało żołdu. Trzeba, żeby pojechał, dał odprawę niechętnym, zebrał znów trochę grosza. Pan Zwłóczymowski zacny, ale zwłóczy po swojemu...

— Ty zostań i radź sobie, jako możesz, — mówił do Dymitra. — Da Bóg, powrócę.

Dymitr milczał ponuro. Bywał zawsze ponury, gdy się zamyślał. Rozumiał, że przyszły jego teść byłby dla jego sprawy pożyteczniejszy w Polsce niż tu, w obozie. Był stary, schoro-

wany, niedołężny. Psuł tylko krew swojem gderaniem. Jednakże obawiał się, żeby wyjazd Pana Wojewody nie zachwiał mocniej duchem, nadwątlonym już w wojsku. Niezadowoleni i zniechęceni mogli poczytać go za ucieczkę. Groziłoby rozprzężenie, rozruchy, fasoły, a nieprzyjaciel czyhał z dwu stron.. Wahał się w sobie. Nie wiedział, doradzać czy odradzać.

Wszedł stary, wierny rękodajny Pana Wojewody.

— Czego Waść chcesz? — zapytał go Dymitr.

— Powrócił z podjazdu Pan Przeradowski. Powiada, że ważne przywozi wieści.

— Niech wejdzie.

Rękodajny otworzył drzwi. Ukazała się wysoka, smukła postać Pana Przeradowskiego. Pokłonił się i zaczął pierwszy:

— Ale ja nie sam... — nie dokończył, usuwając się, żeby zrobić miejsce Tatjanie i nieznajomemu bojarzynowi, który niemal u samego progu rzucił się jak długi na podłogę. Izba była niska i czarna od dymu, lecz Dymitr w pancerzu i sobolowej ferezji swym wyglądem nakazywał poszanowanie.

— Powstań! — rzekł Carewicz. — Nie tak należy czcić swego prawowitego pana. Ucałuj moją rękę. Ktoś ty taki? — W duszy mignęła mu ta twarz dalekiem przypomnieniem. Już ją kiedyś widział lub zdawało się mu, że ją widział.

— Ja Kniaź Wasyl Michajłowicz Rubec-Massalski — odpowiedział bojarzyn, całując nieśmiało podaną rękę. — Jadę z Moskwy. Posłał mnie przeklętnik Borys Godunow, żebym odwiózł *diengi* do wojska Kniazia Mstisławskiego. Duże pieniądze; osiemdziesiąt tysięcy czerwieńców. Wiedział, że daleko zapędzają się podjazdy kozackie, przeto dla ostrożności kazał zatopić *diengi* w łubkach z miodem. A ja...

— A ty, nasz druh, nasz wierny poddany, odwozisz *diengi* swemu prawowitemu Hosudarowi! — dokończył za niego Dymitr, kładąc mu łaskawie ręce na ramionach. — Witaj nam, Kniaziu! Tyś mój brat! Póki życia nie zapomnimy twojej przysługi.

Bojarzyn znów przypadł do ziemi. Nie był przyzwyczajony do takiej carskiej dobrotliwości.

— A dużo jest w Moskwie takich, którzy tak myślą jak ty? — zagadnął go Carewicz.

— O, dużo, wszyscy — odpowiedział Kniaź Massalski. — Ale czekają. Boją się. Godunow strasznie się sroży.

— Czy już wie o porażce Mstisławskiego?

— Wie, *Caru i Wieliki Kniaziu*. Od swoich *wiestowszczyków*. Ani sam Mstisławski ani nikt z jego wojska nie śmiał mu donieść. Borys się wściekał, a wkońcu z klęski zrobił zwycięstwo. Posłał Mstisławskiemu swych najprzedniejszych doktorów niemieckich, zaś dla wojska nagrody w pieniądzach.

— Które trafiły do *kazny* Cara Miłościwego — wtrącił się swym panieńskim głosikiem Pan Przeradowski. Ośmielił się wielce, odkąd bywał w boju. Umiał już trochę po rosyjsku i uchodził powszechnie za ulubieńca Carewicza Dymitra.

— Znajdzie on inne na ukrzywdzenie ludzkie — rzekł Kniaź Massalski. — Ma nieprzebrane skarby, bo ograbił całe Carstwo. I dalej grabi. Wysyła teraz Chworostina z nowemi posiłkami dla Mstisławskiego.

Dymitr zmarkotniał nieco.

— Duże? — zapytał.

— Duże, *Caru i Wieliki Kniaziu*, ale niestraszne. Przejdą wszystkie na naszą stronę, skoro tylko nadarzy się sposobność.

— No, a Basmanow jakoś do poddania namówić się nie daje — odezwał się Pan Sandomierski, który podźwignął się na łokciu w łożu, bacznie przysłuchując się rozmowie.

— Basmanow człek błahy, wszystko zawdzięcza Borysowi i nie wie, co dzieje się w Moskwie, — odpowiedział Kniaź Massalski. — A może też lęka się kapitana szwedzkiego, Hansa Biuggego, który dowodzi Niemcami w twierdzy i jest szpiegiem Borysa Godunowa.

— Któż jest ta nadobna krasawica? — spytał Carewicz

Dymitr, który już od niejakiego czasu z lubością spoglądał na Tatjanę. — Siostra-li twoja czy żona, Kniaziu Wasylu Michajłowiczu?

— Ja nie jego, Caru i Hospodarze wszech Rusi — zaświegotała drżącym, słodkim głosem dziewczyna, rzucając się przed nim pokornie na kolana. — Ja sierota, niczyja, sama jedna na świecie. Ojca i matkę zagarnęli mi na zatracenie Tatarzy, a bracia w wojsku Borysowem i niewiem, czy jeszcze żyją. — Głos jej załamał się łkaniem. — Ja... ja jestem tego polskiego rycerza, który znalazł mnie samiutką w borze, ocalił od wilków i Tatarów, przyhołubił i na własnym przywiózł tu koniu. — Umilkła i zerknęła zapłoniona na Pana Przeradowskiego. Nie odpowiedział jej spojrzeniem, gdyż stał jak trusia ze spuszczoną głową.

— Biedna ty dziecina! — odezwał się Carewicz poważnym ojcowskim tonem, pomny obecności Pana Sandomierskiego, zaczem pochyliwszy się, pogłaskał ją po głowie. — Biedna ty, ale nie lękaj się już niczego. Jesteś pod naszą opieką. Jednak nie możesz pozostać w obozie. Tu tylko szatry i lepianki śród zgliszczy, a tobie trzeba wygód, boś kniaziowska córka. Każemy, żeby odwieziono ciebie do monasteru w Siewsku. Dobre są monachinie wielebne. Zajmą się tobą jak własnem dzieckiem.

Tanja podniosła lękliwie oczy. — A czy jego, tego polskiego pana, — wskazała spojrzeniem na Pana Przeradowskiego — już nie zobaczę? — zapytała z cudną szczerością, lekkomyślną i zarazem namiętną. — Ja jestem jego... Chcę być jego!

Carewicz uśmiechnął się, a za nim wszyscy obecni.

— Zobaczysz, dziecino, zobaczysz, — rzekł — jeśli zechcesz i jeśli on zechce. Cóż Waszmość na to? — zapytał Pana Przeradowskiego.

— Ja... ja tę panienkę chętniebym odwiózł do Siewska — zdobył się na odwagę, jąkając się i czerwieniąc zapytany.

— Zaprowadźże ją teraz Waszmość do *Kniagini* Tatewoj, która dziś właśnie przyjechała do męża. Jutro je obie odwieziesz do Siewska. Mróz trzyma, droga będzie dobra. Idź! Bywaj zdrów, Kniaziu! — przemówił, żegnając łaskawem skinieniem głowy Massalskiego, i wraz potem klasnął w dłonie na sługę. — Odprowadzić Kniazia Jego Mości do naszej kwatery! Mieć o nim staranie jak o mnie samym! — rozkazał krótko wchodzącemu rękodajnemu.

— W porę przywiózł Massalski te dziengi. Łaskaw Pan Bóg na grzeszniki — odezwał się do Pana Sandomierskiego, gdy pozostali sami.

— Juścić, lubo mało tego, bardzo mało — odrzekł Pan Wojewoda, potrząsając głową. — Dużo trzeba będzie wydać na prochy i ołowie, które wy uciesznie zielem i świńcem nazywacie, trochę odłożyć na podróż dla mnie i na czarną godzinę, a będzie dobrze, jeśli resztą obdzielisz jedną chorągiew.

— Ejże! — żachnął się niedowierzająco Dymitr.

— Policz sam, a obaczysz! Zalegają już dwie ćwierci.

— Cóż tedy począć? Radźcie, Panie Ojcze!

— Czy ja wiem? — przemówił, wahająco po namyśle Pan Sandomierski. — Najgłośniej gardłuje towarzystwo z roty Pana Fredrowej. To starzy, służali żołnierze. Mają wielkie uważanie w wojsku. Gdy zatkasz im gardła, może uspokoją innych.

Ta rada podobała się Carewiczowi. Był porywczy i lubił działać śpiesznie. Zresztą rzecz nie cierpiała zwłoki. W obozie dowiedziano się już od ludzi Borysowych o dukatach, zatopionych w miodzie, wyolbrzymiono niepomiernie ich sumę. Rycerstwo wrzało z uciechy i niecierpliwości. Już tego samego wieczora zaprosił do siebie Dymitr starszyznę roty Pana Fredrowej. Była dobra myśl, przy której podochocono sobie grzecznie. Stare wygi, dowiedziawszy się, co zamierza uczynić Carewicz, uśmiechnęły się pod wąsem, zaklęły się jednak na wszystko, że o wypłaconym pokryjomu żołdzie nie pisną ni-

komu ani słowa, co więcej, że swą powagą będą umieli uśmierzyć rozruch w innych rotach, gdyby zaszła potrzeba. — Wszelako nikt się nie dowie, nikt się nie dowie — pocieszali z głupia frant Dymitra. — Gdyby zaś przyszli pytać o dziengi, powiesz im, Miłościwy Carze, że to była tylko czcza gadanina, bo w łubkach nie było nic prócz miodu.

Zaiste, bardzo młody i niedowarzony był Carewicz Dymitr, że im uwierzył, bowiem już nazajutrz, wczesnym jeszcze rankiem, obudziła go ogromna wrzawa za oknami:

— Wychodź, wychodź, Hospodarczyku! Pokrzywdził nas, ołgał, oszukał! Wziąść go na szable! Rozsiekać!

— Nie! — wołali spokojniejsi i rozważniejsi. — Zwołać Rycerskie Koło! Niech przyjdzie! Niech się wytłumaczy! Dziengi znaleźć się muszą.

Dymitr odział się szybko, posłał cichaczem po panów swego orszaku, poczem chciał wyjść z domu, żeby przemówić do towarzystwa, gdy niespodziewana nadarzyła się przeszkoda.

Jakiś olbrzymi szlachcic zawalidroga usiadł na progu, oparłszy się plecami o jeden odźwierek a wysoko podniesionemi nogami o drugi. Niedbale wymachiwał dobytą szablą, jakby opędzał się od much. Mimo wczesnej pory był mocno urżnięty. W lewej ręce trzymał wypróżnioną już do połowy, pękatą oplatankę z jakimś ziołowym gorzelcem. Z pod odwiniętych pół żupana widać było szare, połatane portki, na jego udach potężnych napięte.

Ujrzawszy Dymitra, jął powtarzać zapitym, jowialnym głosem:

— Nie puszczę, brachu, nie puszczę, moskiewski carzyku, bo drapniesz z swoimi dziengami.

I wiotko wymachiwał szablą jak placką na muchy.

Ryk gniewu przedzierzgnął się w ryk śmiechu. Towarzysze trzymali się za brzuchy, zataczając się na ubitym śniegu jak pijani. Niektórzy zachęcali zawalidrogę wołaniem:

— Dobrze Waść czynisz. Nie puszczaj go! Trzymaj!

Atoli Carewiczowi nie chciało się żartów. Szybkim, zręcznym ruchem wydarł szablę z ręki pijanicy, poczem uchwyciwszy go za grube ramię, wykręcił nim na progu młyńca z taką siłą, że aż po same kolana puściły mu w szwach szare, połatane portki. Nieprzystojnie wyjrzały z nich nagie kłęby i uda.

— Z drogi Waść! — krzyknął.

Wrzawa zamieniła się w istne opętanie. Poranne słońce zaglądało w wyszczerzone od śmiechu zęby. Odezwały się pomieszane głosy:

— To chwat! Umie sobie radzić ten Hospodarczyk. Daj go katu!

Wtem ktoś huknął z tłumu:

— Żart żartem, a dziengów jak nie było tak niema. Trzeba z nim rozmówić się w Kole.

— Słusznie, słusznie! — zawtórowali inni. — Uczynić koło! Do koła, Miłościwy Carze, do Rycerskiego Koła!

W okamgnieniu zaroiła się ciżba na obszernym majdanie przed carską kwaterą. Już dawno uprzątnięto go ze zgliszczy, co po bokach wysterczały jeszcze z zawał śniegowych niby żebra olbrzymie, czarne i zwęglone.

Wystąpił jakiś wąsaty, mocno na gębie poszczerbiony krzykacz i zaczął ględzić, wspominając rycerstwo Króla Stefana.

— Czemuż Waść nie gadasz o rzymskich legjonach? — przerwał mu ktoś niecierpliwie.

— Albo o zastępach Faraona? — wrzasnął drugi.

— Baj, baju, będziesz w raju! — zżymał się gniewnie inny.

— Uciszcie się, Mości Panowie! — zawołał gromkim głosem poważny Pan Szczuka. — Nie o bajanie chodzi, lecz o naszą krwawicę. Car dostał duże pieniądze i nie płaci. Przynajmniej nie wszystkim.

— Dobrze mówi! Tak jest! Dostał pieniądze i nie płaci — zawtórowały mu okrzyki.

— Słyszysz, Carze Miłościwy, — mówił dalej Pan Szczuka do Dymitra, otulonego w sobolową ferezję, — słyszysz, co powiada towarzystwo? Albo każ nam wypłacić obie zaległe ćwierci, albo rzucamy wszystko i wracamy do kraju.

— Wracamy, zaraz wracamy! — ryknął tłum. — Nie będziemy przelewali naszej krwi zadarmo!

— Miejcie jeszcze cierpliwość, Mości Panowie! — zaczął Carewicz Dymitr, który odłączył się od swych przyjaciół i stanął pośrodku Koła. — Nie dostałem pieniędzy z Moskwy. W łubkach krom miodu nic nie było...

— A skąd w rocie Pana Fredrowej dukaty? — wrzasnął z oburzeniem jakiś zaperzony kopijnik, którego lewe ramię spoczywało w pętlicy zgrzebnej, okrwawionej chusty. — To łgarstwo!

— Łżesz, Carzyku, łżesz! — krzyknął Pan Kruszyna, poczem przystąpiwszy do Dymitra, nagłem szarpnięciem zdarł mu z bark ferezję. Carewicz zbladł i sięgnął do szabli, lecz nieulękniony Pan Kruszyna dodał, zaglądając mu zbliska w oczy:

— Ej, ty, dalibóg, skończysz na palu!

Powalił go w śnieg siarczysty policzek, wymierzony silną ręką hospodarską. Zahuczała wściekłością ciżba. Dokoła powalonego zamigotały szable.

— Rozsiekać go, rozsiekać!

— Dajcie pokój! On niewinny! Bronił jeno swojej czci carskiej. Nie chcemy mieć jego krwi na sumieniu — wołali inni, osłaniając Dymitra, który załamał ręce. W oczach kręciły się mu łzy wstydu i gniewu.

W Kole pojawili się OO. Jezuici. Obaj byli w komżach i mieli ręce, złożone jak do modlitwy. Przed nimi niósł krzyż świeżo przygarnięty sierota bojarski.

— *Pax, pax vobiscum!* — wołali.

Tłum ochłonął nieco. Poczęto zdejmować czapki. Miota-

jącego się wściekle Pana Kruszynę uchwyciło pod ramiona dwu towarzyszy.

— Ja tego psa zabiję i na gardle mu usiędę! — pienił się, kłapiąc zębami.

— Przebóg! Daj Waść pokój! Sam zawiniłeś — uspakajali go przyjaciele.

— *Pax, pax!* Pokój ludziom dobrej woli! — powtarzali OO. Jezuici, czyniąc nad głowami znak krzyża.

— Szkoda słów, Mości Panowie, — uśmierzał wzburzenie Pan Szczuka. — Zabrać, co się da, i wracać do ojczyzny.

— Wracać, wracać! Sczeźnij bez nas, Hospodarczyku!

Rzucono się tłumnie do kwater, wiązano toboły, narządzano sanie dla chorych i rannych. Rozruch przerzucił się nawet na Kozaków, którzy jęli krążyć dokoła obozu polskiego, kracząc jak rabe kruki. Jedynie Moskwa stała wiernie przy swoim nowym Hosudarze. Nie miała już wyboru. Nie zawodziła także rota Pana Fredrowa. Starzy wyjadacze położyli uszy po sobie i nibyto głusi na wszystko, pełnili gorliwie służbę.

Podniecenie utrzymywało się do późnej nocy. Po szatrach i lepiankach rozprawiały namiętnie groźne, wojownicze postacie. W obozie ucichło dopiero nad ranem, gdy zmorzył rycerstwo sen, brat śmierci.

Panu Wojewodzie pogorszyło się znacznie ze zgryzoty i zmartwienia. Dławiła go duszność, siniało mu oblicze, chwytał powietrze zgrabiałymi palcami. Przez całą noc nie puszczał od siebie OO. Jezuitów, każąc im odmawiać modlitwy. Lękał się, że nie doczeka dnia powrotu, że skona na obcej ziemi, daleko do swoich.

A syn Iwanowy, który przez cały dzień prosił, błagał, upokarzał się, gryzł wargi i łamał ręce, leżał nierozebrany na swem posłaniu i płakał jak dziecko, wtuliwszy twarz w kudły niedźwiedziej, siercistej skóry.

XXII.

Z pod zrębów Nowogrodu Siewierskiego unosił Carewicza Dymitra kary bachmat turski. Za nim ustępowały ze wstydem jego wojska, ścigane pośmiewiskiem i plugawemi wyzwiskami. Od *worów* i *bledynych synów* lżyli je bezkarnie waleczny Piotr Basmanow i rudy Hans Biugge ze szczytu strażniczej baszty narożnej, co jakimś cudem utrzymała się niemal nietknięta śród porozwalanych i pogruchotanych palanek strażniczych. Nie przemogły ich przeważne asulty polskie, nie pokonał głód, mróz ni ogień burzących spiży putywelskich. Radował się zwłaszcza rudy Hans Biugge, który w swem gorzkiem życiu zaciężnika nie zaznał większego szczęścia od nienawiści.

Zelżał nieco ostry mróz, co do niedawna doskwierał nieznośnie ludziom i koniom. Wiatr kręcił tumanami suchego, miałkiego śniegu. Dokoła twierdzy gorzały jasnym płomieniem opuszczone klecie i lepianki, które Kozacy podpalili, chcąc przynajmniej w ten sposób dokuczyć nieprzyjacielowi. Dzień był blady, jakby przygaszony uciskiem ołowianego, wystygłego nieba. Na widnokręgu przymgloną czernią z pod śnieżnych osypisk przezierały bory, w których kryły się chasy Kniazia Mstisławskiego.

Pośrodku milczących przyjaciół i dworaków odjeżdżał Carewicz Dymitr. Miał znowu na sobie sobolową ferezję, ponieważ za trzysta złotych wykupili ją bojarowie jego orszaku od Pana Kruszyny, ugłaskanego przez OO. Jezuitów. Atoli nie zdobił już carewiczowskiej szyi wspaniały, złoty łańcuch

z medaljonem Króla Jego Mości, gdyż na odczepne trzeba było go oddać starszyźnie wojskowej. Część kopijników polskich, nie chcąc dalej służyć bez żołdu, śród obelg i szyderstw porzuciła na odjezdnem w polu wielką, hosudarską chorągiew, którą zabrała jako zastaw pierwszego dnia rozruchów. Przed swym panem wiózł ją na koniu bojarzyn służebny, uginając się pod jej ciężarem. Niby kruk drapieżny łopotał na jej szkarłatnem tle czarny, płatany orzeł bizantyński.

Zrzedły gęste do niedawna miny zabijaków polskich. Rycerstwo pospuszczało zziębnięte nosy. Pan Ratomski, który jechał obok Pana Dworzyckiego, poniechawszy na chwilę swych Kozaków, huczał zrazu buńczucznie, lecz wnet ucichł i w gniewnem milczeniu jął motać na palce wiechy swych wąsów. Sposępniał również zazwyczaj wesoły i rozmowny Pan Stanisław Borsza. Ni stąd ni zowąd przypomniało się mu, że przed kilku dniami przepowiedziała mu wróżka cygańska śmierć zdradną i niespodziewaną. Związał się słowem rycerskiem, że nie odstąpi Carewicza, jakoż jechał dalej, lubo z duszą na ramieniu, ślubując sobie w myślach, że wszystko czego mu Pan Bóg dożyć pozwoli, opisze w swym djarjuszu, aby pozostała po nim jakaś pamiątka.

Twarze bojarów moskiewskich osowiały i spochmurniały. Przygnębienie zawisło na ich czołach. Śmielszy od innych Kniaź Rubec-Massalski na pozór spokojnie gawędził z pięknym nicponiem Mołczanowym, lecz w ruchach ich znać było powściągane roztargnienie. Kruszczow wiercił się jak mucha w ukropie, chwytał wiatr swym wścibskim nosem i na ucho opowiadał tym, którzy go jeszcze nie znali, że może nie byłby ucałował *chresta* Carewiczowi Dymitrowi, gdyby Kozacy nie byli go przywieźli do Sambora z łańcuchami na rękach i okową na szyi. Przezorna jego tchórzliwość zawczasu szukała świadków, którzy mogliby wziąć go w obronę przed mściwą srogością Godunowa. Towarzysze podejrzewali w nim zmiennika i odsuwali się od niego, mierząc go kosemi spojrzeniami,

lub odpowiadali mu szorstko grubemi, moskiewskiemi wyzwiskami. Utrapienie zdawało się zawiewać od borów. W mglisty, śnieżny przestwór spoglądali pogodnie tylko dwaj OO. Jezuici, może dlatego, iż jako ludzie niewojenni niezbyt byli świadomi nadlegającego niebezpieczeństwa, a może też, że czuli się bezpiecznymi pod opieką polowego ołtarzyka, który z wielką adoracją wieźli na saniach. Zawinięci w puszyste, lisie futra, niezgrabnie człapali na swych podjezdkach, kiwając miarowo podwiniętemi kresami swych zakonnych kapeluszy.

Carewicz Dymitr, który jechał daleko na czele, raz wraz odwracał się ku zakonnikom, zdając się szukać u nich pociechy. Wkońcu, jakby już nie mógł znieść dłużej utęsknienia, kinął koniem i pomknął ku nim cwałem. Zaledwie sobolami swej szuby różnił się od atamanów kozackich, którzy bez pośpiechu zjeżdżali przed nim z drogi, dziwując się między sobą, że były czerniec tak lekko, rączo i zwinnie toczy swym bachmatem. Głucho zabrzmiał głos jego skroś zawiei śnieżnej, co znów zakłębiła się gęstszym tumanem nad pustkowiem stepowem.

— Ojcze Czyrzowski! Hej, Ojcze Czyrzowski!

Jezuicie aż zaokrągliły się oczy z zadowolenia, gdy usłyszał to wołanie. Po raz pierwszy wzywał go Carewicz na rozmowę jawnie, w obecności swych Moskwicinów. Pośpiesznie wetknął brewjarzyk do kieszeni swej lisiury, bodąc gorliwie opieszałego człapaka niećwiczonemi piętami. Wnet się zrównali i zjechali z rozoranej saniami drogi, którą bezładnie przewalały się wojska. Odsunąwszy się od tej zuchwale szemrzącej ciżby na dobre stajanie, Dymitr przemówił:

— Chciałbym z wami pogadać, Ojcze, jak na spowiedzi.

Jezuita na znak gotowości pochylił się ku niemu z siodła.

— Jestem sługą waszym. Mówcie spokojnie, Miłościwy Panie, — odpowiedział.

— Ale jak na spowiedzi! — powtórzył natarczywie Care-

wicz. — Wszystko, co rzeknę, musi na zawsze pozostać między nami.

— Między nami i Bogiem — zaklął się uroczyście O. Czyrzowski. — Dochowam ja tajemnicy, jakbym siedział w konfesjonale. Zwyczajny jestem wszelkich tajemnic. To moja kapłańska powinność.

— Módlcie się za mnie, Ojcze, — westchnął żałośnie Dymitr — bo markotno mi bardzo.

Zakonnik zerknął na niego ze współczuciem. — Dlaczego, Miłościwy Panie? — zapytał. — Że twierdza nie wzięta?

— Nie tylko dlatego — biadał Hospodarczyk. — Powiedział mi Pan Kruszyna, że skończę na palu...

— Nie zważajcie na niego, Miłościwy Panie. To burczymucha i pijanica. Ot, plótł w gniewie, co mu ślina do gęby przyniosła.

— Pijanica, pijanica! Powiedział głośno, co inni myślą pocichu. Zelżył, ale straszną oddał mi przysługę. Znów jasno widzę małość i nędzę swoją. Bo i czemże ja jestem, w czem jestem lepszy od innych ludzi, że czepiają się mojej opłakanej doli niby skrzydeł ogromnego ptaka, sądząc, że razem ze mną wzbiją się w górę?

— Wszyscy sławią waszą mądrość i męstwo, Miłościwy Panie — zabełkotał O. Czyrzowski, stropiony tą małodusznością.

— Moja mądrość i męstwo! Wiem, wiem, chwalą je podobno nawet poza oczy. Lecz czyż mądrzejsi i mężniejsi odemnie nie kończyli pod katowskim mieczem lub na palu? Nie daliże gardeł sławni hetmani kozaccy, Samko Zborowski i Nalewajko? Skąd w sercu mojem ta pycha, że porywam się na zdobycie państwa, wielkiego jak pół świata?

— Macie za sobą prawo dziedziczności, Miłościwy Panie, — poważył się wtrącić Jezuita. — Przyrodzone i uświęcone przez Opatrzność Boską prawo krwi!

Carewicz długo nie podnosił oczu od bujnej, czarnej grzy-

wy swego konia. Wkońcu z gorzkim uśmiechem potrząsnął głową.

— Ano, mam je — mruknął. — Tak przynajmniej powiadam ludziom i tak powtarzają za mną inni...

O. Czyrzowskiego zdziwiły wielce te niejasne słowa.

— Jakto, Miłościwy Panie? — bąknął.

Grube, gołowąse wargi Dymitra ściągnęły się jak do płaczu. Na jego babską, ruchliwą twarz wypełzło cierpienie. Zwinął się w łęk na siodle, jakby pasując się ze sobą.

— Nie zamilczę przed wami niczego, boście sługa Boży, — odparł, a szept jego słów rozciekał się niemal w szumie zawieruchy. — Ja nie wiem, ja sam nie wiem, kim jestem! — wybuchnął rozpaczliwie.

Oczy O. Czyrzowskiego zaokrągliły się znowu jak u ptaka. Omal nie przewalił się przez łeb koński z osłupienia.

— Nie jesteścieli synem Cara Iwana Wasylewicza? — spytał, zniżając również głos do badawczego, przenikliwego szeptu.

— Może... Nie wiem! Byłem pachołęciem razem z innemi pacholętami na uglickim dworze. Któryś z nas był carewiczem i przewodził nam, gdy drewnianemi szabelkami ścinaliśmy łby śnieżnym bałwanom, co miały wyobrażać Godunowa oraz innych nielubych bojarów. Nie ręczę, czy to ja nim nie byłem, bo postradałem ze strachu zmysły na widok zbójców, którzy wpadli nocą do izby. Zdawało się mi, że mnie samego kolnęli nożem. Podobno długo byłem jak bez ducha. Opowiadał mi później doktór Simone, że zmartwiałem od wielkiej choroby. Zacny, stary doktór Simone! On to wywiózł mnie pokryjomu z Uglicza aż nad Lodowate Morze i wychował tam jak własne dziecko na rycerza. Od niego dowiedziałem się, że jestem potomkiem Hosudarów moskiewskich. Z jego słów poczęło się we mnie nieugaszone pragnienie wielkości. Mimo to byłem chłopięciem trwożnem i wstydliwem.

Przez długie lata skrywałem je pod włosienicą mniszą i żupanikiem kozackim...

Jezuita, który miał ciekawość sumień ludzkich, doznał niejakiego rozczarowania. Spodziewał się zwierzeń nowych i niesłychanych, a usłyszał tylko błahe skrupuły. Uśmiechnął się wyrozumiale. O, dla Boga, jakież były one błahe! Król Jego Mość wiedział, kogo uczcił swem królewskiem uważaniem, i wiedzieli bojarowie, komu wybijali pokłony! Pochodzenie Carewicza nie podlegało dla niego wątpliwości. Odkąd zaś przyjął świętą religię katolicką, godzien był, żeby przychylono mu nieba.

— I widzicie, Miłościwy Panie, że nie dali się ludzie omamić! — zawołał tryumfująco. — Poznali się na dostojeństwie waszem. Uwierzyli!

Dymitr machnął niechętnie ręką, jakgdyby naprzykrzały się mu te słowa.

— Tak wam się zdaje — rzekł. — Uwierzyli!... Kto uwierzył? Ot, może kilku księży, którzy przejrzeli czyste serce moje, może garsteczka druhów kozaków i ta ciemna czerń moskiewska, co brodzi teraz za mną w śniegu, przewiązawszy na sobie powrósłami kołtuniaste kożuchy.

— Co też wy powiadacie, Miłościwy Panie! — zaprzeczył żywo O. Czyrzowski. — Nie wziąłże was w opiekę Król Jego Mość i czyż nie przyszli wam z pomocą panowie polscy?

— Król Jego Mość ma swoje królewskie myśli, a o panach polskich lepiej nie wspominajcie. Oni na to zamądrzy. Niedarmo uczyli się rozumu po całym świecie. Cóż takiego dla mnie uczynili? Prawda, przysięgali przy kielichach dać gardła za moją słuszną sprawę i odprowadzili mnie szumnie do granicy. A czemuż to ich teraz niema? Gdzie jest Pan Wojewoda Mniszech, który nieraz po pijanemu tulił mnie do piersi i hołubił jak własnego syna, lubo rodzonych synów wcale nie hołubi?

— Pan Wojewoda był chory i śpieszył się na Sejm —

bąknął O. Czyrzowski z tajonym niesmakiem, gdyż sprawiedliwe jego serce ubodła ta pochopna niewdzięczność.

— Wiem. Sam mu doradzałem, bo on do pola już za stary i nawet w obozie niezdatny. Dlaczego jednak odjechał tak nagle, gdy roty polskie wciąż jeszcze kipiały rozruchem? Powiedzcie sami, czy godziło się w takiej toni porzucać buławę hetmańską?

— W dobre oddał ją ręce — koił jego rozdrażnienie Jezuita.

— To nie jego zasługa! — zaperzył się Dymitr. — Sam chciałem na hetmana Pana Dworzyckiego, bo to wierna dusza i żołnierz niezawodny. Pan Wojewoda nie pomyślał nawet o swoim następcy. Tylko mdłe pociechy i płonne obietnice miał dla mnie na pożegnanie. I jeszcze innych panów zabrał ze sobą. Stchórzyli, zajrzawszy zaledwie w paszczę smoka. Opuścili mnie wszyscy. Widzieliście sami, co się stało. Swoim przykładem powaśnili mi wojsko. Ludzie poszaleli. Cud to prawdziwy, że nie roznieśli mnie na szablach. Na oczach wroga, niemal pod ogniem jego dział, porzuciło mnie ośmiuset kopijników. Całe osiem rot! Wiecie-li co to znaczy? Możnaby niemi rozbić niemałe wojsko moskiewskie.

— Chwała Bogu, że nie wszyscy, — wyrwało się O. Czyrzowskiemu.

— Marna pociecha! Udało się mi zatrzymać jeszcze tysiąc dwustu, ale jak oni służą? Pożal się, Boże! Jak z łaski. Ciągle mnie obrażają swą zuchwałą, obcesową butą. Domagają się żołdu. A pieniędzy niema. Już ani śladu dziengów, które wyłowiło się z miodu!

— Masz jeszcze Kozaków i brać swoją moskiewską, Miłościwy Panie.

— Prędzejbym zawierzył wiatrowi w polu i obłokom na niebie. Dziś tysiącami napływają do obozu i *chrest* mi całują, a jutro mogą mnie wydać w ręce Albertusowych rycerzy Borysa. Ot, wszystko jest niepewnością, troską i zgryzotą.

Zbywająco machnął ręką, zamykając się w ponurem milczeniu. O. Czyrzowski zrozumiał, że jakiś nowy giez go ukąsił i że rozmowa jest skończona.

Chrząknął i milczkiem poczłapał ku ołtarzykowi, który migotał blado śród śnieżnej zawiei swą ubogą pozłotą. Carewicz Dymitr nawet nie obejrzał się za nim. Nieszczęście pogłębiło jego płochą duszę. Z pola swej klęski troskliwe jego serce odbiegło ku Pannie Marynie. Zatęsknił do niej z miłości i nienawiści. Nęciła go szlachetna dziewiczość jej urody. Przygnębiała go i upokarzała jej wzgardliwa pańskość. Wszelako uwielbienie było potężniejsze od nienawiści. Bolało go, że nie czuł się jej równym. Zdawała się stać wysoko nad nim, wyżej od Pana Sandomierskiego, wyżej nawet od Króla Jego Mości. Była daleka i niedostępna niby jakaś świętość.

Zaśmiał się do siebie zcicha. Ścierpły mu usta od namiętnej goryczy.

Za kogo ona go miała, ta pyszna Panna Wojewodzianka? Nie była królewną, a królewskie stroiła fochy. Brzydziła się nim jak nikczemnym chłopem. Dąsała się obrażona, gdy miłośnie uniżał ręce pod jej kolana. Targowała się z nim o siebie niby z jakimś przekupniem. Nie o kochaniu z nim mówiła, lecz o zapisach, membranach, cyrografach i kautelach. Była zimniejsza nad lody, chociaż tajonym ogniem zdawały się żarzyć jej usta. Nigdy mu niemi nassać się nie pozwoliła. Nawet na drogę nie dała pocałowania, chociaż był jej narzeczonym. Nibyto godziła się zostać jego żoną, a czyniła wszystko, żeby odrazić go od siebie.

Wypuścił konia w cwał, dysząc burzliwie. Z gniewu i z żalu wściekało się jego serce.

Sam był winien. Czemu dał się zwabić na jej wdzięki jako ptak na jagodę? Była jednak warta, żeby dla niej zdobyć Carstwo. Nie dla niej! Znajdą się chętniejsze i powabniejsze na świecie, chociaż żadna nie będzie miała jej wyniosłej piękności. Zdobędzie Carstwo, żeby posiąść jej piękność. Da jej

koronę, ale uczyni ją swoją niewolnicą. Upokorzy ją za swoje upokorzenia. Poczuje ona jego chłopie ręce na swej białej szyi. I sama poda mu gorące usta, gdy uwielbi go za jego wielkość.

Przelotną pychą zamroczyła się jego myśl, lecz wspomniał klęskę i wraz obruszył się na siebie popędliwie.

Czy on się nie mamił? Czy on naprawdę był stworzony do wielkości? A może za ciężka była ona na jego wątłe barki? Może lepiej było unieść zawczasu skołataną głowę i szukać schronienia w klasztornem zaciszu prawdziwej wiary. Prawdziwej!... Lecz która z nich była prawdziwa? Czy prawosławna, w której wychowali go czerńcy, czy katolicka, którą przyjął z rąk Jezuitów, czy wreszcie ta, której nauczał go jego opiekun, zacny Pan Hoyski?...

Niby od wiatru, ale nie od wiatru, bladło i siniało babskie oblicze Carewiczowi Dymitrowi, gdy w skrytości przed swymi towarzyszami prowadził takie rozhowory z swą utrapioną duszą.

Dopiero w Siewsku, co był niejako stolicą *Kamarińskoj Wołosti*, odzyskał znowu nieco otuchy. Było niedobrze, ale nie tak źle, jak mu po drodze się wydawało. Lud nie znał jego trosk ni jego wątpliwości; czuł nad karkiem kiścień tatarski i garnął się do niego jak do zbawcy. Już zdaleka odezwały się dzwony na powitanie jego wojsk, rozwleczonych śród śnieżnej równiny. Wraz potem jęły się wyrajać z warownych zrębów mnogie rzesze z chlebami i solą, z chorągwiami, krzyżami i obrazami. Bijąc pokornie na śniegu czołem, otoczyli go jacyś nieznani bojarowie. Poprzysięgali się na wszystkie świętości, że jak na swego *Spasytiela* czeka go cała ziemia rosyjska, że hosudarskie jego imię rozbrzmiewa już hen, aż po dalekie Góry Uralskie i po rozłogi Stepów Tatarskich. Zrazu po dwu, po trzech, po dziesięciu, zaś później całemi gromadami jęli przechodzić na jego stronę ludzie Borysowi. Z płaczem opowiadali o nędzy, o głodzie, o nie-

ludzkich okrucieństwach rozwścieczonego Cara. Do Dymitra przystało nawet pięciuset brodatych i ponurych *strielców* nadwornych w szkarłatnych kaftanach, okładanych gronostajami. Wnet potem śród ogłuszających wrzasków, śpiewów oraz grzechotu długich piszczeli, nabijanych srebrem, weszli do Siewska piesi Kozacy Dońscy, których Polacy nazywali Duńcami. Przyprowadził ich mały, niepozorny, parszywy, lecz niezwyciężony ataman Koreła. Hulaszczą, wymokłą gębę miał tak pobliźnioną, jakgdyby szatan wypisał mu na niej swym pazurem wszystkie grzechy główne. Zaraz nazajutrz poszedł do cerkwi, żeby ucałować *chrest* Dymitrowi. Musnąwszy go jednak swymi ryżymi, niechlujnymi wąsiskami, splunął niecnota z niesmakiem i wyszedł hałaśliwie z przybytku Bożego, krzywiąc się uciesznie i powiadając na cały głos, że go po owem całowaniu zemdliło i że musi rzetelnie przepłukać sobie gorzałką gardło. Oczyma, osłupiałemi ze zgorszenia, spoglądali za nim czcigodni, długowłosi popi. Ochłonąwszy nieco ze zgrozy, jęli opowiadać o nim swym owieczkom, że jest możnym czarownikiem i że zaprzedał duszę djabłu. Nie zaszkodziło to jednak Korele w oczach kozactwa oraz innego tałatajstwa, owszem, dziwniejszym i prawie nadludzkim otoczyło go urokiem.

Z zakłopotaną i jakby nieco wymuszoną radością przyszedł powitać w Siewsku Carewicza Jego Mości Pan Przeradowski, który pod opieką opasłej i dobrotliwej *Kniagini* Tatewy przeżywał w ramionach Tani najszczęśliwsze godziny swego panienkowatego istnienia. Wprawdzie szemrały zcicha wielebne monachinie, że młody poganin lacki — gdyż tak nazywały go między sobą — wniósł pod dach ich monasteru, uświęconego cudami, zgorszenie i obrazę Boską, lecz udobruchały się rychło, bowiem zachowywał się potulnie i hojnie zaopatrzył swą czarnobrewą bogdankę. Postarały się jednak, że nibyto przypadkiem po swym przyjeździe dowiedział się o wszystkiem Carewicz Dymitr. Z uśmiechem pogroził on

palcem swemu ulubieńcowi i może nawet byłby się okazał potrosze zazdrosnym, ponieważ mimo tęsknot i trosk nie zapomniał wdzięcznej postaci hożej dziewczyny, gdyby miał czas myśleć o płci białej i o kochaniu.

Bowiem w kniejach wylizał się już ze swych ran jak niedźwiedź Kniaź Mstisławski i gotował się do odwetu za swoją porażkę. Chociaż miał potęgę ogromną, wciąż jeszcze z Moskwy przybywały mu nowe posiłki. Z gniewu i strachu zawziął się Car Borys, chcąc nietylko doborem ale i mnogością wojsk swoich zetrzeć nieprzyjaciela. Skorych do walki z Dymitrem było już niewielu, zatem niechętnym i opieszałym karbowali siepacze knutami do krwi grzbiety, poczem wysyłali ich do obozów. Dokoła właściwego wojska, którego rdzeniem byli zaciężnicy cudzoziemscy *Capitaine'a* Margereta, zebrały się nieprzejrzane tłuszcze, co niby skaranie boskie zaciężyły nad nieszczęsną Ziemią Siewierską. Z nietajonem lekceważeniem patrzyli wojownicy cudzoziemscy na tę dzicz wygłodzoną, obdartą, łupieską i złodziejską. Jedynie ich rozumny *Capitaine* poprzestawał na oziębłej, lecz niekiedy aż uwłaczającej pobłażliwości, na której nie umieli się poznać uszczęśliwieni bezlikiem swych hord wodzowie moskiewscy.

Niedługo cieszył się Kniaź Mstisławski nieograniczoną pełnią swej naczelnej władzy. Car Borys zatrwożył się, że wszystką siłę swej ziemi oddał w zawodne ręce jednego człowieka i niepamiętny swych niedawnych obietnic, kazał mu podzielić się nią z Wasylem Szujskim. Nie był człowiekiem wojennym ten niegodziwy, ponury starzec, chociaż miał niejakie uważanie śród Bojarów Dumnych raczej dla swego znakomitego pochodzenia niż dla powagi i mądrości w radzie. Jakoż ku niemałemu zdziwieniu starszyzny wojskowej szumnie i zbrojnie zawitał do obozu, wioząc uroczyście hramotę carską, zwiniętą w trąbkę i opieczętowaną zielonym woskiem. Czołem uderzył przed nią wódz naczelny, jednak zacisnęła

się mu na rękojeści duża, włochata ręka i pod czarnymi, obwisłymi wąsami zacięły się mu grube wargi, kiedy jego djak przyboczny odczytywał na głos to pismo. W jego krągłą, obrzękłą, zaczerwienioną twarz opoja wpatrywał się natarczywie Wasyl Szujski, mrugając zaognionemi powiekami.

Wola Hospodarska była święta, przeto nie uniósł się chrobry Kniaź Mstisławski i w pokornem milczeniu przyjął tę zniewagę. Jednak głęboko ugrzęzła mu ona w duszy. Skrytą jego pychę uraziła tem dotkliwiej, że była niezawiniona i że musiał znowu wyrzec się odtąd myśli o córce Borysowej, białolicej Kseni. Z Wasylem Szujskim, którego zakamieniałą nienawiść do Borysa znał dobrze i oddawna, łacno się pogodził.

Niby dwa niedobrane woły wprzęgła ich do jednego jarzma ręka hospodarska. Popili się tedy na przeprosiny. Kiwając ociężale łbami, radzili, co począć. Dzierżyli w ręku wagę wojny, lecz nie wiedzieli, na czyją przechylić ją stronę. Pragnęli zguby Borysa, a obawiali się Dymitra, za którym stała nienawistna potęga polska i katolicka. Po długim namyśle postanowili nie śpieszyć się z niczem, nie szukać guzów i rozewrzeć na ścieżaj wypadkom bramy. Wasyl Szujski czytywał stare, święte księgi, iskając swą siwą brodę krótko przystrzyżoną. Kniaź Mstisławski uganiał się po całych dniach z oszczepem za niedźwiedziami. Obaj zdawali się nie wiedzieć, że jacyś nieznajomi *wołokici* czytywali na głos zasłuchanym chasom żołnierskim orędzia Dymitra, że podjazdy polskie i kozackie porywały im ludzi z przed wrót obozów i że śród ich wojsk szerzyło się wzburzenie, zdrada i zbiegostwo.

Dopiero na srogie rozkazanie carskie ruszyły ze swych leż wojska moskiewskie. Nastała zelga, powiały wiatry łagodne, jakby przedwiosenne, przeto niezmiernie powoli brnęły one w wodnistym, rozkisłym śniegu, zarąbując się na noc tchórzliwie zasiekami i opasując taborami. W kałużach

pluskały niekowane kopyta końskie. Parciane szleje wrzynały się nieznośnie w uznojone piersi i ramiona *mużyków*, którzy ciągnęli ciężkie działa, śpiewając żałośnie. Nad rozwleczonym niezmiernie pochodem niby sprzymierzeńcy unosiły się wielkie stada wron, co krakały przeciągle i złowrogo.

Wieść o nadciągającym nieprzyjacielu pierwszy przywiózł Pan Przeradowski, który ze swymi Kozakami znowu pełnił gorliwie służbę podjazdową. Otrzaskany błotem i rozmokłym śniegiem aż po sam czub swej złocisto-popielatej czupryny, co młodzieńczą aureolą okalała jego piękne, białe czoło, stawił się przed Carewiczem Dymitrem, podzwaniając ostrogami i szczękając szablicą, na pozór za ciężką dla jego ręki drobnej, jakby jeszcze chłopięcej. Zastał go w obszernej, niskiej izbie, wybitej godnie barwnymi kobiercami, gdzie przy dużym stole siedzieli bojarzy, atamani kozaccy oraz znakomitsi rotmistrze polscy. Była dobra myśl. Na stole stały dzbany pisane, czarki cynowe oraz kubki, toczone z brzozowych sęków. Towarzystwo piło, baraszkowało, grało w kości i karty. Głosy były zachrypłe i mętnie połyskiwały już oczy pijackiem szkliwem. Gruby bojarzyn, Kruszczow, błaznował, dybiąc na łaskę carską. Z jego niesromnych żartów śmiał się piękny Mołczanow, któremu wystąpiły ceglaste wypieki na pociągłej, bladawej twarzy. Rzucane na stół lekką ręką, brzęczały złote czerwieńce i portugały. Hulaszczy ataman Koreła, który dziwnie upodobał sobie Pana Starostę Ratomskiego, zaczynał wciąż od początku jakąś piosenkę dziką, tkliwą i zarazem śmiertelnie smutną, lecz ociężale plątał się mu język w wymokłej, parszywej gębie. Przed Dymitrem stała nie napoczęta prawie czarka miodu wonnego i przejrzystego jak woda. Milczący siedział śród rozgwaru głosów, a myśli jego zdawały się błądzić gdzieś daleko. Nierychło podniósł na młodego namiestnika zamyślone oczy.

Niby uczniak, który radby popisać się przed nauczycie-

lem dobrze wyuczoną lekcją, rzekł Pan Przeradowski głosem zatchniętym nieco od pośpiechu:

— Moskwa ruszyła z obozów. Idą na nas hurmem jak bydło.

Atamani kozaccy ryknęli radośnie, bo tęskniło się im już do walki, i wyrzucili w górę swe barankowe kuczmy. Obiły się one o niski, poczerniały od dymu pułap, i spadły na stół, przewracając niedopite kubki. Na kobierzec pod stołem polały się przednie wódki i miody.

— A bodajże was! Co Waszmościowie robicie? — zżymał się gniewnie Pan Dworzycki, który zabawiał się grą w karty z Panem Kruszyną i Panem Nieborskim.

Koreła zarechotał śmiechem jak opętany i zaczął podważać ciężki stół kolanami.

— Dość tego, Mości Atamanie! — oburknął go surowo Carewicz, poczem zwracając się do Pana Przeradowskiego, zagadnął:

— Gdzież Waść ich wytropiłeś? Czy daleko?

— O jakie pięć mil od Dobrynicz. Wioszczyna podła, ale miejsce do spotkania dobre. A tropić ich nie trzeba, bo ciągną szeroko jak chmura. Zapędziliśmy się w sam ich środek...

— Jakto zapędziliście się? Dlaczego? — zapytał Pan Ratomski. Grał z Korełą w kości, ale słuchał uważnie.

— Ano, dopadliśmy w Dobryniczach kupę tego hultajstwa. Było ich z kilka tysięcy. Jechali przodem, jak potem dowiedzieliśmy się, dla spiży. Wsiedliśmy im na karki i gnaliśmy bez wytchnienia. Rzucali po drodze oręż, tchórze! Maluczko, a bylibyśmy dotarli do ich wodzów, którzy zawsze trzymają się środka. Słyszeliśmy już, jak zaczęły dudnić w ich szeregach *nabaty*.

— A jeńca wzięliście?

— Trochę. Więcej niż było nas wszystkich. Jakiegoś znacznego bojara nieco za mocno ciachnęło się szablą i zmarł

nam w drodze, chociaż kazałem go wieźć w kolebce między dwoma końmi.

— Kto go tak ciachnął?

— Ba, nawinął się jakoś pod rękę... a ja prawie niechcący, bo co innego miałem w głowie... — bełkotał zarumieniony Pan Przeradowski, lubo nie bez pewnej dumy w głosie.

— Zuch z tego paniczyka! — mruknął Pan Ratomski, lecz tak głośno, że usłyszeli go wszyscy obecni.

— Co mówią jeńcy? Chętnie się poddawali? — zagadnął znów Carewicz.

— Boga-ć tam! Jacyś twardzi i nieużyci ludzie, skądś od szwedzkiej granicy. Nie można było z nimi po dobremu. Milczą...

— Dajcie mi ich ino. Umiem ja brać na *spytki*. Wyśpiewają na węgielkach — zawarczał przepitym głosem Koreła.

— Nietrzeba; ja nie kat, żebym męczył własnych poddanych! — rzekł niechętnie Dymitr. — Codziennie dość przychodzi takich, co mówią dobrowolnie.

— Dobrotliwy jest Carewicz Jego Mość — odezwał się od niechcenia ataman Szweykowski, a w oczach jego zamigotały złowrogie błyski. Carewicz nie dosłyszał tych słów lub udał, że nie słyszy.

— Jesteś Waść zdrożony — przemówił łaskawie do Pana Przeradowskiego. — Usiądź! Ciasno tu, ale znajdzie się jeszcze między nami miejsce. Czego się napijesz? Może miodu, bo wrychle ujrzysz swoją lubą i słodkie powinieneś mieć usta.

Huknęły rubaszne śmiechy. Dobra myśl zaczęła się nanowo. Dopiero późno po północy jęli pachołkowie służebni wynosić z izby pijanych bez pamięci panów, bojarów i atamanów. Koreła huśtał się im na rękach, rżał jak koń, to znów kwiczał jak zarzynane prosię.

Carewicz udał, że ma jeszcze wiele do czynienia, i wyszedł znacznie wcześniej w towarzystwie Pana Dworzyckiego i Pana Przeradowskiego, któremu z senności kleiły się powieki.

XXIII.

Było lekkomyślnością iść pod Dobrynicze na spotkanie nieprzyjaciela. Tak powiadali doświadczeni pułkownicy polscy, w których roztropności nie zagłuszyło męstwo. Jednakże Dymitr był lekkomyślny lekkomyślnością ludzi, którzy nie mają nic do stracenia. Nęciła go igraszka z losem. Chętniej słuchał pochlebstw niż przestróg. Raziły go one swą surowością. Zdawały się ubliżać zdobywczej mocy, którą nanowo poczuł w sobie. Jego niedawna małoduszność minęła. Odurzał się znowu majakami zwycięstwa i potęgi. Nie straszyły go chasy Borysowe. Aleksander Wielki z garścią swych wojowników rozbijał ogromne zastępy perskie. Dlaczego um jego miał być pośledniejszy od umu Aleksandra Wielkiego? Pan Dworzycki, który radził nie dowierzać Kozakom i obawiał się przewagi zaciężników Borysowych, wydawał się mu nudnym, skostniałym zrzędą. A może nawet był podszyty tchórzem, jak zcicha i ostrożnie przebąkiwał piękny nicpoń Mołczanow.

Siedząc na swym dzikim bachmacie, Carewicz patrzał, jak przez wąską, warowną bramę Siewska wyciekało zwolna na otworzyste pola jego wojsko. Zelga minęła, śnieg znowu przypruszył ziemię. Dzień był suchy i mroźny. W powietrzu wisiała mgła, co niby ostry pył drażniła nozdrza końskie.

Pan Przeradowski ze swymi Kozakami był jak zwykle w przedniej straży. Pokłonił się z konia kołpakiem Dymitrowi i wnet zatonął we mgle. Polacy jechali tak sprawnie że łby końskie ani na cal nie wysuwały się z szeregów. Wysoko nad ich głowami sterczały kopje misternie okręcone

kitajką. Fruwały nowe, barwne proporczyki. Duńcy przeszli żwawo, niosąc na ramionach swe mocno okopcone piszczele. Z łoskotem potoczyły się działka, obsługiwane przez nielicznych puszkarzy polskich. Za niemi długą bez końca ławą waliła czereda kozacka i moskiewska. Tabory odeszły znacznie wcześniej pod osłoną kilku kureni. Tuż za bramą, po obu stronach drogi, stali popi i czerńcy, błogosławiąc wojsko krzyżami i obrazami. Za nimi tłoczył się lud, zagapiony na swe carskie słoneczko. Rozlegały się szlochy i zawodzenia niewieście, które zagłuszał rozkołysany pogwar rozmów. Tanja siedziała w saniach obok swej opiekunki, *Kniagini* Tatewy, smutna i blada.

Carewicz ze swym orszakiem odjechał na samym ostatku. Zawsze bywał na czele, jednakże tym razem miał czas wyprzedzić wojsko. Serdecznie pożegnał się ze znaczniejszymi bojarami, duchowieństwem i starszyzną miejską. Gromkim, władczym głosem odpowiedział łaskawie na okrzyki pospólstwa. Koreła, który mu towarzyszył, siedząc śmiesznie na swym dońskim kłusaku, przyjmował czołobitne hołdy, jakby sam był samodzierżcą Rosji. Drwiąco błyskały przytem jego rozhukane oczy.

Za miastem konne kurenie kozackie rozleciały się na skrzydła jak ptaki. Poprowadził swych stepowych wojowników ataman Bieleszko, dwaj Kuckowie i najsierdzistszy z nich, Szweykowski. Miał ich lub przynajmniej mniemał, że ma ich wszystkich w swoich ręku, Pan Ratomski.

Pochód odbywał się szybko, gdyż piechotę wsadzono później na sanie. Po drodze spotykano gromady ubogiego chłopstwa, które uchodziło przed dziczą moskiewską, chroniąc się bliżej granicy polskiej. Przodem zazwyczaj jechał na koniu pop z wielkim krzyżem drewnianym lub mosiężnym w ręku. Po obu jego stronach siwowłosi starcy nieśli obrazy oraz sprzęt cerkiewny. Za nimi rzędem podążały sanie z tobołami, chorymi, babami i dziećmi. Naostatek młodsi i silniejsi,

uzbrojeni kosturami, łukami lub nawet lichymi piszczelami, pędzili bydło i na powrozach z łyka wlekli oporne świnie. Bojarów śród nich nie było. Umknęli wcześniej lub zastraszeni srogimi rozkazami Borysa, zaciągnęli się pod chorągwie carskie.

Przykro było patrzeć na ten lud bezdomny, uznojony i znędzniony. Dymitr, który dla niepoznaki wdział na polską zbroję ferezję bojarzyna moskiewskiego, pozdrawiał zbiegów pierwszy, zatrzymując pytaniem:

— Przed kim wy, ludzie, uciekacie?

Chłopstwo oglądało się trwożliwie i odpowiadało:

— Przed Moskwicinami.

— A dokąd?

— Do naszego carskiego słoneczka, Dymitra Iwanowicza, daj mu, Boże, zdrowie!

Byli jednak i tacy, którzy w ten sposób zagadnięci, mówili wręcz:

— Do polskiego cara — i zapytywali nawzajem:

— A dobry on?

— Dobry, bardzo dobry — odpowiadali skwapliwie przyboczni bojarowie i dodawali:

— Widzicie to wojsko? Idzie mścić krzywd waszych na Moskwicinach.

O zmierzchu przednie straże dotarły do miejsca, gdzie jeszcze dzień przedtem znajdowało się ludne i rozległe sioło, Dobrynicze. Puściła je z dymem chasa moskiewska. Śród sadów, ogołoconych z liści, kopciły gdzieniegdzie niedopalone zgliszcza. Pan Przeradowski uganiał się tam za podjazdami nieprzyjacielskimi, które jednakowoż unikały starcia i wypuszczając zdaleka chmury strzał, uchodziły rączo zaśnieżonemi debrami na pobliskie wzgórza, gdzie w jodłowych borach zarąbała się przezornie potęga moskiewska.

Wojsko się zatrzymało. Żołnierze pozsiadali z koni, rozprostowali nieco krzyży i śród oczekujących już sań taboru

jęli naprędce budować obozowisko. Zapłonęły ogniska. W zawieszonych nad niemi kotłach warzyły się jagły oraz mięsiwo, przywiezione z Siewska. Z rąk do rąk dla rozgrzewki krążyły oplatane flasze. Konie wytarto, nakarmiono, napojono i znowu osiodłano, gdyż każdej chwili mogła zacząć się bitwa. Jednak na razie nikt o niej nie myślał. Pilnie czuwały tylko gęste straże. Pod wyiskrzonem, mroźnem niebem rozlegała się wrzawa gawęd, klątw, żartów i śpiewów. Byli nawet tacy, co nie tracąc czasu, zasiedli do kart i kości przy bębnach lub antałach po gorzałce i piwie. Nie jest rzeczą żołnierza troskać się o przyszłość. Od tego są wodzowie.

Rychło jednak chłodne powietrze i ciepła strawa zmorzyły wszystkich. Moskwa nie dawała znaku życia, jakby jej nie było. Rycerstwo zdrzemało się tedy przy ogniskach. W swych szatrach, wiatrem podszytych, posnęli nawet panowie pułkownicy. Nie zmrużył oka tylko sam Carewicz. Do krytych sań, w których służba narządziła mu posłanie, zawezwał O. Ławickiego i rozmawiał z nim długo. Jezuita odszedł późno zbudowany i zachwycony, gdyż Carewicz ślubował, że ufunduje w Moskwie Kolegjum Jezuickie, jeśli Bóg mu pozwoli zasiąść na *prestole* jego ojców.

Szary, nikły brzask, co z oćmy nocnej wychynął opieszale na śnieżne pola, zastał Dymitra znów na siodle. Był blady i markotny. Miał oczy zamazane i przekrwione, jak człowiek, którego z niewczasów rozbolała głowa. Kniaź Rubec-Massalski, który miał służbę nad ranem, przywiózł wiadomość, że Moskwa poczyna wypełzać z borów, jakby szukała spotkania.

Carewicz ofuknął go z niedowierzaniem, pojechał jednak na pobliskie wzgórze, żeby przyjrzeć się nieprzyjacielowi. Istotnie zaległ on już pod lasem nieskończenie długiem zakolem niby posępna, ciemna chmura. Ale nie zaspał również Pan Dworzycki swego hetmańskiego obowiązku, ponieważ wojska Dymitrowe stały także w sprawie.

Carewicz patrzał długo i uważnie, jednakże mgła była tak

gęsta a równina tak poprzerywana wyniosłościami, że nie mógł w całości ogarnąć wzrokiem ani hufców własnych ani chas nieprzyjacielskich. Wtem na wzgórzu przeciwległem zamajaczyło w ćmie kilkanaście postaci i syknęły w powietrzu strzały. Jedna z nich samym tylko końcem ostrza wpiła się w połę jego futrzanej ferezji. Dymitr wyrwał ją niedbale i rzucając precz od siebie, rzekł do nadjeżdżającego Pana Dworzyckiego:

— Dobrze, iż kopijnicy pomieszani z petyhorcami w jeden ufiec. Uderzą pierwsi. Sam poprowadzę. Kozacy niech pozostaną na skrzydłach i nie zaczynają przed czasem.

Potem, jakby przypominając sobie, dodał pośpiesznie:

— Piechoty mamy za mało. Dońcom jeszcze nie dowierzam, bo nie widziałem ich w boju, a ten ich Koreła z piekła rodem. Niech Pan Przeradowski spieszy swych Zaporożców i stanie przy działach.

Pan Dworzycki spojrzał na niego bystro swemi siwemi, surowemi oczami i skinął zlekka głową, jakby uznając słuszność tych rozkazów. Zastanowiły go one. — Skąd on zna się na tem, ten gołowąs? — zagadnął siebie w duchu z niejakiem zdziwieniem.

Chmarą jęły znów bzykać dokoła nich strzały niby rój podrażnionych os. Nie bacząc na nie, powoli zjechali ze wzgórza i zanurzyli się w skłębione tumany wądołu, co wił się między pagórkami i niepostrzeżenie przechodził w równinę.

— Duch w wojsku dobry i ochota wielka — mówił po drodze Pan Dworzycki do Carewicza. — Jedni pragną bić się, bo nienawidzą barbarji moskiewskiej, drudzy radziby się obłowić skarbami, które spodziewają się znaleźć w obozach kniaziowskich. Podobno wielkie dziengi przysłał znowu swoim Godunow.

— Uderzymy, skoro przetrze się nieco. Patrz, Waszmość, już się przeciera! — odezwał się Dymitr, nie zważając na te

słowa. Gorączkowym rumieńcem zapałały jego śniade, babskie policzki.

W jakąś godzinę później wionął od polskich hufców w powietrze ciche i już tylko zlekka zamglone potężny rozhuk surm. Ochoczo dęli w nie trębacze. Do wtóru raźnie zaświegotały im piszczałki i zaskrzypiały krzywuły. Kopijnicy przeżegnali się pobożnie, poprawili się w siodłach, opuścili na swe kłęby długie kopie i ujęli je mocno w garście.

Od strony przeciwnej niby odległym grzmotem głucho i ponuro zakołatały *nabaty*. Moskwa przyjmowała wyzwanie.

Roty polskie ruszyły stępa, bo od nieprzyjaciela dzieliło je kilka stajań. Równo i miarowo niosły je konie po niegłębokim, przymarzniętym śniegu. Zwolna przeszły w kłusa, który stopniowo zamienił się w nieodparty pęd nadlegającej wichury. Jęły dyszeć piersi, błysnęły z pod wąsów zęby, zaparły się w strzemionach stopy i wrosły kopje w dłonie. Niektórzy zmarszczyli brwi lub przymknęli na jedno mgnienie oczy, jakby ogłuszeni wrzaskiem, który podniosła bliska i całkiem już widna chasa moskiewska. Po szyszakach i bechterach nadlatujących jeźdźców jęły ślizgać się strzały.

Ogromną, bezładną ławą ruszył przeciwko nim z kopyta najprzedniejszy zastęp pancernych bojarów moskiewskich, lecz ani chwili nie zdzierżył straszliwego natarcia. Wydało się Moskwie, jakgdyby nad nią zerwało się niebo. Jedni z żelezcami pokruszonych kopij w piersiach powalili się z siodeł, inni, odrzuceni rozmachem, pierzchnęli na boki niby odwiane wiatrem plewy. Dziko chrapały konie, rwąc susami ponad trupy, co legły powałem. Na śniegu jęły się rozlewać wielkie kałuże krwi, od której mdliło ckliwym, odrażającym zapachem.

Rycerstwo polskie zwolniło pędu i zatrzymało się wkońcu w ulewie strzał. Za obalonem przedmurzem ujrzało nienaruszony mur moskiewski, z poza którego niby psy rozwścieczone warczały *nabaty*. Carewicz krótkim rozkazem usunął z czoła

najbardziej spracowane roty, a na ich miejsce wysunął inne. Niewiele przeszkadzała w tych przesunięciach tylko bezsilnem wyciem odgrażająca się Moskwa. Kopijnicy odrzucili połamane drzewce, otarli uznojone czoła i ujęli oburącz potężne miecze. Dopiero teraz miała nastąpić najcięższa robota.

Naprzeciwko rot polskich wydłużone niepomiernie zakole nieprzyjacielskie jęło skracać się i grubieć niby brzęknące cielsko ogromnego gadu. Równocześnie lewe jego skrzydło poczęło szybko posuwać się i zachylać się ku przodowi. Widocznie wodzowie moskiewscy, obawiając się przerwania, wzmacniali pośpiesznie zagrożony środek i zarazem usiłowali okrążyć nieprzyjaciela. Dymitr posłał w skok do Kozaków, żeby podeszli bliżej i nie pozwolili zająć tyłów, zaś sam rotami polskiemi niby ciężkim, w rękach olbrzyma rozkołysanym młotem ugodził w najgęstszą ciżbę chas Borysowych.

Kopijnicy werżnęli się w nie z rozmachem i znikli na chwilę z oczu Carewicza, jak kamień w rozprysku odmętów. Wnet jednak jęła się szerzyć dokoło nich pustka, która dziwnie rychło zamieniła się w ogromny wyłom. Jak na zaklęcie rozstąpiły się zgęszczone szyki moskiewskie, a z rozokolonej za nimi przestrzeni rzygnęło ogniem i ołowiem czternaście dział oraz kilkanaście tysięcy samopałów *strieleckich* i cudzoziemskich. To służbisty *Capitaine* Margeret karcił w ten sposób z zasadzki nieunoszone zuchwalstwo junaków polskich.

Oślepionemu i ogłuszonemu Carewiczowi Dymitrowi, który patrzał na to z oddali i już wydał rozkaz natarcia Kozakom, zadygotało z przerażenia serce, bowiem wydało się mu, że jakaś czeluść piekielna pochłonęła wszystką jazdę polską. Wszelako z czarnego, dusznego dymu, co nieprzejrzanym obłokiem zasnuł pobojowisko, doleciał go wrychle raźny, acz przygłuszony okrzyk: — Hej, panowie bracia, wziąć im te pukawki! — Tejże samej chwili nad struchlałemi głowami *strielców* i puszkarzy nieprzyjacielskich zawisły kopyta wspiętych rozpędem koni i zamigotały w dymnej oćmie straszliwe szable

polskie. Zanim silny podmuch wiatru jakby nagłem szarpnięciem podniósł zasłonę dymów i przerzucił ją na kurenie kozackie, co stały bezczynnie przed moskiewskim wałem, *strielcy* padli już pokotem i działa były wzięte.

Przez bramę, w chasie moskiewskiej wyrąbaną, dostrzegł ten pogrom Dymitr. Szybkim, modlitewnym ruchem podniósł w górę dziękczynne ramiona. Jednak zaniepokoił się znowu, gdyż brama śpiesznie zaczęła się zwężać i zamykać. Moskwa odzyskała ducha, bowiem nieustraszony *Capitaine* Margeret, który z zimną krwią czekał na sposobną chwilę, rzucił przeciwko rycerstwu polskiemu, omdlewającemu z nadludzkiego wysiłku, sześciotysięczny, nietknięty jeszcze hufiec swych najemników. Groźnie śród zgiełku i rozruchu zagrzmiał bojowy okrzyk niemiecki *Hilf Gott!*

Brama zawarła się zupełnie. Porykiem mściwej radości odpowiedziała Moskwa na odzew swych sprzymierzeńców. Z nieodgadnionym uśmiechem spoglądał Wasyl Szujski na ten nagły zapał swych opieszałych wojowników.

Dymitr nie odrywał oczu od nieprzejrzanej tłuszczy, która w swem wnętrzu jęła nagle mieszać się i chybotać, jakgdyby rozsadzana przepotężną siłą. Zrozumiał, że Polacy chcą się wyłamać z zaciśniętego dokoła nich pierścienia. Był najwyższy czas przyjść im z pomocą. Obejrzał się i skamieniał.

Zamiast iść naprzód, Kozacy odpływali ogromną, czarną chmarą. Pozostało na stanowiskach jeszcze tylko kilka kureni, lecz i te miały się do odwrotu.

— Zdrada, Miłościwy Panie! Zdrada! — zawołał zdaleka nadjeżdżający cwałem Pan Ratomski. — Kozacy pierzchają! Szweykowski mści się za zniewagę, a inni przekupieni. Ściąłem Kucka młodszego i kilku innych najzuchwalszych, ale sam tej hałastry w ryzy wziąć nie mogę.

Z odmętu moskiewskiego jedna po drugiej jęły wypadać przerzedzone roty polskie. Niby poryk rozjuszonych buhajów

śród grzmotu samopałów i świstu strzał rozlegało się za niemi złowrogie *Hilf Gott!*

— Nie wytrzymamy przeciw Niemcom sami. Pchnij, Miłościwy Panie, Kozaków! — krzyknął zdyszany Pan Borsza, który pierwszy dopadł Carewicza. Ledwie trzymał się na siodle. Oczy miał błędne i był prawie nieprzytomny ze zmęczenia. Z rozpłatanego policzka oraz ramienia, przebitego halabardą niemiecką, sączyła się mu obficie krew.

— Czy nie widzisz Waść, że te łotry uciekają? — warknął zgryźliwie Pan Dworzycki.

— Trzeba ich zawrócić. Ławą za mną, Mości Panowie! — przykrym, suchym głosem zawołał Dymitr. — Pan Przeradowski ma działka i wiernych Zaporożców. Niech tymczasem wesprze Niemców! — mówił dalej do Pana Dworzyckiego. — A wy mu ze swoimi ludźmi dopomożecie! Pamiętajcie... do ostatniego tchu! — odezwał się wkońcu do bojarów, którzy pod jego przenikliwem spojrzeniem pospuszczali oczy. Pękaty Kruszczow, wiercąc się na lotnym argamaku, chrząknął przeciągle, niewiadomo, ze strachu czy z pochopnej gotowości.

Z Carewiczem na czele ruszyły pędem spracowane roty polskie w pościg za Kozakami, którzy już niknęli na mglistym widnokręgu. Tylko sumienny Pan Dworzycki odłączył się po drodze, żeby wydać rozkazy i być ku pomocy Panu Przeradowskiemu. — Luby i dzielny chłopiec, — mruczał pod wąsem, mijając opuszczone obozowisko polskie, — ale okrutny lekkoduch. — Słyszał świst strzał moskiewskich koło swych uszu i rozumiał, że wszystko stracone. Pragnął jednak do ostatka wypełnić swój obowiązek hetmański. Śmierci się nie lękał, bowiem miał powody, dla których już oddawna szukał jej na pobojowiskach.

Miał dobrego konia pod sobą, przeto klucząc debrami i wądołami, dotarł zdrowo do stanowiska Pana Przeradowskiego, które z łagodnego wzniesienia górowało nad całą okolicą. Skrywanem zadowoleniem rozbłysły mu na chwilę

chmurne oczy, gdy ujrzał, że puszkarze stoją już przy działkach, a szeregi kozackie trzymają broń, gotową do strzału. Pan Przeradowski oddał mu powinną cześć z łagodnym półuśmiechem na swej panienkowatej twarzyczce. W kącikach jego świeżych, jakby od pocałunków rozkwitłych ust taiła się jednak nieugięta stanowczość.

— Dobrze, mój chłopcze, bardzo dobrze — rzekł do niego ojcowskim głosem Pan Dworzycki, kładąc mu rękę na ramieniu. — Wszystko pomyślane, jak potrzeba — mówił dalej. — Ale teraz ja tu obejmę dowództwo. Carewicz wzywa cię do siebie. Pojechał z polskiemi rotami zapędzać do boju Kozaków, którzy się przepłoszyli i pierzchają. Siadaj na moją szkapę, bo lepsza od twojej, a dobędziesz go jeszcze

— Wiemci ja, wiem — odparł Pan Przeradowski, patrząc mu prosto w oczy. — Przed chwilą przebiegał tędy cwałem Kniaź Rubec-Masalski i rzucił mi z siodła rozkaz, żebym trzymał się do ich powrotu. Lecz oni już nie wrócą! Racz Waszmość spojrzeć, co się dzieje, — i krzywcem dobytej szabli wskazał przed siebie.

Hetman zmieszał się i drgnął zlekka, obejrzawszy się dokoła. Podróżując za młodych lat, nieraz bywał świadkiem nagłych przypływów morskich. Otóż wydało się mu, że jest na małej wysepce, tak szybko rozlało się dokoła nich niepoliczone, wyjące mrowie moskiewskie. Gorzko zacięły się mu usta, albowiem dostrzegł, że pościg polski zamienił się w bezładną ucieczkę. Na karki kopijników, rozsypujących się już w popłochu, następywali Niemcy, którzyby mieli wypoczęte konie. Moskwa, wierna Dymitrowi, znikła bez śladu, jakby rozpłynęła się w tej kipiącej wrzawą toni. Na białem tle śnieżnej dali mignęła mu nagle w oczach szkarłatna czerwień wielkiej chorągwi Carewicza. Uchodził on samotrzeć, a tuż, tuż za nim gnali, pochyleni na siodłach, najemnicy cudzoziemscy. Któryś z nich strzelił. Kary bachmat dał ogromnego susa w bok, zatoczył się, wspiął się i upadł, jakby zaplątany we własne

nogi. Jeździec zeskoczył z niego zwinnie. Pan Dworzycki poznał Carewicza. Otworzył usta, jednak zanim zdążył krzyknąć, już drugi jeździec podał Dymitrowi swego konia, zepchnął ze siodła trzeciego towarzysza, wskoczył na jego wierzchowca, poczem obaj przepadli w mglistych tumanach, co znowu wypełzały z chmurnego przestworza widnokręgu... Na śniegu obok zewłoka końskiego pozostał tylko spieszony jeździec z szkarłatną chorągwią w ręku. Pan Dworzycki był starym żołnierzem, ale zwilgotniały mu oczy, kiedy na głowę tego samotnego człowieka spadł z rozmachem czekan najeznika i szkarłat chorągwi spłynął na ziemię niby szeroka struga krwi.

Obejrzał się na Pana Przeradowskiego, który śledził bacznie okrążającą ich zewsząd Moskwę.

— Widziałeś? — zapytał. — Niemcy zastrzelili pod Carewiczem konia. Ktoś go jednak uratował.

— To Kniaź Massalski — odpowiedział Pan Przeradowski, który miał wzrok ostrowidza.

— A ten drugi, co poległ?...

— Jego koniuszy, jakiś nieznaczny bojarzyn moskiewski.

— Świeć, Panie, nad jego duszą! Wierny sługa... Ale trzeba pomyśleć o własnej skórze. Czy są prochy i ołowie?

— Bardzo ich mało. Nie wiem, czy starczy na godzinę. Zapóźno się spostrzegłem; Moskwa już była w naszym obozie...

— Więc i konie zagarnięte?

— Wszystkie; mój także.

— No, dziej się wola Boża! Będziemy się bronili do ostatka. Może się przebijemy, bo Moskwa łatwo tchórzy. — I przyciszając głos, szepnął młodzieńcowi do ucha: — Kozacy nas nie odstąpią, bo między nimi a Moskwicinami okrutna nienawiść. Wycinają się wzajem w pień. A czy pamiętałeś o lontach? Idź zobaczyć...

Odwrócił się i podszedł do swego konia, uwiązanego do karłowatej brzózki. Przytulił łeb jego do swej piersi, głaszcząc go długo i tkliwie. Poczem nieznacznie dobył z olstr pi-

stoletu i zanim Pan Przeradowski pojął, o co chodzi, strzelił rumakowi w ucho.

Zaporożcy obejrzeli się w szeregach. Zrozumieli. Przebiegł śród nich szmer pochwalny.

— Nie macie wy koni, niechże nie mam i ja! — przemówił Pan Dworzycki. — Jedno nam życie i jedna śmierć. Nie damy się!

— *Sława, bat'ku!* — odpowiedzieli chórem. — Nie damy się!

Powoli i ostrożnie zaciskało się dokoła wzgórza moskiewskie kolisko. Tłuszcza uwijała się na koniach, wrzała od klątw, wyzwisk i pogróżek, ale zaczepić nie śmiała.

Ustało nawet strzelanie z łuków, które zresztą nie czyniło szkody, gdyż strzały, wypuszczane z wielkiej odległości, nie dosięgały nawet połogich stoków rozległego wzgórza.

— Miejmy się na baczności! Oni coś knują. Chcą nas zaskoczyć znienacka — mruknął do swego towarzysza Pan Dworzycki, który obchodził szeregi kozackie, lustrując starannie ludzi i oręże.

Było już z południa, gdy jazda moskiewska cofnęła się i rozpierzchła niby przepędzony wiatrem tuman mgły. Z poza niej wyjrzały długie, gęste szeregi pieszych *strielców* oraz ustawione w przerwach działa. Pan Dworzycki dał znak szablą. Głucho grzmotnęły cztery polskie armatki i gruchnęło sześćset samopałów kozackich. Czarne dymy przysłoniły wszystko. Zanim jednak się rozwiały, już błysnęły płomieniem paszcze moskiewskich spiży, poczem wraz zarehotało tysiące *piszczeli.*

— Na Boga! Nieźle strzelają. Jak orzech zgryzł! — odezwał się Pan Dworzycki, krztusząc się od swędu siarczanych lontów. Nic mu atoli na to nie odpowiedział Pan Przeradowski, który podniósł samopał zabitego Kozaka i jął strzelać porównie z innymi.

Znowu spowiły wzgórze płomienie i dymy. Pan Dworzycki był wszędzie, zachęcał i dodawał ducha. Umiał przemawiać

do nieulęknionych serc wojowników stepowych. Wnet jednak umilkły polskie działka. Jął słabnąć ogień samopałów kozackich. Po niedługim czasie ustał zupełnie. Wyczerpały się skąpe prochy i ołowie... Na samopał pozostało zaledwie po jednym naboju.

Ku środkowi wzgórza ścieśnił się przetrzebiony do połowy zastęp jego obrońców, pozostawiając po skrajach nieużyteczne już działka oraz zabitych i rannych. Znagła przestały ziać zniszczeniem moskiewskie spiże i zgłuchło ujadanie *piszczeli*. Kędyś w dole warknęły *nabaty*. Z nożami w zębach i łukami w garściach, po śnieżnych upłazach wzgórza jęło pełznąć cicho i zwinnie moskiewskie mrowie. Starszyzna bojarska, kryjąc się przezornie za plecami swych podwładnych, półgłosem wyda wała rozkazy:

— Przeklęty pomiot kozacki wybić do nogi, ale Litwę wziąć żywcem. Trzeba pochwalić się nimi przed Hospodarem.

Zbici w gęsty klin, stali nieruchomo Kozacy. Byli to żołnierze starzy i doświadczeni, przeto nie spodziewali się już niczego prócz śmierci. Gruchną jeszcze raz z samopałów, a potem pójdą na zatracenie. *Raz maty rodyła!*

Pan Dworzycki stanął na czele, uczynił znak Krzyża Świętego, poczem lekkiem skinieniem szabli przyzwał ku sobie Pana Przeradowskiego. Odrzuciwszy hardo głowę, zawołał donośnie:

— Pójdziemy na przebój. Za mną w imię Boże!

I nie czekając pierwszej strzały, ruszył biegiem po łagodnej pochyłości, co kończyła się u drogi do Siewska. Jak lawina za głazem potoczył się za nim szczupły oddział kozacki. Błyskały dobyte szable.

Z popłochem rozbiegły się przyczajone zgraje, lecz wnet lunęła zewsząd ulewa strzał. Gromko huknęły po raz ostatni samopały i umilkły na zawsze.

Po kilku, po kilkunastu naraz walili się na ziemię nieszczęśni Zaporożcy. Z zimnem okrucieństwem wystrzeliwała

ich zdaleka Moskwa. Nieustanny świst strzał mieszał się z jękami rannych i rzężeniem konających. Groźny klin kozacki topniał śpiesznie, jednak wciąż szedł naprzód. Tylko jego wodzów omijały zabójcze groty niby jakimś cudem.

Młodzieńczo łatwowierny Pan Przeradowski jął już przebąkiwać o szczególniejszej łasce Opatrzności, ale Pan Dworzycki potrząsnął na to niecierpliwie siwą głową. Pojął piekielną złośliwość nieprzyjaciela. Serce krwawiło się mu z upokorzenia i żalu. Wkońcu nie mogąc znieść tej męki dłużej, zatrzymał się nagle, wyjął z zanadrza białą chustkę i zatknąwszy ją na koniec swej szabli, jął powiewać w stronę pagórka, skąd, jak mu się zdawało, spoglądali na tę rzeź wodzowie moskiewscy.

Moskwa się zdumiała. Zwolniała nieco straszliwa ulewa strzał. Wówczas on rzucił szablę na ziemię i dumnym, acz błagalnym zarazem ruchem wzniósłszy wgórę ramiona, zawołał po rusku zbielałemi usty:

— Miejcie wy ludzie Boga w sercu! Powiadacie, że jesteście chrześcijanie. Zaprzestańcie tedy znęcać się nad swą kozacką bracią. Chrobrzy z nich mołojcy. Zabijcie mnie! Jam ich wódz, przeto tylko na mnie niechaj spadnie pomsta wasza.

Odpowiedział mu poryk urągliwych wrzasków i znów zawichrzyła się chmura strzał. Wrychle jednak rozległy się gniewne, rozkazujące okrzyki. Tłuszcza rozstąpiła się przed swoimi wodzami, którzy pędem zjechali z pagórka.

Z pośrodka nich wysunął się ponury Wasyl Szujski, podjęchał do Pana Dworzyckiego i skinąwszy wdół dobytym mieczem, zaskrzeczał wyzywająco:

— Daruję was wszystkich zdrowiem, ale pokłon oddaj mi czesny. Czołem uderz przed nami, polski psie!

Hetman drgnął i drgnął porywczy Pan Przeradowski, ale pociągnięty za rękaw, przyklęknął. Siwa głowa starca i wyniosłe czoło młodzieńca równocześnie dotknęły śniegu krwią zbroczonego.

Zadowolenie pychy rozpogodziło na chwilę chmurną twarz moskiewskiego Kniazia. Zwolna podniósł na kozaków oparzyste oczy. Pozostało ich zaledwie kilkunastu.

— Kozaków zakuć w dyby, a tym panom polskim rzemieniem powiązać ręce! — rozkazał setnikowi, który stał przed nim w pokornej postawie. — Odeśle się ich do Moskwy. Hospodar uczyni z nimi, co zechce.

Poczem zwracając się do swego brata, Dymitra, który bywał powolnym wykonawcą jego woli, rzekł z dwuznacznym uśmiechem:

— Roześlij gońców! Niech wstrzymają pościg. Dosyć już tego zaboju i rozlania krwi chrześcijańskiej.

Na te słowa zarehotał grubym śmiechem pijany Kniaź Mstisławski i wrzasnął tryumfująco:

— *Popał sia kur wo szczy!*

co na polskie się tłumaczy:

— Wpadła mysz do paści, wpadł do sieci zając!

XXIV.

Bory samborskie, gdzie na wiosnę z pogwizdami wilg i kosów dzwonił w zawody rozigrany szczebiot Panny Maryny, stały się jesienią przybytkiem jej milczącej zadumy. Rozmiłowała się w samotności. Po wyjeździe ojczeńka na wojnę Moskiewską zaczęła stronić od ludzi. Zresztą pod nieobecność Pana Wojewody nie bywało w Zamku Samborskim zjazdów ni bankietów. Tylko śmieszka, Księżna Orszula, co pożegnawszy płochym pocałunkiem swego lubego małżonka, również w tę wyprawę zamieszanego, krążyła nieustannie między Założcami i Krakowem, wstępowała raz po raz, by ucieszyć sobą kwękającą nieustannie Panią Matkę. Nie zamykały się jej świegotliwe usta. Przedrzeźniała Niemców i Niemkinie, których wówczas było mnóstwo na dworze królewskim, wyśmiewała księdza Nuncjusza Rangoniego, który mizdrzył się do niej, zachwalała perfumy od słynnego na całą Polskę perfumjarza włoskiego, Marsilia, ale najchętniej opowiadała o igraszkach i plotkach amoratek dworskich. Kiedy jednak Panna Maryna zapytywała, co powiadają Panowie Senatorowie o Dymitrze i jaki przewidują koniec jego wyprawy, zaczynała trzepotać rękami i wydymała nadąsane usta. Takie rzeczy nie mieściły się w jej trzpiotowatej główce.

— Nie wiem... nic nie wiem! Coś tam gadali, ale nie pamiętam. Nie myślę ciągle jak ty o twoim lubym Hospodarczyku — odzywała się wkońcu. Poczem, jakgdyby w obawie, że obraziła młodszą siostrę, zarzucała jej ramiona na szyję i zmuszała ją do pląsów po puszystych kobiercach komnaty.

Tymczasem Pannie Marynie nieraz zbierało się pokryjomu na płacz. Jej tęsknoty rozbijały się o nieprzewidziane przeszkody. Nie zanosiło się na rychły powrót Pana Gołuchowskiego. Musiał pozostać zagranicą jeszcze długie miesiące. Z woli Króla Jego Mości i Panów Senatorów miał poruczone sprawy niezmiernej wagi, w których nikt nie mógł go zastąpić. Dla rozbojów we Włoszech i przykrych dróg w Alpach listy jego przepadały często lub przychodziły z wielkiem opóźnieniem. Były długie i miłe, ale jakby pełne pogłosów z obcego, niezrozumiałego dla niej świata.

Głośno już było w całej Polsce o jej zaręczynach z Carewiczem moskiewskim, przeto po niejakiem wahaniu sama doniosła o nich ukochanemu. Przyznała się do nich jak do śmiertelnego grzechu przeciwko swemu kochaniu. Czuła się winną lękliwości i nieobronności dziewczęcej. Uskarżała się na niegodny przymus ojcowski. Na szczęście, od zaręczyn do ślubu było jeszcze bardzo daleko. Wszystko zależało od tego, czy Hospodarczykowi nie powinie się noga. Jednak ona ma pewność, że się powinie. Rano i wieczorem modli się o to do Mateńki Najświętszej, chociaż wie, że modlitwa taka jest zdrożna.

Nieprędko doczekała się na ten list odpowiedzi. Pan Gołuchowski już wcześniej dowiedział się o wszystkiem z Krakowa. Tkliwemi, rozumnemi słowy pocieszał Pannę Wojewodziankę. Nie, nie jest winna i nie jest straszny kniazik moskiewski. Wprawdzie umiał wkraść się w łaski królewskie, zamydlić oczy Księdzu Nuncjuszowi i opętać Pana Wojewodę, lecz mimo to sromoty i klęski nie uniknie. Tak utrzymuje wielki wojownik, Pan Kanclerz Zamoyski, a podzielają jego zdanie Książę Lew Sapieha, Ksiądz Kardynał Maciejowski oraz inni znakomici senatorowie. Zaprawdę, niepojęte jest zaślepienie jej rodzica! I delikatnie, jakby obawiając się urazić jej czułość dziecięcą, dawał do zrozumienia, że gorzkie plony swej pochopnej nieoględności zbierze Pan Wojewoda.

Byłby zapewne wyraził się dużo ostrzej, gdyby był wiedział, jak niewiele tej czułości pozostało w rozbolałem i zawziętem sercu Panny Maryny.

Nie postradała ona swej dawniejszej, żarliwej pobożności. Codziennie bywała w kaplicy zamkowej na wczesnej Mszy św. i zawsze napełniała własnoręcznie najprzedniejszą oliwą złotą lampkę przed obrazem Matki Boskiej, która miłosnemi, bezgrzesznemi oczyma spoglądała na nią z rogu jej panieńskiego alkierzyka. Wszelako do spowiedzi uczęszczać przestała. Nieraz się obawiała, aby Wielebny Ojciec Benedykt Gąsiorek, który mimo swych licznych i uciążliwych zajęć kapłańskich nauczał ją od dzieciństwa katechizmu i był pieczołowitym stróżem jej sumienia, nie skarcił jej kiedy za to na osobności. Atoli milczały jego blade, dobrotliwe usta i tylko w zatroskanych spojrzeniach zdawał się błąkać jakgdyby wyraz cichego wyrzutu. Nie mogła znieść go długo popędliwa natura Panny Maryny. Pewnego ranka wpadła po Mszy do zakrystji, gdzie prócz O. Gąsiorka nie było w tej chwili nikogo, i przystąpiwszy bez powitania do niego, spytała wręcz:

— Czy może spodziewać się rozgrzeszenia córka, która znienawidziła własnego ojca?

Był spowiednikiem Pana Wojewody i Ochmistrzyni, Pani Kazanowskiej, nie zdziwiło go zatem nadmiernie to pytanie.

— Może, dziecino, może, byle okazała skruchę i zaufała miłosierdziu Boskiemu — odparł miłościwie.

— Ja teraz spowiadać się nie będę... nie mogę! Przyjmę później najsurowszą nawet pokutę, ale teraz nie!... — załkała Panna Maryna i nie dokończywszy, wybiegła z zakrystji. Mimo kopnego śniegu pędziła wnet konno do boru, żeby tam w skrytości wypłakać swe żale.

Bór koił niepokoje jej sumienia, ale nie uśmierzał waru jej krwi, która kipiała namiętną tęsknicą. Pan Gołuchowski zażegł w niej płomię swoimi pocałunkami. Przywarły one do jej ust, oczu, szyi i rąk niby ogniste stygmaty. Niekiedy,

zwłaszcza nocami, gdy usnąć nie mogła, zdawało się jej, że bieleje od nich jej ciało, pełnieją jej drobne, dziewczęce piersi, zaokrąglają się jej ramiona i jej wąskie, szczupłe biodra. Jednak nie było w tem odczuwaniu ociężałości gnuśnej, rozpajającej żądzy. Wraz z dojrzewaniem ciała cudniejszej, szlachetniejszej dojrzałości dostępowała jej dusza. To jak po przyjęciu sakramentu... myślała mimowolnie i z lękiem opędzała się tej myśli, czując, że bluźni. Głębszym, tajemniejszym, niezwyklejszym wydawał się świat jej oczom, co pałały w zamyśleniu taką promienistą mocą, że zauważyła to nawet tylko swych dolegliwości pamiętna Pani Wojewodzina i rzekła raz do niej żartobliwie:

— Marynko, ty urzekasz oczyma.

Panna Maryna uśmiechnęła się z niejakim przymusem i pod długiemi, jedwabistemi rzęsami skryła źrenice, od tęsknot rozmigotane.

Jej zmienna natura podlegała ciągłemu falowaniu. Dusza Panny Wojewodzianki ważyła się między tkliwością miłosnej pokory a oschłością samolubnej pychy. Jakby na przekór powszedniej świętości uczuć nęciła ją czasem przewrotna chętka carskiego majestatu. Wzdrygała się przed nim, mamił ją on jednak swą nowością piekielną, lecz wspaniałą. Czy umiałaby godnie przyjmować czołobitnie kniaziów i bojarów moskiewskich, siedząc na stolicy z koroną na głowie i berłem w ręce? Czem byłoby podówczas dla niej dziewięć piór pawich ojcowskiego herbu, co były dotychczas jej chlubą i dumą? Od tych myśli nieledwie kaziła się jej głowa. Na ciężkie pokuszenie wodził ją Ojciec Niebieski. Cóż jednak pocznie, jeśli mimo wszystko będzie musiała zostać żoną tego przebrzydłego Hospodarczyka? I co uczyni wtedy Pan Gołuchowski? Czy nią nie wzgardzi? Czy zechce przynajmniej przyjąć dar jej dziewiczego ciała? Uroiło się jej, że bez tego miłosnego dopełnienia nieludzką męczarnią byłoby dalsze jej życie. W trwożnej czczości bezczynnego oczekiwania jej niecierpli-

wość wyprzedzała bieg wypadków. Bolała nad tem, co mogło nastąpić, jakgdyby już nastąpiło. I czuła się winną, chociaż jeszcze była bez winy.

Niemal na samo dno rozpaczy strąciły ją tryumfalne wieści, które jęli przywozić gońce od Pana Wojewody. Bez oporu otwierały swe bramy zamki i grody, chlebem i solą przyjmowała Moskwa prawowitego pana! Zacna Pani Kazanowska łamała swe duże ręce, nie znajdując pocieszenia dla Panny Maryny, która snuła się po komnatach jak nieprzytomna. Jej oczy, tlejące cierpieniem, raziło blade, zimowe słońce. Tęskniła do wiekuistego ukojenia. Układając się do snu na swem wąskiem, panieńskiem łóżeczku, modliła się o łaskę nagłej śmierci i nienawidziła jasności dziennej, która co rana otwierała przemocą jej obrzękłe od łez powieki.

Listy od lutego ojczeńka napływały w dalszym ciągu, lecz coraz mniej było w nich początkowej ufności. Pojawiły się przeszkody, zaczęły się troski i obawy. Pan Zwłóczymowski, który zimową porą codziennie bywał w Zamku na obiedzie, jął plątać się w słowach, mówiąc o wyprawie, zaś Ksiądz Kanonik Pomaski już nie tak często porównywał oblubienicę Carewicza Dymitra z Królową Jadwigą, która przez małżeńskie śluby przyczyniła się do nawrócenia pogańskiej Litwy. Nieco raźniej odetchnęła uciśniona nadmiernie pierś Panny Maryny. Wprost niegodziwą, lubo wnet powściągniętą uciechą zatrzepotało jej serce, gdy pewnego pochmurnego, mroźnego dnia ze sani, wysłanych skórami niedźwiedziemi, wynieśli na rękach hajducy Pana Wojewodę. Nawet Pani Kazanowska, ślepo przywiązana do całej rodziny Mniszchów, klasnęła w swe gospodarne dłonie i szepnęła do ucha Pannie Marynie: — Zobaczysz, moje serce, że wszystko jeszcze będzie dobrze.

Jednak ta radość okazała się przedwczesną. Pan Sandomierski nie postradał bynajmniej wiary w ostateczne zwycięstwo swego domniemanego zięcia. — Przeciągnie się to, przeciągnie się jeszcze długo i niemałych będzie wymagało pie-

nędzy — mówił, postękując i wyciągając się błogo pod pierzyną swego wygodnego łoża. Panna Maryna nie śmiała zapytać, czy dłużej niż rok, pomyślała jednak z ulgą, że tylko do roku przyjęła na siebie zobowiązanie. Potem go nie odnowi; chociażby ojczeńko znowu ją znieważył i nawet kazał wrzucić ją ze złodziejami do tarasu, nie odnowi! Da Bóg, że tymczasem wróci Pan Gołuchowski. Pobiorą się potajemnie i klamka zapadnie. Srogi ojciec będzie musiał pogodzić się z koniecznością.

Pan Sandomierski jakby odgadł jej myśli, gdyż podniósł na nią ociężałe oczy i rzekł ozięble:

— Pozdrawia cię swym carskim pokłonem Carewicz Jego Mość. Miłuje cię jako dawniej i pragnie corychlej mieć cię za małżonkę.

Panna Maryna pochyliła się w milczeniu do ręki ojcowskiej.

Troski nie pozwoliły Panu Wojewodzie na dłuższy wypoczynek. Sejm już się zebrał i zapowiadał się dla niego bardzo niepomyślnie. Przyjechał bowiem z Moskwy poseł Borysa Godunowa, uskarżał się na pomoc, jaką znajdował Łże-Dymitr w Rzczpltej, odwoływał się do zaprzysiężonych traktatów i butnie groził wojną. Nikt jej w Polsce nie pragnął, przeto zawrzało w Senacie przeciw Panu Sandomierskiemu. Płomiennemi słowy napiętnował go sędziwy Kanclerz Jan Zamoyski jako sprawcę wszystkiego złego. Niemniej zawzięcie nastawali na niego inni. Chcieli go obwołać zdrajcą Ojczyzny. Pan Mniszech miotał się w łożu i siniał z wściekłości, słuchając relacyj, nadsyłanych ze stolicy. Wkońcu mimo duszności, co zapierała mu w piersiach oddech i odbierała chwilami przytomność umysłu, pojechał do Krakowa, żeby, jak zwykle, płaszczyć się i wykłamywać. Przed wyjazdem kazał odprawić Mszę na swoją intencję. Przez cały czas nie podniósł się z klęcznika, ozdobionego dziewięcioma herbowemi, pawiemi piórami, modląc się żarliwie.

I znowu zawisła dusza Panny Maryny w dręczącej niepewności niby ptaszę w oćmie.

Była to dla niej chwila grozy, gdy pojęła, że modlitwa nie daje jej już pocieszenia. Jej słowa postradały swe święte znaczenie, nie budziły już w sercu słodkiej rzewności. Myśląc o tem, zrywała się nocami ze snu Panna Maryna i padała na kolana przed obrazem Matki Boskiej, ale w niepewnem świetle lampki zamiast cudownego oblicza zwidywała się jej twarz Pana Gołuchowskiego. Surowe zamyślenie czoła mgliło się nad jego oczyma niby mrok nad żarem.

Balsamami i alkiermesami musiała ją nieraz cucić z mdłości serdecznej tkliwa piastunka, Pani Kazanowska, zaś rankami trefiąc własnoręcznie jej szczodre, krucze, lśniące włosy, użalała się nad nią:

— Biednaś ty, biedna, dziewczyno niebogo!

Zaczem popłakiwały obie.

Zdarzyło się jednak, że właśnie w tym czasie znalazła sobie Panna Maryna osobliwszą pocieszycielkę. Wracając kłusem o zmierzchu z boru, omal nie najechała na jakąś kobietę, która potknęła się z pośpiechu o swój wlokący się po śniegu kożuch i tuż przed piersiami jej dzianeta, upadła na wąską drożynę, płozami chłopskich sań wyślizganą. Któryś z hajduków, co tworzyli przyboczną straż Wojewodzianki, chciał smagnąć ją z konia biczem, jednak gramoląca się powoli kobieta krzyknęła głosem dźwięcznym i wezbranym niezwykłą wyniosłością:

— Nie pozwalaj mnie bić, jasna panienko! Ja Torosowa, królów armeńskich córa!

Znano ją w całym Samborze i natrząsano się z jej uroszczeń królewskich. Pospólstwo nazywało ją powszechnie Chichą. Przyplątała się od Kamieńca Podolskiego, gdy tamte strony najechali Tatarzy, i pozostała w mieście. Była bardzo uboga, lecz nie chciała przyjmować wsparcia od nikogo. Powiadano, że miała nadzwyczajne uważanie u kupców i rze-

mieślników ormiańskich, których kilkunastu osiedliło się w mieście. Mieszkała samotnie w nędznej, walącej się chacie, kupionej za parę czerwieńców od ormiańskiego kuśnierza. Zarabiała na chleb haftami oraz cerowaniem starych, uszkodzonych kobierców, ale umiała także z wełny, jedwabiu i złota dzierzgać przedziwnie nowe. Była przytem wróżką i posiadała podobno niezawodny dar przepowiadania przyszłości. Tak przynajmniej utrzymywały kumoszki samborskie. Podejrzewano, że jest czarownicą, bo miała przepaściste oczy, jakgdyby od ogni wnętrznych wytlone, co nieledwie nadludzką mocą pętały dusze jak w kajdany. Zarzą się jej ślepia jak próchno w nocy — żartował z niej Pan Wojewoda, wziął ją jednak w swą wielmożną opiekę, gdy OO. Bernardyni chcieli za czary wyświecić ją z miasta. Był bardzo zabobonny. Nie chciał zadzierać z djabłem, którego Chicha miała być kapłanką. Szlachta okoliczna szemrała między sobą, że zachodził do niej pokryjomu i miewał z nią jakieś konszachty.

Panna Maryna była rada, że spotkała ją zdala od księżych oczu, gdyż chciała ją poznać już oddawna. Szybkim, rozkazującym ruchem zatrzymała bicz, zawieszony nad wróżką, i pochyliła się nawet łaskawie ze siodła, żeby jej podać pomocną rękę.

Chicha podźwignęła się nieco, lecz wnet obsunęła się znowu na drogę.

— Trudno mi wstać — odezwała się. — Zdaje się, że zwichnęłam nogę w kostce.

Panna Maryna kazała hajdukom zejść z koni i wziąć ją pod ramiona.

— Czy daleko mieszkanie Waśćki? — zapytała.

Chicha skinęła twierdząco głową. Starszy hajduk odpowiedział za nią:

— O, daleko! Będzie jeszcze z dobre stajanie.

— Weźcież tedy tę białągłowę na siodło i zawieźcie ją do jej domu! A pamiętajcie, ostrożnie przy zsiadaniu! — pole-

ciła mu Wojewodzianka, poczem rzekła do wróżki na pożegnanie:

— Ja wracam do zamku i przyślę zaraz naszego balwierza. Jutro o tej samej porze zajrzę do Waśćki, żeby się dowiedzieć, czy noga jeszcze boli.

Hajduk wskoczył na siodło i przy pomocy swego towarzysza nie bez trudu usadowił przed sobą córę królów armeńskich. Troskliwie oszczędzając jej wstrząśnień, noga za nogą odjechał w stronę majaczących opodal domostw, których okienka migotały już nikłemi światełkami.

Dzień następny mijał Pannie Marynie w mdłej nijakości marzeń płonnych, lecz udręczających. Zdawało się jej, że lada chwila musi nastąpić coś, co niby głaz przywali całe przyszłe jej życie, nie mogła jednakże się dorozumieć, coby to być mogło. Wyjechała wkońcu sankami o pół godziny wcześniej niż zamierzała. Hajduk, który odwoził do domu Chichę, był przewodnikiem. W opyłach śnieżnych siniały bory na rozokolonym widnokręgu.

Wróżka mieszkała już niemal za miastem. Niewysokie sztachety, podgrodzone chróstem, otaczały zawalony śniegiem ogródek, śród którego wznosił się jej domek, nie różniący się od pochyłej, chłopskiej chaty. Małe okienka były zaciągnięte błonami. Panna Maryna weszła do sionki niskiej i tak ciemnej, że poomacku musiała szukać drzwi do izby. Otwarły się przed nią same. Wsparta na sękatym kiju Chicha, uprzejmie, acz bez uniżoności, zapraszała ją do wejścia.

Izba była schludna i dość przestronna. Jeden jej kąt wypełniał wielki komin, na którym gorzały z trzaskiem smolne szczapy. Miejsce pod oknami zajmował duży warsztat, który Pannie Marynie wydał się podobnym do tkackiego. Obok stała przęślica z kądzielą. Na niewielkim stoliku blado jarzył się bronzowy kaganek niezwykłego kształtu. Przy jego świetle połyskiwała złotym haftem robótka, bliska już wykończenia.

W najdalszym kącie izby stał niski tapczan, zasłany barwnym kilimem. Na ścianie wisiał zniszczony, pozłocisty kobierzec adziamski, oddany zapewne przez kogoś do naprawy. Obrazów świętych w izbie nie było.

Chicha nie różniła się odzieżą od uboższych mieszczek samborskich. Była to kobieta jeszcze niestara, wysoka i szczupła. Niezmiernie bujne, czarne włosy otaczały jej smagłe, pociągłe oblicze. Usta miała ładne i świeże, lecz jakby zwarte skurczem nadmiernie wysilonej woli. Przepaściste oczy patrzyły nieufnie i ponuro.

Podała Pannie Marynie poręczowe krzesło, które swem rzeźbami i ozdobnym wyglądem różniło się wielce od innych sprzętów najpospolitszej, ciesielskiej roboty.

— Dziękuję bardzo jasnej panience za balwierza — przemówiła pierwsza. — Pomógł mi bardzo. Wziął mi nogę w łubki i czuję, że za parę dni będę już mogła chodzić bez kija. — Mówiła płynnie, lubo nieco z cudzoziemska.

— Rada jestem, że mogłam przyjść z pomocą, — odrzekła Panna Maryna. — Poproszę wzamian o coś innego. Słyszałam, że Waśćka sławnie wróży. Chciałabym usłyszeć, co Waśćka mi powie, — i wyciągnęła do niej dłoń smukłą, różową, piękną jak wnętrze rozwiniętego kwiatu. — Ale niech o tem nikt nie wie — dodała z niejakiem zawahaniem — nawet... nawet mój ojciec.

Chicha spojrzała na nią bystro; jakby z ociąganiem przyjęła jej dłoń w swoje ręce. Spojrzała od niechcenia i wypuściła ją znowu.

— To rączka jeszcze dziecięca... niewiele mówi — odezwała się. — Zresztą ja z ręki wróżyć nie umiem. Nie przepowiadam, lecz pokazuję czasem ludziom ich przyszłość, gdy duchy chcą mi być pomocne. — Wymówiła ostatnie słowa uroczyście. — Ale to nie dla jasnej panienki. Do tego trzeba dużej śmiałości...

Panna Maryna zaciekawiła się i zarazem uczuła się nieco urażoną tem powątpiewaniem. Rzekła wyniośle:

— Śmiałości mi nie zbywa. Zobaczy Waśćka. A wynagrodzić będę umiała — i brząknęła niedbale złotymi portugałami, które miała w kieszonce swej szubki.

Wróżka uśmiechnęła się z cierpkim przekąsem. Mignął jednak w jej oczach błysk chciwy i drapieżny.

— Niechże będzie, skoro jaśnie panienka tak każe, — odpowiedziała. — Ale ja także poproszę o tajemnicę, bo od niej zależeć może nawet moje życie.

Milcząco i dumnie skinęła Panna Wojewodzianka głową, jakby chciała powiedzieć, że nie ma zwyczaju zdradzać tajemnic. Chicha wyszła zaraz przez boczne drzwiczki, tak utajone obok tapczana w pobielonej ścianie, że zaledwie dawały się odróżnić.

Wróciła wnet, niosąc oburącz dość duży i ciężki trójnóg bronzowy z takąż panwią u wierzchu. U wrębu wieńczył tę panew oplot skłębionych, misternie cyzelowanych wężów, których łebki wysterczały ponad skraje naczynia. Postawiła trójnóg na środku izby i wyszła raz jeszcze, przeprosiwszy Pannę Marynę. Tym razem nieobecność jej trwała dość długo. Pociemniało zupełnie za oknami. Żar jął przygasać na kominie. Kaganiec migotał blado. Wojewodzianka zamyśliła się mimowolnie.

Lekki chrobot za ścianą dał jej znać, że Chicha wraca. Jakoż weszła, pochylając się w drzwiczkach. Zmieniła odzienie. Opływała ją suta, fałdzista szata z czarnego aksamitu, usiana gęsto srebrnemi gwiazdami, śród których połyskiwały złotem figury Zodjaku. Piękne, jakby ze złotawej kości słoniowej utoczone jej ramiona zdobiły manele w kształcie splecionych wężów. Takież same zielono połyskujące węże tworzyły przepaskę jej rozpuszczonych włosów, z pod których na jej barki zwisały koliste, ogromne zausznice.

Powolnym ruchem nakreśliła pośrodku izby kawałkiem

kredy duże koło, poczem wstawiła w nie trójnóg z panwią. Żelazną łopatką wyjęła z komina trochę żarzących się węgli, które włożyła do panwi. Następnie poprosiła Pannę Marynę, żeby raczyła przybliżyć się z krzesłem, nie dotykając wszakże ani stopami ani nawet suknią obwodu kredowego koła.

— Niechaj teraz jasna panienka nie rusza się, nic nie mówi i zbierze wszystką odwagę — rzekła przyciszonym, jakby nieswoim głosem.

Podeszła do drzwi, aby zamknąć je na zaszczepkę. Powracając, wzięła w przejściu ze stolika niedużą szkatułkę, wyrzeźbioną z ciemnego drzewa. Przysunąwszy zwyczajny, kuchenny stołek, usiadła naprzeciwko Panny Maryny po drugiej stronie kredowego koła.

Żar w kominie zasuł się popiołem. W izbie zgęstniały mroki. Wróżka otworzyła szkatułkę i z jednej jej przedziałki jęła na węgle w panwi sypać miałki, żółtawy proszek. Panna Maryna odetchnęła lżej, bo uczuła w powietrzu woń miłą i rzeźwiącą. Wówczas Chicha sięgnęła do drugiej przedziałki i wrzuciła do naczynia, kłębiącego się niebieskawym dymem, kilka szczypt jakiegoś innego, metalicznie połyskującego proszku. Z rozpryskiem zawrzał ogień na dnie i nagle wystrzelił z panwi wgórę niejako pękiem płomienistych, zielonkawych kwiatów. Pannie Marynie zastygła krew w żyłach, gdyż te z wężową rączością wijące się płomyki zachychotały nagle plugawym, zjadliwym śmiechem.

Mimowolnie przymknęła oczy. Zdaleka, bardzo zdaleka, dolatywały ją krótkie, władcze, niezrozumiałe zaklęcia, które wróżka wypowiadała z taką mocą, iż zdawały się zgrzytać w jej ustach. Śmiechy ucichły.

— Niechaj jasna panienka spojrzy teraz przed siebie — zabrzmiał ochrypły i zdyszany głos Chichy.

Wojewodzianka usłuchała wezwania i skamieniała w niewysłowionem olśnieniu. Pośrodku płomienistych kwiatów, co rozchyliły się w jakąś dal nieprzemierzoną, ujrzała siebie

samą. W komnacie, przedtem nigdy nie widzianej, leżała naga, na śnieżnobiałem posłaniu. Obok posłania klęczał pochylony nad nią Pan Gołuchowski. Objęła go ramionami za szyję i uczuła pocałunek jego ust na swych ustach. ...Zakołowało jej w głowie i pociemniało w oczach.

Gdy znowu odzyskała zdolność widzenia, oddal śród płomieni jakby się jeszcze pogłębiła, znowu ukazując ją samą. Miała na sobie szatę długą, ciężką, naszywaną perłami i drogimi kamieniami, a na głowie dzierzganą ze złota koronę. Trzymał ją w objęciu Dymitr, również w błyskotny strój odziany. Jak niewolnicę dzierżyło ją jego pancerne ramię. Byli oboje jakoby w obłoku, utworzonym z niepoliczonych oczu ludzkich, co obłudnie i mściwie zdawały się czyhać na jej zgubę. Niby płomię hańby paliło ją niemym wyrzutem surowe spojrzenie Pana Gołuchowskiego, który stał na osobności. I oto promienie owych wrażych oczu zestrzeliły się w jeden straszliwy piorun, który zdruzgotał i Dymitra i Pana Gołuchowskiego. Pławiąc się we krwi, obaj padli u jej stóp i przykryła ich ciemność niby płachta całunu.

Krzyknęła boleśnie. Płomienie znowu się zaśmiały. Gdy w nie spojrzała, zakipiały krwawą mgłą, z której lubieżnie wychyliła się ku niej ohydna, krzywonosa maszkara żyda w koronie. Za nią majaczyła niewyraźnie zjawa Kozaka, wijącego się w mękach na palu...

Panna Maryna zapadła nagle w czarną, rozemdloną czczość snu, straszniejszego od śmierci. Z przeraźliwej jego czerni wybłyskiwały rozchychotane płomienie.

Kiedy się ocknęła, trójnogu z panwią już nie było. Chicha zmywała z podłogi mokrą ścierką ostatnie ślady kredy. Na kominie znowu gorzał ogień. Powietrze zalatywało jeszcze jakimś mdlącym zapachem.

— Co to było? Co to wszystko miało znaczyć? — spytała słabym głosem Wojewodzianka.

— Ja nic nie wiem. Nic nie widziałam — odparła obo-

jętnie wróżka. Miała znowu na sobie zwykłą odzież samborskiej mieszczki. — Był tu hajduk i zapytywał, czy jasna panienka wybiera się już z powrotem.

Zwichnięcie zdawało się jej nie dolegać, gdyż stąpała mocno i pewnie, lubo już nie miała kostura w ręce.

Panna Maryna powstała zwolna z krzesła. Opieszałym ruchem rzuciła na stolik obok kaganka dwa złote portugały. Stuknęły bezdźwięcznie, jakgdyby były z ołowiu. Zauważywszy cierpki, prawie szyderczy wyraz na twarzy Chichy, skinęła jej ozięble na pożegnanie głową, wyprostowała się dumnie i wyszła z izby chwiejnym nieco krokiem.

Przed chatą zrobiło się jej niedobrze. Z wysiłkiem dowlokła się do swych sanek, czekających u wąskiej, nawpół uchylonej furtki.

Przez całą drogę nie otwierała oczu. Głowę miała ciężką i twarz rozpaloną. Głucho rzęziły jej w uszach mroźne poświsty wiatru.

Oprzytomniała, gdy Pani Kazanowska całym ciężarem swego dużego ciała zwaliła się jej na piersi i zaszlochała radośnie:

— Przyjechał z Krakowa Pan Dyamentowski, dworzanin... Człek leciwy, godny... Powiada, że Hospodarczyk pobity na głowę! Rozsypane w niwecz jego wojska. Ledwo samowtór uszedł do Putywla.

Panna Maryna szepnęła na to spieczonemi wargami:

— Moja nianiu, jestem bardzo chora.

I śnieg poczerniał w jej oczach.

XXV.

Sto pociech miał w Rzymie Pan Gołuchowski ze swej angielskiej amoratki, która była drobna, zwinna i rusa jak wiewiórka. Była najświęciej przekonana, że poświęca się, uszczęśliwiając go swemi pieszczotami, ale bez jego pieszczot żyć nie mogła.

Korsarze hiszpańscy pojmali ją na galerze angielskiej razem z jej sepetami, pełnemi złota i wszelkiego dostatku. Gdy w popłochu i przerażeniu na jej białe, niezakryte ramiona obsunęły się szczodre, rozpuszczone włosy, jakiś *Don* hiszpański podesłał swój płaszcz pod jej stopy. Dowiedziawszy się później, że jest katoliczką i wdową, oświadczył się o jej rękę. Jednak wrychle zginął Hiszpan w potyczce morskiej z Anglikami, zaś ona pojechała go opłakiwać do Wiecznego Miasta i tu poznała Pana Gołuchowskiego. Po raz pierwszy zobaczyła go w jakiejś rycerskiej, strojnej kawalkadzie. Urzekł ją swym męskim, surowym wdziękiem i tajemniczem zamyśleniem swego czoła. Przy pierwszej nadarzającej się sposobności wyznała mu z zachwycającą pustotą, że uwodzi ją za nim kochanie. Przyjął to wdzięcznie, jak zwykł był przyjmować wprawdzie błahe, lecz miłe upominki niedocieczonego losu.

W potężnem chceniu, w wytężonej myśli, w upartym czynie wypowiadała się jego natura. Uwłaczało mu przypuszczenie, że mógłby stać się niewolnikiem jakiejkolwiek żądzy. Kochanie białejgłowy nie było dla Pana Gołuchowskiego nigdy treścią życia, lecz jego powabem. Nazbyt dobrze poznał ludzi, aby nie wiedzieć, że w jednym człowieku, zaś przede-

wszystkiemu w jednej białejgłowie, żadną miarą nie może mieścić się to wszystko, czego może zapragnąć miłość, która ku coraz szlachetniejszej zmierza doskonałości. Słabem, ułomnem i zawodnem wydawało się mu serce ludzkie; mogło dawać i przyjmować tylko okruchy.

O Pannie Marynie pamiętał, ale nie sądził, żeby jej się sprzeniewierzał. Myśli jego o niej były odświętne. Miała osobne miejsce w jego duszy. Może niezbyt pobożnie zwał je świątnicą. Skrywały się w niej także inne jego świętości, a nad wszystkiem czuwały z rozwiniętemi skrzydłami Cheruby jego męstwa.

Angielka miała na imię Rosaleen, *Lady* Rosaleen. Pan Gołuchowski lubił to imię, pachnące różami. I lubił obejmować ją w ten sposób, że we wklęsłości swych dłoni czuł jej piersi jędrne, chłodne i piękne jak źrzałe grono winne.

Chodzili razem oglądać posągi w ogrodach watykańskich, lecz ona nie pozwalała mu patrzeć na marmurowe, pogańskie boginie, mówiąc z przymileniem: — Jam twoją boginią, patrz na mnie! — Kiedy zaś zapatrzył się na pływające łabędzie, przerywała mu zachwyt słowami: — Jam najpiękniejsza z angielskich łabędzi, a niema od nich piękniejszych na świecie! — Milkła jednak i smutniała, gdy zaczynał rozmyślać głośno o swej ojczyźnie. Wiedziała już, że żadnym swym czarem nie zdoła go wyrwać z jej zaklęcia.

Wielkie i sławne było podówczas imię polskie na świecie. Jednakże Pan Gołuchowski pragnął je uczynić jeszcze większem i sławniejszem... Marzył o przewadze potęgi polskiej nad całą Słowiańszczyzną. Był wrogiem cesarskiego Domu Rakuskiego, który gnębił i tępił ludy słowiańskie, a sprzyjał Francji, co swą potężną dłonią dzierżyła na wodzy zapędy tych drapieżnych ciemiężycieli. Sprawy, które sprowadziły go do Rzymu, zetknęły go z najznamienitszymi umysłami całego chrześcijańskiego świata. Tedy coraz mocniej utwierdzał się w przeświadczeniu, że wszelka dzielność, piękność i do-

stojeństwo istnienia bierze swój początek ze starodawnej mądrości rzymskiej. Wszelako nie chciał, żeby Polska była tej mądrości tylko niewolną służebnicą. Nie! Powinna była przetwarzać ją w swym duchu, rozwijać ją, doskonalić, brać z niej rozpęd ku nowszej i żywotniejszej mocy przyszłych wieków. Kraków w jego mniemaniu nie tylko dla mnogości swych kościołów powinien był stać się słowiańskim Rzymem. Wielką myśl Króla Stefana trzeba było podjąć nanowo, zanim z swej ospałej nieruchawości nie ocknie się olbrzymi potwór moskiewski. Trzeba było okazać znowu tym barbarzyńcom przewagę swego miecza, lecz pierwej miecz ten oddać w służbę wielkiego ducha. I daleko w przyszłość sięgającem spojrzeniem swej myśli już widział, jak dzierżąc pochodnię twórczej światłości ducha, Polska staje się dla Moskwy tem, czem niegdyś była Grecja dla Rzymu.

Żmudnie przenikały te jego myśli w mózgi braci szlacheckiej, znajdując jednakże niejaki posłuch nawet śród panów senatorów. Atoli zbyt były one obce rozumieniu powszechnemu, żeby miały wydać należyte plony. Światłością ducha były dla jego rodaków tylko uświęcone prawdy wiary katolickiej, a te w Polsce już posiadano i chętnie podzielonoby się niemi z Moskwą. Nikt prawie nie pojmował, czego więcej było można chcieć od siebie i co więcej godziło się dać nieprzyjacielowi. Najmędrsi i najprzenikliwsi odpowiadali, wzruszając ramionami: — Bylebyśmy tylko żyli po Bożemu, a wszystko inne przyjdzie samo z siebie.

Pan Gołuchowski wiedział, że na to się nie zanosiło. Twórczej, Bożej myśli jeszcze zbyt mało było w Polsce. Przebujałe poczucie wielmożności wyjaławiało umysły, pogrążając je w gnuśnej bucie. Za dobrze i za wygodnie było już szlachcie w Rzczpltej, żeby miała zdobywać się na ciągły trud ducha. Zapalająca do wielkiego czynu pieśń Jana Kochanowskiego coraz słabszem rozlegała się śród niej echem. Pług i miecz były wszystkiem. Scjencje pozostawiano wzgardliwie łykom

miejskim lub cudzoziemcom. Tylko im wolno było mieć rozum. Szlachcie wystarczała dzielność i chluba klejnotów rodowych. Akademje, co były do niedawna ożywczem źródłem myśli, poczynały trupieszeć w zastoju i zaśniedziałości. Olbrzymie siły marnowały się w niesnaskach domowych, w swarliwych burdach, w ogłupiających pijatykach. Wiara była pospólnem dobrem wszystkiego chrześcijaństwa, ale czemu nie pomnażał się własny dorobek, co jedynie mógł dawać trwałą przewagę nad barbarzyńcami?

Rozrzutnie trwonił się duch polski w lenistwie i swawoli, a tymczasem ludzkość nie stała na miejscu. Bogactwem, świetnością, szlachetnością i różnorodnością swych dzieł przodował jej genjusz italski. Był nieodrodnym dziedzicem wiecznotrwałego, rzymskiego ducha. Z cieśni, którą go osuwała martwota prastarych perzyn i gruzów, zmartwychwstawał wciąż żywotny, potężny i dobroczynny. Zbudował nowy świat z rozwalin zaginionego, starożytnego świata. I bodaj nawet piękniejszy. Patrząc na włoskie wille, pałace i świątynie, podziwiając rzeźby i obrazy, rozczytując się w księgach poetów i myślicieli, zdumiewał się Pan Gołuchowski nad ogromem zaklętej w nie miłości, gdyż tylko wielka miłość mogła wydać tak wielkie dzieła. Dumnie głosiły one potęgę narodowego ducha, wyzwalającego się nieustannie z pęt przemocy. Rządy ciał zagarnęli tyrani lub obcy najezdnicy, przeto górniejsze i wiekopomniejsze wywalczyła sobie Italja królowanie, zdobywając władzę nad duszami. Italja była mistrzynią ludów. Czemużby nie miała zczasem stać się nią i Polska? Dlaczego płowy Tyber miał być godniejszy wieszczych pień od płowej Wisły? Trzeba było tylko zaczerpnąć do nich oddechu z szerokiego świata. Wielkie siły twórcze drzemały w narodzie.

Nie był zaślepiony i widział znaczną różnicę dojrzałości. W porównaniu z szczodrą i dźwięczną mową włoską nie mógł jeszcze wszystkiego wysłowić dużo uboższy, chropowaty język polski. Należało go wzbogacić, rozdźwięczyć, roześpiewić. Ale

czyż bohaterstwo polskie miało objawiać się tylko na pobojowiskach? Czyliż nie powinno było stać się przykazaniem całego polskiego życia?...

Atoli najwznioślejsze nawet myśli są niczem dla żądnej kochania białejgłowy. Obejmując płochemi ramionami swego zadumanego amorata, kwiliła nieraz *Lady* Rosaleen żałośnie, że za mało daje jej szczęścia. Jednak on odpowiadał z żartobliwym uśmiechem: — Nie jestem, niestety, z tych, którzy umieją dawać trwałe szczęście. Mogę tylko, piękna pani, czynić cię szlachetniejszą i jeszcze piękniejszą. — Ze zdumieniem otwierała na to swe duże oczy, co migotały zielonawymi połyskami mórz północnych, i usuwała się od niego urażona, mniemając, że z niej szydzi. Niedługie jednak bywały te dąsy. Wnet znowu go uwielbiała, zwłaszcza gdy w pojedynku poszczerbił szpetnie jakiegoś niemieckiego zawalidrogę, który zuchwale począł jej się naprzykrzać swoimi chłopimi zalotami. I znowu garnęła się uszczęśliwiona do jego piersi, zaś on głaskał z roztargnieniem jej ruse, puszyste włosy i czytywał jej najpiękniejsze sonety miłosne Petrarki, które brała do siebie, uważając je za nową, tkliwą pieszczotę. Wszelako Pan Gołuchowski zazwyczaj bywał wtedy myślami przy Pannie Marynie.

Nie był uwodzicielem. Raczej unikał niż szukał towarzystwa płci białej. One same lgnęły do niego, błahe niewolnice jego namiętnej, nieuskromionej męskości. Powabne, motyle samiczki, lube, rozwiozłe i niewierne! Nie było jego winą, że tak prędko ulatniał się w jego uściskach ich nikły urok niby skąpa wonność z płytkiego naczynia. Nie miały jego feniksowej żywotności, co odradzała się ciągle w krwawym roztrzasku bitew i w ogniu myśli. Nie były zdolne czerpać nieustannie ze siebie. Nie mogły czy nie umiały być czemś więcej niż kwieciem, więdnącem rychło i bezpowrotnie. Przemijały, obłokom wiosennym podobne.

Panna Maryna wydawała się mu inną. Nie miała wietrznej lekkości płochych synogarlic. Róże jej panieństwa posiadały

woń mocniejszą, czarowniejszą i szlachetniejszą od innych. Trzeba było mnogich pokoleń i wielkich cnót Tarłów, żeby je wydać. Jakąś wyniosłą, rycerską swobodę znać było w ruchach i przegięciach jej gibkiego ciała. W tęsknej czerni jej oczu pałała myśl bystra i nieulękła. Tchórzostwem wykrętnego kłamstwa napewno brzydziły się jej dumne, miłosne usta. Stateczna powaga woli zdawała się promienieć z jej białego czoła, zaś krnąbrne brwi były niby ptaki w odlocie ku jakimś nieznanym krajom. Cierpką, niepokalaną, jakgdyby drapieżną świeżość pozostawiły jej wstydliwe pocałunki na jego wargach, które już tak wiele całowały i tak mało z tego całowania zachowały. Po raz pierwszy w życiu doznawał tęsknoty, co nie była tylko cielesnem pożądaniem. Nawykł był do żebraczego ubóstwa dusz niewieścich, co wszystkiego się domagają, nic wzamian nie dając. I oto przesuwając w pamięci różaniec miłosnego upojenia, ulegał złudnemu zapewne wrażeniu, że znalazł wreszcie w białejgłowie bogactwo duchowe, wprawdzie różne, lecz może niemniejsze od własnego. Roztargnione i opieszałe były tedy jego dłonie, muskające bujne, ruse włosy angielskiej amoratki.

Płocha była ta miłostka i nie przydawała powagi zamyślonemu czołu. Lecz dlaczego mądrość, w której streszczają się najognistsze moce życia, ma koniecznie przyoblekać się w powagę, co tak często bywa pokrywą czczości i niemocy? I dlaczego niema być róż śród laurów, co wieńczą czoło bohatera?...

Chęci jego były rozdwojone. Tęsknił do Panny Maryny, jak zwykły tęsknić dusze ogniste do szczodrego w piękno, nowego czaru, zaś równocześnie czuł, że niełacno przyszłoby mu się pogodzić z małżeństwem, które mogło wyrwać go z jego nieskrępowanej, płodnej w myśli samotności i może nawet ten czar zniweczyć. Było to skrytą jego śmiesznością, iż on, człek mądry i stateczny, aż do bólu nie lubił, gdy cudne mary jego złudzeń brzydły i nikczemniały w zetknięciu z rzeczywistością. O tej swojej śmiesznej przywarze sam niezbyt wiedział, bo

gdyby był wiedział, byłby ją bez wahania nazwał lękliwą małodusznością. Czas nieścigłych chimer już dla niego minął. Musiał zajrzeć śmiało w chłodne oczy jawy. Musiał wreszcie wyjść ze swego szczęsnego odosobnienia, z nieskrywaną dłużej tablicą swych przykazań stanąć śród ludzi. Wielkie dzieło jego życia, do którego zamierzał corychlej przystąpić, dzieło naprawy i wywyższenia Rzczpltej Polskiej, wymagało surowej trzeźwości oraz zuchwałego męstwa. Małżeństwo z Panną Mniszchówną dałoby mu odrazu wielki głos w Koronie. Zwróciłyby się na niego wszystkie oczy. Pan Sandomierski umiałby wynieść na światło dzienne jego niemałe zasługi, dotychczas umyślnie w cień spychane przez zawiść ludzką. Posypałyby się godności i zaszczyty. Reszty dokonałaby jego dalsza służba Ojczyźnie, ofiarna i niesamolubna. Przyciągnęłaby ku niemu zapalne serca polskie. Zrazu towarzyszką jego pracy byłaby tylko Panna Wojewodzianka, lecz wrychle znaleźliby się inni — gromady chętniej, szlachetnej młodzi. Na całą Rzczpltą ponieśliby jego hasło młodzi junacy. Roiła się mu potęga niepokalana nędzota sobkostwa, niewątlona niegodziwością samowoli i pychy...

Jakoś inaczej niż zwykli goście rzymscy zastukał kołatką do drzwi jego mieszkania Pan Jan Buczyński, który pierwszy przywiózł mu dokładniejsze wiadomości o Carewiczu Dymitrze. Znali się jeszcze z uniwersytetu w Padwie i pozostawali swego czasu ze sobą w wielkiej zażyłości, co niekiedy wydawała się niemal przyjaźnią, ale nią nie była. Pan Gołuchowski, który już oddawna rozglądał się za godnymi towarzyszami przyszłej swej pracy, zwierzył się mu ze swoich zamiarów. Umiał się na nich poznać i ocenił je należycie swym światłym rozsądkiem Pan Buczyński, wydawały się mu jednak one zakrojonemi na zbyt niepowszednią miarę, żeby mogły wydać owoce w niedługim czasie i bez wielkiego trudu, on zaś był chudopachołkiem, żądnym przedewszystkiem własnego wyniesienia i własnej korzyści. Atoli nie przyznawał się do tego

przed Panem Gołuchowskim, lubo obiecywał sobie w duchu wyzyskać po swojemu niektóre jego pomysły, gdyby nadarzyła się mu sposobność uczepienia się czyjejś możniejszej klamki, rokującej rychlejsze powodzenie.

Mimo swej nieskorej powściągliwości, która nie będąc oziębłością, nie pozwalała mu jednak rozserdeczniać się nazbyt łacno w stosunku do ludzi, przyjął go Pan Gołuchowski z otwartemi ramionami, gdyż bywało mu już tęskno do Ojczyzny i rad był, że widzi kogoś, co jeszcze niedawno oddychał jej powietrzem. Kazał przynieść pokojowcowi dzban *romanii*, poczem trąciwszy się z swym gościem kielichem, zagadnął:

— Waszmość tu oddawna?

— Zaledwie od dwu dni — odrzekł Pan Buczyński, muskając paznokciem dużego palca swe płowe wąsiki. — Nie zdążyłem jeszcze rzetelnie wytchnąć. Haniebną miałem drogę. Pod Wenecją zaledwie opędziłem się brygantom. Zajadłe hultajstwo! Pewno Slawoni. Potrzaskali mi na nic karetę, którą wiozłem z Polski, żeby godnie pokazać się na papieskim dworze.

— Ho, ho, widocznie Fortuna dopisuje! Lecz, jeśli wolno zapytać, poco Waszmości kareta i co masz do czynienia na papieskim dworze?

— Przyjechałem z hołdowniczem pismem do Ojca Świętego.

— Od kogo? — zapytał Pan Gołuchowski, dolewając gościowi *romanii*.

— Od Jego Carewiczowskiej Mości Dymitra, Wielkiego Kniazia i Hospodara Wszech Rosji, którego jestem od niedawna sekretarzem, — odpowiedział z rozmyślnie napuszoną pompatycznością Pan Buczyński.

Pan Gołuchowski pokrył w sobie niejakie zdziwienie i rzekł lekceważąco:

— Aha, tego jakiegoś moskiewskiego kniazika, który mieni się synem Cara Iwana Wasylewicza.

— Nie mieni się, lecz jest nim istotnie — obruszył się Pan Buczyński, który już zdążył nawyknąć do służalczości. — Znalazł możne w Rzczpltej poparcie. Uczcił go i uważył swą łaską Król Jego Mość, a Pan Sandomierski wydaje za niego swą córkę, Marynę.

— Pan Gołuchowski jeszcze nic nie wiedział o zrękowinach swej bogdanki, jakoż nie zdołał się powstrzymać od lekkiego drgnięcia. Nie było jednak w jego głosie ani śladu zmieszania, gdy bez pośpiechu zagadnął:

— Jaki Pan Sandomierski? Czy Waszmość się nie mylisz?

— Jeden jest tylko w Polsce Pan Wojewoda Sandomierski, Jerzy Mniszech. O zaręczynach sam głośno opowiada. Carewicz Dymitr już przyjął pocichu wiarę katolicką, kiedy zaś Moskwę zdobędzie i koronuje się carem, ma zaślubić Pannę Marynę.

— Panu Gołuchowskiemu uczyniło się nieco lżej na duszy. Odezwał się niedbale:

— Panu Sandomierskiemu chyba we łbie się pomieszało. Łacno biorą się u nas ludzie na ponętę gładkich słówek, bo tutaj...

— Co tutaj? — zaciekawił się Pan Buczyński. — Co mówią na dworze papieskim o Carewiczu? Poto także przyjechałem, żeby się dowiedzieć...

— Niewiele jeszcze o nim wiedzą, lecz już mu nie ufają. Ojciec Święty miał wyrazić się o nim: *Sará un altro Ré de Portogallo resuscitato.*

Pan Buczyński miał większą znajomość życia niż historji, zagadnął tedy trochę niepewnie:

— Nie mogę się dorozumieć, o jakiego tu króla portugalskiego chodzi.

— O *Dona* Sebastiana, który zginął w bitwie pod Alcaçar-Quivir. Po jego śmierci pojawili się samozwańcy... Ten wasz Dymitruszka okaże się także samozwańcem.

Panu Buczyńskiemu zrzedła na chwilę mina, lubo dla niepoznaki odezwał się zuchowato:

— A gdyby nawet tak było, to i co? Woda na nasz młyn! Wstrząśnie potęgą moskiewską, obali może Godunowa...

— I skończy na palu lub pod lodem obyczajem moskiewskich barbarzyńców. Zaś pan Sandomierski będzie czynił zaciągi, wytworzy nowe kupy hultajstwa i zawichrzy Rzczpltą. Zwykłe u nas dzieje...

Rozmawiali jeszcze długo. Pan Gołuchowski wypytywał o wszystko szczegółowo, zaś Pan Buczyński rad był, że może się wygadać, bo sprawa Hospodarczyka bynajmniej nie wydawała się mu pewną i troskał się o własną przyszłość. Miało się dobrze ku wieczorowi, gdy wyszli razem z domu, lecz już za progiem rozjechali się w dwie różne strony. Pan Gołuchowski przeprosił dwornie swego gościa, że nie może mu towarzyszyć. Pojechał, jak zwykle, o tej porze, do swej amoratki angielskiej, atoli najczulsze jej pieszczoty nie zdołały ani na chwilę rozpogodzić jego zasępionego czoła.

XXVI.

Ataman Koreła uszedłszy szczęśliwie z pod Dobrynicz nieskorej pogoni moskiewskiej, przedewszystkiem się upił, a potem jął myśleć, co ma począć dalej. Dońcy jego, których bez znaczniejszych strat wyprowadził z odmętu przegranej bitwy, bobrując po całej *Kamarińskoj Wołosti*, dzięki dobrym kałauzom miejscowym znaleźli śród borów i wądołów wioszczynę opuszczoną przez ludność, ale dziwnym jakimś trafem niespustoszoną i niespaloną. Był tam nawet *kabak*, wcale nieźle zaopatrzony w zapasy gorzelca, kwaseniny oraz lichego, moskiewskiego piwa. Dowiedziawszy się o tem, Ataman Koreła natychmiast w tej wiosce rozłożył się obozem. Ludzie jego gzili się na zapieckach kurnych chat z dziewkami, które odbijali wałęsającym się Moskwiczanom, zaś on siedział w kabaku ze swymi asaułami, pił, spluwał w ogień i myślał z takiem wytężeniem, że aż siniały mu blizny na wymokłej, parszywej gębie. Klęska dobrynicka niemałego nabawiła go kłopotu. Moskwiczanie, którzy zamiast ścigać niedobitków, poczęli ni stąd ni zowąd oblęgać potężnie przez Pana Borszę obwarowany Rylsk, odcięli go od Putywla, dokąd schronił się Carewicz Dymitr z niedobitkami rot polskich i moskiewskich. Zima była jeszcze tęga, mrozy doskwierały mocno i czas był niesposobny do powrotu nad Don. Zresztą nie było tam poco wracać bez sławy i zdobyczy. Biedził się tedy Ataman Koreła, w jaki sposób nie uczynić sromu sobie i swoim kozackim chwatom.

W swej nieokiełznanej bucie niewiele sobie robił ten nie-

pozorny człowieczek z Carewicza Dymitra oraz jego hospodarskiego majestatu. Nienawidził jednak Moskwiczan i radował się wielce, gdy jeńcy, którzy wpadali w zasadzki jego mołojców, opowiadali, że Kniaź Mstisławski daremnie kruszy sobie zęby na zrębach Rylska, że szpetnie natrząsa się z niego chrobry wódz Rylszczan, Kniaź Dołgoruki, i że śród chas moskiewskich szerzą się choroby, zbiegostwo i zniechęcenie. Bystry jego umysł stąd wymiarkował, że płonne było zwycięstwo Moskwiczan i bynajmniej nie utwierdziło Borysa Godunowa na carskim *prestole*. Zatem miał jeszcze czas okryć się chwałą, której niepośledni dział stanowiły w jego mniemaniu hulanki i łupy. Tedy jak zwierz drapieżny przyczaił się w komyszach zapadłego sioła, śledząc i węsząc stamtąd bacznie wszystko, żeby każdej chwili być gotowym do skoku.

Wszelako na pozór zdawał się myśleć tylko o łowach, kartach i pijatyce. Stary, jasnokościsty asauł Szkromyda, który był takiego olbrzymiego wzrostu, iż chodził w izbie wiecznie przygarbiony, bojąc się uderzyć siwym łbem o niski pułap, narail mu nawet jakąś krasawicę, ale Koreła wnet ją odstąpił swej drużynie, powiadając, że nie znosi babskiego zaduchu.

Nie było dnia, żeby czaty kozackie nie przyprowadzały jeńców. Prócz Moskwiczan oraz Borysowych Tatarów, których Ataman wziąwszy na *spytki*, kazał natychmiast ścinać, bywali śród nich czerńcy wędrowni, zwykli *wołokici*, a nawet polskie ciury, co rozpierzchnąwszy się po klęsce, tułały się nędznie śród zgliszczy siół i po zaśnieżonych dąbrowach. Koreła ich przygarniał i włączał do swej watahy, gdyż były to chłopy na schwał, którym ze zbiedzonych twarzy i zapadłych oczu patrzało zadzierzyste męstwo.

Jednak zdarzali się także inni. Ataman parsknął na cały głos śmiechem, gdy pewnego dnia postawili Dońcy przed jego obliczem dwie postacie, które mogły, zaiste, ubawić oczy, nawet przyzwyczajone do wszelkiego cudacznego tałatajstwa.

Byli to ludzie jeszcze młodzi i tak niedobrani wzrostem,

że jeden z nich przewyższał drugiego niemal o połowę swego szczupłego, jak u glisty nadmiernie wydłużonego ciała, na którem, niby na tyczy, jakimś niepewnym, ugrzecznionym ruchem chwiała się głowina o bladej, nijakiej twarzy i jakby zamazanych oczach. Fałszem i tchórzliwą, tajoną złością aż cuchnęło od niego. Pokracznie mały, krępy jego towarzysz huśtał swój pękaty kałdun na krótkich, pałąkowatych nóżkach, kryjąc pod wytartym, niechlujnym żupanikiem krągły, gamratliwy brzuszek. Miał rozlatane chytrze oczy, duży, kabłąkowaty, wścibski nos i gębę jak cholewę.

Ataman popatrzał na nich uważnie, łyknął miodu z brzozowego kubka i splunął z niesmakiem. Po odzieży poznał odrazu, że ma do czynienia z Polakami.

— Skąd wy? — spytał po polsku, bowiem pochodził z Inflant i znał od dzieciństwa ten język.

— My... z bitwy — odrzekł mniejszy i czupurniejszy jeniec.

Atamanowi pod ryżym, skudlonym wąsem rozciągnęły się usta od ucha do ucha.

— Cóżeście tam robili, bo wy ludzie niewojenni.

— Uciekaliśmy — rzekł słodkawym głosem drągal, chyląc się niezdarnie w pas i zacierając kortezyjnie dłonie.

Dońcy, którzy ich przyprowadzili, ryknęli śmiechem, gdyż w obozie Carewicza Dymitra poduczyli się już nieco po polsku.

— A coście wy za jedni? — zagadnął znowu Koreła, skinieniem ręki uciszając hałas.

— My słudzy... to jest, chciałem rzec, dworzanie Jego Mości Pana Wojewody Sandomierskiego — zabrał znowu głos pękaty jeniec, wypinając swój gamratliwy brzuszek. — Obaj skryby, pisorymy.

— Pisorymy?... Co to jest? Co to znaczy? — żachnął się niecierpliwie Ataman.

— To znaczy, że pisujemy rymy, Mości Atamanie, — wtrącił się znowu ugrzeczniony drągal. — Ja pisuję przednie

panegiryki i figliki, a mój towarzysz układa bajtałaszki, sielanki i kantyczki.

Koreła machnął pogardliwie ręką. — To coś niby djaki — rzekł. — Jak Waść się zowiesz? — zagadnął, podnosząc oczy na jego papierowo bladą twarz, skrzywioną niemiłym uśmiechem.

— Ja?... Ślimaczewski... Damjan Ślimaczewski... szlachcic z dziada i pradziada.

— Za to Waść coś mi wyglądasz na popowicza — zwrócił się Ataman do drugiego jeńca. Jak waścine nazwisko?

— Hilarjon Bajtałowicz, do usług... a popowiczem to niby ja nie jestem, chociaż właściwie...

— Nie kręć, bracie! Znam ja się na ludziach. Patrzy ci z gęby... Co was, do djabła, w te strony przyniosło?

— Dla swej krotochwili, a na nasze nieszczęście zabrał nas ze sobą Pan Wojewoda do obozu — uskarżał się płaczliwie panegirzysta, Pan Ślimaczewski. — Odjeżdżając, pozostawił Carewiczowi Dymitrowi...

— Ale Jego Hospodarska Mość nie chciał słuchać ani jego panegiryków ani moich kantyczek — dodał melancholijnie Pan Bajtałowicz.

Nastała chwila milczenia. Jeńcy stali, miętosząc w niespokojnych dłoniach swe wyrudziałe kuczmy. Asauł Szkromyda, który czuwał nad Korełą jak nad własnym synem, nachylił się do jego ucha i zapytał półgłosem:

— Czy już ich wyprowadzić?

— Nie — odparł Ataman, nalewając znów sobie miodu do kubka. — Niech zostaną! Ja także chcę mieć swoją krotochwilę. Napiję się z nimi.

Poczem zwracając się do stojących pisorymów, dodał z żartobliwą łaskawością:

— Już nie jesteście jeńcami, ale moimi gośćmi. Odeślę was do Carewicza, skoro tylko będzie można. Siadajcie Waszmościowie. Zaraz podadzą wam kubki.

Obaj przykucnęli skwapliwie na skraju ławy. Pan Bajtałowicz utrudził się już staniem i z nietajoną lubością wyciągnął pod stołem swe rozkraczone nóżki. Poraźniały mu zalęknione dotychczas oczy.

— A który z was ma francę? — zagadnął podpitym już głosem Koreła, jakgdyby pytał o ich rodowe klejnoty.

Krótszy, lecz żwawszy Pan Bajtałowicz żłopnął śpiesznie gorzelca z podanego kubka i porozumiawszy się oczyma z swym powolniejszym towarzyszem, odparł z swawolną pokorą:

— My obaj — do usług, Mości Atamanie!

Koreła rozśmiał się na całe gardło, aż mu błysnęły z pod wąsów pożółkłe zęby, i poklepał go po ramieniu.

— Chwali mi się ten popowicz. W dobrej jestem kompanji, bo ja także... Napijmy się!

Przypijali do siebie, mając gęby pełne sprośności. Pan Bajtałowicz po każdym wychylonym kubku stawał się coraz raźniejszym i sypał konceptami jak z rękawa, przyczem łgał na potęgę. Rozochocił się także ślamazarny Pan Ślimaczewski. Wódka poszła mu do głowy. Koreła dolewał i dogadywał. Skupiła się dokoła nich starszyzna wojskowa, której z każdą chwilą przybywało w dusznej izbie. Wszyscy pili i gwarzyli. Ciężkie, spocone łapy kozackie spadały co chwila na barki kucego Pana Bajtałowicza, który kulił się pod temi oznakami uznania i z udaną serdecznością błyskał na wszystkie strony chytremi oczętami. Mocny gorzelec rozmarzył wnet Pana Ślimaczewskiego. Kołysząc swą ciężką głowiną z wymuszonem ugrzecznieniem, jął skrzeczeć nosowym głosem jakąś nieprzystojną śpiewkę. Urwał jednak nagle i uchwyciwszy znienacka dłoń Szkromydy, który napełniał jego kubek, zachlipał rzewnie:

— Świniam ci, ale Polak, wszystkiem sercem Polak i szlachcic, dalibóg!

Zabiegłe pijackiem szkliwem oczy Pana Bajtałowicza

wspięły się z niemałym trudem na wysokość jego rozczerwienionego oblicza. Panegirzysta pochylił się ku niemu z takim rozmachem, iż utknął nosem w jego czuprynie, i objąwszy go długiemi, pajęczemi ramionami, jął bełkotać:

— Daj pyska. Tyś mój brat!

Zaczem poczęli ślinić się nawzajem pijackimi pocałunkami śród śmiechu rozhukanego kozactwa.

Koreła skinął. Na ścieżaj rozwarły się drzwi do sąsiedniej izby. W mig zapełniła się ona czarnobrewemi krasawicami, śród których uwijali się Kozacy niby chybkie jastrzębie. Dziko rzępolić jęła muzyka. Ataman przecisnął się przez tłum, porwał w ramiona jakąś kostrubatą dziewkę i puścił się z nią w prysiudy. Serca szalały z ochoty. Przytupywały rozpędzone nogi. Pohukiwały grube głosy męskie i wtórowały im przenikliwe piski kobiece.

Pisorymy wstały również od stołu, na którym palcem, umaczanym w miodzie, zdążył już Pan Ślimaczewski wypisać jakieś kulawe rymy. Zataczając się i potrącając wzajemnie, z trudem dotarli do drzwi i oparli się plecami o odźwierki. Minęło ich rozserdecznienie. Spoglądali z podełba na siebie.

— Moje rymy są znane w całej Rzczpltej — mełł językiem Pan Bajtałowicz. — Kuchciki Króla Jego Mości wyśpiewują moje kantyczki.

— A moje wielbią wszystkie amoratki — zasyczał jadowicie przez zęby Pan Ślimaczewski.

— Chyba te fryjerki, które zaczepiają wieczorami po ulicach krakowskich, — dociął mu Pan Bajtałowicz.

Pan Ślimaczewski wytrzeszczył mdłe i więcej niż zwykle zamazane oczy. Żyły nabrzękły mu na skroniach. Zakołysał się na swych bocianich nogach.

— Stul mordę, — wrzasnął — bo jak rznę w twój plugawy sepet, to zawiasy ci wyskoczą! — i zamachnął się swem chuderlawem ramieniem z taką wściekłością, iż omal nie powalił się pod nogi hasających Kozaków.

Ataman Koreła dosłyszał śród zgiełku ich podniesione głosy i krzyknął groźnie, nie przerywając tańca:

— Cicho tam! Nie swarzcie się Lachy!

Nie przebrzmiały jeszcze jego słowa, gdy do izby weszło kilku Dońców w pełnem uzbrojeniu. Byli zdrożeni i zabłoceni. Na ich widok zwolniały tany. Któryś z nich zapytał:

— Gdzie Ataman?

— Jestem — huknął Koreła. — Czego chcesz? Czy nie widzisz, że hulam?

— Atamanie, — odparł śmiało Kozak. — Niemcy Borysowi opuścili Kromy podobno na rozkazanie Kniazia Mstisławskiego.

— Co ty mówisz? — krzyknął Koreła, wypuszczając z objęć swą tancerkę. — Opuścili Kromy? Czy wiesz napewno?

— Widzieliśmy na własne oczy — odpowiedział Kozak, wodząc spojrzeniem po twarzach swych druhów, jakby powoływał się na ich świadectwo.

— I nie zburzyli, nie zniszczyli niczego?

— Nie. Może chcą jeszcze powrócić.

— Już tam nas zastaną! — Ataman klasnął w dłonie. — Hej, zaprzestać tanów! Za godzinę wyruszamy w drogę. Do Kromów. To niedaleko. Musimy tam być jeszcze przededniem. Rozegnać te dziewki! Śpieszcie się!

Wychodząc do drugiej izby, rzekł do pisorymów:

— Waszmościów zabieram ze sobą. Jesteście pijani, ale to nic... Prześpicie się na powózce.

Była taka powaga w jego głosie, że nikt nie pisnął ani słowem.

Ataman Koreła oddawna czyhał na Kromy, jednak kusić o nie się nie ważył. Był to niewielki, obronny gródek na kopiastem wzgórzu, zaprzepaszczony śród rozlanych szeroko bagien i oparzelisk. Jedyna wąska, z kłód przegniłych zbudowana drożyna wiła się śród nich, pnąc się żmudnie po rozłożystych stokach wzgórza ku walącej się bramie w potężnym,

lecz już mocno nadpróchniałym i przerzedzonym ostrokole. Zabudowania składały się z nędznych, byle jako stawianych kleci, których dachy, pokryte zczerniałą korą brzozową, przeświecały jak rzeszoto. Naprędce utwierdziła Moskwa to horodyszcze za czasów wojen z Królem Stefanem, ale potem opuściła i zaniedbała zupełnie. Po przegranej Kniazia Mstisławskiego pod Nowogrodem Siewierskim, któryś z najemnych kapitanów niemieckich zajął je na własną rękę. Koreła rozumiał niezmierną ważność tego lekceważonego gródka, ponieważ był on niejako kluczem najkrótszej drogi z Putywla do stołecznej Moskwy, i niejednokrotnie myszkował już w tamtych stronach ze swoimi Dońcami, nie widział atoli sposobu wyrzucenia stamtąd Niemców. To też aż wytrzeźwiał w okamgnieniu z radości, usłyszawszy, że wynieśli się sami. Wreszcie miał bezpieczne schronienie, którego szukał przed obierzami moskiewskiemi, zaś zmysł okrzepłego w bojach wojownika powiadał mu, że nie przemoże go tam żadna siła ludzka. Lękał się tylko, żeby go kto inny nie uprzedził, przeto gorączkowo napędzał swych Dońców do pochodu.

Noc była dżdżysta, zimna i niezwykle ciemna, atoli Dońcy umieli jak wilki świecić sobie własnemi oczyma. Poganiani przez wodza, szli z takim pośpiechem, że jeszcze na długo przed świtem natknęli na asauła Szkromydę, który ze swą sotnią zatrzymał się u wylotu grobli, wiodącej ku horodyszczu przez oparzeliska. Wysłany przodem, gnał bez wytchnienia, ale zamknąwszy dostęp, nakazał swym ludziom postój, gdyż zmiarkował, że po nocy niełacno przyjdzie wjechać nielicznym wozom taboru poprzez bagna na wzgórze.

Było jeszcze ze dwie godziny do brzasku. Kozacy rozłożyli się pod nagimi konarami odwiecznych drzew i porozpalali wielkie ogniska, gdyż błota już odmarzły i dyszały niemiłym, stęchłym oparem. Polskie pisorymy chrapały na powózce. Ataman siedział na obalonym pniu, popijał dla rozgrzewki gorzałkę i patrzał w ogień zadumanemi oczami. Marzyły się

mu sławne czyny. Głośnem na wieki chciał uczynić swoje imię.

Nazajutrz już zaraz z południa wysłał znowu Szkromydę pod daleki Rylsk, a sam przystąpił do umocnienia gródka. Klecie nie wydały się mu warte zachodu. Kazał jednak ponaprawiać i popodpierać chylący się do upadku ostrokół, wykopać za nim głęboki rów i z wyrzuconej ziemi usypać wysoki wał, który nieprzerwanem kołem otoczył rozległy wierzchołek wzgórza. Starszyzna kozacka szemrała pokryjomu, że nie dawał wytchnienia utrudzonym nadmiernie ludziom, ale odezwać się głośno nikt się nie ważył, znano bowiem dobrze niepohamowaną srogość, z jaką karał wszelkie krnąbrne wystąpienia.

Szkromyda wrócił wcześniej niż był oczekiwany. Już w połowie swej drogi zdołał wciągnąć w zasadzkę podjazd moskiewski. Z bynajmniej nieopornych zeznań synów bojarskich, wziętych do niewoli, okazało się, że wysłał ich na przewiady Kniaź Szeremetiew, którego wielkie wojsko od dość dawna wałęsało się bezczynnie po Siewierszczyźnie, łupiąc i paląc. Mieli oni dotrzeć pod Kromy i dowiedzieć się, czy istotnie jakaś wraża wataha zajęła ten gródek, bowiem takie pogłoski obiły się już o uszy Cara Borysa Godunowa, wielce go zaniepokoiwszy. Prócz Koreły on tylko wiedział, że to obronne miejsce jest niejako przedmurzem jego stolicy, jakoż niezwłocznie wydał groźny rozkaz swemu niedbałemu wodzowi, żeby naprawił niepojęty błąd Kniazia Mstisławskiego i zajął Kromy z powrotem.

Przesłuchawszy jeńców, których Szkromyda na świadectwo swych słów przyprowadził, mołojce stropili się nieco i jęli znowu patrzeć z podziwem na swego niepozornego wodza. W całej pełni wyszła na jaw jego przewidująca zapobiegliwość. Moskwiczanie lada dzień mogli podstąpić pod Kromy. Nie było już tedy pokątnego szemrania i Dońcy żwawo jęli się roboty, gdy Koreła rozkazał im kopać obszerne,

podziemne kryjówki, gdzie w razie potrzeby było można się schronić przed ogniem dział nieprzyjacielskich. Część załogi była w nieustannych pochodach, gromadząc prochy i ołowie, jakoteż zwożąc zewsząd żywność, nader skąpą w tych wyniszczonych stronach. Koreła, patrząc jak przypędzano zdaleka zaledwie po kilka sztuk wychudłej nierogacizny lub robiącego bokami bydła oraz karbując na kiju nieliczne miechy zboża w suchym, lubo dusznym sklepie podziemnym, potrząsał swym parszywym łbem i powiadał:

— Mało tego, bardzo mało! Trzeba będzie reszty szukać w szatrach Kniazia Szeremetiewa.

Na to Dońcy trzaskali dłońmi w swe szable i odpowiadali:

— Poszukamy, Atamanie! Kniaź pono godny człowiek i chcąc nie chcąc, podzieli się z nami.

Dzień był pochmurny i mżył drobny, przykry deszcz marcowy, gdy z chaszczy i borów, co czerniały jeszcze nagie i jakby zziębnięte dokoła horodyszcza, wynurzyły się pierwsze roty nieprzyjacielskie. Koreła, który przechadzał się ze swoimi po ubitym starannie wale, dojrzał je przez szczeliny ostrokołu i zawołał:

— Mówicie ciągle o Szeremetiewie, jakoż go macie.

Polskie pisorymy, co plątały się nieustannie przy Atamanie, zabawiając go swemi błazeństwami, spojrzały trwożnie na jego zuchwałe oblicze i przytuliły się do siebie jak dwa zmokłe gawrony.

Moskwa wyjrzała i cofnęła się w lasy znowu. Przez dwa dni wydawało się, że niema w pustynnej okolicy nikogo. Wszelako Koreła przez swe czaty wiedział, że nieprzyjaciel rozbija dokoła gródka swe obozy.

Dopiero trzeciego dnia podjechali pod bronę twierdzy wysłannicy Kniazia Szeremetiewa, powiewając chorągwią ze świętym Mikołajem. Najstarszy z nich, jakiś opasły bojarzyn na wronym argamaku, wywołał donośnym głosem Korełę i schlebiając mu, jął zapewniać, że bogobojny Kniaź wcale

nie chce rozlania krwi chrześcijańskiej i jest gotów darować chrobrych Dońców zdrowiem, jeżeli dobrowolnie oddadzą mu Kromy. Ale Ataman i jego towarzysze odpowiedzieli takim stekiem obelg i wyzwisk, iż nawet bojarzynowi więdły uszy, lubo był do nich przyzwyczajony od dzieciństwa. Odjechał tedy śpiesznie, zwłaszcza, że od bramy zaleciał go swąd lontów, które Kozacy już pozapalali.

Nieśpieszno było umykającym wysłannikom stanąć z powrotem przed srogiem obliczem swego wodza, obawiali się bowiem, że jego gniew z powodu niespodziewanej, a zelżywej odpowiedzi przedewszystkiem skrupi się na nich. Jakoż sprawdziły się w zupełności te niedobre przewidywania. Zastali Kniazia Szeremetiewa w ciepłej szatrze, wysłanej kraśnemi kobiercami i kudłatemi skórami niedźwiedziemi. Siedział przy stole w gronie bojarów, popijał *miediec* i zabawiał ich opowiadaniem o swych sodomickich wszetecznościach. Byłto człek już leciwy, szczupły i wysoki. Coś rybiego było w jego wysadzonych na wierzch, mętnych oczach, w wymokłej do zupełnej białości cerze, w rzadkich, długich, cienkich, bezbarwnych wąsach i wąskich, bladych, mocno zaciśniętych ustach. Siwa, niechlujna broda okalała szczeciniastym zarostem jego twarz pomarszczoną i zużytą. Nawet w Moskwie, co słynęła podówczas na świat cały ze swych nieprawości, odwracali się niektórzy od niego ze wstrętem, bowiem sam się chełpił, że częściej obcuje z ulubioną kozą niż ze ślubną żoną.

Wysłannicy nie zdążyli jeszcze przyklęknąć i uderzyć przed nim o ziemię łbami, gdy już zagadnął:

— No, cóż? Poddają się? Korełę zawiezie się do Moskwy i wbije na pal, jeśli Hospodar inaczej nie rozkaże. A jego Dońców potopić zaraz w bagnach.

Był już mocno pijany, przeto nie znało granic jego zapamiętanie, gdy dowiedział się, że Dońcy ani myślą o poddaniu. Wydało się mu, że osobiście wyrządzili mu ciężką krzywdę. Miotał się i pienił, a za obelgi, które najstarszy z bojarów mu-

siał częściowo powtórzyć, smagnął go kilkakrotnie przez łeb nahajką. Poczem zerwał się ze stołka i odtrąciwszy pogardliwie nogą jego wciąż jeszcze pochyloną głowę, ryknął z wściekłością:

— Działa! Nastawić działa i wielkie moździerze! Zburzyć i spalić to przeklęte gniazdo!

Popędzane biczami chłopstwo żwawo zatoczyło na stanowiska armaty. Dońcy, którzy wcale dział nie mieli, ustawili się za wałem, oślizgłym od wilgoci. Część ich z bronią, gotową do strzału, ukryła się w rowach, wykopanych zawczasu przed ostrokołem dla obrony grobli, wiodącej do gródka. Rowy te łączyły się z podziemnemi kryjówkami wewnątrz twierdzy, w których Kozacy żyli bezpiecznie jak polne myszy.

Wszystko to odbyło się tak spokojnie i sprawnie, iż wyglądało na ćwiczenia, które już od niejakiego czasu miał zwyczaj zarządzać Koreła. Nie przeczuwały tedy niczego złego wyszczekane pisorymy, co nie odstępowały Atamana, przechadzając się z nim, jak zwykle, po szerokim nasypie. Deszcz ustał, przetarło się nawet stronami i w szarem, przymglonem powietrzu, zaległa głucha, lubo jakby niepokojem nurtowana cisza. Poprzez szczeliny ostrokołu, który zasłaniał całkowicie wał przed oczyma oblęgającej Moskwy, migotały mętne wody szeroko rozlanych bagien niby potłuczone, oślepłe zwierciadła.

Ataman się zatrzymał.

— Pewno w tych topieliskach są żeremje bobrowe — przemówił.

Wszelako pisorymy już drżały o swą skórę i co innego miały na myśli.

— Prawda, że Moskwa twierdz dobywać nie umie i bynajmniej nie jest straszna? — dopytywali się, puszczając mimo uszu jego słowa.

— Jak dla kogo, Mości Panowie, — jak dla kogo. Zresztę niebawem przekonacie się sami — odrzekł Koreła, łypiąc przekornie swemi hulaszczemi ślepiami.

Jakgdyby na potwierdzenie jego słów potężny rozhuk dział wstrząsnął nagle zastygłem powietrzem. Skróś okolicznych chaszczy wykwitły wielkie, ciemne różyce przebłyskującego płomieniem dymu. W podziurawione, spróchniałe dachy kleci fortecznych gruchnęły ciężkie bryły rozpalonego żelaza i kamienia. Rozległ się suchy trzask druzgotanego drzewa. W ostrokole potworzyły się wielkie szczerby i wyłomy. Dońcy, którzy stali ukryci za wałem i już od niejakiego czasu podawali sobie z rąk do rąk czarki z gorzelcem, zarżeli buńczucznym śmiechem. Pan Ślimaczewski zadygotał dziwnie, bowiem ugięły się pod nim struchlałe kolana. Panu Bajtałowiczowi wzdłuż pękatego kałduna obwisły bezwładnie krótkie ramiona niby zwarzone nagłym mrozem, soczyste łodygi.

— Celnie strzelają — rzekł spokojnym głosem Koreła. — Muszą być przy działach niemieccy puszkarze, bo Moskwa umie lać działa, ale strzelać z nich nie umie.

Po raz pierwszy pisorymy zapomniały obrotnych języków w gębach. Stali drżący, niemi, jak wkopani w ziemię.

Niebawem działa ryknęły znowu straszliwie i jeszcze przeraźliwsze poczyniły w twierdzy spustoszenie. Klecie jęły się walić, jakby rozmiatane wichurą. Pogruchotany ostrokół runął na znacznej przestrzeni, odsłaniając zbocza ziemnego wału. Śród spiętrzonych bezładnie złomisk suchego budulca zaczęły pełzać ogniste języki.

Pan Bajtałowicz przykucnął nagle do ziemi jakimś żabim ruchem, bo mu się wydało, że kula armatnia śmignęła nad jego głową. Atoli był to tylko odruzg ostrokołu. Ujrzawszy śród zwalisk płomienie, zawołał jękliwym, zatchniętym od strachu głosem:

— Gore, gore! Ratuj, kto żyw!

Ataman spojrzał na niego wzgardliwie i rzekł szorstko:

— Wstań, Waść! Nie walaj się po ziemi. Niechaj gore, jako chce. Nie siej mi tu popłochu!

Skarcony Pan Bajtałowicz zrobił ruch, jaki czyni pies, gdy

pokornie chowa ogon pod siebie. Za to Pan Ślimaczewski nie mógł powściągnąć dłużej wzburzenia swej szlacheckiej krwi i niepomny swego zwykłego ugrzecznienia, warknął zaperzony Korele w same ślepia:

— Tu zguba nasza niechybna! Niecnie postąpiłeś, Mości Atamanie, że nas nie uprzedziłeś. Bylibyśmy zawczasu skryli się w podziemiach. Czynię Waszmości odpowiedzialnym przed Carewiczem i przed potomnością.

Ośmielony jego zuchwalstwem, Pan Bajtałowicz zakipiał również i wrzasnął:

— Niegodnie z nami się obchodzisz i nie minie cię pokaranie...

Nie dokończył, gdyż policzek, wymierzony z rozmachem przez Korełę, zmiótł go z wału jak miech wełny między baraszkujących wesoło Dońców. W ślad za nim potoczył się, koziołkując niezdarnie, długi Pan Ślimaczewski. Ataman wzburzonym głosem krzyknął za nimi zgóry:

— Wziąć tych tchórzliwych durniów i wrzucić pod ziemię do świńskiego chlewu! Tam będą bezpieczni przed kulami. Zobaczę później, co z nimi uczynię. — Poczem, jakby tknięty jakąś myślą, dodał: — Obiecałem ich odesłać do Carewicza i odeślę.

Jeszcze przez dwa dni ziały nieustannie zniszczeniem moskiewskie działa, wzbijając tumany popiołów z perzyn, co pozostały po zburzonym i spalonym gródku. Atoli nie zmarnowała tego czasu Moskwa, gdyż omijając lękliwie niebezpieczną groblę, zdołała znaleźć śród trzęsawisk brody, któremi przedostała się na suche stoki warownego wzgórza. Tu jednak z rowów, co gęstą siecią zdążyły już niby jadowite węże rozpełznąć się kręto dokoła obronnego nasypu, powitał ją ogień niezawodnych piszczeli kozackich. Dońcy strzelali bezpiecznie z ukrycia, kiedy zaś wróg, rozsierdzony stratami, następował zahałem, kryli się pod ziemię i ze swego niedo-

stępnego wału lżyli Cara Borysa oraz jego wojewodów, nawołując Moskwiczan do odstępstwa.

Nieszczęsne pisorymy terały się tymczasem w nieznośnem niechlujstwie i zaduchu podziemnego chlewu. Byli tak zgnębieni swą srogą niedolą, że wiersze wcale nie chciały im przypadać do składu. Nawet biblijną opowieść o Jobie, lamentującym na kupie gnoju, którą niestrudzony Pan Bajtałowicz zaczął snować w swym chybkim umyśle, udaremniły swym żałosnym kwikiem niemniej od niego utrapione świnie.

Widocznie jednak mieli ich w swej pospólnej opiece srebrnołuki pieśniarz Apollo i szczwany krętacz Merkury, gdyż niebawem nastała chwila, że mdły blask latarki oślepił ich ponurzone w ciemności oczy. Przed nimi stał Ataman Koreła i ledwo nie pukał się ze śmiechu, patrząc na ich postacie, umazane nieczystościami. Wnet jednak drapieżnem okrucieństwem ściągnęło się jego pobliźnione lico. Twardym, oschłym głosem przemówił:

— Zamało mamy tutaj spiży, żeby żywić takich jak wy tchórzów i darmozjadów. Mógłbym kazać potopić was w błotach, ale nie zwykłem łamać rycerskiego słowa. Szkromydę z trzema najdzielniejszymi Kozakami wysyłam dzisiejszej nocy do Carewicza Dymitra po prochy i posiłki. Będzie musiał przedostać się przez trzęsawiska i przedrzeć się przez obozy moskiewskie. Nie wiem, czy wyjdzie cało z tych opałów, ale pewien jestem, że nie pohańbi swej czci kozackiej. Wy pójdziecie z nim. Zginiecie, jeśli nie usłuchacie każdego jego rozkazania. Jesteście odtąd na jego łasce i w jego mocy. Każdy z was dostanie szablę i spisę, bo z bronią ognistą obchodzić się nie umiecie. Możecie teraz wyjść na górę, umyć się przy studni, a także pożywić się na drogę *tołoknem* i suszoną koniną, bo to nasza kozacka strawa i już nic innego nie mamy. Jednak tym razem Waszmościów ostrzegam, że gęsto tam kule latają, bo Moskwa strzela nieustannie. Bywajcie zdrowi,

a pamiętajcie użalić się na mnie przed Carewiczem Dymitrem.

— Wypuścić ich z chlewu! — rozkazał Dońcowi, który stał za nim niewidoczny, i przecisnąwszy się obok niego w wąskiem przejściu, znikł w ciemności, śmiejąc się złośliwie.

Potykając się na chwiejnych szczeblach stromej drabiny, z odwagą rozpaczy wylazły pisorymy na światło dzienne. Zmierzch już zapadał, lecz w gęstniejącej zwolna oćmie wieczornej wciąż jeszcze poszczekiwały piszczele moskiewskie i kozackie. Na pustym majdanie, śród porozmiatanych ulewą kul zgliszczy nie było nikogo. Zaczerpnąwszy wody ze studni, umyli Panowie Ślimaczewski i Bajtałowicz swe zarośnięte, zbiedzone twarze i doprowadzili do niejakiego ładu zaniechlujoną odzież. Następnie usiedli obok siebie na niskiej cembrowinie i zagapiwszy się przed siebie, wzdychali żałośnie.

Nieutulone pisorymy dzwoniły już na dobre zębami z głodu i z zimna, gdy z ciemności, co obsunęła się na nich z pochmurnego nieba, jakiś głos ochrypły i rozkazujący wezwał ich z powrotem do podziemia. Zastali tam Szkromydę w towarzystwie trzech dziko wyglądających Dońców, którzy siedzieli na wilgotnej ziemi dokoła wypróżnionej misy i przypijali do siebie gorzelcem. Po ich wojowniczych postaciach pełzało migotliwe światło łuczywa. Pan Ślimaczewski, podchodząc z pokłonem do Asauła, wysilił się na swój zwyczajny, obleśnie kortezyjny uśmiech, ale przepłoszył się, spojrzawszy w jego surowe oblicze. Szkromyda, jakby nie widząc kornych pokłonów, wskazał im ręką ustawioną opodal drugą misę i rzekł krótko:

— Tam jest dla was jadło. Siadajcie i żryjcie. Szable i spisy dostaniecie u wyjścia. Ataman łaskawy. Ale co wam po tem! Śpieszcie się, bo zaraz wyruszamy!

I zaklął brzydko od Lachów bladinców.

Wnet potem nakarmione i uzbrojone pisorymy stąpały za nim niepewnie dnem głębokiego rowu, co wił się kręto

śród zeschłych badyli i obmokłych zarośli, obniżając się stopniowo pospołu ze wzgórzem. Pochód zamykali trzej Dońcy, dzierżąc w garściach swe samopały. Strzelanina, co srożyła się za dnia, ustała. Po drodze ocierali się co chwila o ramiona czat kozackich, które szeptem udzielały Asaule swych spostrzeżeń. Moskwy w tem miejscu od strony bagien nie było. Jednakże należało zachowywać się nader cicho, bo wróg przed wycieczkami bardzo miał się na baczności i czuwał w pobliżu.

Pan Ślimaczewski, który szedł tuż za Szkromydą, był tak otumaniony ciemnością i grozą, że drgnął, gdy tenże niejako wsiąkł bez szmeru w chaszcze, co niby wyczarowane, nagle zamajaczyły przed nimi. Przyśpieszył więc chwiejnego kroku, żeby nie zgubić tropu. Dotkliwie smagnęła go po twarzy jakaś mokra, cienka gałąź i pod stopami chlupnęła mu zcicha woda. Uczuł, że Pan Bajtałowicz, popchnięty widocznie przez idącego za nim Dońca, czepia się kurczowo jego poły. Na szczęście, Szkromyda wnet przystanął, jakgdyby szukał śród gąszczy drogi. Coś chrupnęło w jego ręce niby ułamana, sucha trzcina. Byli już w bagnie. Przejmująco zimna woda sięgała im coraz wyżej, a drętwiejące ich nogi lgnęły w namule lub więzły śród korzeni karłowatych drzew, co niby widziadła wyłaniały się z mroków. Pochód odbywał się coraz wolniej. Szkromyda wziął spisę zamiast samopału i mierzył nią ostrożnie głębię przed sobą. Grzęznąc coraz mozolniej, dotarli wkońcu do niewielkiej kępy obumarłych olch i wypoczywali przez chwilę, uchwyciwszy się ich śliskich, omszonych gałęzi, co jak przegniłe próchno rozłaziły się im w pokaleczonych dłoniach.

Mimo nadludzkich wysiłków, aby zachować ciszę, piersi pisorymów dyszały tak ciężko, iż dosłyszał te szmery Szkromyda, jednak nic nie rzekł, gdyż mocny, ostry wiatr głuszył je w zupełności. Byli w połowie trzęsawiska, za którem migotały już słabo dalekie ognie moskiewskie. Asauł okazał tyle łaskawości, iż podał najbliższemu Panu Ślimaczewskiemu

swą płaską oplatankę z gorzałką, która obeszła wszystkich po kolei. Po ich stężałych członkach rozlało się błogie, ożywcze ciepło. Pan Bajtałowicz pił z taką chciwością, iż zachłysnął się i byłby zakaszlał, gdyby któryś z Dońców nie był w porę zatkał mu ust swą szeroką, ubłoconą dłonią.

Pokrzepiwszy się nieco, zaczęli brnąć dalej. Nogi tak im podrętwiały, że zamieniły się w ołowiane stępory, poruszane jakby niezależną od nich siłą. Kiedy wreszcie stanęli znów na suchej ziemi, powalili się na nią bez czucia i leżeli czas jakiś nieruchomi. Dopiero gdy ziąb przeraźliwy przeniknął aż do ich wnętrzności, sięgnęli znów Dońce po swe flasze z wódką. Sami pili wielkimi łykami i nie żałowali jej pisorymom, którym w już kołujących od przemęczenia głowach wnet zawirował rozemdlony odmęt nieznośnej czczości, pogrążając ich we śnie bez pamięci. Szkromyda, który przysłuchiwał się bacznie ich chrapliwym oddechom, zdawał się oczekiwać tej chwili. Po omacku dał znak swym Dońcom, dotykając ich kolejno ręką, poczem wszyscy jęli się oddalać od śpiących ostrożnie i powoli, pełzając po wilgotnem igliwiu, co pod wielkiemi jodłami zaścielało miękko ziemię...

Nazajutrz o świcie dyndał leniwie w mroźnym wietrze odarty ze szat Pan Ślimaczewski i fajtał wartko swemi zwiędłemi nóżkami nagi Pan Bajtałowicz. Oba zewłoki były straszliwie obrzękłe i poczerniałe. Znalazła ich w nocy Moskwa i chcąc zasięgnąć języka, przypiekała na rozżarzonych węglach. Byli jednak w stanie takiej głębokiej nieprzytomności, że nie zdołali wyznać niczego. Niemal martwi zawiśli obok siebie na jednej gałęzi. Poszły w niepamięć ich imiona i przebrzmiały w głuszy wieków ich rymy, sławione ongiś przez uliczne fryjerki i kuchcików dworskich. Zaś łza, którą w tem miejscu z pióra się roni, jest łzą, poświęconą pamięci szczwanych i chełpliwych pismaków.

XXVII.

Ludniejszy, rządniejszy, bogatszy był Putywl od innych grodów Ziemi Siewierskiej. Nad żadnem innem miastem nie rozlegał się częściej skwir przelatujących orłów. Nigdzie w Carstwie Moskiewskiem nie było gładszych mołodyc, hardziejszych mołojców, godniejszych starców i większego umiłowania swobody, co rzeką światła przelewała się z Rzczpltej Polskiej przez zawory graniczne. I nigdzie nie było większej nienawiści do spodlonych niewolą Moskwiczan oraz ich tatarskiego cara.

Pokonanego w bitwie dobrynickiej Dymitra uczcili Putywlanie wielmożnie jak zwycięzcę, może dlatego, iż wyprzedziły go świegotliwe wieści, jakoby sami wodzowie moskiewscy ubolewali nad swym niepożądanym tryumfem i składali jego winę na niewczesną gorliwość cudzoziemskich wojsk najemnych. Wedle ich powiedzenia miało to stać się *po diełam i po griecham*. Wieści te nabrały prawdopodobieństwa, gdy do potężnie utwierdzonych i pilnie strzeżonych bram Putywla jęły licznie napływać niedobitki, opowiadając, że Moskwa nagle zaniechała pościgu, stały się zaś pewnością, kiedy chasy nieprzyjacielskie, nibyto przepłoszone pogłoskami o nadciągających pośpiesznie, wielkich posiłkach polskich, zatrzymały się pod Rylskiem. Odtąd Carewicz Dymitr, który łacno upadał na duchu i jeszcze łacniej z upadku się podnosił, jął uważać wodzów moskiewskich za swych skrytych przyjaciół i pisywał do nich częste listy, dowodząc swych przyrodzonych praw do korony hosudarskiej oraz obiecując im swą carską

łaskę, jeśli odstąpią Borysa i uczynią zadość powinnemu posłuszeństwu. *Gramoty* te, wysyłane przez bojarów, którzy pozornie stali jeszcze po stronie moskiewskiego cara, pozostawały bez odpowiedzi, ale potajemnie robiły swoje.

Klęska poczyniła szczerby śród przyjaciół Dymitra, lubo nie tak wielkie, jak zrazu się zdawało. Prócz Panów Dworzyckiego i Przeradowskiego odnaleźli się z czasem wszyscy znaczniejsi Polacy. Pomimo swych złowrogich przeczuć uszedł cało Pan Stanisław Borsza. Zjawił się sekretarz Carewicza Jego Mości, Pan Jan Buczyński, oraz mężny rotmistrz, Pan Hermolaus Białoskórski, który znowu zdołał zwieść pod chorągwie rozprószone i zniechęcone rycerstwo. Pan Ratomski, co niemal do samego Siewska jechał na karkach pierzchających Zaporożców, ścinając ich bez wytchnienia za zdradę i przedajność, wkroczył do Putywla szumnie na czele ongiś Borysowych *strielców* w szkarłatnych kaftanach, bramowanych gronostajami. Dopadł ich, gdy w odwrocie mieszali się już pod ogniem półhaków niemieckich, dodał im własnym przykładem odwagi, objął samorzutnie nad nimi dowództwo i osłaniając się zbrojną ręką, doczekał się chwili, kiedy Wasyl Szujski odwołał z pola nazbyt służbistych cudzoziemców. Z bojarów zawieruszył się tylko gruby Kruszczow, ale temu nikt się nie dziwił, bo powszechnie wiedziano, że lubił on siadywać na dwu stołkach. Zapewne dzięki szczególnej łasce Opatrzności Boskiej umknęli także szczęśliwie obaj jałmużnicy, O. Czyrzowski i O. Ławicki, drałując konno w podkasanych sutannach przez lasy i wertepy.

Śród swych wiernych Putywlan czując się bezpiecznym, Carewicz Dymitr zwrócił znowu pożądliwe spojrzenie w stronę złocistych bań Kremla. Pod wpływem Pana Buczyńskiego, który dla zjednania sobie łask przyszłego Samodzierżcy Wszech Rosji przykrawał na jego użytek pomysły Pana Gołuchowskiego, jego duma poczęła wytykać sobie górniejsze cele, a zamiary jego rozleglejszego nabrały rozmachu. Już ja-

łowemi i bez treści wydawały się mu dotychczasowe marzenia o wielkości. Mimo młodych, bardzo młodych lat, poznał aż nadto dobrze gorzkość życia i nie wierzył, żeby ją mogła ukoić tylko sama świetność majestatu carskiego. Tylu było już królów i carów, którzy żyli niesławnie i przeminęli nikczemnie, zaś jemu marzyła się półboska chwała Aleksandra Wielkiego! Otóż, z rozmów z Panem Buczyńskim wymiarkował, iż aby ją osiągnąć, niedość jest być samemu wielkim, ale także trzeba mieć za sobą wielkość swojego ludu. Przeciwko niestateczności losów jest zasłaba pierś najpotężniejszego nawet mocarza bez ducha całego narodu. Narodu tego w dzierżawach moskiewskich nie było. Była dzicz ciemna, złodziejska, krwiożercza, co dla cudzoziemców nie różniła się sposobem życia od bydląt. Nikt w Moskwie nie przeczuwał nawet, iż wszelka cześć ludzka zaczyna się od zrozumienia, że istnieją dobra, cenniejsze nad życie. Dzięki duchowi łacińskiemu, potępianemu i wyklinanemu przez prawosławnych popów, dobra te posiadała już Polska. Dopiero on będzie Prometejem rosyjskim. Z boskiej iskry, zapożyczonej u Polaków, roznieci na swych ziemiach wielką światłość ducha, podźwignie swój lud z poniżenia i nieprawości, pozakłada szkoły i akademje, dostojeństwem, rycerskością oraz poszanowaniem czci własnej i cudzej zrówna swych niewolniczych bojarów z szlachtą polską i panami innych krajów. Zaiste, dopiero w chwale rozbudzonego ducha nie przeminą na wieki jego wielkie czyny i zwycięskie przewagi!

W głębi swej pyszałkowatej duszy doznawał upokorzenia Carewicz Dymitr, że wszystkie te myśli nie rodziły się w jego głowie, lecz pochodziły od Pana Buczyńskiego. Nie domyślał się, że jego sekretarz nie był również ich twórcą. Uważał je za pospólną własność wszystkich Polaków, którzy pokończyli szkoły i akademje. Z Ojcami Jezuitami, których oddawna uczynił potajemnie powiernikami swych trosk i rozterek, rozprawiał o istocie prawdziwej mądrości, wstydząc się

swego nieuctwa. Byli wielce zakłopotani, gdy jął nalegać, żeby zostali jego nauczycielami, ale odmówić mu nie śmieli. Jednakże pogodzili się rychło z swymi nowymi obowiązkami, gdyż chłonął wiedzę chciwie i pamięć miał ogromną. Geografji uczył się sam z map, rozłożonych na stole, śledząc pilnie drogę do Indyj. O. Ławicki tłumaczył mu naprędce z łaciny Quintyljana, zaś O. Czyrzowski wykładał mu zasady gramatyki, poetyki i filozofji. Wielce gorszyli się bojarowie moskiewscy, z których żaden czytać ni pisać nie umiał, że ich Hosudar stawał z odkrytą głową przed błahymi zakonnikami i ze zmarszczką skupionej uwagi na niskiem czole wygłaszał zadawane lekcje. Nawet Kniaziowi Rubec-Massalskiemu, który był wszech najbliższym jego przyjacielem, ubliżającą i podejrzaną wydawała się ta jego zażyłość z polskimi klechami. Atoli wrychle od tych szkolarskich zajęć odwołały Dymitra rycerskie i hospodarskie sprawy.

Od niejakiego czasu dziwnie mu się szczęściło. Mimo porażki pod Dobryniczami, jego starania, zakrojone na ogromną miarę, nie przestawały wydawać owoców. Coraz groźniejszym rokoszem przeciwko Borysowi Godunowowi wrzały wszystkie okrainy rosyjskie. Do Putywla napływał ochoczo mnogi lud wojenny z nad Wołgi, Donu i Tereku, nie przestawała również pomnażać się ciżba gotowych na wszystko zbiegów z pod chorągwi moskiewskich. Za namową Dońców, których umiał pozyskać Pan Ratomski, uznał Carewicza za swego pana możny Chan Nogajców, Isterek, i w zakład swej wierności przysłał mu własne dzieci. Połechtani przyjemnie hojnymi podarkami, uderzyli mu czołem murzowie Krymscy, oddając wszystkie łuki swych hord pod jego rozkazy. Niedawny rozbitek, co ledwie uniósł głowę z ostatecznej toni, stał znowu na czele wielkiego wojska, miał w Putywlu swą warowną i wiernie sobie oddaną stolicę, zaś rozległa Ziemia Siewierska pospołu *z Kamarińskoją Wołostią*, mimo obecności chas moskiewskich, stanowiła niejako jego dzierżawy. Z listów, które w swojem imie-

niu polecał pisywać Panu Buczyńskiemu do Wojewody Sandomierskiego, jego rodziny oraz do swego dostojnego orędownika, Księdza Nuncjusza Rangoniego, przemawiała spokojna pewność mocarza, wstępującego w dziedziczne strzemiona swych przodków. Już mógł obejść się bez pomocy polskiej. Nie szukał, jak do niedawna, opiekunów — lecz sprzymierzeńców.

Znowu rad był tedy życiu Carewicz Dymitr; coraz rzadziej pogrążał się w posępnych zadumach i nie unikał już ludzi, jak to bywało z początku, kiedy sromał się swojej lekkomyślnej klęski. Zresztą nie mógł ich unikać, gdyż zatrudniało go już sprawowanie rządów. Razem z Panem Ratomskim nieustannie musiał przyjmować i odprawiać wysłanników, którzy po wszystkich ziemiach rosyjskich rozpowszechniali jego *gramoty*, podburzali płomiennemi mowami tłuszcze, śledzili i szpiegowali zarządzenia Cara Borysa oraz czynności jego zauszników. Uśmiech przemknął po jego ustach, gdy pewnego dnia Kniaź Rubec-Massalski zagadnął go, czy może pozwolić, żeby przed jasne oczy Jego Hosudarskiego Majestatu dopuszczono jakiegoś czerńca *brodiagę*, który mieni się być Griszką Otrepiewym. Dymitr znał dobrze tego Griszkę, gdyż razem z nim jakoteż jeszcze innym czerńcem włóczęgą, niejakim Warlaamem, uchodził niegdyś w włosiennicy mniszej z Carstwa Moskiewskiego do gościnnej Polski. Griszka, który miał tak ciężkie sprawki na swem sumieniu, że nawet pobłażliwa zwierzchność Cerkwi Prawosławnej musiała już oddawna wykluczyć go ze społeczności zakonnej, znany był powszechnie pod zelżywem przezwiskiem Rozstrygi i pozostawał w służbie Dymitra, szczując Kozaków nadwołżańskich przeciw Borysowi Godunowowi. Byłto niepoprawny kostera i pijanica. Głośno wyznawał Boga, ale po pijanemu nie krył się wcale, że czcił szatana i w zawody z czarownicami jeździł na ożogu. Twarz miał łotrowską, przytem dziwnie udręczoną. Wyglądał na Judasza, który z lisiej przebiegłości włożył na swe przygarbione barki krzyż Zbawiciela. Żałosne łajdactwo patrzało z jego błęd-

nych, załzawionych i wypłowiałych ślepi. Przerzedzone, pozlepiane od potu włosy mierzwiły się na jego niskiem, wyświechtanem czole. Niezbyt długa, płowa, przedwcześnie siwiejąca broda dygotała mu razem z obrzękłymi i pomarszczonymi policzkami.

Powitał go huczny śmiech, kiedy w zatłoczonej dworzanami i przyjaciółmi polskimi komnacie powalił się przed carskiem obliczem dla oddania kornego pokłonu na podłogę, ale z niej powstać nie mógł.

— Skąd tu się wziąłeś? — zapytał go Dymitr, nie mogąc również wstrzymać się od śmiechu.

— Chyba sam djabeł przywiózł go na czarnej świni! — rzekł sekretarz, Pan Buczyński, który już słyszał o nim i na skinienie carskiej ręki pomagał mu, lubo z odrazą, podźwignąć się na nogi.

— Nie szarp mnie, Lachu! — zabełkotał pijany Griszka, gramoląc się na czworakach. — Ja uczony w Piśmie. Znam Księgi Święte...

— Ale czytujesz je na opak — przemówił Carewicz. — Gadaj, czego chcesz!

— Ja zawsze tobie wierny, Carze i Hospodarze... Szedłem z nadwołżańskiej ziemi i wstąpiłem po drodze do obozu Kniazia Szeremetiewa, bo dla mnie świat otwarty...

— No, wiem, że jesteś wszędzie jak u siebie w domu — odezwał się Dymitr, który jął słuchać uważniej. — Cóż porabia nasz druh, Kniaź Szeremetiew?

— Ano, hołubi swoją kozę i oblęga Kromy.

— Oblęga Kromy? Coś od wódki pokiełbasiło się ci we łbie. Kogoż on tam oblęga? — zdziwił się Carewicz, który nie wiedział, co stało się z Korełą.

— Dońców twoich, Carze i Wielki Kniaziu. Dowodzi nimi ataman, sławny czarownik. Ale jest ich na wrażą potęgę mało — bardzo mało... I nie mają już spiży, nie mają, nieboraki, prochów i ołowiów. Niby myszy tulą się pod ziemią.

— A od kogo o tem się dowiedziałeś?

— Zaraz opowiem — odrzekł z wysiłkiem Griszka, który marszczył zapotniałe czoło, jakby łowiąc w swym zjełczałym mózgu rozpierzchnięte myśli. — Byli tacy u Kniazia Szeremetiewa, co przyjęli mnie jak brata i dali mi gorzaliny. Pijemy, a ja ich wyciągam na słówka. Chytry ja... ho, ho! Skarżą się, że nie mają spokoju dniem i nocą, bo okrutnie ich trapią wycieczkami oblężeni Dońcy, zaś ten ich mały ataman gorszy jest od wściekłego psa. No, ale oni także pokazują zęby. Niedalej, jak ubiegłej nocy, dopadli kilku, co przedostali się w sam środek obozu. Dwu, którzy się popili i posnęli nad bagnem, powiesili, gracko ich przyskwarzywszy. Trzech zabili w ucieczce, uszedł tedy im tylko jeden, ale i ten ranny, bo sowicie broczył juchą... Poszedłem obejrzeć tych wisielców. Goli, golusieńcy, i naszpikowani strzałami, bo Moskwiczanie strzelają do nich dla igraszki z łuków. Powiedzieli mi moi druhowie, że ponoć Polacy, bo z polska byli odziani. Pomyślałem sobie: źle z Kromami, pójdę do *batiuszki* Hosudara, niechaj coś zaradzi. Napiłem się jeszcze raz gorzaliny i cmoknąłem się na pożegnanie z druhami. Chyłkiem, pod wieczór, wyprowadzili mnie z obozu. Idę, a krzaczki już, już się zielenią. Zrobiło mi się trochę straszno, bo nagle słyszę, że ktoś stęka... Jęczy i wzdycha. Rozglądam się i zrazu nie widzę nic. Aż nagle z niedalekich chróścin wyciąga się do mnie jakaś ręka... Jakby mnie przywoływała. Rad nierad poszedłem ze strachem Bożym w duszy. W krzakach leży stary, siwy, ogromny Doniec. Ledwie dycha. Ja do niego i pytam: — Czy ty z Kromów? — Łypnął na mnie strasznie, stęknął i wzajem zagadnął: — A czyjś ty? Czy z Borysowego wojska? — Ja mu na to powiadam, że nie jestem z żadnego wojska, ale służę prawowitemu dziedzicowi Wszech Rosji, Carewiczowi Dymitrowi, niech mu Pan Bóg da zdrowie! Tedy on zaklina mnie na świętego Mikołaja i Bohorodycę, żebym śpieszył do Putywla i doniósł swemu Hospodarowi, że w Kromach nie

zdzierżą, jeśli nie przyśle zaraz posiłków, spiży, ołowiów i prochów. Mówił z wielką ciężkością, bo zalewała go krew. Miałem przy sobie trochę wódki i chciałem go ratować. Łyknął z mojej oplatanki, ale łyknąwszy, wyprężył się, aż gnaty w nim zatrzeszczały, zipnął i już nie żył. Zostawiłem go tam, bo co miałem z trupem począć? Paskudztwo!

Niezawodna pamięć przypomniała Carewiczowi Dymitrowi wysoką postać starego Szkromydy, która zastanowiła go ongiś przelotnie swą nadzwyczajną chudością. Poznał, że Griszka mówi prawdę. Zapytał jeszcze:

— A czy ci nie powiedział, jak się zowie jego ataman?

— Nie. Już nie zdążył — odrzekł znużonym głosem pijanica, który nie mógł ustać na nogach.

— Wyprowadzić go i nie dawać mu gorzałki! — rozkazał Dymitr. — Gdy się prześpi, wypytam go jeszcze, co słychać nad Wołgą. Wałęsa się śród ludzi, jest szczwany i może dużo wiedzieć... A teraz co tchu gotować posiłki dla Kromów! Pójdą Dońcy, bo mają tam brać swoją i są do tego najsprawniejsi. Zabiorą ze trzysta lub czterysta wozów z potrzebami. — Waszmość, Panie Starosto, — rzekł do Pana Ratomskiego — uczynisz mi łaskę, jeśli raczysz objąć nad nimi dowództwo.

Pan Starosta Osterski uśmiechnął się, gdyż zmiarkował odrazu, że trzeba będzie przebijać się przez obozy moskiewskie, zaś on pasjami lubił takie karkołomne wyprawy. Musnąwszy dłońmi wiechcie swych wąsów, odpowiedział:

— Z lubością, Carewiczu Jego Mości. Wszelako wozów przydałoby się więcej, bo Dońców trzeba wziąć ze trzy tysiące, a droga daleka i bardzo trzeba będzie się śpieszyć. Czart nie śpi. Mogliby nie zdążyć na piechotę lub z przemęczenia wyzuć się z animuszu.

— Weź zatem Waszmość wozów dwa razy tyle... Ile chcesz! I ratuj Kromy!

Pan Ratomski wyszedł, skinąwszy na atamanów dońskich,

z którymi oddawna się przyjaźnił. Zaczem Dymitr, zwracając się do Polaków, zagadnął:

— No, widzieliście, Mości Panowie, na własne oczy Griszkę Otrepiewa, którego Moskwiczanie radziby wydać przed światem za moją osobę. Czy jest do mnie bodaj podobny?

Rycerstwo się roześmiało. Posypały się żarty. Wszelako Carewicza już inne zaprzątały myśli. Kazał podać sobie konia, bowiem miał wyjechać na spotkanie cudownej ikony Przeczystej Bogarodzicy, którą tego samego dnia z wielką uroczystością sprowadzano z Kurska do Putywla. Śród setnego kołatania wszystkich cerkiewnych dzwonów pośpieszył ze swymi bojarami przed bramę miejską, gdzie ujrzawszy niepoliczoną procesję nadciągającego pochodu, zeskoczył ze siodła, żeby pospołu ze swojem chłopstwem uderzyć czołem przed świętym obrazem. Zmieszany z pobożnym tłumem, odprowadził ikonę aż do Carskich Wrót i pochylony do ziemi, klęczał na obu kolanach, modląc się żarliwie. Od okrzyków, którymi sławiła go za to czerń, odezwała się w nim znowu tęsknota do sukni zakonnej. Tedy jął po dawnemu zapraszać do siebie Jezuitów, kiedy zaś przychodzili, stawał przed zwierciadłem i przymierzał ich berety. Śmieszyło ich jego nagabywanie, czy w tem nakryciu głowy jest mu do twarzy. Odpowiadali, że więcej przystałaby mu carska korona. On jednak dawał do zrozumienia, iż może nastać chwila, kiedy milszy od niej będzie mu bury kaptur mniszy. Nie pojmowali, coby to miało znaczyć. Może miał na myśli starodawny zwyczaj moskiewski, że carowie na łożu śmierci przyoblekali szaty zakonne, a może co innego. Dla zwykłego pojmowania ludzkiego nieodgadniona była jego dusza.

Całymi dniami bywał czynny, wszelako potem otwierał ramiona radości życia. Piękną Tanię, którą nibyto dla jej bezpieczeństwa nie zapomniał zabrać z mało obronnego Siewska, kazał często wieczorami wzywać na swe pokoje dla swej ta-

jemnicy. Zrazu popłakiwała dziewczyna, nieutulona jeszcze po Panu Przeradowskim, ale nawykła do czci prawie boskiej dla osoby carskiej, opierać się nie śmiała. Bywały u niego także inne córy bojarskie oraz nadobne mieszczki putywelskie. Obłudnie gorszyli się tem niektórzy władycy, w rzeczy samej czując do niego niechęć za sprzyjanie sobaczym łacinnikom lackim. Szczerze boleli tylko OO. Jezuici, którzy znali tajniki jego sumienia. Rozmawiając o nim, powiadali w skrytości do siebie: — Mężny to pan, serca wielkiego i siły niemałej, ale *in religione* tylko dla oczu ludzkich *zelosus* i przytem niepowściągliwy *in re venerea*. Łacno jak Samson może znaleźć swoją Dalilę...

XXVIII.

Car Borys Godunow czuł się już oddawna usidłanym w obierze swych własnych win, straszniejsze od wszelkich obierzy ludzkich. Bóg, który przez długie lata zdawał się pobłażać jego nieprawościom, potępił go i wyciągnął nad nim swą karzącą prawicę. Zesłał na krainy moskiewskie głód i zarazę, żeby odwrócić od niego serca zmiennego i niewdzięcznego ludu. Zażegł nieprzebłaganą mściwość w sercach kniaziów i bojarów, którzy go niecnie zdradzali. Wywołał zza grobu syna Iwanowego, czyniąc go narzędziem swojego gniewu. Poraził przedwczesną, dolegliwą niemocą jego ciało i nadwątlił w nim mężnego ducha. Niżąc w swej niezgłębionej pamięci szczegół do szczegółu, zjadliwie uśmiechał się Car Borys, gdy niby upiór namiestnika Chrystusowego stawał przed nim zawiędły i zgrzybiały Patrjarcha Job ze swą *panagią* na piersiach i nieszczeremi słowy, zetlonemi jak liście, co dawno opadły, kazał mu pokładać ufność w nieskończonem miłosierdziu Boskiem. Serca ludzkie dla jego jasnowidzącej rozpaczy nie miały już tajemnic, wiedział tedy, co myśleć o tym podłym, samolubnym kutwie. Zaś te słowa pociechy były tylko okrutnym podstępem Mocy Niebieskich, które wkładały je w pokalane obłudą usta Patrjarchy, żeby uśpić jego carską czujność i tem łacniej, jeszcze za życia, strącić go na dno sromoty i zguby. Wszędy na niego czyhał Bóg, zwodząc jego chore myśli na manowce, z których nie było wyjścia ni powrotu.

Omotany siecią zdrad, Car Borys przestał od niejakiego czasu wychodzić ze swych *pałat* i bywać w cerkwi, posyłając

tam niekiedy w swem zastępstwie pacholęcego syna, Fedora. Podejrzliwość jego, co swym wytężonym słuchem chwytała nawet niedosłyszalne szmery i widziała wrogów wszędy, kazała mu niedowierzać nawet swej rodzinie i najwierniejszej służbie. Już nie był ciekaw wróżb Jeleny Jurodliwoj, była bowiem monachinią, której rano wieszczego ducha, żeby w nim zachwiać ostatnim szczętem mocy. Czterej niemieccy *Herren Doctores* mimo swych wołowatych oczu mogli go również zgubić, domieszawszy uczonych trucizn do strawy, której przyrządzania dozorowali. Mimo mdłego i schorowanego ciała czuwał tedy Car Bory dniem i nocą, gdyż jego duch w swej bluźnierczej pysze wciąż jeszcze podrywał się do walki. Bóg chciał go poniżyć i unicestwić, przeto szukał przymierza z szatanem...

Towarzyszami jego bezsennych nocy stali się możni czarodzieje lapońscy, których sprowadził z najdalszej Północy i ukrywał w rozległych podziemiach swego dworzyszcza. Nie jadali oni ciepłej strawy, karmiąc się tylko rybami, które pożerali żywcem. Mieli małe, skośne oczy, przysłonięte błonkami jak u ptaków drapieżnych, zaś ich rzadkie wąsy nie zrastały się pod wąskiemi, zaklęsłemi nozdrzami, lecz zaczynały się dopiero nad kącikami bladawych ust, zwisając twardą, bezbarwną szczecią na rozrośnięte niepomiernie, graniaste szczęki dolne. Byli karłowaci i niepozorni, ale znali tajemnice przestworów napowietrznych, rozłogów ziemskich, głębin morskich i czeluści piekielnych. Widzieli skarby utajone pod ziemią, umieli wywoływać duchy umarłych oraz z wielkiej odległości zabijać swem zaklęciem ludzi i zwierzęta. Czytali w gwiazdach, rządzili planetami, a nawet byli władni przyśpieszać, zwalniać lub całkiem zatrzymywać bieg niewstrzymanego czasu. Tak ze zgrozą powiadano o nich w Moskwie, chociaż nie widziano ich nigdy.

Kracząc żałobnie jak kruki nad dymiącemi trzewiami rozpruwanych żywcem koni, wytężali wszystkie swe moce, jednak

rychło okazała się ich bezsilność, gdyż nie zdołali zgasić zabójczego płomienia komety ani odmienić nieszczęsnej doli carskiej. Jeszcze się pogłębiła rozpacz Borysa, co była już niby wirującą otchłanią nieuchronnej zguby. Zwątpiwszy o swem ocaleniu doczesnem i zbawieniu wiecznem, pragnął on do samego ostatka pozostać straszliwym. Zelżywą urągliwością wydawały się mu igraszki dziecinne, szczebioty ptasząt oraz modlitewna, cicha błogość wschodów i zachodów słonecznych. Świat cały byłby pociągnął w otchłań ze sobą, gdyby to było w jego władzy. Jeszcze okrutniej niż dotychczas pastwił się nad swymi wrogami rzeczywistymi i urojonymi. Z upodobaniem przyglądał się w podziemnych sklepach Kremla, jak oprawcy ćwiartowali ciała skazańców, wykręcali członki, darli pasy, rozżarzonymi kleszczami wyrywali z ust języki albo z rozmyślną powolnością wykłuwali oczy. Wszelako obmierzły mu z czasem nawet te krwawe uciechy, ponieważ upływały tygodnie i miesiące, a on żadną miarą nie mógł dostać w swe trzęsące się już z osłabienia ręce Carewicza Dymitra, który był jego najzawziętszym wrogiem. Nie mogąc go dosięgnąć za swego życia, uwziął się, żeby go zgładzić bodaj po swojej śmierci.

Miał w swej służbie zegarmistrza Holendra, który był przytem rzeźbiarzem i umiał odlewać z bronzu, krzesać z drzewa lub ciosać z kamienia posągi z taką niesłychaną sztuką, iż poruszały się jak żywe. Był to mruk, odludek stary i zgryźliwy. Śród dziwujących się wszystkiemu barbarzyńców moskiewskich uchodził za czarownika. Car Borys lubił go, bowiem nienawidził on ludzi niemniej od niego samego. Z wrodzonej ciekawości wszelakiego rękodzieła zachodził nieraz do jego oficyny i gawędząc, przyglądał się jego pracy. Stary Holender był nieco zdziwiony, gdy Hospodar zagadnął go znienacka:

— Czy umiałbyś uczynić statuę, którąby trzymała zapaloną lampę i stosownie do ilości oliwy w niej zawartej, upuszczała z niej co pewien czas zatlony lont na ziemię?

Zegarmistrz po chwili namysłu zapytał:

— A z czego ta statua ma być zrobiona i co ma wyobrażać?

— Uczyń ją, z czego zechcesz. Jednak niechaj będzie straszna z postaci, bowiem straszne, chociaż sprawiedliwe, przyjdzie jej spełnić dzieło.

Posąg niebawem był gotowy. Wyobraźnia rzeźbiarza dała mu kształty piekielnej bogini, Hekate. Z ostatnią kroplą oliwy rozpryskała się w jej bronzowej ręce szklana lampa i zatlony lont wypadał z niej na ziemię. Zegarmistrz wydał się niechcący, iż domyśla się, że lont ten miał padać na prochy, rozsypane u stóp posągu. Car Borys nie zaprzeczył, atoli wypróbowawszy wielokrotnie niezawodnej sprawności mechanizmu, kazał mu podać truciznę w potrawach, których obyczajem moskiewskim dostarczano z kuchen dworskich cudzoziemcom, pozostającym na hospodarskim żołdzie. Nie lubił ludzi zbyt domyślnych.

Odtąd nie gasła lampa w ręce piekielnej bogini, której posąg z rozkazu carskiego ustawili czarownicy lapońscy w najtajemniejszym sklepie podziemnym Kremla. Obok posągu stała ogromna skrzynia, napełniona prochami. Dość było zostawić otworem jej ciężkie, żelazne wieko, aby lont z wypalonej lampy wpadł niechybnie do jej wnętrza i wywołał wybuch, który całe kremlińskie wzgórze mógł zawalić gruzami. Zastawiwszy w ten sposób pułapkę na swego śmiertelnego wroga, doznał Car Borys niejakiego uspokojenia i jął gorliwiej zajmować się rządami, których zresztą całkowicie nie zaniedbywał nigdy.

Ze subtelną kłamliwością udania, do której zdolni są ludzie, nawiedzani nieustannie przez upiora lęku, Car Borys pokrywał w sobie ciężkość i gorycz swej duszy. Wzmagająca się niemoc cielesna nie przytępiła w nim przenikliwości, z jaką odgadywał pobudki uczynków cudzych. Czuł, że niby jakiś bajeczny dziwotwór żyje w ogniu nienawiści, lecz że nienawiść

ta nazbyt jest nędzna i bojaźliwa, żeby mogła sprostać jego dzielności, gdyby ta dzielność wciąż się nie umniejszała. Potrzebował ramienia, któreby go wsparło. Miał być niem zrazu Kniaź Mstisławski, ale ten rychło okazał się nieudolnym i zbyt zależnym od szajki bojarskiej, która przeciw niemu spiskowała. W całem Carstwie od tej zależności wolny był tylko jeden znamienitszy człowiek, szczery i nieustraszony Piotr Fedorowicz Basmanow. Wszelako Car Borys długo się wahał, bowiem Basmanow był nikczemnego pochodzenia. Jednak zanadto ciężyło mu osamotnienie i nazbyt groźnie zapowiadała się przyszłość, żeby nie miał zawczasu przygarnąć go do siebie.

Skorzystał z chwały, jaką okrył się Basmanow, broniąc walecznie przed Łże-Dymitrem Nowogrodu Siewierskiego, żeby zlać na niego swe hosudarskie łaski. Wezwał go do Moskwy, rozkazując oddać mu cześć, jaka przystoi bohaterowi narodowemu. Najznakomitsi bojarowie dworscy musieli przywdziać swe odświętne, pozłociste giermaki i u bramy miejskiej powitać wracającego wojewodę chlebem i solą w imieniu carskiem. Wjazd jego odbył się z świetnością, jaką zwykła była okazywać stolica tylko swym samodzierżcom. Ku czci jego wydano na Kremlu barbarzyńsko wspaniałą ucztę, podczas której Car Borys własnemi ustami wielbił przesławne męstwo Basmanowa, poczem drżącemi od wzruszenia rękami podał mu wielką, złotą czarę, napełnioną po brzegi dukatami, pozwalając mu oczekiwać swej dalszej szczodrobliwości za jego wierne i chrobre służby. Jakoż wnet potem powołał go do grona Bojarów Dumnych, którzy u boku carskiego tworzyli jakgdyby radę Hospodarstwa, oraz obdarował go wielkimi dostatkami i rozległemi włościami. Po dworach kniaziowskich szemrano zcicha na to wyniesienie człeka błahego rodu, lecz Car Borys był głuchy na wszystko, idąc dalej drogą nieuniknionego przeznaczenia.

Minęły przelotne, małoznaczne przewagi jego wojewodów i klęska następowała po klęsce. Car ledwo nie rozpukł się

z wściekłości, gdy Kniaź Mstisławski doniósł mu przez gońców, że musi odstąpić od oblężenia Rylska, bowiem nie ma czem wyżywić swego rozwydrzałego wojska, nad którem już postradał niemal wszelką władzę. Tedy nakazał mu osłonić swój odwrót pozorem, wówczas przyjętym u Moskwy, jakoby nie chciał brać na swoje sumienie dalszego rozlania krwi chrześcijańskiej, i pośpieszyć z pomocą Kniaziowi Szeremetiewowi, który w oczach całego świata okrywał jego majestat hosudarski śmiesznością i niesławą, dobywając daremnie nor dońskich w Kromach.

Groźne widziadło Dymitra nie odstępowało Borysa dniami i nocami, był mu jednak niemal wdzięczny, gdy myśl, udręczana nadludzkim wysiłkiem, znalazła naostatku pozornie niezawodny sposób uprzątnięcia tego uprzykrzonego wroga. Przynaglani naprzemian knutem to znów hojnymi darami, piekielni jego czarodzieje przyrządzili jakiś proszek, który domieszany do kadzidła, miał odrazu zabijać każdego, co choćby raz tylko wciągnął w swe płuca jego trujące wyziewy. Śród próżniaczej hałastry bogomolców, którzy zaludniali niepoliczone monastery, nietrudno przyszło znaleść ludzi, pochopnych do skrytobójczego dzieła. Były to trzy łotry, z których najstarszy, biały jak gołąb, wyglądał na apostoła. Pokornie składał ręce na piersiach i wniebowziętym wzrokiem spoglądał wgórę, gdy Car Borys osobiście pouczał, co im uczynić wypadnie. Jako pielgrzymi, żądni szczególniejszych łask Bogarodzicy Kurskiej, mieli oni udać się do Putywla i postarać się, aby czarodziejski proszek, ukryty misternie w obcasie mniszego chodaka, znalazł się w kadzielnicy cerkwi, w której Carewicz Dymitr miał zwyczaj bywać codziennie na nabożeństwie. Przez swych *wiestowszczyków* wiedział Hosudar moskiewski, że jego wróg prześciga się z nim w obłudzie udanej pobożności. Czerńcy odeszli, obdarowani i pobłogosławieni na drogę, ale już nie wrócili. Zdradził ich nadmiar gorliwości czy też wypitego na odwagę gorzelca, ponieważ przy-

szedłszy do Putywla, zamiast okryć się podstępnem milczeniem, jęli złorzeczyć jawnie przeklętemu Rozstrydze, który udaje syna Iwanowego, a radłby zburzyć cerkwie prawosławne i oddać cnotliwy naród moskiewski w niewolę Polaków, Niemców i Żydów. Przyprowadzeni przed Dymitra, zrazu zacięli się w uporze. Wszelako najmłodszy z nich, wzięty razem z towarzyszami na nieporównane, moskiewskie *spytki*, nie zdołał wytrzymać tortur i wkońcu wyznał wszystko. Car Borys nie skrywał swych łez przed Basmanowem, gdy djak odczytywał mu podrzuconą niewiadomo przez kogo *gramotę* Dymitra, w której tenże piętnował nikczemność tego chybionego skrytobójstwa, obiecując mu wyniośle przebaczenie, jeśli dobrowolnie złoży posoch carski, uczyni za swe zbrodnie naznaczoną pokutę i da się postrzydz na czerńca. Ozięble i nieufnie spoglądały junackie oczy Basmanowa na tę jego boleść.

— Niema już u nas cnych ludzi — utyskiwał Car. — Ty jedyny jesteś godny i wierny, Piotrze Fedorowiczu.

Basmanow, podzwaniając złotym łańcuchem, zawieszonym na szyi, zgiął się w pokłonie, który jednak nie wydał się dość niskim bacznemu spojrzeniu utrapionego Hosudara.

— Słuchaj! — odezwał się niespodziewanie. — Ja stary i mocno podupadam na nogi. Powiadają doktorzy niemieccy, że trzeba mi wypoczynku. Za ciężka jest już dla mnie samego carska korona, którą Bóg włożył na moją głowę. Czy nie chciałbyś się podzielić ze mną carowaniem?

Bojarzyn osłupiał, lecz w nagłem mgnieniu myśli przypomniał sobie, że podobne słowa miał już słyszeć z ust Borysa Kniaź Mstisławski.

— Dam ci za żonę moją Ksenię — mówił Car dalej, frymarcząc znowu swoją córką. — Biała ona, bieluśka i jak róża różowa, a oczęta jej jak dwie gwiazdy. Brwi ma sobolowe, zrośnięte. Mówi mądrze jak z książki. Zobaczysz! Przekonasz się! Pokocha cię, bo ja ciebie kocham. Uczynię cię pierwszym po sobie — nie! — równym sobie! Dam ci Car-

stwa Kazańskie i Astrachańskie. Zhołduję ci Siewierszczyznę. Będziemy carowali razem. Ale ty mnie nie opuszczaj! Sam widzisz, że wrogowie moi zawzięli się na mnie za moje grzechy. — I zaszlochał żałośnie, nie pomnąc, kogo ma przed sobą.

Basmanow milczał, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Ty nic nie mówisz? — krzyknął Borys, błysnąwszy srogo białkami oczu. — Gadaj!

— Ja twój chłop, Carze i Wielki Kniaziu, — odezwał się bojarzyn, kłoniąc się znowu nisko. — Zetnij mi głowę, bo ona Boża i twoja, ale nie każ mi mówić.

Borys powściągnął się i już łagodniej zapytał:

— Dlaczego?... Tyś mój syn, jak Fed'ka...

— Bo ja nie wiem, Carze, czy ten twój wróg nie jest naprawdę potomkiem nieboszczyka Cara Iwana — wybuchnął zuchwale Basmanow. — Nie wiem i nie chcę kłamać mojemu sumieniu.

Borys zadygotał w sobie, lecz z udanym spokojem wziął w rękę duży, złoty krzyż, zawieszony na swej piersi, i przyciskając go do swych zwiędłych warg, przemówił uroczyście:

— Poprzysięgam ci na Chrysta, Pana naszego, że nie! Prawdziwy Dymitruszka sam w dworze uglickim poderżnął sobie gardło, nawiedzony przez wielką chorobę. Może poświadczyć Kniaź Wasyl Szujski, gdyż on z rozkazu Cara Fedora dochodził na miejscu prawdy i widział zewłok tego lubego niebożątka. Nie przyjąłbym korony, gdyby jej prawowity dziedzic był przy życiu. Słyszałeś już, że mi cięży.

Mówił głosem, pełnym spokojnego smutku i dostojnej powagi. Basmanow, który był nieco podchmielony, rozrzewnił się nagle:

— Ojciec ty mój — zawołał, padając na kolana, — i Car Miłościwy! Będę ci wiernie służył. Jak świętą będę miłował twoją córkę. Odtąd my zawsze razem! Pozna mój miecz przeklętnik Rozstryga. Nie spocznę, aż sam zginę albo go zabiję.

— Nie giń ty, synu, ale go zabij. Mnie już niedługo życia pisano. A mój rodzony, Fed'ka, jeszcze młodziusieńki. Niedawno skończył szesnaście lat. Będziesz przy nim rządził po mojej śmierci, jak ja rządziłem przy bogobojnym Carze Fedorze.

Zaczem jął rozpalać wyobraźnię odurzonego bojarzyna majakami świetności i potęgi. Sam będzie mógł wybrać sobie zamek, w którym zamieszka z Ksenią. Będzie mierzył złoto ćwierciami, będzie miał tysiące poddanych i rozległe ziemie. W carstwach swoich będzie władał udzielnie. Bogate dary złożą mu z pokłonem Anglicy i Holendrzy, którzy mają faktorje w Moskwie i Astrachaniu, a o moskiewski towar kosmaty, o wywóz lnu, wosku, kruszców wszelakich, ikry rybiej i drzewa żrą się między sobą. Nie trzeba przechylać się stanowczo na żadną stronę, lecz chytrze ciągnąć ze wszystkich zyski. Anglicy obiecują najwięcej, wszelako to przebiegły naród. Także chcą się przypodobać Niemcy Hanzeatyccy. Ich również nie należy zrażać, bo przywiozą dziengi i dukatami napełnią *kaznę*. Trzeba rządzić twardo i mądrze; poskromić raz na zawsze zdradliwych kniaziów i wielkich bojarów, wziąć w karby Kozaków, wytępić Tatarów i powoli, cichaczem przygotowywać się do ostatecznej wojny z Polską, gdyż to wróg odwieczny. Nie będzie wielkiej potęgi moskiewskiej bez zagłady Polski... A nie żałować krwi, bo Pan Bóg dał jej w Carstwie dużo i pozwolił ją przelewać dla powszechnego dobra i dla chwały moskiewskich samodzierżców. Lud prawosławny marnieje, gdy nim nie rządzi sroga ręka...

Długo i mądrze mówił Car Borys, pouczając swego przyszłego zięcia. Tym razem chciał naprawdę pozyskać druha i spadkobiercę swych wielkich zamierzeń. Basmanow niezbyt go rozumiał, gdyż tych rozległych myśli nie była zdolna objąć jego miałka, niestateczna głowa, ale słuchał, zapatrzony z podziwem w Hospodara jak w tęczę. Coś jednak wciąż go ostrzegało, żeby nad miarę nie dowierzał.

Wkońcu wyszedł z uczuciem nabożeństwa w duszy, jakby wychodził z cerkwi. U drzwi carskich spotkał się z Szymonem Nikitowiczem Godunowem. Ten bojarzyn uchodził za zausznika hosudarskiego i był powszechnie w Moskwie znienawidzony, bowiem pod jego rozkazami pozostawali siepacze i donosiciele, którzy postrachem i żałobą napełniali stolicę. Szymon Nikitowicz zagadnął ciekawie, chowając dłonie w przydługie rękawy swego złocistego kubraka:

— Co porabiałeś tak długo u naszego Miłościwego Cara — daj mu, Boże, zdrowie?

Basmanowowi zbyt zawróciło się we łbie, żeby miał ukrywać się ze swem szczęściem. Wyciągany zręcznie na słowa, wyznał wszystko.

Szymon Nikitowicz kiwał przemyślnie głową, cmokając z podziwu grubemi, mięsistemi wargami, i rzekł wkońcu:

— Uwolnij ty nas, Piotrze Fedorowiczu, od tego przeklętego Dymitra, gdyż powiem ci na ucho, iż śniło się mi dzisiejszej nocy, jakoby był prawdziwy. A Pan Bóg snami prawdę pisze.

I przeżegnał się trzechkrotnie ogromną, tłustą łapą.

Basmanow wzdrygnął się jak przebudzony ze snu, poczem spojrzał mu w oczy zabobonnie. Jednak wyjrzała z nich ku niemu tylko pustka.

XXIX.

Na wysokim, obronnym wale swej podziemnej twierdzy kromskiej, w samo południe niezwykle ciepłego i słonecznego dnia marcowego, hasał w prysiudach Ataman Koreła z nagą tanecznicą. Dziarsko śmigał nogami, zarzucając ramię za głowę. Wielki, na plecach aż do pasa zwisający kołnierz jego obcisłego, kozackiego żupana fruwał uciesznie, gdy z zalotnym umizgiem na swej wymokłej, pobliźnionej gębie podbiegał do niej, pragnąc ją ująć w swe ramiona. Ona nibyto pierzchała przed nim, przyczem przeginała się lubieżnie, z pełnych, jakby od pocałunków rozchylonych ust błyskając białymi zębami. Była śniada, lecz smukła, silna i zwinna. Miała ładne, jędrne piersi. Jej biodra zaokrąglały się na podobieństwo dzbana, pełnego lubości. Długie, czarne włosy, splecione mocno w warkocze, dwiema cienkiemi kosami smagały ją po nagich plecach. Zatrzymywała się co chwila i przytulona do piersi Atamana, wyśpiewywała donośnym głosem wszeteczne, zelżywe piosenki o Carze Borysie i o jego wojewodach. Łagodne powienie wiosennego wietrzyka niosło je hen, aż ku wojskom moskiewskim, co ogromnym pierścieniem rozłożyły się dokoła twierdzy. Na każdą obelgę odpowiadał jej grzechot piszczeli oraz poświst strzał, pomieszany jednakże z rozgwarem hucznych śmiechów. Strzały grzęzły bezsilnie w zboczach wału, a kule przenosiły go wysoko, bowiem podobała sobie skrycie w tem zuchwalstwie chasa moskiewska i nie chciała się pozbawiać tej krotochwili. Gdyby śród tysięcy ludzi, co patrzyli zdaleka na to widowisko, był ktoś obeznany z mitologją,

to tę stepową, półdziką ladacznicę byłby przyrównał do greckiej Menady.

Kniaź Szeremetiew zżymał się gniewnie w swym namiocie zwłaszcza za wzmianki o swojej kozie, lecz mimo swej potęgi nie mógł poskromić ani Atamana ani jego Dońców. Niewiele obiecywał sobie z pomocy Kniazia Mstisławskiego, który już nadciągał ze swymi pułkami od Rylska i lada dzień miał zalec obozem po drugiej stronie rzeki, wijącej się skróś bagien. Bowiem nad wszelką miarę rozplenił się już czerw rokoszu i zdrady w sercach wojowników moskiewskich i pozostawała tylko jedyna nadzieja, że uda się wziąć Dońców głodem. Jednak była ona płonna, gdyż nie bez powodu cieszył się dnia tego Ataman Koreła słońcem i miłością.

Za pośrednictwem przyjaciół, pozyskanych łacno w obozie moskiewskim, zdołał on już wejść w skryte porozumienie z Panem Ratomskim, który śpieszył z pomocą od Carewicza Dymitra, wiodąc trzy tysiące mołojców dońskich oraz ogromny tabor wozów. Już najbliższej nocy miał stanąć Pan Starosta Osterski na tyłach wojsk oblężniczych, których wodzowie byli tak niedbali, iż nie wiedzieli nawet, co dzieje się w ich najbliższem sąsiedztwie. Było umówione, że nad ranem Ataman Koreła ze swemi szczupłemi siłami podejmie wycieczkę, zaś równocześnie Pan Ratomski werznie się naprzeciw niego w chasy moskiewskie, i że przez wyłom, w ten sposób z dwu stron wyrąbany, wprowadzi posiłki do Kromów. Ogniste strzały, wypuszczone gęsto w oćmę nocną, miały dać znak do natarcia i wzajemnie wskazywać drogę.

Mimo głodu i niedostatku, który już mocno doskwierał w twierdzy, nie uważał tedy za właściwe trapić się Ataman Koreła i zaprzestał wkońcu pląsów jedynie dlatego, że jego nagiej tancerce poczęło robić się zimno. Okrywszy ją swoją ferezją, którą zdjął dla większej w tanach swobody, uczynił niesromny gest w stronę gapiącej się z zachwytem Moskwy i bez pośpiechu zeszedł z wału, śmiejąc się buńczucznie.

Dzień wlókł się dla niego jak po smole, nudnie i powoli, gdyż harce poranne już minęły, zakończone jak zwykle porażką Moskwy, a gorzałki nie było ani na lekarstwo. Jeszcze czas jakiś zabawiał się zatem z miłośnicą, ale rychło ją odprawił i jął się wałęsać z kąta w kąt, gderząc na swych Dońców. Niewiadomo dlaczego, jego myślom naprzykrzał się nieustannie Szkromyda. Tedy przyrzekał sobie, że nocna wyprawa będzie także odwetem za śmierć tego starca i że pomsta jego dosięgnie nie tyle czerń moskiewską, co jej wodzów.

Po niepomiernie ciepłym dniu zapowiadała się noc pochmurna i dżdżysta. Ucieszył się drzemiący gnuśnie z nudów na swym barłogu Ataman Koreła, gdy pod wieczór przynieśli mu jego Dońcy strzałę z przytwierdzonym do niej świstkiem szarego papieru. Był to list od któregoś z cichych stronników Dymitra w obozie Kniazia Szeremetiewa. Donosił on, że nikt tam nie podejrzewa nocnego napadu, bowiem już wiadomo wojewodom moskiewskim, że Dońcy przymierają głodem; wprawdzie wydali oni rozkaz, aby rozstawić na noc czaty, jednak mało kto go usłucha, będzie mógł tedy Pan Ratomski zaczaić się naprzeciwko wylotu grobli, wiodącej przez trzęsawiska, już przed północą. Wiadomości te były nadzwyczaj pomyślne. Mniej już przeto zważał Ataman Koreła, iż pisarz kozacki przeczytał mu ponadto z tejże samej kartki, że do Kniazia Szeremetiewa przybył wysłannik Cara Borysa, Iwan Hlebowicz Saburow, i że podobno zanosi się na ponowną zmianę w dowództwie moskiewskiem.

— Niechaj tą chasą dowodzi, kto chce, — rzekł do pisarza Jakowa Matwijewicza, który pierwszy był w jego łaskach po zabitym Szkromydzie. — Chrobrzej dlatego ona bić się nie będzie.

Koło północy wyszedł na wał i rozejrzał się dokoła. Rosił drobny, zimny deszcz. Wiatr szumiał w okolicznych borach, nieokrytych jeszcze zielenią. Blade światła migotały w obozie moskiewskim. Jak cienie krzątali się po majdanie Dońcy,

którzy na swe wyszarzane żupany przywdziali baranie kożuchy. Przygotowania trwały niedługo. Piszczele, łuki, szable i obuchy nie ustawały w pracy, jakoż zawsze były gotowe. Kozacy skarżyli się swemu wodzowi, że są głodni i prochów mają skąpo. On jednak ich pocieszał, że wszystkiego przywiezie poddostatkiem Pan Ratomski, a niemało znajdzie się także w obozie moskiewskim.

Na cichy jego rozkaz ześlizgnęły się przednie straże z wału. Skróś suchych chaszczy i burzanów kromskiego wzgórza popełzały one bez szelestu jak węże. Główne jego siły zeszły do rowów, co kręto i nieregularnie wiły się wzdłuż drożyny, zstępującej w bagna. On sam na czele kilkudziesięciu najtęższych mołojców szedł nią naprzód, jakby gardząc wszelką ostrożnością. Wiedział, że przyjdzie uderzyć w najgęstszą ciżbę moskiewską, gotował się tedy do skoku.

W miejscu, gdzie zaczynały się bagna, wszyscy jego Dońcy wyszli z rowów i utworzyli za nim zbitą ławę. Stąpali jak koty, tak cicho i zręcznie, że pod żadnym nie zatrzeszczały spróchniałe i chwiejące się kłody, z których była ułożona grobla. U końca jej, czując pod bosemi stopami suchsze miejsce, rozwinęli się cichaczem w szeregi na prawo i lewo. Przed nimi roztaczał się rzadki, wysokopienny las, w którym mgliły się ogniska moskiewskie, dogasające w przedrannych oparach, i szarzały szatry wraże. Czekali umówionego znaku, mając na swych cięciwach strzały, owinięte gałganami, napojonymi mazią. Dygotali, dzwoniąc zębami, gdyż było im zimno i głodno.

Zdaleka zaszemrały jakieś błędne głosy, niby bezsenne pokrzykiwania sowie, i nagle na ciemnem tle nieba, pokreślonem jeszcze ciemniejszą siecią nagich konarów, błysnęły przed ich bacznemi oczyma ogniste żagwie. Wzbiła się jedna, druga, trzecia... W mig zapalili swe smolne strzały i wypuścili je w mroki niby płomieniste sokoły. Poczem, nie kryjąc się dłu-

żej, z drapieżnym okrzykiem bojowym ruszyli pędem w kierunku samopałów, co ujadały już śród oćmy.

Nieprędko rozruszała się Moskwa, snem głębokim zmorzona. Wiecznie zalęknieni jej wodzowie sądzili zrazu, że była to zwykła wycieczka z Kromów, i potumanieli, zmiarkowawszy, że dostali się we dwa ognie. Myśleli, że z całą swą potęgą następuje Carewicz Dymitr, o którego siłach mieli bałamutne i przesadne słychy. Zwolennicy syna Iwanowego, których było mnóstwo w wojsku Kniazia Szeremetiewa, nie zaspali ponętnej sposobności, jakoż jęli podpalać klecie i namioty swych osobistych wrogów. Pożar rozwidnił mroczne pobojowisko. Potrącane strwożonemi rękami, gorączkowo i niepewnie załomotały w obozie moskiewskim miedziane *nabaty*. Uderzono na trwogę. W odpowiedzi wionęły radosne okrzyki, bowiem drużyna Koreły zdążyła już połączyć się z Dońcami Pana Ratomskiego, poczem bijąc bez wytchnienia, parła znowu w kierunku twierdzy kromskiej. Jednakże pochód odbywał się z konieczności powoli, ponieważ tylko opieszale posuwał się tabor, wiozący spiżę, prochy i ołowie. Mieli czas opamiętać się Moskwiczanie.

Pan Ratomski wiedział zgóry, że niełacno da się przeprowadzić wozy skróś chas nieprzyjacielskich, postąpił tedy jak wojownik doświadczony i przezorny. Na wozy ładowne kazał zawczasu włożyć puste wozy, którymi przyjechali jego Dońcy. Były one przewrócone kołami do góry i powiązane mocno wiciami z drabkami wozów dolnych. W ten sposób powstały jakgdyby ruchome baszty, z których na wszystkie strony mogli strzelać swobodnie Dońcy, usadowieni na worach i skrzyniach. Długi łańcuch narządzonych tak wozów poruszał się między dwoma szeregami *strielców*, którzy szli pieszo. Ku postrachowi i przerażeniu Moskwy w migotliwych blaskach pożogi mieniły się wyzywająco ich szkarłatne kaftany. Kozacy rozsypanym szeroko hurmem biegli na przedzie, po bokach i z tyłu taboru, napadając pobliskie namioty i swą bły-

skawicową szybkością siejąc popłoch śród nieprzyjaciela, który już skupiał swe siły, chcąc nawałem tłuszczy, niby skrętami olbrzymiego gadu, zdławić w swem wnętrzu tę garść zuchwalców.

Koreła miotał się jak żbik, uderzając na oślep w tłumy nadbiegającej Moskwy. Było coś nieludzkiego w jego ruchach, gdy czaił się za drzewami, przylegał do ziemi, zrywał się znowu i w nagłych podrzutach zwodził pojedynki, które niechybnie kończyły się klęską przeciwnika. Szabla jego cięła niby żądło szerszenia. Pan Ratomski, który stał wyprostowany na najprzedniejszym wozie, żeby mieć oko na wszystko, śledził go z podziwem. Zaśmiał się na całe gardło, kiedy Koreła jakgdyby tylko niechcącem potrąceniem swojego brzeszczota powalił na ziemię jakiegoś bojarzyna. Zwyciężony żył, bo składał błagalnie ręce. Widocznie skomlił o zmiłowanie.

— Wziąć go i wrzucić na wóz! Jakiś bardzo znaczny. Przyda się na zakładnika! — krzyknął Ataman do swych przybocznych mołojców, którzy szczupłą garstką nie odstępywali swego wodza, odpierając szable, rozmigotane dokoła niego.

Poganiana nahajkami Moskwa następowała coraz potężniej. Wzmogły się ogłuszające wycia, roztrzaski samopałów i poświsty strzał, jednak mimo powolności, z jaką posuwał się pochód, straty były nadzwyczaj małe. Jakaś niewidzialna, opiekuńcza ręka zdawała się uchylać ciosy. Tylko u wozów padło kilkanaście koni, co powodowało ciągłe opóźnienia, ponieważ trzeba było odcinać uprzęże, usuwać zewłoki z wąskiej drogi i zabite zwierzęta zastępować nowemi. Na szczęście, prowadził ich Pan Ratomski aż sto kilkadziesiąt na przeprzążkę oraz na dodatkowe pożywienie dla kromskiej załogi.

Opary, podnoszące się z trzęsawisk, bardzo wolno nasiąkały światłem dziennem. Byli mniejwięcej pośrodku szeroko rozłożonego obozowiska moskiewskiego i jeszcze dość znaczna odległość dzieliła ich od grobli. Na przedzie między drzewami lasu zamajaczyły nagle postacie, z dwu stron przeciwnych

nadbiegające tłumem. Od chasy moskiewskiej różniły się one uzbrojeniem i odzieżą.

— Niemcy idą, Niemcy! — zaszemrało śród Dońców wołanie. Lekceważyli Moskwiczan, ale najemników niemieckich uważali za równych sobie męstwem i sprawnością bojową.

— Chcą nam zastąpić drogę! — huknął Koreła i krótkimi, urywanymi rozkazami utworzył przed taborem ze swych mołojców klin, który miał rozszczepić tę nową zaporę.

Szeregi niemieckie gęstniały bardzo powoli i zwarły się przed taborem w jeden zastęp dopiero po niejakim czasie. Miarowo zarehotały ich półhaki. Ogień ich był dużo celniejszy od pukaniny moskiewskiej. Śród Dońców zaczęli padać junacy.

— Ławą w nich! — wrzasnął Koreła, z szablą w ręce rzucając się naprzód.

Niemcy odłożyli półhaki i ujęli w garście alabarty. Rozpoczęła się sroga rąbanina. Wnet jednak jęli wroga prażyć ogniem Kozacy z nadjeżdżających wozów. Zastęp niemiecki rozluźnił się znowu i jakgdyby rozpłynął się śród mgieł po lesie. Ataman tryumfował, bowiem do grobli już było zaledwie na strzelanie z łuku. Pośpiesznie parł ze swym hufcem naprzód, odrzucając nieprzyjaciela na prawo i na lewo. Już postawił nogę na pierwszym krąglaku grobli, gdy jakaś zbłąkana strzała utkwiła mu głęboko pod lewym obojczykiem. Przed zbielałemi oczyma przemknął mu cień Szkromydy. Zatoczył się i obsunął w ramiona swych mołojców, którzy zdążyli w porę podbiec ku niemu. Jakow Matwijewicz zawołał:

— Ataman ranny!

Wściekłym porykiem radości odpowiedziała Moskwa.

Atoli Pan Ratomski widział z wozu wszystko i w okamgnieniu był na miejscu, zaprowadzając na nowo ład i krzepiąc swym spokojem nadwątloną otuchę. Rannego umieszczono troskliwie na wozie pod opieką balwierza, którego Starosta Osterski wszędzie woził ze sobą. Śród nieustającej strzelaniny

i zaciekłego ujadania moskiewskiego wtoczyły się wreszcie na groblę ostatnie wozy taboru. Napór nieprzyjacielski słabł coraz bardziej, aż z południa ustał zupełnie. Załoga kromska była zasilona i zaopatrzona znowu na kilka miesięcy.

Pan Ratomski zeszedł ostatni z pola, kiedy nieprzyjaciel skrył się już całkiem w lasach, żeby w rozburzonem obozowisku liczyć swe szkody. Dońcy zdołali wycofać się wszyscy i nawet unieść swych rannych. Nieco większe straty ponieśli szkarłatni *strielcy*. Pan Starosta był czarny od dymu, lewą nogę miał zlekka przetrąconą od uderzenia moskiewskiej osęki, jednakże promieniał mimo to zadowoleniem, gdyż uronił z taboru zaledwie kilkanaście wozów, pod które trzeba było podłożyć ogień, ponieważ beznadziejnie ugrzęzły w błocie. Ludzi padło zaledwie około dwustu, licząc także ciężej rannych. Mimo utrudzenia pokusztykał natychmiast do Koreły, któremu balwierz wyjął już strzałę, otwierając ranę szerokiem cięciem. Ataman był nieprzytomny i krwawa piana występowała mu co chwila na usta, brocząc skudlone wąsiska. Pan Ratomski zerknął niespokojnie na balwierza, ale ten rzekł:

— Nieprędko wydobrzeje, mogę jednak poręczyć za jego życie.

— Poczem dodał:

— Opatrzyłem już także owego kniazia, który dostał się w nasze łyka. Jemu również nic nie będzie. Ma tylko rozpłataną gębę. Prosił mnie bardzo, żebym nie wypuszczał go z opieki. Obiecywał sowicie wynagrodzić, bo on krewniak Borysów. Powiedział mi, że nazywa się Iwan Saburow. To podobno wielkie u nich miano.

Pan Ratomski osłupiał. Wydało się mu, że się przesłyszał.

— To nie może być... Nie wiesz sam, co mówisz! — krzyknął popędliwie. — Zresztą obaczę.

Pomimo jego wielmożności nie uszanowali Kozacy Wańki Saburowa. Zdarli z niego *ożerelie* czyli wysoki kołnierz, sa-

dzony drogimi kamieniami, i aksamitną na sobolach ferezję, obszytą złotym szlakiem, i kaftan jedwabny, przepasany cudnym, perskim *kuszakom*, i żupan kosztowny i nawet *rubache*, naszywaną perłami. Nagiego, jak go mać porodziła, wtrącili do najciemniejszego sklepu swoich podziemi. Okrutnie bolał go policzek, rozorany krzywcem atamańskiej szabli. Zdawało się mu, że skona na miejscu z zimna i stęchłego zaduchu. Jakoż uradował się niepomału, gdy z ciemności błysnęło ku niemu oko mdłego światełka. Jakiś głos rozkazujący zapytał:

— Gdzie jest ów łysy bojarzyn? Coście z nim uczynili?

Odpowiedział stłumiony poszmer niewyraźnych słów, których nie mógł się dorozumieć. Po chwili otwarły się drzwiczki od jego komórki, sklecone na kształt kraty z obrzynków tarcicznych. Ktoś latarką błysnął mu w ślepia.

— Czy poznajesz mnie, Wańka? — zapytał głos srogi.

Jeńcowi wydał się ten głos znajomym. Zakołowało mu dalekie przypomnienie w łysym łbie, niby czapa nasadzonym na purchawkę zmiętej twarzy. Atoli tylko stęknął pokornie i żałośnie.

— Jam twój stary druh, Michał Ławrynowicz Ratomski. Co ty ze swą siostrą uczyniłeś, łotrze?

Bojarzyn struchlał. Wcisnął się głębiej w kąt, ociekający wilgocią, zasłaniając się z przerażeniem dłońmi, jak przed jakiemś widziadłem.

— Pogadamy my jeszcze ze sobą — pogadamy, braciszku! Na razie nie chcę, żeby ci było źle. Mógłbyś mi zdechnąć przed czasem... Bywajcieno tutaj! — huknął w głąb wąskiego, ciemnego korytarza na Dońców. — Odziać mi przystojnie tego kniazia, nakarmić i napoić z mojego antała *romanią*. A znaleść też dla niego wygodniejsze pomieszczenie! Pilnujcie go jak oka w głowie. Dbajcie, jak o mnie samego, bo on mój druh, stary mój druh!...

Zmienionym, przykrym głosem zaśmiał się Pan Starosta

Osterski, poczem znów błysnął światłem latarki na skulonego trwożnie Saburowa.

— Godnie cię płatnął przez pysk Ataman. Mój balwierz będzie miał nad tobą pieczę. Zapłacisz ty jemu i mnie!

Znagła odwrócił się i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą wrótnię. Wańce szczękały ze strachu spruchniałe zęby, jednakże usnął, gdy go odziano w ciepłą bawełnicę, przeprowadzono do suchszego, widniejszego sklepu, ułożono na posłaniu z miękkich skór i napojono grzanem winem. Ostatniem pragnieniem jego zmorzonej myśli było, żeby ze snu już się nie obudzić...

Na barkach Pana Ratomskiego spoczął odtąd cały ciężar dowództwa. Mimo to pieczołowicie pamiętał o jeńcu. Znał jego zwierzęce narowy, jakoż kazał dogadzać jego żarłoctwu. Dla świeżego powietrza wyprowadzano go nawet codziennie na majdan. Wańce zaiskrzyły się małe, nikczemne oczka, kiedy wygramoliwszy się po schodkach na wał, dostrzegł, że wojska Kniazia Mstisławskiego zatoczyły już swe obozy po drugiej stronie rzeki, płynącej leniwo. Niby od niechcenia bąknął:

— Nu, będzie teraz z twierdzą źle... bardzo źle! Jednak was wezmę z litości *pod swą wysoką rękę*, jeśli pozwolicie mi uciec...

Schorowany Doniec, który go nie odstępował, chwycił go za kołnierz i potrząsnął nim jak pies schwytanym szczurem.

— Milcz, bydlę! — warknął, zanosząc się suchym kaszlem.

W namiotach wodzów moskiewskich o carskiego zausznika nikt się nie zatroskał. Owszem, wszyscy byli radzi, że tak rychło dostał się w łyka kozackie, bowiem wiedzieli, że przyjechał na przeszpiegi, a ponieważ był wścibski i miał węch sobaczy, przeto mógł wywiedzieć się więcej od innych. Zresztą szło tam wszystko po staremu na opak. Wojewodowie poswarzyli się między sobą, obwiniając się wzajemnie o zdradę, tchórzostwo i niedbalstwo. Popędliwy Mstisławski smagnął nawet Kniazia Szeremetiewa długim rękawem swej szaty kilka razy po gębie, czem sodomita się obraził i pojechał ze skargą

do Moskwy. Bracia Szujscy szczuli i knowali potajemnie, dokładając starań, żeby wiedziano o wszystkiem w Kromach i w Putywlu. Na wierności żołnierzy oraz podwładnych dowódców nie było już można wcale polegać. Czaty moskiewskie gawędziły po przyjacielsku z czatami kozackiemi, zapraszając je w biały dzień na poczęstunki. *Gołowowie*, czyli dowódcy rot, uprzedzali zawczasu oblężonych, kiedy najbliższe natarcie nastąpi, i pouczali ich, jak mają postępować, żeby Moskwiczanie nibyto byli zmuszeni do odwrotu. Czyjeś uczynne ręce pozostawiały nocami w pobliżu rowów kozackich wory z żywnością i beczułki z prochem. Od czasu do czasu znajdowano nawet sztofik gorzałki. O każdem, nieraz nawet błahem zdarzeniu, zawiadamiały listy, uwiązywane do strzał. Coraz lepiej działo się w Kromach. Coraz łacniejsze zadanie miał Pan Ratomski.

Był już początek maja, gdy Atamana Korełę wyniesiono wreszcie z podziemia na majdan, żeby zobaczył znowu słoneczko Boże. Dzień był ciepły. Rzeźwem upojeniem dyszała ziemia. Dla jakiegoś lwiego zachcenia Ataman wychudłą i niepewną jeszcze ręką rozplótł kosy swej miłośnicy, która niby Jawnogrzesznica klęczała przy noszach, tuląc głowę do jego kolan. Zwolna, niemal ostrożnie, jakby dla wypróbowania swych obolałych płuc, wciągnął w nie Koreła świeże powietrze, poczem westchnął, iż od tak dawna nie miał w ustach ani kropli gorzałki.

— Zemdli mnie, jeśli nie dacie, — przemówił do Pana Ratomskiego, który siedział opodal na pieńku.

Mimo oporu balwierza, służebny Doniec przyniósł mu niedużą czarkę. Ataman wypił ze smakiem i zaraz o wiele raźniejszy, jął wypytywać Pana Starostę, co działo się podczas jego choroby. Słuchając, parskał śmiechem. Zaczem odezwał się:

— Myślę, że rad jest z nas Carewicz Dymitr. Ale ja nie dla niego, tylko dla kozackiej sławy...

Już zapomniał o dziewce, która próżno oczekiwała dalszych jego pieszczot i wkońcu nadąsana odeszła. Baraszkując po swojemu, zagadnął mimochodem:

— A mój jeniec, ten kniaź moskiewski? Żyje-li on jeszcze?

— Żyje i jest w dobrem zdrowiu — odrzekł Pan Ratomski. Poczem marszcząc nastroszone brwi, dorzucił: — Odstąp mi go, Atamanie. Dam okup...

Koreła łypnął na niego hulaszczemi oczyma i zapytał:

— A poco on Waszmości potrzebny? Niechaj płaci za niego Car Borys.

— To moja rzecz. Chcę go mieć na własność. Oddawna wysługuję się za niego Carewiczowi Dymitrowi... Wżdy on teraz twój...

Ataman zachychotał zcicha, pochrząkując:

— Widzę, że to jakaś tajemnica. Ja nie ciekaw. Dla siebie nic nie chcę, bom twoim druhem, Panie Starosto, ale dasz trzysta twardych czerwieńców dla moich mołojców.

— Dam nawet tysiąc. Niech będzie zgoda!

— Zgoda.

Po przyjacielsku uścisnęli sobie ręce. Korele znowu wyschło w gardle, chciał tedy oblać tę umowę. Wszelako balwierz tym razem stanowczo się sprzeciwił.

— Nie ręczę za nic, Mości Atamanie! — mówił, a niemal błagalna prośba patrzała z jego oczu, siwych jak wiślana woda.

Koreła przekomarzał się jeszcze, jednakże wkońcu z bladym uśmiechem machnął ręką. Był już znużony. Przymknął powieki...

— Jest znowu od Moskwiczan jakaś *gramota!* — zawołał w tej chwili nadbiegający Doniec i podał Panu Staroście strzałę, okręconą zapisanym papierem.

Pan Ratomski począł go odwijać powoli i niedbale. Atoli zmienił się wyraz jego twarzy, gdy przeczytał pierwsze słowa.

— Car Borys nie żyje!... Zalała go krew... Pono trucizna...

Koreła aż się poderwał na noszach. Pan Starosta jeszcze raz zajrzał w pismo i zaciskając pod wiechami swych wąsów zęby, dodał opieszale głosem, zdławionym od wzruszenia:

— Wszelako na dzień przed swoją śmiercią kazał jeszcze utopić w rzece Pana Dworzyckiego i Pana Przeradowskiego za to, że nie chcieli przyjąć służb u niego...

XXX.

Czterej niemieccy *Herren Doctores* ze swego lekarskiego obowiązku byli obecni przy zgonie Borysa Godunowa. Niepomni swej napuszonej powagi, biegli, prześcigając się wzajemnie i plącząc się w fałdach swych powłóczystych szat, gdy ich wezwano śpiesznie do chorego Hospodara. Po drodze dowiedzieli się, że Car zaniemógł nagle podczas posłuchania posłów duńskich, którzy przyjechali z darami od swojego monarchy. W ogromnej sali, której wyzłocone mozaikami sklepienie wspierało się na jedynej, kształtnie z kamienia wyciosanej kolumnie, wrzało od zgiełku i zamieszania. Światło dzienne, co wnikało przez nieduże, barwistemi szybami mieniące się okna, ołowianą sinością powlekało szpetne, prostackie twarze kniaziów i bojarów. Wysokie, marmurkowe szłyki piętrzyły się na ich głowach niby starożytne, babilońskie czapy. Zapomnieli swej zwykłej, gnuśnej nieruchawości i wymachiwali zapalczywie ramionami, powłócząc po kobiercach *Granowitoj Pałaty* długimi rękawami swych pozłocistych szat. Z oczu, zerkających nieufnie złośliwym zezem, wyzierała im radość, już dłużej nie skrywana. Osobne koło tworzyli krępi, brodaci i brzuchaci kupcy, którzy gwarzyli, kiwając ociężale statecznymi łbami. Wyschły, napoły oślepły Patrjarcha Job, wspierając się na swych akolitach, wydawał już pocichu rozkazy, żeby w porę i zrzadka uderzono w jeden *kołokoł* jego cerkwi, bowiem w ten sposób miano zwyczaj obwieszczać ludowi śmierć carską.

Dokoła pozłocistego *prestołu* tłoczyło się kilku Godunowów, kilku Saburowów i Weliaminowów — sami krewni i powinowaci carscy. Car obsunął się ze swej stolicy, wijąc się w kurczach na jej stopniach, pokrytych złotogłowiem. Charczał i odpluwał krwią, co sączyła się mu ustami, nozdrzami i uszami, występując nawet kroplistym potem na czole oraz zapadłych już policzkach posiniałej twarzy. Z głowy mu spadła sobolowa tjara, spiętrzająca się potrójnym stożkiem i uwieńczona u szczytu złotą koroną. Na kwiecistej purpurze kobierca leżał obok niego posoch, wyrzezany mistrzowską ręką z rogu bajecznego jednorożca. Borys bezsilnymi palcami swej stygnącej ręki targał na piersiach wielki, złoty krzyż, jakgdyby chcąc rozszarpać pokrywę swego zamierającego serca, zakrzepłą od złota, pereł i klejnotów. Małżonka jego, Caryca Marja, trzymała jego głowę na swoich kolanach, zaś mistrz wszelkiej zbrodni, Semen Nikitowicz Godunow, obmywał mu czoło złościście haftowanym ręcznikiem, umaczanym w ustawionej obok, złotej misie. Przytulona do *prestołu*, cicho łkała Ksenia, trzymając za rękę młodszego od siebie brata, Fedora.

Herren Doctores przecisnęli się śpiesznie przez stłoczony tłum. Z uniżonymi pokłonami podbiegli skwapliwie do chorego. Dotknęli tętna jego rąk, obejrzeli jego sine usta, jego gasnące oczy i zapadłe skronie.

— *Hemorrhagia!* — rzekł poważnie przyciszonym głosem *Doctor* David Vasmar, *Lubecenses*, powiódłszy znacząco cebulastemi oczami po twarzach swych uczonych kolegów.

— *Hemorrhagia!* — powtórzył *Doctor* Johannes Hylchenius, *Rigensis*, i skinął potakująco łysawą głową.

— *Hemorrhagia!* — zabełkotali równocześnie *Doctor* Casparus Fiedlerus, *Regimontanus*, i Doctor Henricus Schroeder, który zawsze przemawiał ostatni, lubo także pochodził z Lubeki.

Jakby na umówiony znak skupili równocześnie swe głowy,

obracając je leniwie na białych otokach krez, i jęli coś szemrać między sobą po łacinie. Tym razem nikt na to nie zważał. Po chwili *Doctor* David Vasmar znów zabrał głos. Nieśpiesznie popłynęły jego słowa:

— Trzeba Miłościwego Cara i Hospodara Wszech Rosji przenieść do jego *pałaty*, rozdziać ze szat i ułożyć na posłaniu.

Powinni podźwignęli Borysa, poczem na noszach, uplecionych z własnych rąk, powoli i ostrożnie wynieśli go z *Granowitoj Pałaty*. Car rzęził, słaniając się bezwładnie. Krwawe plwociny zakrzepły mu na szpakowatej, krótko przystrzyżonej brodzie, zbroczyły szafiry jego krzyża i poplamiły skrawy przepych jego giermaka. *Herren Doctores* kroczyli obok, podtrzymując jego głowę i sącząc mu do rozwartych szeroko ust jakieś kordjały.

W łożu Car Borys mimo boleści, co skręcały jego trzewia, nieco oprzytomniał i błędnemi oczami rozejrzał się dokoła siebie. Ujrzawszy śród stłoczonych u drzwi dworzan wysoką postać Basmanowa, skinieniem powiek i ręki przywołał go ku sobie. Bojarzyn podszedłszy, przyklęknął u wezgłowia. Car nachylił ramieniem ku sobie jego junacką głowę, poczem urywanemi słowy jął szeptać mu do ucha błagalne prośby, żeby pamiętał o swem przyrzeczeniu i wziął w opiekę jego dzieci. Tymczasem sucha, wysmukła Caryca Marja, patrząc przenikliwie czarnemi, roziskrzonemi od łez źrenicami w blade oczy *Doctora* Vasmara, zapytywała zcicha:

— Co jest Miłościwemu Carowi i małżonkowi mojemu? Będzie-li żył?

— Ciężka to niemoc, Miłościwa Hosudaryni! Żywot Jego Hosudarskiej Mości jest w ręku Bożych — odrzekł wykrętnie uczony Niemiec, pochylając przed nią łysą głowę.

— Może mu wróg jakiś co zadał? — zagadnęła Caryca.

— Bardzo to możliwe, Miłościwa Hospodaryni. Ale my tutejszych czarów odczyniać nie umiemy.

— Od czegóż wy jesteście? — ofuknęła go pogardliwie, poczem odstąpiwszy, skinęła na pokojowca, któremu półgłosem wydała jakiś pilny rozkaz.

Sługa wymknął się na palcach, zamykając za sobą cicho boczne drzwi. Po chwili otwarły się one znowu. Car Borys z pod przymkniętych powiek ujrzał swych czarowników lapońskich, którzy mimo ciepłego dnia byli swoim zwyczajem zaszyci w kosmate futra. Podobnie jak doktorów niemieckich było ich czterech. Idąc, stąpali raczej na podobieństwo małp niż istot ludzkich. Na ich widok duchowni prawosławni jęli się żegnać ze zgorszeniem i grozą. Patrjarcha Job stuknięciem swego kostura dał im znak do wyjścia. W komnacie pozostali tylko dostojnicy świeccy. Z klęczek nie podniósł się jeszcze Basmanow, gdyż nie wiedział, czy mu powstać wolno. Caryca Marja, stojąc obok niego u wezgłowia, pochylała się nad swym małżonkiem niby ptak drapieżny. Charczał on, próżno zakrwawionemi ustami w skołatane płuca chwytając powietrze.

Na jej szorstki, rozkazujący znak *Herren Doctores* pokornie odstąpili od łoża. Miejsca ich zajęli czarodzieje lapońscy. Rozkołysawszy miarowo swe ciała, jęli szemrać nad Carem cudaczne zaklęcia, okadzając go ze swych małych, mosiężnych kadzielnic jakiemiś rybiemi ambrami. Wzbił się dym gęsty i duszący. Car zaniósł się chrapliwym kaszlem i rzygnął spienioną posoką. Palce jego jęły nieprzytomnie drzeć kołdrę, naszywaną perłami.

— Precz! Precz — krzyknęła Caryca na czarowników, rozpraszając rękami kłęby wonnego dymu. — Ratujcie go! — zawołała, zwracając się do niemieckich doktorów, którzy stali w kącie z obrażonemi minami.

Pierwszy przystąpił do Borysa *Doctor* Johannes Hylchenius. Delikatnie ujął carską rękę, lecz upuścił ją po krótkiej chwili.

— Nie pomogą tu szepty ni kadzidła. Pulsy uciekają...

Jedyna nadzieja w Bogu, Miłościwa Hosudaryni, — rzekł do Carycy. — Żadna siła ludzka już nie poradzi.

Nagłym odruchem kościstej ręki trzasnęła go Carowa w tłusty, czerstwy policzek i na cały głos poczęła wołać Patrjarchy Joba.

Widocznie spodziewał się on takiego końca, gdyż wszedł zaraz posuwistym krokiem, ubrany w uroczyste, cerkiewne szaty. Mając ku pomocy dwu brodatych, poważnych władyków, jął odprawiać święte obrzędy. Akolici pośpiesznie ogolili konającemu głowę, poczem przyodziali go w włosienicę mniszą. Przez cały czas Borys rzęził straszliwie, wijąc się w śmiertelnej męce. Nie poznawał już nikogo. Skonał i z krwawą pianą na ustach znieruchomiał w martwym bezwładzie, kiedy Patrjarcha wkładał na niego swe poświęcane ręce, nadając mu nowe, zakonne imię Miłego Bogu — *Bogolepa.*

Ponure milczenie przerwał nagle przeraźliwy wrzask Carycy, która jęła zawodzić, drąc włosy z głowy i tłukąc piersi pięściami. Obecni obsunęli się na kolana. Żegnali się raz po razu, szepcąc żarliwie modlitwy. Jednak po chwili prócz Carycy i osieroconych dzieci nie było przy zwłokach nikogo. Płaczki miały nadejść dopiero później.

Odchodząc, szepnął *Doctor* Casparus Fiedlerus do swych przyjaciół:

— *Intravit ut vulpes, regnavit ut leo, mortuus est ut canis.*

Poczem zaprosił ich do siebie na obiad, gdyż było już dobrze z południa i godziło się przepłukać gardła piwem po obrzydliwych, lapońskich kadzidłach.

Jeszcze nie zdążyli wsiąść na swe opasłe człapaki, gdy rozległy się nieczęste uderzenia ogromnego dzwonu, co posępnie zahuczał w jasnem, migotliwem przestworzu. Jadąc, usuwali się co chwila z drogi bojarom, pędzącym cwałem do dworzyszcza, oraz rotom *strieleckim,* które pośpieszyły wyciągniętym krokiem. Nie było już ich carskiego opiekuna, przeto bardzo

uniżenie zdejmowali przed wszystkimi kapelusze, atoli odpowiadały im tylko spojrzenia roztargnione lub niechętne. Moskwa nie lubiła cudzoziemców, zaś przedewszystkiem zauszników Godunowa. *Mir* miejski w brudnych *rubachach* i usmolonych kaftanach jął już gromadzić się tłumnie na podwórcach Kremla. Niemieckich doktorów kłuły zewsząd nienawistne oczy, lżyły plugawe wyzwiska i szydercze śmiechy. Z duszami na ramionach dojechali do swych dostatnio zagospodarowanych domostw, które sąsiadowały ze sobą.

Pogrzeb Cara Borysa odbył się z niezwyczajnym pośpiechem. Już w godzinę po śmierci umyli ciepłą wodą czerńcy jego zwłoki obrzękłe i nie do poznania zmienione, poczem urzędnicy dworscy przyoblekli je w koronacyjne szaty. Niewielu było takich, co przyszli do nieboszczyka z ostatniem pożegnaniem. Nazajutrz wczesnym rankiem udał się Patrjarcha Job do swojej cerkwi, aby *otpiewiat' po miortwom Wielikij Kanon*, zaś około południa Samodzierżca Wszech Rosji spoczywał już w podziemiach Wozneseńskiego Monasteru, gdzie znajdowały się groby Wielkich Kniaziów moskiewskich.

Pokrywając w sobie złe przeczucia całym wysiłkiem nieulękłej woli, z niezmierną powagą zasiadła popołudniu Caryca Marja pośrodku swych dzieci w *Granowitoj Pałatie*, żeby przyjąć od Panów Dumnych przysięgę wierności oraz ucałowanie krzyża. Krewni i powinowaci nieboszczyka uradzili naprędce, że pospołu z Patrjarchą Jobem miała ona sprawować rządy aż do pełnoletności prawowitego następcy tronu, pacholęcego Fedora. Siedząc prosto i nieruchomo na tronowem wzniesieniu, wyglądała niby śniada, zakrzepła w srogiem dostojeństwie Bogarodzica bizantyńska między dwoma jasnolicymi aniołami. Z barwnych mroków wyrzynały się ostro jej wyraziste, krogulcze rysy. Promienistemi, nieśmiałemi oczami trwożnej łani spoglądała Ksenia na opasłe, brodate cielska bojarów, którzy wedle swych godności całowali kolejno duży, złoty krzyż, podawany im przez długowłosego władykę. Ustę-

pując miejsca innym, którzy posuwali się za nimi nieprzerwanym sznurem, ukradkowym ruchem ręki ocierali oni sobie obwisłe wąsiska, jakby chcieli z ust zetrzeć to krzywoprzysiężne pocałowanie. Chmurne, wytlone od żądz oczy Carycy zwracały się nieustannie w stronę Piotra Basmanowa, który siedział na wąskiej ławie, okrytej kobiercem, igrając niedbale złotym łańcuchem, co zwisał z jego szyi. Niezmiernie podobała się jej jego dorodna, junacka postać. Mimo dorastających dzieci nie przestawała być młodą, zaś wrzątek niepohamowanej krwi szemrał jej w uszach, że mogłaby jeszcze dać mu szczęście swemi niesytemi pieszczotami, gdyby zechciał swem przeważnem ramieniem osłonić ją przed groźnem widziadłem Dymitra. Myśląc o tem, zerkała niepostrzeżenie na liljowe liczko Kseni, bowiem wąż zazdrości gryzł ją w niespokojne serce.

Atoli Piotr Fedorowicz czuł odrazę do carskiej wdowy i bynajmniej nie podobał sobie w jej córce. Powszechnie wiedziano w stołecznej Moskwie, iż wogóle lubił płeć białą, że jednak od pewnego czasu usidłała jego niestałe, lekkomyślne serce pewna cudzoziemska miłośnica, mocno już podstarzała i bynajmniej nie urodziwa. Zamieszkiwała ona w siedzibie wszelakich cudzoziemców, zwanej Kukujem albo Niemiecką Słobodą, nibyto jako siostra bogatego kupca hanzeatyckiego, który często bywał w Moskwie. Czterej *Herren Doctores* znali ją z widzenia i podpatrywali, jak Basmanow przyjeżdżał do jej dworca wieczorami. Natrząsali się tedy przy piwie z tego jego kochania, jednakże sędziwy Konrad Bussow brał go w obronę, odpowiadając na drwiny sentencjonalnie:

Qui amat ranam,
Ranam putat esse Dianam.

Długo trwało całowanie *chresta*. Wszelako już w kilka godzin później zebrali się znowu Bojarowie Dumni na naradę, tym razem w *Złotej Pałacie*. Przy świetle woskowych świec,

co płonęły żałobnie jak gromnice, zasiadła na pierwszem miejscu Caryca Marja, mając po swej prawicy Patrjarchę Joba. Sprawy nie cierpiały zwłoki. Coraz niepomyślniejsze wiadomości napływały z pod Kromów. Mimo wczesnej jeszcze wiosny, śród przymierających głodem chas poczęła się srożyć krwawa biegunka. Kniaź Mstisławski poróżnił się na zabój z bratem Borysa, Iwanem Godunowem, który także dowodził częścią wojska. Śród podwładnych bojarów nie ustawały również swary i kłótnie. Każdy z Panów Dumnych miał coś niedobrego do powiedzenia. Byli przepłoszeni. Znajdowały śród nich posłuch najniedorzeczniejsze plotki. Semen Nikitowicz, który przez swych *wiestowszczyków* wiedział wszystko, utyskiwał, że mimo pozornego spokoju *mir* coś knowa i hultajstwo się burzy. Caryca przysłuchiwała się z rozgorączkowanemi oczami. Ciemny rumieniec gniewu przemknął po jej szczupłej, smagłej twarzy. Odezwała się wyniośle:

— Na *mir* mamy *strielców* i polskie roty najemne. A tych swarliwych kniaziów odwołać zaraz z obozu wszystkich...

— Nie można, bo będzie obraza, Miłościwa Hosudaryni, — rzekł któryś z Weliaminowów, odsuwając ciężki szłyk na tył swej spoconej głowy.

W Carycy zagrała przebiegłość niewieścia.

— Można to zrobić nibyto dlatego, że są niezbędni w radzie — powiedziała.

— Odwołajmyż tedy Kniazia Mstisławskiego i Kniaziów Szujskich, bo ci najwięcej szkodzą, — doradzał Semen Godunow.

— Zaś ty na ich miejsce pojedziesz, Piotrze Fedorowiczu, — z niemal zalotnym uśmiechem zagadnęła Caryca Basmanowa, który siedział w milczeniu. — Pojedziesz, bo ja proszę, i każesz *chrest* na wierność ucałować wojsku. Usłucha cię, boś ty nasz bohater... A ja będę spokojna — nalegała ze skrywaną w głosie obietnicą.

Te słowa przemówiły do przekonania Bojarom Dumnym.

— Jedź, Piotrze Fedorowiczu, jedź! — odezwały się mrukliwe głosy tych, co wszędzie mają zwyczaj chować się za cudzemi plecami. — Tyś chrobry! Ty ze wszystkiem dasz sobie radę.

— Rozbójnika dońskiego każesz wbić na pal — przemówił ktoś głośniej.

— A przeklętnika Łże-Dymitra przyprowadzisz nam jak psa na łańcuchu — zawtórował drugi.

Poigramy my z nim — zarechotali inni.

Basmanow nie kazał się prosić, bo pochlebiła mu ta jednomyślność. Z miłym uśmiechem na swej rabej twarzy składał ręce na piersiach, kłoniąc się nisko i pokornie.

— Poprzysięgłem nieboszczykowi Hosudarowi i na Boga, przysięgi dotrzymam — zapewniał, całując *chrest* pobożnie.

Wspaniałą, wyzłoconą kolemagą powróciła Caryca Marja z tej narady, co przeciągnęła się do późnej nocy. Jej posępne przeczucia się rozwiały. Jej sroga, namiętna dusza wezbrała chełpliwością pychy, ufnej w swe siły. Nie schodził jej z myśli Basmanow. Był piękny jak święty Jerzy na cudownej ikonie cerkiewnej. Nie wątpiła, że zaprowadzi ład w wojsku, zdobędzie Kromy i pokona Dymitra. Może nawet zdoła go wziąć w łyka... Z jakichś nici, niklejszych od pajęczyny, lecz splatających się w mocne, płomieniste pasma, dzierzgała już w ciemności sieci, któremi zamierzała omotać Piotra Fedorowicza. Niecierpliwie i gniewnie oburknęła Ksenię, która nawpół rozebrana wybiegła na jej spotkanie, oplatając jej szyję łabędziemi ramionami. Ta dziewczyna uprzykrzyła się jej swoją nieziemską urodą. Trzeba będzie co rychlej jej się pozbyć, wydać ją za mąż za jakiegoś cudzoziemca. Może za polskiego króla... Mądrze poradzi Piotr Fedorowicz, gdy zostanie jej kochankiem... Układając się do snu w swem wdowiem łożu, przypomniała sobie Patrjarchę Joba i zachychotała w duchu. Wybornie dobrali jej opiekuna, bo ledwie powłóczy nogami i jest prawie ślepy.

Spała nietroskliwie, mocno i długo. Dzień następny upłynął jej na rojeniach, co krążyły w jej popędliwej krwi niby płomyki lubego czaru. Właściwie już oddawna nie miała męża. Pod wieczór przebrała się w zgrzebną płótniankę swej najlichszej służebnicy i tylko z dwoma zaufanymi *strielcami*, którzy dla niepoznaki trzymali się od niej zdaleka, poszła pieszo o zmierzchu do Jeleny Jurodliwoj. Chciała się dowiedzieć, co ją czeka. Wróżka, otulona jak zwykle w siermiężne łachmany zakonnej szaty, siedziała skulona w swej pieczarze przy ognisku, którego dym ulatał kłębami przez drzwi otwarte na oścież. W czerwonej łunie ognia była podobna do jędzy piekielnej. Na widok zbliżającej się Carycy ze zgrozą podniosła w górę ramiona, suche jak obumarłe badyle.

— Precz! nie zbliżaj się, przeklęta! — zaskrzeczała, zrywając się i uchodząc w głąb jaskini. — Nie utaisz ty przed Bogiem swoich podłych myśli, Marjo Grigorjewno, córko Maluty Skuratowa i wdowo po Carze Borysie! Rychła zguba twoja i twojego syna! Bliskie pohańbienie córki twojej!

Caryca była bardzo zabobonna. Lęk zatętnił jej w skroniach, zadrżały pod nią struchlałe kolana. Zawróciła, nie przemówiwszy ani słowa.

Tymczasem Piotr Fedorowicz Basmanow w *gornicy* swego bojarskiego dworca ugaszczał lubego przyjaciela, Awramiego Bachmatiewa. Było bardzo ciepło, przeto zdjęli ze siebie żupany i pozostali tylko w *rubaszkach*, wyszywanych pstrymi jedwabiami. Obaj zajadali z jednej misy jakieś mięsiwo, dymiące się smakowicie, składając ogryzione kości na kwieciście haftowanym obrusie. Gęsto przypijali do siebie gorzałką, którą czerpali z dużej wazy cynowej. Awrami Bachmatiew miał czuprynę jasną, jak len. Dzioby po niedawno przebytej ospie szpeciły jego płaską, młodą twarz. Jadł dużo i pił chciwie.

— Ty mój druh i mnie miłujesz — prawda, Awrami Wasilewiczu? — zagadnął go Basmanow.

— Ty wiesz, Piotrze Fedorowiczu, — odrzekł ospowaty

bojarzyn. — *Chrest* ci na to ucałuję — i sięgnął po krzyż, zawieszony na szyi.

— Nie całuj ty *chresta!* Obrzydliwie łatwo u nas go się całuje. Lepiej ucałuj ty mnie — rzekł ulubieniec Marji Grigorjewny, podnosząc się z ławy, żeby uściskać przyjaciela.

Obaj sapnęli z rozrzewnienia. Poczem Basmanow, nie wypuszczając z objęć Awramiego, począł mu szeptem mówić do ucha:

— Ważną rzecz ci powiem, ale ty milcz jak grób. Bojarowie Dumni uradzili, żeby mnie posłać pod Kromy i uczynić wojewodą nad wszystkiemi wojskami. Mają, co prawda, pozostać ze mną Iwan Iwanowicz Godunow i Kniaź Golicyn, lecz to tylko dlatego, żeby nie ponieśli ujmy na swej czci. W rzeczy samej ja będę miał władzę w ręku, bo wojsko mnie lubi, a ich nie. Ty wiesz, co myślę o tych kniaziach i bojarach, którzy do niedawna pomiatali mną jak psem, jako że wyszedłem z niskiego stanu. Teraz ja dla nich sławny i chrobry, gdyż boją się tego polskiego Dymitra i mnie potrzebują. Ale niechajbym go pobił, zobaczyłbyś! Utopiliby mnie pod lodem lub sprzątnęli trucizną, bo byłbym niewygodny, że wyrosłem im nad głowy. Słucham wszystkiego, co kładą mi w uszy, ale myślę po swojemu. To łgarstwo, że ten Dymitr z Putywla nie jest synem Iwana Wasilewicza! Sam Semen Nikitowicz Godunow powiedział mi, iż śniło się mu, że jest prawdziwy. A ja w sny wierzę... Gdyby jednak było inaczej, to i co? Co mnie to obchodzi? Ten Dymitr godny i mężny junak i tak samo obcy w tym świecie jak ja. Byłoby nam we dwójkę dobrze. A tobie także. Nie chce się mi wysługiwać temu dzieciuchowi, Fed'ce, co to ni z pierza ni z mięsa, i jego macierzy. To jakaś straszna wiedźma. Chuda i lubieżna jak wilczyca. Czart ją bierz! Pojutrze muszę wyruszyć. Śpieszno im. Metropolita nowogrodzki, Izydor, który ma pojechać ze mną dla odebrania przysięgi od wojska, już jest gotów do drogi. Wiesz ty co? Jeszcze dzisiejszej nocy jedź chyłkiem do Putywla. Listów

żadnych ci nie dam, bo mogłyby, uchowaj Boże, wpaść w ręce *wiestowszczyków* Semena Nikitowicza, którzy wszystkich przetrząsają po drogach. Dla ciebie i dla mnie byłoby gotowe nieszczęście. Zresztą nie będą ci potrzebne, gdy uderzysz czołem Dymitrowi Iwanowiczowi i opowiesz mu o niesławnej śmierci Borysa. Ozłoci cię, tak się ucieszy! Mów o tem przy wszystkich, zaofiaruj mu swoje służby. Zaś pocichu, w cztery oczy, powiedz ty mu, że ja wierny chłop jego i uczynię wszystko, żeby zhołdować mu wojsko. Pamiętaj, żebyś przed nikim innym się nie zdradził! Pocałuj mnie!

Bachmetiew aż zaszlochał ze wzruszenia. Ucałowali się znowu i zapili tajemnicę wódką.

XXXI.

Piotr Fedorowicz Basmanow nie pojmował, że radość, która przepełniała mu piersi, była radością promienistego słońca i gajów, umajonych wiosenną zielenią. Wietrzne myśli śpiewały mu jak skowronki. Atoli jemu wydawało się, że jest to tylko pośpiew długo powściąganej zemsty, której wreszcie będzie mógł dać ujście.

Z kilku młodymi bojarami, którzy brali zazwyczaj udział w jego rozuzdanych hulankach, jechał na czele mnogiego, złotogłowiem i bechterami połyskującego orszaku, pozwalając niewygodnemu pojazdowi moskiewskiemu wytrząsać stare, świątobliwe kości Metropolity Nowogrodzkiego. Uprzykrzył się mu ten zgryźliwy zrzęda, a nie było już obawy, żeby miał mu stanąć na przeszkodzie. Bowiem Piotr Fedorowicz umotał go w sieci swej przebiegłej wymowy. Zdołał go przekonać, że nie licowałoby z prawdą i uwłaczałoby świętości przysięgi, gdyby jej uroczyste słowa, które z namaszczeniem cerkiewnych obrzędów miano wygłosić niepoliczonemu wojsku, piętnowały nadal Dymitra, jako swawolnego mnicha, Griszkę Otrepiewa. Swym w podstępach ćwiczonym rozumem wymiarkował on zawczasu, że śród nieufnej zgrai moskiewskiej pominięcie to musi wywołać wątpliwości i podejrzenia, przez co ułatwi mu wielce dzieło zemsty. Metropolita zrazu nie wiedział, co począć. Długo się kłopotał, kręcąc zatroskaną głową, aż wkońcu musiał przyznać Basmanowowi słuszność, ponieważ wszyscy znali w Moskwie nikczemną postać złajdaczonego czerńca i żadną żywą miarą nie mogli uwierzyć, żeby ten *wołokita*

miał być podmówionym przez Polaków hultajem, który chciał uchodzić za syna i dziedzica straszliwego Iwana Wasilewicza.

W obozach pod Kromami niechętnie powitano nowego wodza, chociaż nie obeszło się bez zwyczajnych u Moskwy pocałunków. Zrazu mienił się na twarzy pyszny Kniaź Mstisławski i zżymał się gniewnie gdyby na jakąś zniewagę brat Borysów, Iwan Iwanowicz Godunow. Z nierównie większą uległością poddali się rozkazom Panów Dumnych obaj Kniaziowie Szujscy, gdyż pozostawali od pewnego czasu w tajnej zmowie z Dymitrem i woleli spokojnie przebywać w Moskwie, niż narażać swe gardła podczas rozruchów, na które zanosiło się już w podburzonem i wygłodzonem wojsku. Nie uskarżał się również Kniaź Golicyn, ponieważ jakiemiś niewiadomemi drogami zdążył się dowiedzieć, że pozostanie nadal na swem stanowisku. Zgoda nastąpiła dopiero wtedy, gdy Metropolita Nowogrodzki zaklął Kniazia Mstisławskiego na wszystkie świętości, żeby objął przewodnictwo nad Bojarami Dumnymi, którzy bez niego są jak bez głowy. Po długich targach i swarach podzielili ostatecznie między siebie dowództwo Basmanow, Kniaź Golicyn i Iwan Iwanowicz Godunow. Mimo to ten ostatni wciąż jeszcze był markotny i ze swych chas, rozłożonych po drugiej stronie rzeki, utworzył jakby osobne wojsko, które zależało tylko od niego.

Bez oporu i szemrania odbyło się zaprzysiężenie wojowników moskiewskich. Tłuszcze ślubowały ochoczo synowi Borysowemu. Bojarowie mieli tak uroczyste miny, jakby przyjmowali Sakrament święty. Okrzyk na cześć nowego Hospodara, Fedora, obił się gromko o wały twierdzy kromskiej. Griszka Otrepiew, który, przebrany za czerńca, wałęsał się po obozach, powtarzał:

— Wziął Bóg cara, dał Bóg cara!

Mrugał przytem znacząco swemi łotrowskiemi oczami na *mużyków*, otumanionych wspaniałymi obrzędami, popijając owsianą gorzałkę, którą szczodrze częstowali wojewodowie za

zdrowie Fed'ki, bo tak trochę pieszczotliwie a trochę lekceważąco nazywały chasy swego nieletniego Hospodara.

Wojewodowie obchodzili tę uroczystość niemniej zapamiętałem pijaństwem. Pili nie jak czerń żołnierska pod wolnem niebem, ale także pili wódkę. Pod wieczór, gdy Basmanow wychodził ze swego namiotu, świsnęła strzała i utkwiła w pobliskiem drzewie. Było to posłanie od Atamana Korely, który już wiedział o jego nowej godności. Życząc mu dobrego zdrowia, zaręczał, iż nie będzie się mu naprzykrzał wycieczkami, o ile sam nie będzie napastowany.

Basmanow, który polecił swemu zaufanemu djakowi odczytać w skrytości to pismo, uśmiechnął się pod wąsem, dowiedziawszy się o jego treści.

Niepotrzebnie lękali się *gołowowie* i setnicy, iż okaże się wymagającym i surowym wodzem, skłonnym do rozlewu krwi i zaboju. Chasy spiskowały, rozbiegały się lub wymierały, a Piotr Fedorowicz był głuchy i ślepy na wszystko. Rzeka wystąpiła z brzegów, więc zajmował się zabezpieczeniem obozu przed powodzią. Nie widywał się prawie z Iwanem Godunowem, który rzadko przekraczał most, łączący obozy. Za to pokumał się ze swoim najbliższym towarzyszem, Kniaziem Iwanem Golicynem.

Twarz tego możnego bojarzyna, niby latarnia zawieszona w gąszczu, tonęła w kudłach ogromnej, czarnej brody, rozkładającej się na podobieństwo rozpostartych skrzydeł kruczych. Niejako podtrzymywała ona jego tłuste, obwisłe policzki, oddzielając je zarazem od kałduniska grubego i ciężkiego, ociekającego złotem. Małe, czarne oczy niby dwa wartkie ogniki migotały po dwu stronach bulwiastego nosa, zaklęsłego pośrodku i zadartego na końcu. Wielkie, odstające uszy tworzyły jakby drugą parę skrzydeł. Wyraz oblicza miał srogi i odpychający, lecz głos jego płynął miodem.

— Ja nie druh tego jakiegoś Dymitra, alem i nie jego wróg — zwierzał się przy kieliszku. — Syn carski — to pe-

wna. Głowę bym dał! Długo nękał i trapił go ten piekielnik, Borys. Nu, lecz teraz chyba będzie koniec — i pytająco patrzał w chłodne, obojętne oczy Basmanowa, wyciagając go na słówka.

Piotr Fedorowicz był zrazu ostrożny; zbywał go ni tem ni owem. Jednak wkońcu zaufał nienawiści, co ziała ze słów Kniazia niby dym gryzący.

Odtąd naradzali się razem. O pozyskaniu Iwana Godunowa, który miał tatarską twarz i tatarską dzikość, nie mogło być mowy. Na szczęście, niestraszne były jego zgraje schorowane i napoły nagie. Jedynymi groźnymi przeciwnikami którzy mogli pokrzyżować ich knowania, byli najemnicy cudzoziemscy. Po dawnemu dowodzili nimi *Capitaine* Jacques Margeret oraz Inflantczyk Walter von Rosen, który zbiegł z dzierżaw polskich. Basmanow miał już czas przeniknąć ich obu. Szczera dusza szczupłego, ruchliwego i rycerskiego Francuza nie była przystępna zdradzie. Na samą wzmiankę o niej jego czarne źrenice zapalały się ogniem. Jak na dziwowisko patrzyli wojewodowie moskiewscy na tego cudzoziemca, który tak wysoce cenił swoją cześć żołnierską, i poza oczy naśmiewali się z niego, spluwając pogardliwie. Walter von Rosen był dużo bliższy ich sercu. Miał pospólne z nimi obyczaje, lubił pić bez miary, zaś nadewszystko lubił dziengi moskiewskie. Z uniżonością, co nie licowała bynajmniej z jego zwalistą postacią, siwymi włosami, zjeżonymi jak szczotka, oraz szeroką, rozlaną twarzą, wszedł do namiotu Basmanowa, który rozkazał wezwać go do siebie. Piotr Fedorowicz klasnął hałaśliwie w dłonie. Sługa, odziany w bagazyjowy kubraczek, podał bez pytania srebrną flaszę z gorzałką oraz dwa srebrne kubki. Bez wódki nie było u Moskwy rozmowy. Przypili do siebie kilka razy i rozwiązały się im języki. Basmanow gawędząc, rzucił niedbale na stół trzos, który brzęknął dukatami, otrzymanymi niedawno za wierność od Borysa. Walter von Rosen wytrzeszczył na niego szare, czcze oczy.

— Żołd już zapłacony — przemówił wojewoda moskiewski. — Ale ja hojny i nie pożałuję grosza, tylko trzeba mnie słuchać...

— Ja zawsze gotów do usług — odezwał się chrapliwie Walter von Rosen. — Wierny ja sługa Jego Carskiej Miłości, naszego Hosudara...

— Ale którego? — zagadnął wręcz Basmanow, wpijając w niego drapieżne spojrzenie. — Bo naszym prawowitym panem nie jest Fed'ka Borysowicz...

Niemiec drgnął i ociężałym ruchem poprawił się na ławce. Chytry uśmiech przemknął po jego ustach.

— Któż tedy? — zapytał, udając, że nie rozumie. — Bo niedawno przysięgaliśmy jemu.

— Przysięgaliśmy, gdyż tak na razie było potrzeba, — odparł niedbale Basmanow, nachylając do ust kubek. — Ale stało się to po *griechu*. Wiadomo tobie, kapitanie, i już wiadomo wszystkiej ziemi rosyjskiej, że jest nim syn nieboszczyka Iwana Wasilewicza, Carewicz Dymitr.

Nastała chwila milczenia, von Rosen sapnął głośno.

— Ja zawsze chętny do usług. Słucham, kogo mój wódz słuchać mi rozkaże — przemówił. — Który jest prawdziwy a który nieprawdziwy, to nie moja rzecz.

Piotr Fedorowicz zaśmiał się.

— Dobrze mówisz! To nie twoja rzecz. Weźże dziengi, a pamiętaj, żeby twoi Niemcy nie mieszali się do niczego.

Von Rosen sięgnął skwapliwie po trzos i ukrył go kędyś w swoich pludrach. Następnie odezwał się:

— Ale ja za tego Margeret'a nie ręczę. To niepewny człowiek. Nie nasz, całkiem nie nasz! A lubią go jego żołnierze.

— Pomyślę o nim — zbył go Basmanow. — Niewielu ma pod sobą... Byleś ty był pewny.

— Na moją cześć rycerską, na moje uczciwe imię! — zaklął się Niemiec.

Piotr Fedorowicz ruszył niecierpliwie ramionami. Pojęcia te były mu zupełnie obce.

Nie bez szemrania i nie bez siarczystych klątw pod szpakowatym wąsem opuszczał wnet potem *Capitaine* Margeret swój już dobrze zagospodarowany kącik w samym środku obozu, przenosząc się z rozkazu Basmanowa na skrajne jego skrzydło, najdalej wysunięte ku stołecznej Moskwie. Wojewoda tłumaczył to swoje zarządzenie obawą przed polskimi najeznikami Dymitra, którzy jakoby znowu jęli się wieszać na tyłach wojsk moskiewskich.

Słowa te dziwnie rychło znalazły potwierdzenie. *Capitaine* nie zdążył jeszcze rozłożyć się na nowem stanowisku, gdy kilku jego Szkotów, wysłanych na przewiady, przyprowadziło przed jego marsowe oblicze *Piatigorca*, który niejako sam wpadł im w ręce, lubo usiłował bronić się zaciekle. Był to rosły, piękny junak w obcisłym, krótkim kaftanie, spiętym w pasie rzemieniem, nabijanym srebrnemi świecidłami. Dziko spoglądał z podełba i nie odpowiadał na pytania, dając na migi do zrozumienia, że nie zna mowy rosyjskiej. Szkoci rozdziali go do naga i przetrząsnęli jego odzież. Po długiem szukaniu, w utajonej misternie skrytce jego rzemiennego pasa, znaleźli złożony starannie skrawek papieru, który z tryumfem oddali swemu dowódcy. Był to list Dymitra do Atamana Korełу. Carewicz zapowiadał mu rychłe wyzwolenie, donosząc zarazem, że już nadciąga jego straż przednia, złożona z dwu tysięcy kopijników polskich i ośmiu tysięcy Kozaków. W ślad za nimi miało pośpieszyć czterdzieści tysięcy doborowego rycerstwa polskiego, które rzekomo znajdowało się już tylko o szesnaście mil od Putywla. *Capitaine* odesłał list razem z jeńcem do Basmanowa, który zamknął się z Piatigorcem, żeby wybadać go na osobności. Obeszło się bez spytek i nawet bez nahajki. Najpotoczniejszym językiem rosyjskim wyznał jeniec, że należy do nielicznego podjazdu rotmistrza polskiego, Pana Zapor-

skiego, który wręczył mu to pismo, pouczył, co ma z niem zrobić, i nakazał mu, żeby niby przypadkiem dał się wziąć w łyka.

Piotr Fedorowicz nie był w ciemię bity, jakoż w okamgnieniu zrozumiał korzyści tego podstępu. Piatigorca hojnie wynagrodził, nakazując mu kamienne milczenie. Natychmiast zwołał wszystką starszyznę na wielką radę wojenną, pominąwszy jednakże Iwana Iwanowicza Godunowa. Stroskanym głosem oznajmił, co zaszło, poczem dał rozkaz djakowi, żeby odczytał rzekomą *gramotę* Carewicza Dymitra. Jedni słuchali jej z trwogą szczerą, drudzy z udaną. Bojarowie obiema rękami chwytali się za głowy na myśl o tem, co będzie. Mimo ogromnej mnogości wojsk niepodobna było wdawać się w bitwę. Kniaź Golicyn, który bez słów porozumiał się z Basmanowem, targał z boleści swą rozwianą brodę proroka, zaklinając się, że gotów przelać ostatnią kroplę krwi za Cara i Hospodara Fedora Borysowicza, ale że wojsko pierzchnie, niestety, za pierwszym strzałem lub, uchowaj Boże, przejdzie na stronę nieprzyjaciela. *Capitaine* Jacques Margeret osłupiał ze zdumienia, usłyszawszy, jak Walter von Rosen jął biadać, że żołnierze jego nie mają prochów ni ołowiów. Wiedział, jak obficie były zaopatrzone we wszystko kompanje niemieckie, nie śmiał atoli zaprzeczyć swemu zwierzchnikowi, który posiadał zupełne zaufanie wojewodów moskiewskich. Narada trwała długo, jednak skończyła się na niczem. Aby odwlec rozstrzygnięcie i umyć ręce od odpowiedzialności, postanowiono natychmiast wysłać do Moskwy gońców po rozkazy. Tymczasem śród chas, zrozpaczonych i rozdwojonych niepewnością, szerzył się popłoch jak pożar. Między nędznemi kleciami, uwitemi z chróstu, jęli gromadnie wiecować brodaci wojownicy moskiewscy, łamiąc sobie głowy, dlaczego ich wodzowie przestali nagle piętnować Dymitra jako czerńca Rozstrygę. Griszka Otrepiew, który był wszędzie i wszędy miał swych popleczników, puszył się jak paw, chychocząc zcicha i złośliwie. Kiedy zaś wzburzenie brało górę i oczy poczynały zabiegać krwią,

niby opętany wieszczym duchem wróżbita wznosił swe chude ramiona w niebo, przepowiadając bliski dzień sądu i straszną pomstę tym wszystkim, którzy jeszcze nie chcą uwierzyć, że Dymitr jest prawdziwie potomkiem i dziedzicem przesławnych carów moskiewskich. Nikt nie ważył się podnieść na niego ręki, bowiem chciwie słuchały słów jego rzesze, a lęk przed straszliwem rycerstwem polskiem dopełniał miary.

Pojmany przez Szkotów Piatigorzec już najbliższej nocy powrócił zdrowo i bezpiecznie do podjazdu Pana Zaporskiego, który przyczaił się w lasach, czekając, co dalej począć wypadnie. Z zadowoleniem poklepał on łaskawie swego wysłannika po ramieniu, chwaląc jego dzielność i zręczność, nie dał jednak poznać po sobie radości z listu, który tenże doręczył mu od Basmanowa. Wojewoda moskiewski pozdrawiał polskiego rotmistrza jako swego towarzysza broni. Prosił go, aby skoro dzień uderzył bez wahania na jego obóz, nie obawiając się większego oporu. Ataman Koreła, którego już zawiadomił o wszystkiem, wtargnie równocześnie z jam kromskich na czele swej dońskiej watahy. Nieliczni stronnicy Fed'ki potracili doszczętnie głowy, zaś Iwan Godunow, który stroni od ludzi, nie domyśla się niczego.

Pan Zaporski był chciwy rycerskiej sławy, przeto do samego świtu nie zmrużył oka. Rad był, gdy w szarym jeszcze brzasku zadzwoniły najpierwsze świegoty ptaszęce. Postanowił uderzyć szeroką ławą. Kopijnicy polscy utworzyli środek, zaś Piatigorcy stanęli na skrzydłach. Wywiadowcy, wysłani przodem, donieśli, że czaty moskiewskie spokojnie drzemią, a w obozowisku nie znać ruchu.

Żołnierze byli zdumieni, że obrócono ich twarzą przeciwko całej potędze moskiewskiej, nie śmieli jednak zagadnąć o nic swego rotmistrza, który wyszedł z pod twardej ręki Pana Dworzyckiego, był nieco mrukiem i nie lubił być pytanym, zwłaszcza gdy nie był usposobiony do odpowiedzi. Atoli tym razem sam uznał widocznie, że nie godzi się trzymać rycer-

stwa w niepewności, gdyż wyjechał przed szeregi i zagaił krótko:

— Odwagi, panowie bracia! Moskwa liczna, ale nie straszna. Sami nas zapraszają, żeby śród nich zrobić porządek.

Zaczem skinieniem szabli dał znak do pochodu, zły na siebie, że tak szeroce się rozgadał.

Stępa ruszyły roty, co jeszcze napoły kryły się pod rozłożystymi konarami dąbrowy. Przed niemi roztaczał się otworzysty przestwór zielonych łęgów, poprzerywany uroczo kępami gajów oraz utajonemi śród chaszczy łożyskami wiosennych strumieni. Konie stąpały cicho po ziemi mszystej i podmokłej od wód podskórnych, Cisza dzwoniła śpiewem ptaszęcym. Z traw wyjrzały niekiedy słuchy przycupniętego szaraka lub pierzchły spłoszone sarny. Po błotach brodziły już bociany. Ranek był raczej do kochania niż do boju.

Pan Zaporski zabronił używać kopij. Rycerstwo miało wpaść na karki moskiewskie z gołą szablą w ręku. Dopiero na kilkoro strzelania z łuku od obozu moskiewskiego ruszyły konie cwałem. Gromko huknął odzew polski: Jezus, Marja! Bij, zabij! — jednak wrychle rozpłynął się w groźnym, niezrozumiałym okrzyku bojowym Piatigorców, którzy byli kilkakrotnie liczniejsi.

Czaty moskiewskie nawróciły śpiesznie konie i popędziły w głąb swego obozu, napełniając go zgiełkiem i strzelaniem na trwogę. Leniwie gromadziły się pod broń roty. Objawiająca się u niektórych pozorna ochoczość, była w rzeczywistości jałową krętaniną. Synowie bojarscy najeżdżali na siebie końmi, chasy piesze wrzeszczały, potrącając się w szeregach. Nikt nie chciał być na przedzie. Czekano wojewody, wszelako ten, niewidoczny w tłumie swych przyjaciół wszystkiego świadomych, bałamutnymi rozkazami jeszcze powiększał zamęt. Niemcy z półhakami, gotowymi do strzału, ustawili się dokoła swych namiotów, nie rozwijając się wcale w szyk bojowy.

Od nadbiegającego pędem hufca Pana Zaporskiego za-

wiewał wiatr jak od nawalnej burzy. Migotliwie zalśniły krzywe szable. W zębach Piatigorców błyskały handziary. Niektóre gorętsze roty moskiewskie ruszyły przeciw najeznikom z kopyta, jednak zachwiały się, ponieważ od strony twierdzy kromskiej jęły grzechotać wściekle piszczele Dońców, którzy również przeszli do natarcia.

Dopiero wówczas śród kotłujących się bezładnie chas moskiewskich powiała trzechkrotnie wielka, złota chorągiew z świętym Jerzym. Był to umówiony znak dla Pana Zaporskiego. Rozległ się przeciągły świst gwizdawek. Rozpędzeni jeźdźcy jęli powściągać konie i osadzać je w biegu. Niby spiętrzona fala stężeli nad głowami pieszych *strielców*, którzy zdążyli wreszcie stanąć w szeregach, lecz nie mieli jeszcze rozkazu, żeby dać ognia.

Natarczywie i niesfornie, z wielu stron naraz, zadudniły bębny, wielkie jak antały winne. Jedne biły na pobudkę, inne odwoływały z pola. Rozruch jeszcze się powiększył. Basmanow wychynął wreszcie z czeredy swych pancernych bojarów. Rozmigotany w słońcu od swej zbroicy i pozłocistego kwiecia strojnej ferezji, ruszył kłusem przed siebie z wzniesioną szablą w dłoni, obwołując potężnym głosem Dymitra Iwanowicza Hosudarem Wszech Rosji i wzywając wszystkich do ucałowania mu *chresta*. Na to wołanie odpowiedział mu opętańczy zamęt wrzasków. Ze zdumieniem, uwielbieniem, przerażeniem, wściekłością i osłupieniem wpiło się w niego tysiące oczu wytrzeszczonych i dziko rozgorzałych. Grube jak pnie, obnażone ramiona napinały groźnie cięciwy swych łuków, ale opadały bezsilnie pod jego władczem spojrzeniem. Pod rozchełstanemi, zgrzebnemi *rubachami* dyszały ciężko szerokie, włochate piersi, uciśnione gniewem lub trwogą. Głupkowato ziały rozdziawione gęby. Jedni rozglądali się nieporadnie dokoła siebie, jakby szukając oparcia, drudzy padali na kolana i odkładając swe kiścienie, żegnali się bez przystanku, wreszcie inni, pamiętni jeszcze swej niedawnej przysięgi, cisnęli się do-

koła Metropolity Nowogrodzkiego, który ukazał się przed swym namiotem z pasterskim posochem w ręku. Na gromowe wołanie Basmanowa jego starczy, rozbity głos odpowiedział słabym okrzykiem, sławiącym Fedora Borysowicza. Nieśmiało zawtórowały mu inne, ścichły jednak rychło w zgiełku kipiącej od wzburzenia ciżby. Griszka Otrepiew, w którym to zamieszanie uzuchwaliło zbrodnicze popędy, zebrał naprędce szajkę podobnych sobie *wołokitów* i jął podkładać cichaczem ogień pod opuszczone szatry, grabiąc przytem, co mu pod rękę popadło. Śród dymów, co burymi, mrocznymi tumanami rozwlokły się po obozowisku, zamajaczyły z oddali nadbiegające hurmem postacie Dońców Korely. Równocześnie Pan Zaporski nie zdołał już dłużej utrzymać w ryzach swych Piatigorców, którzy runęli zapalczywie naprzód, rozrywając wątłą zaporę struchlałych szeregów *strieleckich*. Porwana wojowniczym zapałem, nie dała się im wyprzedzić rota kopijników polskich. Moskwie wydało się, że pod jej stopami usuwa się ziemia. Niepoliczone chasy skłębiły się niby kurz, wzbity wichrem na drodze. Pękły ostatnie wiązadła karności i ładu. Doszczętnie rozluźniły się pułki, pomieszali się piesi z jezdnymi. Jedynie stronnicy Dymitra zwierali się w coraz gęstsze i rządniejsze szyki dokoła złotej chorągwi ze św. Jerzym. Naciskany przez nich Metropolita Nowogrodzki rychło zwątlał na duchu, widząc zapalone gniewem twarze i podniesione do cięcia szable. Nie zachciewało się mu bynajmniej męczeńskiej korony. Zrazu półgębkiem, potem coraz śmielej jął oświadczać się za Dymitrem, kiedy zaś Basmanow srogo huknął na niego, rozkazał potulnie swym władykom i popom, żeby podawali krzyże do ucałowania na wierność synowi Iwanowemu. Nieporuszeni stali tylko Niemcy. Swąd lontów zalatywał od ich milczących, gęstych szeregów. Byli jakby urwistą, niedostępną skałą, dokoła której bezsilnie i tchórzliwie chybotało morze dziczy moskiewskiej. Basmanow w pewnej chwili rzucił okiem w ich stronę i wlot zrozumiał, że mogą mu oni zapewnić

ostateczną przewagę. Niecierpliwie skinął na bojarzyna przybocznego.

— Jedź do tego starego Niemca — rzekł, wskazując szablą von Rosena, — i powiedz mu odemnie, żeby zaraz przyłączył się do nas.

Bojarzyn śpiesznie wykonał rozkaz. Atoli wódz niemiecki zbył go wykrętną odpowiedzią:

— Dałem słowo rycerskie nie mieszać się do niczego. Nie pozwala mi sumienie przelewać w wojnie domowej krwi rosyjskiej.

Poseł przedarł się przez ciżbę z powrotem i powtórzył wojewodzie te jego słowa. Basmanow żachnął się popędliwie. Wściekłością zamigotały jego zimne, stalowe oczy. Zerwał błyskotny hełm ze swej głowy i wręczając go bojarzynowi, kazał zagrozić Niemcom srogim gniewem Dymitra, który już nadciąga z rycerstwem polskiem. Walter von Rosen, który chciał dla siebie i swoich zaciężników wytargować nowe korzyści, zrozumiał, że przebrał miarę. Był sam ze swym hufcem w dalekim, wrogim kraju, zaś ciężką rękę polską znał już z inflanckiej wojny. Nie ociągając się dłużej, podjechał do Basmanowa na swej wielkiej, siwej kobyle i oddał mu pokłon pochyleniem swego miecza. Chrapliwie i nieszczerze brzmiały jego słowa, gdy wznosił okrzyk na cześć Dymitra. Trzechkrotnie powtórzyło go najemne żołnierstwo, zaś zgodny i potężny chór ich szorstkich głosów zachwiał ostatkiem męstwa w sercach stronników pacholęcego Fed'ki. Wydawało się im, że są okrążeni przez Polaków i przez Niemców. Pierzchali śród przeraźliwych wrzasków, rzucając po drodze broń i odzienie. Pędem uchodziło tysiące synów bojarskich, przyległszy trwożnie do rozwianych grzyw swych koni. Na bezdrożnych manowcach przewracały się kolemagi kniaziowskie i drabiniaste wozy. Ubogie chłopstwo brnęło na oślep po pas i po szyję w grząskich bajorach, co od trzęsawisk i wezbranej rzeki rozlały się ogromnie po zielonych łęgach.

Tylko za szerokim, na podobieństwo płty czyli tratwy płasko przez rzekę przerzuconym mostem, w obozie Iwana Godunowa wrzał jeszcze zamęt. Raz po razu grzechotały piszczele. Ze swem kozactwem wdarł się tam Ataman Koreła i po swojemu jął naginać oporne karki do posłuszeństwa. Godunow rzucił przeciwko Dońcom swych zielonych *strielców*, atoli w jego oczach załamały się ich szyki. Jęli rzucać piszczele, wołając: — Niech żyje nasze kraśne słoneczko, Dymitr Iwanowicz! — zanim Kozacy zdążyli dać do nich ognia. Srogiemu Iwanowi Iwanowiczowi zamąciło się we łbie. Właśnie chciał kinąć koniem i z szablą w garści runąć na wiarołomców, gdy pętlica zarzuconego znienacka powroza zadzierzgnęła się dokoła jego grubej szyi i zwaliła go ze siodła. Rymnął, aż stęknęła pod nim ziemia. W chwilę później leżał na łące, związany jak baran, obok kilku innych wojewodów nieopatrzniejszych czy wierniejszych. Już bez przeszkody bratali się jego *strielcy* z wrażymi Dońcami. Przy nim klęczało wdzięczne, tatarskie pacholę i niezalęknione urągowiskiem tłuszczy, opędzało twarz jego od much, co cisnęły się natrętnie do oczu, nozdrzy i ust nieszczęsnego kniazia.

Nikt nie stawiał dłużej oporu. Niby z jakiejś baśni przybłąkany Carewicz Dymitr nie miał już pod Kromami jawnych nieprzyjaciół. Bez szemrania, lubo opieszale, poddawali się wojownicy moskiewscy rozkazom Pana Ratomskiego, który na gniadym wałachu uwijał się po obozie, zaprowadzając porządek i starając się nanowo ująć rozprószone chasy w karby żołnierskiej powinności. Wrzawa na razie przycichła, wzmogła się jednak rychło, gdy na moście błysnęły srebrne blachy obrazów i pojawili się popi. Pod nieufnem okiem Basmanowa, który patrzał na nich z przeciwległego brzegu, nawoływali namaszczonymi głosami do ucałowania *chresta* nowemu panu. Istny szał niewolniczej uległości opętał Moskwiczan. Tłoczyli się jeden przez drugiego, żeby co rychlej nowem krzywoprzysięstwem pokalać swe usta. Wątłe przęsła licho skleconego

mostu jęły chwiać się i gibać pod stłoczoną gawiedzią, nieustannie dopływającą. Wkońcu z głuchym trzaskiem most załamał się. Śród pogruchotanych desek, spiętrzonych kłód, bierwion i płatew pogrążył się w mętnych topielach olbrzymi kłąb zdyszanych, uznojonych ciał ludzkich. Wrzask przerażenia i rozpaczy przewiał nad rzeką. Wielu ocalało, czepiając się pływającego drewna, byli jednakże tacy, co marnie poszli na dno, pociągnięci ciężarem zbrój i przemoczonej odzieży. Toń okryła się czapkami, kożuchami i kaftanami.

Nie bez odrazy i wzgardy patrzał na to wszystko *Capitaine* Jacques Margeret ze swej odległej czaty. Zapomniano o nim. Nikt go nie napastował. Surowo marszczyły się jego brwi, ale cześć rycerska nie pozwalała na przeniewierstwo. Tedy porzucił swe leże. Nieścigany, podążył na czele swych Szkotów i Francuzów w kierunku stołecznej Moskwy.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ I TOMU PIERWSZEGO.